

**Andrej Astachow**

## **Tarcza Najnawy**

Przekład: Tadeusz Rubnikowicz

Korekta: Maria Palichleb

### **Leodan - 3**

#### **Nota wydawcy rosyjskiego**

Anons

*Bogowie mogą wszystko. Tworzą i burzą światy, władza ich jest nieskończona i niepodzielna. Ale tak bywa tylko wtedy, jeśli ludzie pamiętają o bogach i czczą ich. Jeśli zostają zapomniani przez śmiertelników, muszą schodzić z niebios na ziemię i prowadzić zupełnie nieboskie życie. A co najgorsze - dawny wróg Zapomnianych Bogów przygotowuje się do podboju świata ludzi i zastępy demonów, zniszczą wszystko, co oni kiedyś stworzyli. Co mogą, pozbawieni potęgi mieszkańcy nieba, przeciwstawić swojemu odwiecznemu wrogowi? Tylko dwoje młodych ludzi, których losy złączyło dawne proroctwo. Odważną i okrutną Kastę, kobietę-gladiatora i wychowanego w niewoli, rozpieszczonemu niewolnika Leodana, który nigdy nie trzymał broni w ręku. Mogą tylko połączyć ich razem, oddać im dawne, magiczne Relikwie i czekać na wynik zaczynającej się wielkiej bitwy, która zadecyduje nie tylko o losach świata, ale i samych bogów.*

*Jednak najważniejsze zdarzenia jeszcze przed nami i bitwa dopiero się zaczęła. Tym razem odbędzie się w dawnym królestwie Chealady, przez długie lata nękanym konfliktami wewnętrznymi i cierpiącym od panoszących się najemników. Królestwie, gdzie narastająca latami wrogość między dwoma narodami, lada chwila przerodzi się w krwawą wojnę. W kraju, który potężne, dawne Zło, zamierza cofnąć do czasów panowania demonów - Famarów. Na umęczonej ziemi, której ostatnią nadzieją może stać się tylko jeden człowiek - Wojownik Zapomnianych Bogów, ten, któremu pisane otrzymać z rąk bogini-matki Najnawy, czarodziejską tarczę, ósmą relikwią Zapomnianych.*

**Andrej Astachow**

## **Tarcza Najnawy**

**(Leodan - 3)**

Dedykuję bratu Konstantynowi

*Oblicze Bóstw - żeńskie i męskie,  
Lecz wspólne ciało ich jednoczy,  
Dłoń męska sprawnie mieczem włada,  
A żeńska, tarczą je otoczy,  
Przybysz - wróg Zła odwieczny, sprawi,  
Że Zło pradawne nie odnowi,  
Pośród potomków Orła, Smoka,  
Wieczysty pokój ustanowi.*

Napis na płycie nagrobnej króla Utaro, ostatniego z rodu Burzowego Smoka Lindze.

## PROLOG

Chłopiec obudził się z odczuciem, że, ktoś niewidzialny, mocno potrząsnął jego ramieniem. Przez pewien czas leżał na macie nieruchomo z otwartymi oczyma, przysłuchując się odgłosom burzy za oknami sypialni. Nie wiedział, co go obudziło - początek burzy, zły sen, czy uczucie nieokreślonej, dławiącej trwogi? A może naprawdę, ktoś go obudził. Chciał wstać i sprawdzić, czy ochrona jest na swoim miejscu, jednak po sekundzie pomyślał o czymś innym.

Jeśli wszystko, co widział we śnie, to nie wyobrażenie albo złudna gra sennego rozumu, to nawet Ajdży nie będą w stanie go obronić. Często miewał sny, przeróżne, mniej lub bardziej urzekające, ale tak dziwnego i nieprzyjemnego, jeszcze nigdy nie śnił. Jak dobrze, że nie zobaczył zakończenia.

Wzdrygnął się - ruchome cienie na podłodze i ścianach oplątywały, wciągały w jakiś złożony czarodziejski ornament, jakby okrywając go myśliwską siecią. We śnie, też były cienie. Nie mógł przed nimi uciec, cały czas doganiały go. Oczywiście, to tylko zły sen. Pełzające po pokoju zjawy są tylko cieniami, niczym więcej. Tam, za oknami, porywisty wiatr kołysze drzewami. Wszystko jest realne, nie ma w tym żadnej magii, żadnej mistyki. Trzeba spróbować zasnąć. Pokonać resztki strachu zrodzonego snem.

Zawinął się w kołdrę, obrócił na prawy bok i zamknął oczy, próbując myśleć o czymś przyjemnym, ale za oknem oślepiająco błysnęło i po chwili grzmotnęło tak, że podskoczył i usiadł w pościeli, ze strachem patrząc w okno. Serce trzepotało, jak uchwycona za ogon mysz.

Strach powrócił. Trzeba kogoś zawołać. Nie zaśnie, jeśli za oknami dzieją się takie rzeczy...

- Straż! - zawołał, owijając się kołdrą.

Fusuma, oddzielająca sypialnię od zewnętrznej galerii, odsunęła się, na progu ukazała się ciemna postać strażniczki-Ajdży.

- Mój książę! - ukłoniła się. - Czego książę życzy?

- Ja ... - zająknął się. Nie chciał mówić kobiecie-wojownicze, że się boi. Przecież ma już dwanaście lat, a kiedyś, w starożytności, tym krajem rządzą dwunastoletni władcy. Nie bali się błyskawic, grzmotu i paskudnych snów. - Bądź chwilę ze mną.

- Jak sobie książę życzy – weszła do pokoju, przykucnęła na macie, twarzą do księcia.

Poczuł, że strach go opuszcza. Cienie, pełzające po pokoju, już nie wydawały się brzydkie i potworne - były po prostu cieniami. Tylko żaloszny tchórz i głupiec może się ich bać, a on nie jest głupcem ani tchórzem. Jest przyszłym mężczyzną i dziedzicznym księciem.

Za ścianami pałacu znów błysnęło, załomotało, ulewa rozpętała się z nową siłą. Położył się, naciągnął kołdrę, popatrzył na Ajdżę. Kobieta siedziała wyprostowana i nieruchoma, jak skamieniała, położywszy lewą dłoń na kolanie, a prawą - na rękojeści długiego, wygiętego miecza w czarnej, lakierowanej pochwie. Zaprzagnął opowiedzieć jej swój sen, ale po chwili zdecydował, że nie należy tego robić. Ajdża jest wojownikiem i nie potrafi interpretować snów. Lepiej opowie go staremu Madeo albo jego żonie Awie. Albo, najlepiej, jeśli opowie neni Berenice. Pojedzie do klasztoru w Gojtonie. Tak-tak, właśnie tak - opowie neni i nikomu więcej. Madeo mówi, że ona jest święta. A święci, mogą odpędzać demony.

Ale teraz, musi zasnąć z nadzieją, że to koniec koszmarów. Nie chce przeżyć tego znów, nawet we śnie.

Nie zauważył, kiedy zasnął. Burza trwała, deszcz ustał, ale błyskawice nadal rozpalały niebo nad pałacem Górskiego Smoka - rezydencją małoletniego księcia Owaro. Sto trzydziestego trzeciego potomka rodu Edcho, który rządził Chealadą przez ostatnie osiemdziesiąt lat. Jedyne, prawnego pretendenta do tronu tego kraju. Chłopca, który zobaczył we śnie, że stał się jagnięciem, przeznaczonym na ofiarę.

Jezioro było małe, prawie idealnie okrągłe i niezwykle malownicze. Na brzegach rosły jaśminy, dzikie róże i delikatne wierzby płaczące, a przy brzegu, dużo nenufarów. Woda była ciemna, świeża i zimna, korony drzew pięknie odbijały się w niej, jak w lustrze. Orselin, zawsze czuła się szczęśliwa, kiedy tu przychodziła. Wiejska młodzież kąpała się w zatoczce i tam zawsze było gwarno, wesoło i tłoczno. Kąpiel tam sprawiała dużą przyjemnością, ale tu czuła się naprawdę wolna i szczęśliwa, jak nigdzie indziej. Zawsze miała wrażenie, że w tak pięknym miejscu mogą przebywać tylko leśne wróżki. Dlatego, zanim rozebrała się i weszła do wody, zawsze prosiła o pozwolenie niewidocznych mieszkańców lasu. To było okropnym grzechem - kapłan z Kram-dinaru, wielbny Fejn, często mówił w swoich kazaniach, że wiara w duchy jest herezją, za którą wcześniej czy później heretyka dosięgnie kara wszytkowidzącego Gelesa. W czasie kazania, bardzo dużo mówił o grzechach, sypiąc przy tym iskrami z oczu, a głos jego stawał się donośny i ostry. Bała się ojca Fejna i pewnego dnia powiedziała o tym przyjaciółkom. Te ją wyśmiały – też, masz się kogo bać! Stara, wyzuta z rozumu gaduła, z brodą rzadką, siwą i kłaczącą, jak u kozła.

Kiedy to usłyszała, schowała głowę w ramionach, bo wydawało jej się, że z nieba lada chwila uderzy piorun i spopieli bluźnierców. Ale dziewczęta wesoło się śmiały, a najgłośniej, białowłosa Ewijel, najlepsza przyjaciółka. Zawsze naśmiewa się z wielbego Fejna, naśladuje jego chód i to, jak wymachuje rękoma, mówiąc z ambony. A do tego, tak dobrze imituje jego nosowy, północny akcent, że wszyscy, którzy to słyszą, ze śmiechu zrywają boki. W takich momentach czuła, że zazdrości Ewijel - taka piękna, taka błyskotliwa, taka swobodna i wszyscy chłopcy w Kram-dinarze są zakochani w niej po uszy. Poszcęściło jej się z przyjaciółką. Z jej powodu, chłopaki lgną także do niej, chociaż, jako narzeczona jest nie do pozazdroszczenia - sierota, bez posagu, aczkolwiek śliczniutka. Syn kowala Dualla, Rejns, cały czas powtarza, że jest najpiękniejszą dziewczyną we wsi, piękniejszą nawet od Ewijel. Kiedy to słyszy, zawsze chce jej się śmiać. Rejns, to po prostu kłamca, mówi tak, ponieważ chce się jej przypodobać. Ewijel jest szczególnie, takich przyjaciółek więcej nie ma. Szkoda tylko, że niedługo się rozstaną - ojciec Ewijel, cieśla Joram, kupił dom na przedmieściach Karania i już szykuje się do przeprowadzki. W mieście, mówi, życie bardziej dostatnie i ciekawsze, niż w tych stronach...

Westchnęła i szybko przebiegła po mokrej, po burzy nocnej, trawie i weszła do wody. Była lodowata, ale w taki gorący dzień nie ma nic przyjemniejszego od kąpieli w leśnym jeziorze. Oswoiwszy się z chłodem, zanurkowała, wynurzyła się z radosnym piskiem, kilkoma wymachami rąk dopłynęła do środka jeziora i położyła się na wznak, patrząc w niebo. Dookoła, na wodzie, zapalały się słoneczne refleksy, a niebo wydało się takie błękitne - jak jej oczy. Burza je oczyściła, pogłębiła, nasyciła bezdenным lazurem. Woda pieściła ciało miękkim dotykiem, podobnym do muśnięcia dziecięcych paluszków. Jak dobrze, że jest to jezioro, takie cudowne i takie... czułe!

Jak dobrze, że może przychodzić tu prawie każdego dnia. Oczywiście, jej przyjaciółki mają swoje miejsce do kąpieli. Rejns także. Bardzo chciałaby przyjść tu kiedyś z nim. Nieraz opowiadała mu o tym miejscu, ale on nigdy nie ma czasu, pomaga ojcu w kuźni. A dziewczyny, wolą się kąpać w zatoczce, bo woda cieplejsza i można, jakby od niechcienia, zademonstrować swoje piękno przed chłopakami. Prawdopodobnie, uważają ją za dziwaczkę. Mają do tego prawo.

Wyszła z wody, gdy poczuła, że solidnie zmarzła. Wyżeła mokre włosy, usiadła na piasku, objąwszy kolana. Lubiła siedzieć nago na brzegu, czuć ciepły wiatr i rozgrzewające dotknięcie promieni słonecznych, na pokrytej kropelkami wody skórze. Kiedy obeschła, narzuciła wypłowiałą, płócienną tunikę, włożyła sandały. Potem, rozwiązała przyniesiony z domu węzełek i zaczęła wpatrywać się w wodę.

Ukazały się bardzo szybko - całe stadko. Srebrzyste, wdzięczne i ruchliwe. Kruszyła pajdę i rzucała okruszki do wody, z uśmiechem obserwując, jak żarłoczne rybki chwytają poczęstunek. A potem, zjawilo się duże rybisko z ciemnymi pasami na bokach i zaczęło podżerać drobiazgowi, rozmiękający chleb.

- Patrzcie, zjawil się wielki dureń! – powiedziała niezadowolona - ciebie tylko tu brakowało.

Nagle, poczuła na sobie czyjeś uważne spojrzenie. Gwałtownie się odwróciła, z przestraszu i zaskoczenia upuściła do wody chleb.

Zobaczyła jeźdźca, na wspaniałym, gniadym koniu i w czarnej, lakierowanej zbroi, w okrągłym hełmie z wizerunkiem głowy harpii na czubku. Jego twarz zakrywał jedwabny, liliowy szalik, tak, że można było widzieć tylko oczy, głębokie, ciemne, zagadkowo pobłyskujące.

- Leśna nimfa – powiedział w najczystszy jęzuku Ajdży. - Śliczniutka.

Obserwowała zmieszana, jak zza drzew wynurza się jeszcze półtora dziesiątka jeźdźców, kubek w kubek podobnych do pierwszego - w lakierowych zbrojach, z osłoniętymi twarzami. Zaczęli patrzyli na nią. Ogarnęło ją przerażenie. Przecież nie słyszała, kiedy podjechali ci wojownicy - ani tupotu kopyt, ani brzdękania uprzęży.

- Jak ma na imię nimfa, żyjąca przy leśnym jeziorze? - zapytał.

- Orselin, panie - przysiadła w ukłonie, chociaż zrobiła to nie tylko z uprzejmości, bo zadrżały nogi. - Orselin z Kram-dinaru, panie.

- Z Kram-dinaru! - jeździec uśmiechnął się, chociaż jego śmiech wydał się dziewczynie, zły. - Znaczy, tak nazywała się ta wieś. Wybornie. Co tu robisz, Orselin z Kram-dinaru?

- Kąpię się, panie - spróbowała się uśmiechnąć. - I rybki karmię.

- Wzruszające. Jesteś sama jak rybka - mokra, pachnąca! Ale twojego rybaka nie widać w pobliżu?.

Mimo woli wciągnęła głowę w ramiona, w głosie nieznanego wojownika było coś, co przestraszyło ją jeszcze bardziej.

- Ja ... Tylko chciałam się wykąpać, panie - wybełkotała, cofając się do wody. – Tylko, chciałam się wykąpać.

- Dziewuszki-Ajdży lubią się kąpać - powiedział jeździec i rzucił coś kolegom w nieznanym jęzuku. Mogła przysiąc, że nigdy nie słyszała go. - Dlatego ich skóra jest taka biała, jak u topielców.

- Panie - czuła, że kolana drżą ze strachu. - Ja ... Boję się!

Rzuciła się do wody i popłynęła do przeciwległego brzegu jeziora, nie zdając sprawy z tego, co robi. Ślepe przerażenie, zmuszało ją płynąć do środka jeziora, jak najdalej od jeźdźców, którzy tak ją przerażili. Jednakże, jeźdźcy nie uczynili nic - stali na brzegu, w szeregu i obserwowali odpływającą dziewczynę.

- Może, zabierzemy ją ze sobą, zer? - zapytał jeden z nich. - Gospodarz będzie zadowolony, znajdzie dla niej zajęcie.

- Żałosna, wiejska dziewczucha, nie jest godna naszej uwagi - odpowiedział przywódca. - Niech żyje. Wszystko jedno, nadejdzie dzień, kiedy wszyscy zdechną. Damy jej jeszcze trochę pożyć. Spodobała mi się jej uprzejmość. Niech opowie wszystkim o tym, co widziała.

- Czy to rozsądne, zer?

- Gospodarz mówił, że lekko uchylona tajemnica, napęlnia duszę jeszcze większym drżeniem, niż odkryta. Jej opowiadanie, nastraszy te żalosne robaki jeszcze bardziej.

Wojownik tylko skinął głową w rogatym hełmie, a przywódca, rzuciwszy jeszcze jedno spojrzenie na płynącą Orselin, spiął ostrogami konia i zaczął oddalać się od jeziora. Jego ludzie pomknęli za nim i po chwili cały oddział zniknął za drzewami.

Długo jeszcze bała się wyjść z wody. Wydawało jej się, że jeźdźcy nie odjechali, że schowali się w zaroślach i tylko czekają, by ją pochwycić, kiedy wyjdzie na brzeg. Dopiero, kiedy chłód stał się nieznośny, połykając łzy, podpłynęła do brzegu i na nogach jak z waty, wyszła z wody. Chwyciły ją dreszcze, z chłodu i ze strachu. Brzeg był pusty. Słońce zaszło za szczyty drzew, zbliżał się zmierzch.

Przestała płakać, wyżeła mokrą tunikę i znów włożyła na siebie. Popołudniowy upał szybko ją ogrzał i teraz pragnęła tylko jak najszybciej wrócić do domu. Przypomniała, że nie powiedziała wdowie Rejlu, gdzie idzie. Staruszka, prawdopodobnie, niepokoi się. Zapłótszy w pośpiechu włosy w warkocz, pobiegła do przesieki wiodącej do Kram-dinaru.

Zatrzymała się, gdy opadła z sił i dostała zadyszki. Pogoni nie było. Nabrawszy tchu, już nie biegiem, ale szybkim krokiem, minęła wąską dolinkę między dwoma pagórkami porośniętymi młodym lasem i zobaczyła wioskę. Trzeba się pomodlić do Gelesa za opiekę - uniknęła niebezpieczeństwa i dotarła do wsi przed nastaniem ciemności.

Z początku, nie zwróciła uwagi, że uliczki są puste i ciche. Nawet psy nie czekały. Za opłotkami przechadzały się kury i kozy, ale ludzi, nigdzie nie było widać. Potem, zrozumiała, że wszyscy mieszkańcy zebrali się w świątyni - ojciec Fejn surowo przestrzega, by na nabożeństwie byli obecni wszyscy, bez wyjątku, członkowie wspólnoty. A ona się spóźniła. Wielebny będzie bardzo niezadowolony, wdowa Rejlu także ofuknie ją dzisiaj. Ale to najmniej martwiło dziewczynę. Najważniejsze, że jest w domu i obcy jeźdźcy jej nie tknęli. Będzie czym postraszyć dziewczyny na wieczornicach. Tylko one, oczywiście, jej nie uwierzą, powiedzą, że wszystko zmyśliła.

Świątynia znajdowała się za zakrętem – piękny, kamienny budynek ze spadzistym dachem, pokrytym czerwoną dachówką. Wbiegła przez otwartą furtkę, zatrzymała się przed wejściem, żeby otrząpać tunikę, do której przylgnęły suche trawki i kolce. Przy wejściu, stało ustawione szeregiem obuwie parafian - kapcie i drewniane saboty mężczyzn, skórzane i powroźnicze sandały kobiet i dzieci. Zdjęła obuwie, opłukała nogi wodą ze specjalnej kadzi stojącej obok. Teraz, można wejść.

Kilka chwil przyzwyczajała się do półmroku panującego wewnątrz. A kiedy zobaczyła - TO, jakby nieznana siła wypchnęła ją z powrotem na ulicę. Po chwili, dostała napadu mdłości.

Długo dochodziła do siebie. Ale potem, mimo wszystko, zdołała wrócić do świątyni. Jak we śnie, mijała leżące na podłodze, zakrwawione, oszpecone,

oblepione muchami ciała, nie rozumiejąc, co robi. Chciała się przekonać, czy wszyscy są martwi, i czy im już nikt i nic nie pomoże.

Od ciężkiego zaduchu krwi i fekalii, zmieszanego z zapachem kadzidła, tłącego się nadal w kadzielnicach, żołądek znów zaczął podchodzić do gardła, ale opanowała się. Tylko w uszach dzwoniło – a może, to muchy brzęczą nad zmarłymi? Zobaczyła tu wszystkich, których знаła - w świątyni leżeli mieszkańcy wsi Kramdinar. Mężczyźni, kobiety, staruszkowie, nastolatki, dzieci. Ktoś zabił wszystkich. Kto? Niektóre ciała wyglądały tak, jakby rozrywano je zębami i pazurami.

Na początek, znalazła trupa jasnowłosej Ewijel i jej ojca Jorama: leżeli obok siebie, twarze mieli spokojne. Przechodząc nad strużkami krzepnącej na podłodze krwi, wlokła się po świątyni i odnajdywała swoich przyjaciół - Algifę, Tait, śmieszkę Nejlę, blondynka Liwa - ulubienca wszystkich wiejskich dziewczyn, pozostałych dzieci z ich kompanii. Serce drgnęło boleśnie, kiedy dostrzegła ciało Rejsna. Chciała go dotknąć, ale nie była w stanie się przełamać. Duall leżał na wznak obok syna, jego otwarte oczy zaszyły mgłą, ogromne łapska miały zaciśnięte pięści. W pobliżu stołu, gdzie stał kufer na datki, zobaczyła w stercie rozszarpanych trupów, wdowę Rejlu, swoją przybraną matkę. Twarz jej przypominała krwawą papkę. Rozpoznała nieboszczkę po bransolecie na prawym nadgarstku, splecionej z czerwonych i czarnych nitki, której nigdy jej nie zdejmowała. Upadła na kolana, wzięła w swoje dłonie palce staruszki, zaczęła cichutko i niedorzecznie zawodzić, ale nagle pomyślała, że płaczem już jej nie pomoże. Ściereczką, w której był chleb dla rybek, nakryła pokiereszowaną twarz staruszki i poszła dalej. Najwięcej ciał leżało przed ołtarzem, jakby ludzie w ostatniej chwili szukali tu ratunku, uciekając przed atakującą ich, nieznaną siłą. Zatrzymała się - marmurowa posadzka była tak obficie zlane krwią, że iść dalej, nie wdeptując w tę okropną kałużę, nie było można. Wtedy zobaczyła ojca Fejna, z jej ust wyrwał się przeciągły i straszny krzyk.

Wielebnego zawiesili nad ołtarzem głową w dół. Przesiąknięta krwią szata, niczym dzwon otaczała ciało, odstawiając chude, owłosione nogi, związane sznurem powyżej kostek. Mordercy przerzucili sznur, przez wyciągniętą nad ołtarzem rękę posągu Gelesa, a wolny koniec przywiązali do miedzianej kraty przy ścianie. Nad ołtarzem huczała chmara much, zalewając go ciemnymi potokami. Tu, zobaczyła ludzką czaszkę, fantazyjnie pomalowaną w czerwone i czarne pasy. Wcześniej jej tu nie było. Nagle, odniosła wrażenie, że puste oczodoły patrzą na nią i ktoś niewidoczny, znajdujący się daleko od znieważonej, pełnej trupów świątyni, obserwuje ją.

Cofnęła się, potknęła o czyjąś nogę, upadła w zastygłą krew, z przeciągłym krzykiem rzuciła się do ucieczki. Nie pamiętała, jak dobiegła do drogi, jak trafiła na furmankę handlarza i co było potem. Nie wiedziała, ile minęło czasu od momentu, kiedy straciła przytomność. Świadomość wróciła, gdy ujrzała pochylającą się nad nią, pociętą zmarszczkami bladą twarz, z jasnymi, błękitnymi oczyma, takimi samymi, jak niebo nad jej ukochanym jeziorkiem i jak jej własne oczy.

- Gdzie jestem? - zapytała.

- Nie bój się, dziecko – koścista, ciepła ręka pogłaskała jej czoło. - Jesteś bezpieczna. Zaopiekuję się tobą.

## **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

### **Światelko w mroku**

Brat Owri przełamał chleb, umoczył kawałek w filiżance z octem - i położył na talerzu. Odechciało mu się jeść. Może, to zmęczenie. Noc była bardzo ciężka, we wschodnim skrzydle rodziła kobieta, z ostatniej grupy uchodźców. Był to pośladkowy poród. Zrobił wszystko, by niemowlę i matka przeżyły. Nowo narodzoną dziewczynką zajęły się siostry, a on, nakładając szwy położnicy, myślał o tym, że ta biedna kobieta wybrała zupełnie nieodpowiedni czas, by zostać matką. Ale, niech tam, byle tylko żyła. Zajmując się położnicą, nawet nie zauważył, kiedy nastał świt.

- Proszę się przespać, ojciec Owri - powiedziała młodzieńka nowicjuszka Wiara.  
- Zaopiekujemy się biedactwem.

Zdecydował nie wracać do pustelni, położył się w szpitalu na jednej z leżanek. Spał do południa i bardzo się rozżołościł, kiedy zorientował, że siostry go nie obudziły. Ale dziewczyny miały takie oczy, że gniew natychmiast wyparował. Tylko powarczał, zwyczajem starców, i udał się do klasztornej refektarza - męczyło go pragnienie.

Jego śniadanie stało nietknięte na stole: pajda chleba, ocet w filiżance, trochę zielonych oliwek i ziołowa herbata. Chleb był ciemny i czerstwy, ale niedługo w Gojtonie nie będzie nawet takiego. Sam rozkazał zniszczyć wszystkie zapasy ziarna, które znajdowały się w głównym spichrzu - przebiegli kupcy z Karania, przywieźli do klasztoru ziarno zarażone sporyszem. Tylko ergotyizmu im jeszcze brakowało. Żółtaczką i dyzenterią już się pojawiły i bał się bardzo, że może wybuchnąć epidemia. Siostry rozdają uchodźcom uzdrawiającą herbatę ziołową, likwidującą jelitowe dolegliwości, ale wśród ludzi, którzy przybyli do klasztoru, jest wielu osłabionych i głodnych. Pozostaje tylko pokładać nadzieję w opiece najwyższych mocy...

- Owri!

Lekarz odwrócił się. Neni Berenika nie była sama - przeoryszy towarzyszyły dwie nowicjuszki, jedna trzymała naczynie z mirrą. Przyjął pocałunek przeoryszy, zajrzał w jej szafirowe oczy.

- Wszystko w porządku, matulu - powiedział - udało się uratować i matkę i niemowlę.

- Oderwałam cię od jedzenia.

- Drobiazg, matulu. Nie jestem głodny.

- Wyglądasz na zmęczonego, Owri. Bardzo dużo pracujesz.

- Co robić! Ludziom potrzebna moja pomoc.

- Geles nagrodi cię za ascezę i dobroć. Dokończ swój posiłek.

- Matula mnie potrzebuje?

- Najpierw posil się...

Owri przytaknął. Zmusił się do zjedzenia chleba, zebrał ze stołu okruszynki i wrzucił do ust.

- Jestem gotów, matulu - powiedział. Nie chciał zmuszać przeoryszy do czekania.

- Wobec tego, idziemy.

W gabinecie przeoryszy, na macie, siedziała młodzieńka Ajdża. Poza dziewczyny wszystko wyjaśniła. Klasztorny lekarz widywał ją często. Nogi podkurczone, łokcie wpierają się w biodra, spojrzenie nieprzytomne, głowa wciągnięta w ramiona, jakby siedzący oczekiwał nagłego uderzenia. Były to oznaki strachu. Brudną sukienkę pokrywały ciemne plamy - niewątpliwie, zaschnięta krew.

- Jesteś ranna? – zapytał. Zatraskany, kucnął obok niej. Nie odpowiedziała, jej wielkie, błękitne oczy, miały taki kolor, jak neni Bereniki. Widać w nich było wielkie przerażenie.

- Przywiózł ją dzisiejszej nocy handlarz, wyznawca Gelesa - powiedziała przeorysza. - Była nieprzytomna. Próbowałam rozmówić się z nią, ale milczy. Spróbuj się dowiedzieć, co jej się przytrafiło.

Skinął głową, wyjął z sakwy przy pasie flakon z solą trzeźwiącą, podniósł do twarzy dziewczyny. Ta drgnęła, cofnęła się, ze strachem popatrzyła na lekarza.

- Nie bój się, miła - powiedział, dotykając ręki dziewczyny. - Jestem brat Owri, lekarz. Chcę ci pomóc. Jak się czujesz?

Nie odpowiedziała. Widział, że jest spięta i paniczne przerażenie w jej oczach. Ciekawe, co ją tak nastraszało?

- Gdzie jestem? - zapytała.

- W klasztorze, w Gojłonie. Jesteś bezpieczna. Zaopiekujemy się tobą.

- Gojłon? – rozejrzała się. - Gdzie to jest?

- Daleko od Dremmerchewenu - powiedział. - Uspokój się, nic ci nie grozi. To jest klasztor ciszy i spokoju. Jak się nazywasz, miła?

- Orselin. Orsi.

- Piękne imię. Co ci się przydarzyło, Orsi?

- Oni ... Oni wszystkich zabili! – jej wargi zadrżały, w oczach znów pojawił się strach. - Nawet ... Niemowlęta.

- Nie płacz. Kogo zabito?

- Wszystkich. Ewijel, Rejnasa, Algifę, Nejlę, Zataja, matulę Rejlu. Wszystkich, co do jednego.

- Jak się nazywa twoja wioska, dziecko? - zapytała neni Berenika.

- Kram-dinar.

- Udało ci się zbiec?

- Ja ... Kąpałam się. W lesie. Potem zjawili się oni.

- Oni?

- Jeźdźcy. Było ich dużo. Jeden odezwał się do mnie. Rozmawiał ze mną tak dziwnie, że zrobiło mi się strasznie.

- Jak wyglądali, ci jeźdźcy?

- Było ich dużo - zadrżała, jakby owiało ją zimnym wiatrem. - Poruszali się bezszelestnie, niczym zjawy. Byli podobni do ludzi, ale wiem, że to nie byli ludzie.

- Dlaczego tak myślisz?

- Ludzie nie mogą zabijać tak okrutnie.

- Myślisz, że to oni zabili mieszkańców twojej wsi?

- Ich dowódca zapytał, skąd jestem, więc powiedziałam, że z Kram-dinaru, a on zaśmiał się i powiedział: „Ach, to tak nazywała się ta wieś!”. Oni to wszystko zrobili, jestem pewna.

- Dobrze, dobrze, uspokój się... Czego od ciebie chcieli?

- Nie wiem. Zrozumiałam tylko, że to bardzo źli ludzie, dlatego przestraszyłam się.

- I uciekłaś?

- Tak - zamilkła, żeby pokonać skurcz gardła. Owri podał jej filiżankę wody.

- Nie ścigali cię? - dziwnym tonem zapytała neni Berenika.

- Nie - pokręciła głową. - Oni ... Odjechali.

- Co jeszcze widziałaś, dziecko?

- Ojca Fejna. Powiesili go nad ołtarzem, głową w dół. Tam było bardzo dużo krwi. I była czaszka.

- Czaszka?

- Czaszka. Pomalowana czerwonym i czarnym kolorem. Leżała na ołtarzu. Zdawało mi się, że patrzy na mnie. Więcej ... Więcej nic nie pamiętam.

- Dobrze, zrozumieliśmy wszystko - Owri popatrzył na przeoryszę i wiedział, że myśli o tym samym, co on. - Powinnaś odpocząć, miła. Chodźmy, pomogę ci dojść do łóżka.

- Zostawicie mnie samą? - dziewczyna popatrzyła na Owri dzikim wzrokiem. - Przecież oni przyjdą po mnie! Wiedzą, że żyję.

- Nie przyjdą - uśmiechnął się i czule pogłaskał po policzku.- Gojłon, to święte miejsce. Zło nigdy nie przyjdzie tu, nigdy. Uwierz mi, córeczko. Powinnaś odpocząć. Bardzo się zmęczyłaś i dużo przeżyłaś. Sen cię uleczy. Przecież chcesz spać, czyż nie?

Mówiąc to, patrzył prosto w jej oczy. Zaczęła ziewać, potem bolesny blask w jej oczach zgasł i opuściła głowę na jego ramię.

- No, po wszystkim - powiedział lekarz. - Teraz pośpi długo i zapomni większość z tego, co widziała.

- Szósta wieś – odezwała się neni Berenika. - Tym razem ocalał świadek. Teraz wiemy, kto to robi.

- Jeźdźcy - powiedział Owri – najemnicy, albo ...

- To nie najemnicy - neni Berenika popatrzyła na śpiącą Orselin. – Znacznie, znacznie gorzej i dlatego dziwne, że nie zabili tej dziewczynki.

- Ciebie to dziwi, matulu?

- Trzeba się jej przyjrzeć. Wydaje mi się, że ona jest niezwykła.

- Kram-dinar - powiedział lekarz. - Ciekawe, gdzie to jest?

- Handlarz mówił, że znalazł dziewczynę niedaleko Dremmerchewenu. To ziemie Ajdży. Wszystkie zniszczone wsie były zaludnione przez Ajdży. I wszędzie mordercy zostawiali wymalowywaną czaszkę.

- Co to znaczy, matulu?

- Nie zapowiada to nam niczego dobrego.

- Nie chcesz mówić o tym?

- Boję się własnych myśli, Owri.

- Czy jest aż tak źle?

- Źle - pokiwała głową. - Na Chealadę pełną takie ciemności, że szybko pochłoną nas wszystkich. I wtedy, nawet czasy waśni książęcych, wydadzą się złotym wiekiem.

- Wiesz o czymś, matulu, ale nie chcesz mówić o tym - westchnął. - Rozumiem. Nie chcesz pozbawiać nas ostatniej nadziei.

- Nadzieja zawsze pozostanie, Owri - przeorysza słabo uśmiechnęła się. – Tymczasem, życie nie opuściło Gojłonu, dla tej ziemi, nie wszystko stracone. Dlatego, musimy robić swoje. Będziesz wykonywać swoje zadanie, a ja swoje. Nie myślmymy o śmierci, lecz o życiu.

- Matulu! Matulu Bereniko!

Młodziutka, zielonooka nowicjuszka, stanęła w progu gabinetu, patrząc na śpiącą Orselin.

- Co się stało, Linni? - Z twarzy dziewczynki wyczytała, że zdarzyło się coś niedobrego.

- Tam... Tam najemnicy!

\*\*\*

Dziwne miejsce, ten Gojłon, pomyślała Mirczel Lodowata Krew, osadzając konia na placu przed świątynią. Ani murów, ani wałów, ani rowów - niczego. Żadnych umocnień. Trochę kamiennych i drewnianych konstrukcji, wzmacniających

trzystopniową, podobną do piramidy, świątynię Gelesa. Z prawej strony, na wielkim placu, który w czasach pokoju wykorzystywało się do świętych ceremonii, teraz rozlokował się obóz uchodźców, otoczony pierścieniem furmanek. Widziała, jak ludzie szybko zapędzają do swoich szałasów kozy i owce. Rozbawiła ją taka naiwność. Kundle różnej maści i rozmiarów, przestraszone nie mniej od swoich gospodarzy, zajadłe czekały spod wozów na zbliżających się jeźdźców. Jan-Włóczęga przeklął i uniósł kuszę, żeby postać strzałę w jednego z psów, ale Mirczel powiedziała, by nie tracił jej niepotrzebnie.

- Nigdy tu wcześniej nie byłem - powiedział inny najemnik, Wirn, patrząc na swoją szefową. – Łatwa zdobycz, ani jednego uzbrojonego chłopaka. Same zakonnice i niezdary.

- Ci głupcy rzeczywiście wierzą, że w tym splachetku ziemi jest jakaś świętość, która ich obroni.

Po chwili, zobaczyła przeoryszę. Neni Berenika wyszła z wielkiego, kamiennego budynku z lewej strony świątyni. Za nią podążały dwie nowicjuszki w białych habitach i krępy, starszy mnich, z torbą przewieszoną przez ramię. Dużo słyszała o gojtońskiej przeoryszy, ale nigdy jej nie widziała. Spostrzegła, że neni niczym szczególnym się nie wyróżniała, co wywoływałoby lęk albo szacunek – mała, zasuszona starowinka, w znoszonej czarnej odzieży. Tylko te oczy...

- Przysłał mnie Irmas Uden - powiedziała najemniczka, nie zsiadając z konia. - Namiestnik Irmas Uden. Nazywam się Mirczel Lodowata Krew. Słyszałaś o mnie?

- Różne słuchy dochodzą czasami i do naszego klasztoru - odpowiedziała przeorysza. - Przypisują ci przelaną krew mieszkańców Ajfodły. Urzędziłaś tam bezlitosną rzeź.

- Mieszkali tam zdrajcy i heretycy - odpowiedziała. – Nie chcieli złożyć przysięgi domowi Edcho i zostali za to ukarani. Uważasz, że postąpiłam niewłaściwie?

- Nie mam prawa osądzać ludzi. Postąpiłaś tak, jak uważałaś za konieczne, ty musisz z tym żyć. Z czym przybywasz?

- Namiestnik Irmas Uden uważa, że twój klasztor łamie prawo, nie płacąc podatków. Znajdujecie się na ziemiach domu Edcho i macie obowiązek płacić. Irmas potrzebuje pieniędzy, żeby utrzymywać wojsko.

- Od czasu imperatorów dynastii Burzowego Smoka, klasztory były zwolnione z wszelkich podatków - sprzeciwiła się neni Berenika. - Uważaliśmy, że dawne prawa są nienaruszalne i obowiązują nadal.

- Obowiązywały. Teraz namiestnik Irmas wprowadził inne prawa i będziecie ich przestrzegać. Plujemy na wasze przestarzałe uprawnienia.

- Rozumiem - neni Berenika zaczepnie popatrzyła na Mirczel. - Czego chcesz, Krwawa Dziewico z Dremmerchewenu?

- Pieniądzy. Należy się pięćdziesiąt funtów srebra.

- Nie mamy tyle. Jesteśmy biednym klasztorem.

- Będziecie musieli poszukać, bo Geles straci wielbicieli.

- Naprawdę jesteś gotowa zabić wszystkich, którzy szukają tu schronienia? Mężczyzn, kobiety, dzieci, staruszków?

- Nie rozumiałaś mnie, starucho. Mam rozkaz namiestnika Irmasa i wypełnię go, nawet, jeśli wasz pobożny kurnik, będę musiała przekształcić w stertę glówni, a ciebie i twoje zakonnice rzucić na żer wronom.

Twarz neni Bereniki pozostała niewzruszona. Obrzuciła tylko spojrzeniem cały oddział Mirczel - trzy dziesiątki, po zęby uzbrojonych konnych zbójów, okrążających ją ze wszystkich stron.

- Potrzebujemy czasu, żeby zebrać wymaganą sumę - powiedziała. – Nie mamy srebra, którego żądasz. Nam, nawet chleba nie starcza.

- Zaraz rozplacę się z litości. Wystarczy głędzenia. Uchodźcy mają bydło. A w świątyni powinny być naczynia liturgiczne i inne cenne rupiecie.

- Chcesz ograbić Gelesa?

- Jestem poganką. Geles, to nie mój bóg.

- Dobrze. Mogę prosić byś zsiadła z konia i weszła ze mną do świątyni? - zapytała przeorysza, patrząc na Mirczel swymi przenikliwie błękitnymi oczyma.

- Po co?

- Żebyś sama mogła zobaczyć nasze skarby.

- Dobrze - zsiadła z konia, rzuciła cugle Wirnowi, podeszła do neni Bereniki - idziemy.

- Owri, zostań tu z siostrami - poleciała przeorysza człowiekowi z torbą, po czym odwróciła się do najemnicy i powiedziała: - Podążaj za mną.

- Jeśli mi się cokolwiek stanie - zwróciła się do swoich ludzi - zabijcie wszystkich, co do jednego. A klasztor, spalcie.

- Wykonamy, dowódco - odpowiedział za wszystkich Wirn.

- Idziemy – odezwała się neni Berenika. Była całkiem spokojna i okrutny rozkaz Mirczel, wcale jej nie przstraszył.

Rzeźbione, drewniane drzwi otworzyły się i najemnica weszła do środka.

Bieda. Rażąca i nieskrywana. Gołe, kamienne ściany, ubita polepa. Pociemniałe, popękane drewniane słupy, podpierające strop. Przy wejściu stary, miedziany gong, którego dźwiękiem zakonnice zwołują się na modlitwę.

W głębi świątyni ołtarz - zwykła, kamienna bryła. Na nim dwa świeczniki z palącymi się łożowymi świecami, gliniany talerz z kielkującą pszenicą i cynowe naczynie z wodą. Pękaty, drewniany posąg, topornie wymalowywany przez jakiegoś malarza-samouka, przedstawiał Gelesa. W rękach boga - biały baranek.

Najemnica, chwyciła z ołtarza jeden ze świeczników. Cyna. Tylko cyna.

Nic cennego. Całe wyposażenie, nie warte jednej złotej monety.

- Teraz widzisz, córeczko, że w tej świątyni nie zbierzemy pięćdziesięciu funtów srebra? - powiedział głos.

- Chcesz, żebym ci uwierzyła? – niezadowolona, odrzuciła świecznik. - Przekopię cały twój śmierdzący klasztor, ale...

Stała, czując, jakby ją oblano wrzątkiem.

Głos. To nie przeorysza.

Powoli obróciła się na obcasach i krzyknęła z przerażenia.

- Kim jesteś?

- Nie pamiętasz mnie, córeczko? - nieznajoma kobieta, w ciemnym płaszczu, zrobiła krok w jej kierunku, podniosła rękę, jakby chciała dotknąć piersi Mirczel. - Bogowie, niczego nie pamiętasz!

- Coś ty za jedna? - cofnęła się, chwyciła za rękojeść miecza.

- Moja bidulka! To wszystko, wina Cienia. Zaćmił twój umysł.

- Jaki Cień? O czym mówisz? Kim jesteś?

- Teraz widzę, że o wszystkim zapomniłaś. Kiedyś, już ci się to przydarzyło - powiedziała kobieta ze smutnym uśmiechem. - To było tego dnia, kiedy skończyłaś sześć lat. Uszyłaś dla ciebie sukienkę - piękną, z haftem na rękawach. Wplotłam czerwoną wstążkę we włosy. Miałaś wtedy włoski jaśniejsze, niż teraz i bardzo piękne loki. Wyszłaś na podwórze pobawić się z dziewczynkami. Skakałyście przez rynsztok - kto dalej. Skoczyłaś niefortunnie i wpadłaś prosto w błoto. Potłukłaś się, pobrudziłaś i zaczęłaś krzyżeć. Wybiegłam, słysząc twój płacz, uspokajałam, a ty

cały czas pytała: „Kim jesteś? Ktoś ty?” Stało się to z przestachu. Zapomniałaś mnie, córeczko. Straciłaś pamięć. Nasz znachor, Mirczel, wyleczył cię.

- Sukienka - Mirczel poczuła, że włosy na głowie stają dęba. - Sukienka z bielonego Inu. Króciutka, do kolan. Na rękawach wyszyte czerwone kwiaty. A wstążka była jedwabna, bardzo droga.

- Dokładnie - kobieta uśmiechnęła się. - Widzisz, przypomniałaś sobie.

- Ktoś ty? Skąd o tym wszystkim wiesz?

- Byłaś prawdziwą ślicznotką - kontynuowała kobieta. - Pewnego razu,omal nie uprowadziły cię kobiety z narodu Łali: często bywały w naszym mieście, wróżyły, przepowiadały przyszłość. Wtedy, ledwie ciebie odzyskałam. A kiedy wyrosłaś, to z małego aniołka przekształciłaś się w ślicznotkę. Chłopcy chodzili za tobą tabunami i jako pierwsza z naszej ulicy wyszłaś za męża. Miałaś zaledwie siedemnaście lat.

- Ja... Byłam zamężna?

- Nawet tego nie pamiętasz?

- Nie - otarła z czoła zimny pot. Nogi jej drżały i wydawało, że lada chwila straci świadomość. – Czy ty, wszystko o mnie wiesz?

- Wszystko. Pamiętam każdy dzień twojego życia. Byłaś bardzo szczęśliwa. Cieszyłam się, patrząc na ciebie. Potem, urodziłaś córeczkę. Tego dnia, poczułam takie czyste i nieskończone szczęście, aż się przestraszyłam. Zrozumiałam, że łaska bogów nie może trwać wiecznie i los wystawi nas wszystkich na próbę. A potem, zobaczyłam we śnie, że w mieście zaczął się wielki pomór i, że zaraziłaś się i umarłaś.

- Umarłam?

- Kiedy obudziłam się, natychmiast poszłam do świątyni wielkiej Nekrian i zaczęłam prosić o miłosierdzie. Prosiłam, żeby zabrała moje życie zamiast twego. Prosiłam, by zesłała twoją chorobę na mnie i ona mnie wysłuchała. Sen okazał się proroczy – minęło kilka tygodni i do naszego miasta przyszła dżuma. Zachorowałam. Pamiętam, jak płakałaś, siedząc przy moim łóżku. A ja, czułam radość, że przypadł mi twój los.

- I umarłaś? Zamiast mnie?

- Sama o to prosiłam, córeczko.

- Ktoś ty?!

- Podaj rękę.

Dotknęła dłoni kobiety, wyciągniętej spod ciemnego, podobnego do strzępu mgły, płaszcza. Była ciepła. A potem zobaczyła, że na małym palcu nie ma paznokcia.

- Mama? - od przenikliwego, pełnego bólu i cierpienia krzyku, wydawało się, że zadrżały nawet kamienie. - MAMAAAAA!

- Co się dzieje, córeczko?

Mirczel zanosila się od płaczu, a ciepła, miękka dłoń głaskała ją po głowie. Nagle, wszystko zniknęło. Podniósłszy zapłakana twarz, zobaczyła, że klęczy przy ołtarzu. Ciemna sala świątyni Gelesa, płomyki świec i zniczy, i neni Berenika. Błękitne oczy przeoryszy błyszcząły od łez.

- Co się dzieje, córeczko? - powtórzyła Berenika.

- Ja... Tu była zjawa - Mirczel rozglądała się po bokach. - Widziałam...

Widziałam...

- Geles zajrzał do twego serca i zobaczył wielki ból i niewypłakany żal.

- Geles?

- Rozumiem cię. Chcesz mi coś powiedzieć?

- Nie, zupełnie nic - podniosła się z klęczek, z lękiem spojrzała na przeoryszkę.  
- Odchodzę.

- Idź - neni dotknęła palcami naplecznika najemniczki. - Błogosławię ci, córeczko.

Wirnowi sprzykrzyło się oczekiwanie. W ogóle, wszystko idzie jakoś nie tak. Z jakiegoś powodu, Mirczel cacka się z tymi świętoszkami. To niepodobne do Krwawej Dziewicy. W Ajfodle, było zupełnie inaczej. Tam nikt nie tracił czasu na puste gadanie. Przyjechali, wypuścili gamoniom krew, rozgrabili i spalili miasteczko. A tu ...

Jeszcze bardziej zdziwił się, kiedy Mirczel wyszła ze świątyni razem z przeoryszą. Była blada i wystraszona. Takiej twarzy, bezlitosnej Krwawej Dziewicy, prawej ręki Irmasa Udena, nikt z najemników nigdy wcześniej nie widział. Musiała coś zobaczyć w świątyni. Coś niepojętego.

- Dowódco? - zapytał Wirn, czując, że dzieje się coś dziwnego.

- Wyjeżdżamy - powiedziała, kryjąc oczy. Wskoczyła na siodło, spięła ostrogami konia i niczym wichur pomknęła drogą wiodącą do klasztoru, nie oglądając się za siebie.

Wirn zawsze był zdyscyplinowanym wojownikiem. Otrzymał rozkaz wyjazdu, więc podążył jej śladem. Na pewno będzie okazja, by spytać szefową, dlaczego tak nagle opuścili Gojton.

Neni Berenika patrzyła za oddalającymi się najemnikami, póki oddział nie zniknął za zakrętem górskiej drogi.

- Matulu? - Owri zajrzał w oczy przeoryszy. - Co się wydarzyło? Dlaczego odjechali? Już myślałem, że wszyscy dziś umrzemy.

- Ponieważ Geles, zlitował się nad nami - westchnęła neni Berenika. Zdziwiony zobaczył, że oczy przeoryszy błyszczą szczęściem. - To ona.

- Kto?

- Mirczel. To ta, na którą czekałam.

- Ta morderczyni?

- Owri, proroctwo się spełniło. Ta kobieta jest naszą ostatnią nadzieją. Pajęczyna Zła oplątała ją, ale w jej duszy pali się światło. Maleńki ogieniek, którego jednak, nadciągająca noc, nie była w stanie zgasić.

- Co mamy teraz robić?

- Czekać, Owri. Czekać, kiedy znów tu wróci ta, którą nazywają Mirczel Lodowata Krew. Już, jako nasz przyjaciel, a nie wróg. Będziemy błagać Gelesa, by stało się to jak najszybciej.

## **ROZDZIAŁ DRUGI**

### **Ruiny i dyplomacja**

Słońce chowało się za szczyty pagórków, kiedy oddział jeźdźców, na doskonałych koniach, wyjechał na szeroką, błotnistą równinę. Kiedyś tu, w czterdziestu ligach na północ od miasta Ark, znajdowała się dawna stolica Chealady - Durbał. Teraz, z majestatycznego miasta zostały tylko ruiny, podobne do rozrzuconych po całej okolicy resztek białych kości. Kawałki kolumn, zburzone ściany, sterczały z topieli po obu stronach jedynej, bezpiecznej ścieżki wiodącej przez równinę. Jeźdźcy, jechali dróżką, póki nie znaleźli się przy niedużym jezioru, z ciemną, stojącą wodą. Na północnym brzegu wznosił się niewysoki pagórek z urwistym zboczem, w którym czerniało kilka jaskiń.

Dowódca oddziału, zer Giłan, wydał rozkaz ludziom, by zsiadli z koni i weszli do nich. Kiedy ostatni z nich skrył się we wnętrzu, uruchomił się ukryty w głębi pagórka mechanizm wyciągowy i ogromne głązy zamknęły cztery z pięciu wejść. Nawinawszy na rękę wodze swego ogiera, zer Giłan skierował się do ostatniego, otwartego wejścia i znalazł się w niedużej pieczarze ze ścianami wyłożonymi kamiennymi płytami. Tu, już go oczekiwano.

- Milordzie - jeden z dwóch służących, wyszedł naprzeciw wojownikowi i ukłonił się. - Pan czeka na ciebie. Oddaj mi swoje miecze i przechodź.

Odpiął je - długi, lekko wygięty i krótki prosty – podał służącemu i skierował się do otwierających się w głębi kamiennych drzwi. Drugi służący dreptał obok niego, przewalając się na krótkich krzywych nogach. Zamaszystym krokiem przemierzał długi korytarz, oświetlony magicznymi kulami, minął salę modlitwy i znalazł się przy drzwiach do prywatnych apartamentów gospodarza.

Służący wysunął się do przodu, przeprowadził swoją pokraczną łapą wzdłuż znaków wygrawerowanych na drzwiach. Giłan wiedział, że gospodarz nie ufa nikomu - niekiedy wydawało się, że nie ufa nawet samemu sobie. Tylko te stwory dostały się zaszczytu jego zaufania. Mogą swobodnie poruszać się po pałacu i otwierać drzwi.

Skrzydła rozwarły się i mógł wejść do gabinetu. Malchai stał przy alchemicznym stole i coś mieszał w retorcie. Skinął łaskawie, w odpowiedzi na ukłon Giłana i gestem przywołał do siebie.

- Widziałeś dzisiejszy zachód słońca? - spytał po długiej pauzie. - Opowiedz mi o nim.

- To był zwyczajny zachód, panie.

- Zwyczajny?

- Tylko niebo było bardziej czerwone niż zwykle.

- Jednak! - podniósł palec wskazujący, błysnął oczyma. - Zachód był czerwony. Purpurowy zachód to dobry znak.

- Nie rozumiem, panie.

- Wszechświat wyczuwa zmiany, które do niego wnosimy, Giłanie. Oko Śmierci widziało twoje działania. Świat zrozumiał to. Powinienem ci podziękować.

- Jestem twoim sługą, panie.

- Dobrym sługą. Cenię twoje oddanie. Ale tym razem dopuściłeś się pewnej samowoli.

- Panie?

- Na ołtarzu złożyłeś nie wszystkie jagnięta.

- Zabiliśmy w Kram-dinarze wszystkich. Oko Śmierci widziało to, ty sam ...

- W Kram-dinarze - tak. Ale życie w tej wiosce Ajdży nie zgasło ostatecznie. Kiedy krew została przelana, Oko wyczuło obecność życia.

- Zabiliśmy wszystkich. Chociaż ... - rozłożył ręce. - Biegała tam jedna ślicznotka niedaleko wsi. Kąpała się w jeziorze.

- I zostawiłeś ją przy życiu?

- Przypomniałem sobie, co powiedziałeś mi pewnego razu, panie. Tajemnica ma to do siebie, że bardziej przeraża, jeśli jest uchylana stopniowo.

- Zostawiłeś świadka?

- Pomyślałem, że straszne pogłoski powinny dodać sugestywności.

- Bardzo mądrze - Malchai wstrząsnął retortą z płynem i ten zmienił kolor. - Nie gniewam się. Ale odtąd, żadnych świadków.

- Panie, jestem twoim sługą. Wybacz zaniedbanie. Rozkazuj, wszystko wykonam.

- Chcę z tobą porozmawiać. O przyszłości.

- Zamieniam się w słuch, panie.
- Służysz mi z pełnym oddaniem. Jestem zadowolony i dlatego dowiesz się dzisiaj, dlaczego przelewałaś krew tych wzgardzonych robaków.
- Pragniesz panie wyjawić mi tajemnice najwyższej magii?
- Wiesz, dlaczego nie rozgniewałem się na ciebie, kiedy zobaczyłem, że darowałaś życie tej dziewczusce? Ponieważ zbliża się godzina naszego tryumfu, mój przyjacielu. Wszystko, co robiliśmy dotychczas, było tylko przygotowaniem. Ale od tego momentu, wszystko się zmienia. Niedługo gwiazdy zajmą na niebie potrzebne położenie i zyskamy niebывałą potęgę i będziemy niepokonani. Ta ziemia, która niegdyś należała do naszych przodków, wreszcie stanie się naszą na zawsze.
- Jestem rad, że mogłem w tym pomóc, panie.
- Zostało już niewiele do zrobienia. Oko Śmierci musi zobaczyć jeszcze raz ofiarowanie i otrzymam ostatni, siódmy klucz do Otchłani, gdzie jest zamknięty Odwieczny.
- Odwieczny?
- Chodź ze mną, chcę ci coś pokazać...

Sala, do której Malchai przyprowadził wojownika, była dużo większa od roboczego gabinetu. Rozjaśniało ją mętne, czerwone światło, wydzielane przez sześć rytmicznie pulsujących, jajokształtnych przedmiotów, rozstawionych na wysokich, wzrostu człowieka, krystalicznych słupach. Podprowadził Giłana do jednego z nich.

- To pierwsze z serc Odwiecznego, dawny alchemiczny kamień, nazywany Cur - powiedział mag, dotknąwszy palcami świecącego artefaktu. - Jest ziemskim sobowtorem planety Merkury i pozwala kierować żywiołem Powietrza. Następny - to Ajmos, odpowiednik Wenus, kierujący żywiołem Ziemi. Tonir, to sobowtór Księżyca, umożliwi mi panowanie nad żywiołem Wody. Kiswa, imiennik Słońca, da mi władzę nad Ogniem. Ruchna, kamień Marsa, kieruje siłą Niszczenia. Podszedł do kolejnych słupów. - To Nimit, należy do Jowisza, kieruje magią Upodobnienia. Został ostatni kamień, Giłanie - Serce Przeobrażenia, należący do Saturna Kanwał. Widzisz sześć kluczy, sześć Serc. Ostatni, siódmy klucz, tymczasem jest niedostępny.

- Tymczasem?
- Kiedy zostanie dokonane siódme ofiarowanie, otworzę dom Saturna i otrzymam kamień. Duchy chroniące nie będą w stanie mi przeszkodzić, bo obfitość przelanej krwi jest najlepszym środkiem do ich odciążenia.
- Dlatego trzeba było zabijać tych wieśniaków? - Giłan pokręcił głową. - Chylę przed tobą czoło, panie. Jesteś wielkim magiem.
- Niegodne życie podłych Ajdży stanowi zapłatę za wielki skarb. Kiedy otrzymamy siódmy kamień, osobiście zobaczysz wielkość Odwiecznego.

- Nigdy nie słyszałem o Odwiecznym, panie. Kto to taki?

- Dawne czasy i dawne legendy, Giłanie. W nich jest cała prawda. Legenda o Odwiecznym, była kiedyś największą tajemnicą Wielkiej Łoży mędrców Chealady. On był symbolem i patronem mojego narodu - tym, który ucieleśniał duszę tej ziemi. Najdoskonalsza z istot, Absolut, który zjednoczył w sobie cztery elementarne Żywioły - Wodę, Ogień, Ziemię i Powietrze - i trzy magiczne istoty: Upodobnienie, Niszczenie i Przeobrażenie. Ten, którego nie można zwyciężyć. Istota z siedmioma sercami. W tym czasie Chealada należała do nas, Famarów. A potem, do naszych wybrzeży przybiły statki, należące do Sandżów. Niewielu było, tych aroganckich przybyszów. Już w pierwszej bitwie zniszczyliśmy ich i nacieszyliśmy się smakiem ich ciał. Ale Sandżowie byli wytrwali i kolejne statki przybijały do brzegów Chealady. Ich wojownicy byli odważni, a magowie - wytrawni. Czas minął i ostatnia nasza ostoja,

Durbał, został zdobyty i zburzony. Nasz naród został prawie wyniszczony. Ale legenda o Odwiecznym nie umarła, nie została zapomniana. Zbliża się czas, kiedy uwolnię Odwiecznego i nastanie znów czas famarskich, Wolnych Królestw!

- Masz przed sobą szczytny cel, panie.

- Szczytny! - Malchai błysnął oczyma. - Nie wyobrażasz sobie, Giłanie, jak długo czekałem na ten dzień. Przez długie lata ukrywałem swoją prawdziwą naturę, każdego dnia obawiałem się zdemaskowania - i szukałem tego, co wydawało się utracone na zawsze. Zbutwiałe resztki dawnych zwojów, znaki na kamieniach, mgliste aluzje, skryte w na pół zapomnianych legendach. Znajdowałem je, zbierałem niczym ziarnka piasku, by odtworzyć z nich kolosa. Znalazłem sposób odzyskania siedmiu ukrytych serc Odwiecznego. Sześć z nich zostało już napelnionych życiem i szybko ożyje siódme. Jestem już bliski celu i cieszę się, że właśnie ty, dzielisz ze mną radość rychłego zwycięstwa.

- Ja? – zmieszany opuścił oczy. - Jestem tylko skromnym służącym mego pana.

- Chcę zdradzić ci jedną tajemnicę, Giłanie. Wiesz, kim są twoi rodzice?

- Nie, panie. Całe moje życie upłynęło tu, pod twoją opieką. Wybacz mi arogancję, ale uważam cię za swego ojca.

- Najdziwniejsze jest to, że ja rzeczywiście jestem twoim ojcem, Giłanie.

- Ojcem? - wojownik mimo woli cofnął się. - Prawdziwym ojcem?

- Prawdziwym. Twoja matka pochodziła z rodu Sandżów. Była zwykłą rozpustnicą, którą spotkałem w Karanie na targu. Wtedy ukrywałem się przed bojowymi magami domu Edcho - coś podejrzewali i szli moim śladem, jak dobry szpiedzy. Twoja matka ukryła mnie w swoim domu i podzieliła ze mną łóżko. Zechciała nawet urodzić moje dziecko.

- Ja ... twój syn?

- Powinieneś mnie zrozumieć, Giłanie - poklepał go po ramieniu. - Twoja matka przestraszyła się, kiedy cię ujrzała. Byłeś... nie taki, jak ludzkie niemowlęta. Byłeś synem Famara. Musiałem zabić twoją matkę i sam zająć się twoim wychowaniem. Osądzasz mnie? Lepiej nic nie mów, zastanów się - dodał mag, widząc zszokowanego syna. - Niech opadną pierwsze emocje, bym nie usłyszał tego, co może nas rozdzielić.

- Nie śmiem cię osądzać, panie. Jestem twoim niewolnikiem.

- Jesteś moim synem. Jestem szczęśliwy, że wreszcie mogę ci o tym powiedzieć.

- A inni Jeźdźcy?

- To twoi bracia. W nich też płynie krew Famarów. Ich matki, były moimi nałożnicami. Ale ty jesteś moim pierworodnym. Spadkobiercą, według prawa urodzenia.

- Nawet nie przypuszczałem, że my ...

- Pocieszy z ciebie maluch, Giłanie. Przecież uważałeś, że twoje zadziwiające zdolności, to mój dar. Moja magia. Poniekąd miałaś rację. To magia mojej krwi. Krwi narodu, który niegdyś posiadał tę ziemię i został wyniszczony. Jestem ostatnim rasowym Famarem. Ty i twoi bracia, Jeźdźcy, są tylko półkrwi. Uwolnię was od domieszki ludzkiej krwi, kiedy przyjdzie Odwieczny.

- Ja... nie wiem, co powiedzieć.

- Po prostu, nazwij mnie ojcem.

- Mam prawo?

- Nazwij mnie ojcem.

- Twoja wola... ojciec.

- Dobrze - Malchai uśmiechnął się. – Możesz odejść, Giłanie. Odpocznij. Bardzo szybko będziesz mi potrzebny, synu. Mój spadkobierco. Przyszły królu Chealady.

- Będę musiał dokonać siódmego ofiarowania?

- W swoim czasie, synu. Burza Czterech Żywiołów jeszcze nie przeszła nad Chealadą. Ale nadejdzie. I to bardzo szybko.

\*\*\*

- Proszę się zatrzymać! – zawołała kobieta.

Riki zrozumiał - straż przy pałacowej bramie składa się z kobiet-Ajdzy. Odchylił się do tyłu, w głąb lektyki i zamknął oczy. Za nic nie chciał kontaktu z barbarzyńcami, ale nie było gdzie się podziać. Wszystko, co pozostaje i wypada mu uczynić, posłowi Rady Książąt, najlepszemu magowi i dyplomacie Chealady – to wyrazić w taki sposób swoją pogardę.

- Panie - młoda kobieta w zbroi i z dwoma mieczami za pasem, podeszła do drzwiczek lektyki. - Witamy w pałacu Górskiego Smoka!

- Dziękuję - powiedział, nie otwierając oczu. - Mam nadzieję, że jego wysokość uprzedzono o mojej wizycie?

- Mój książę czeka na was, panie - ukloniła się i odstała od lektyki.

Król Utaro był wielkim władcą, pomyślał, chłodząc się wachlarzem, ale popełnił jeden wielki błąd. Otworzył kraj Smoka dla tych barbarzyńców-Ajdzy. Mało tego, stworzył z kobiet-Ajdzy elitarną gwardię. Trudno zrozumieć, co dobrego w nich znalazł. Oczywiście, niezłe wojowniczkę, ale czy wojownicy jego narodu gorzej władają mieczem albo łukiem? Może, Utaro miał słabość do Ajdzy. Taka namiętność też wydała się magowi niezrozumiała. Jemu nigdy nie podobały się kobiety Ajdzy. Wydawało mu się, że nawet w najbardziej pociągających z nich, nie ma cienia gracji, właściwej przedstawicielkom jego narodu. Włosy na rękach i nogach, są po prostu obrzydliwe. Od dzieciństwa nie mógł ścierpieć północnych barbarzyńców. Ajdzy, tylko z dużym naciąganiem można było nazywać ludźmi. Ich przeznaczeniem powinna być uprawa ziemi, kopanie kanałów i łowienie ryb. Charaktery mają prostackie, język pozbawiony melodyjności, ubogi i prymitywny, kuchnię odrażającą. Czy można nazywać ludźmi tych, którzy podobni są do drapieżnych zwierząt, jedzą mięso świń i krów? Co prawda, po wielkim głodzie epoki Chennu i różowego pomoru, kraj wyludnił się i dynastii potrzebni byli robotnicy i rolnicy. Ale, po co było dawać Ajdzy, równe prawa z ludźmi plemienia Smoka?

Głupota, niegodna wielkiego monarchy. Teraz, następstwa jej muszą znosić wszyscy.

Lektyka kołysała się w takt ruchu postępujących służących. Droga od bramy wiodła pod górę, więc mógł przez okno podziwiać wspaniały park, otaczający rezydencję dziedzicznego księcia. Nic nie można zarzucić ogrodnikom pałacowym. Taki zadbane park, można zobaczyć chyba tylko w Opalowym Pałacu Książąt w Karaniu. Chwalebne, że dawne tradycje sztuki parkowej są przestrzegane, pomimo ciężkich czasów.

Tragarze zatrzymali się. Służący otworzył drzwi, pomógł wyjść z palankinu. Mag złożył wachlarz, poprawił fałdy szerokiego jedwabnego pasa i powolnym krokiem skierował się do dwuskrzydłowych, rzeźbionych drzwi, przed którymi już go oczekiwano.

- Panie Riki! - starszy wojownik, w pomarańczowej, haftowanej w kwiaty chaori [*Chaori – szeroka, wierzchnia kurtka z rękawami*] i z dwoma mieczami za pasem, uklonił się z szacunkiem. - Jego wysokość oczekuje. Proszę podążać za mną.

Mag skinął łaskawie, w asyście eskorty honorowej wszedł w otwarte podwoje, minął pochyłonych w niskich ukłonach służących i skierował się do drzwi sali tronowej. Tu, powitała go gwardia Ajdży, w czarnych i malinowych chałatach, narzuconych na lakierowane zbroje. Dowódca Ajdży odsunęła przegrodę, która oddzielała holl pałacu od sali tronowej i Riki zobaczył księcia.

Owari, obleczony w paradną szatę ze złocisto-tabaczkowego jedwabiu, siedział na niewysokim pomoście, pod rodzowym sztandarem rodu Edcho - białym brytem, z czarnym smokiem. Ubielona twarz chłopca, w przyćmionym świetle latarni, wyglądała jak z marmuru. Za plecami zastygło pięciu ochraniarzy-Ajdży w posrebrzanych zbrojach. Po lewej stronie dziedzicznego księcia siedziała jego starsza siostra Rana, po prawej, zasiadał wuj ze strony matki, Kadai - pięćdziesięcioletni mężczyzna, starszy rodu Edcho, jeden z najslawniejszych wojowników Chealady. Riki nieźle rozumiał mowę kolorów i uświadomił, że na uroczyste przyjęcie Kadai wybrał szatę czarnego koloru. Czarny, to kolor kategoryczności, a to oznaczało, że senior rodu Edcho nie zgodzi się na jakiegokolwiek kompromisy. Oprócz tego, Kadai miał przy sobie długi miecz tangi, co było jawnym naruszeniem nadwornej etykiety - do paradnego garnituru pasował krótki miecz eszydo. Jako doświadczony dyplomata, oszacował ten wybryk wuja-regenta, jako wyzwanie.

Przeszedł między dwoma szeregami godnie siedzących dworzan znacznie wolniej, niż tego wymagała etykieta. Uklonił się i wyprostował, sapiąc. Twarz księcia pozostała spokojna i obojętna. Za swojego siostrzeńca odpowiedział Kadai.

- Wizyta szanownego Riki – to wielki honor dla nas - powiedział regent.- Od dawna nasz skromny dom nie przyjmował tak dostojnych gości.

- I dla mnie, nie mniejszy, oglądać żywą krew Smoka, szlachetnie urodzonego księcia Owaro - odpowiedział, nadmuchując policzki. - Przywiozłem jego wysokości pozdrowienie i życzenia pomyślności od Rady Książąt.

- Jego wysokość wdzięczny wam za pozdrowienie i życzenia - odpowiedział Kadai.

Riki uklonił się. Formalności zostały dopełnione, teraz można porozmawiać o sprawie. Służący z szacunkiem położył na podłodze przed magiem czerwoną poduszczkę i ten uklęknął, przyjmując wygodniejszą pozę.

Do sali weszli służący z tacami, zastawionymi złotymi filiżankami z podgrzany winem. Dla Owaro, wino było niedozwolone. Riki odmówił poczęstunku.

Kiedy wypito, dworzanie podnieśli się ze swoich miejsc i cofając się, w ukłonach, opuścili salę. Książę, jego najbliżsi krewni i poseł Rady Książąt, zostali na osobności.

- Możemy mówić bez niepotrzebnych formalności - powiedział Kadai, kiedy sala opróżniła się. - Z czym przybywasz, ambasadorze?

- Szczerze mówiąc, przypuszczałem, że w domu Edcho z poważaniem odnoszą się do dawnej etykiety - odpowiedział Riki. - Ale rozumiem cię, lordzie Kadai. Twoja wola, zostawmy więc formalności. Przyjechałem bez zaproszenia domu Edcho, dlatego moją wizytę nie można nazwać oficjalną. Więc, chyba, najlepiej przejdę do istoty sprawy.

Wydobył ze skórzanej torebki przy pasie list Rady Książąt i przeciągnął w stronę Kadai. Jedna z ochraniających zeszła z pomostu, wzięła list, podała regentowi. Ten, przebiegł treść oczyma i przeniósł spojrzenie na ambasadora.

- Rada Książąt zaprasza księcia Owaro na spotkanie, które odbędzie się za dwa tygodnie w Opalowym Pałacu w Karaniu - powiedział - ale w liście nie napisano, z jakiego powodu zbiera się Rada. Myślę, że ty, szanowny ambasadorze, powinieneś wyjaśnić nam sytuację.

- Dobrze wiesz, lordzie Kadai, dlaczego książęta chcą zwołać wielką radę - odpowiedział mag. - Sytuacja w kraju, jest co najmniej dziwna - ani pokoju, ani wojny, ani prawnego władcy. Powinniśmy podjąć zadawalającą wszystkich decyzję. Tak dalej nie może być.

- Po raz ostatni spotykaliśmy się z posłańcem Rady Książąt dokładnie trzy miesiące temu i jasno określiliśmy swoje stanowisko. Książę Owaro jest jedynym prawnym spadkobiercą Tronu Smoka. Innych nie ma. Gotowi jesteśmy rozmawiać z wysokimi książętami tylko wówczas, jeśli oficjalnie uznają prawo mojego siostrzeńca do tronu. W przeciwnym razie, nie widzę sensu ponownego spotkania z członkami Rady.

- Lord Kadai nie ma jasnego rozeznania sytuacji w kraju - powiedział, splatając palce. - Królestwo Smoka faktycznie jest podzielone. Południowy wschód znajduje się pod jurysdykcją Rady Książąt, obwody zaś, zaludnione przez Ajdzy, są pogrążone w anarchii. W miastach, faktyczną władzę zdobyli dowódcy najemnych oddziałów.

- Pozwól, że cię poprawię, ambasadorze - powiedział Kadai, z trudem powstrzymując gniew. - Południowo-wschodnie ziemie tylko formalnie znajdują się pod władzą Rady. Tak naprawdę, Rada, to tylko marionetki, tańczące pod muzykę domu Ajoszy i jego najemników. Nie gorzej wiesz ode mnie, kto jest prawdziwym władcą separatystycznego Południa. Wymień jego imię?

- Lord Kadai, widocznie, ma na myśli wielkiego księcia Todze - niewzruszenie odpowiedział Riki. - On rzeczywiście korzysta z wielkiego wpływu w Radzie, jako głowa domu Ajoszy. Jednakże, nie widzę w tym niczego złego. Chyba nie zaprzeczysz, lordzie Kadai, że genealogiczne drzewo domu Ajoszy wywodzi się od pierwszych władców Chealady, podobnie, jak drzewo domu Edcho?

- Dlatego Ajoszy zawsze chcieli widzieć na Tronie Smoka swojego imperatora, czyż nie tak? Ponadto - w Radzie Książąt połowa miejsc należy do krewnych księcia Todze. Czyż nie dlatego, że Rada kontrolowana jest przez dom Ajoszy?

- Nie mogę udzielać odpowiedzi w imieniu członków Rady i księcia Todze. To przekracza moje pełnomocnictwa.

- Dobrze - wydawało się, że lord poskromił swój gniew. - Dotychczas nie usłyszeliśmy odpowiedzi na zasadnicze pytanie - czy Rada jest gotowa uznać prawa księcia Owaro do tronu?

- Rada powinna omówić to zagadnienie z udziałem samego księcia Owaro.

- Jednak myślę, że Rada chciała przekazać przez ciebie pewne swoje wstępne propozycje dla księcia.

- Oczywiście, lordzie Kadai - ambasador nieznacznie się uśmiechnął: wreszcie rozmowa zmierza we właściwym kierunku. - Radę niepokoi sytuacja w prowincjach, kontrolowanych przez dom Edcho. Zaludniają je głównie Ajdzy i nie ma w nich należytego porządku. Może, moje słowa obrażą lorda Kadai, ale dom Edcho nie ma wystarczających sił i środków, by rozprawić się z bandami najemników, którzy terroryzują miejscową ludność.

- Pozwolę sprzeciwić się szanownemu ambasadorowi, ale siły i środki mamy. Liczne, wybitne rody Północy, nadal uznają prawa księcia do tronu. Prawdą jest też, że rozmieszczamy oddziały zagranicznych najemników, ale nie my pierwsi zaczęliśmy zapraszać do kraju cudzoziemców. W czasie ostatniej Wojny Smoka i

Tygrysa, właśnie Ajoszy zaczęli werbować w Dzikich miastach psy wojny do walki z nami. Dobrze wiemy, że agenci Todze nadal werbują najemników w Seltonii, Midzindze i również w Dzikich Miastach. Czy - Kadai uśmiechnął się złowrogo - chcesz powiedzieć, ambasadorze, że Ajoszy kontrolują swoje psy, a my nie?

- Lord Kadai niewątpliwie wie o zniszczeniu sześciu wsi na Północy w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Nie wspomnę o rzezi w Ajfodle, już po podpisaniu między domami rozejmu Karańskiego. Jednego dnia zostało zabitych ponad czterdziestu spokojnych ludzi, w większości Sandży. Zginęli mężczyźni, kobiety, dzieci, starszuszki. Wiemy, kto jest winien tych morderstw. Krwawe pobojuwisko w Ajfodle, to sprawa ludzi dowódcy Irmasa - człowieka, który składał przysięgę domowi Edcho. Lord Kadai nie zaprzeczy, że mam rację?

- Nie zaprzeczę. Ale gdzie jest dowód, że pozostałe napady na spokojną ludność, to też sprawa rąk najemników, którzy przysięgli naszemu domowi?

- Lordowi dokładnie wiadomo, że... pewne napięcie między domami przeniosło się także na te oddziały, które im służą. Liderzy wolnych oddziałów, które przysięgły domowi Edcho, nie lubią swoich współbraci w rzemiośle, służących domowi Ajoszy i odwrotnie. Oczywiście, Rady Książąt absolutnie nie interesują porachunki między tymi, złośliwymi barbarzyńcami, ale problem jest w tym, lordzie Kadai, że te starcia odbywają się na naszej ziemi. Cierpi od nich nasza ludność. Wsie Ajdży zostały wycięte w pień.

- Dlaczego uważasz, że tej rzezi nie mogli urządzić najemnicy domu Ajoszy?

- A gdzie sens? Książętom do niczego nie są potrzebne prowokacje. Wcześniej czy później, prawda wyjdzie na wierzch i będziemy mieć nową, bratobójczą wojnę. Kraj jeszcze nie zaleczył ran z dawnej waśni. Zaledwie cztery miesiące minęły, jak na naszej ziemi zapanował kruchy pokój. Ale następstwa minionej wojny są ciężkie. Handel chyli się ku upadkowi, ceny rosną, wrogość między Sandży i Ajdży zwiększa się z każdym dniem. Ostatnie, straszne zdarzenia, w których zostały wycięte wsie Ajdży, mogą spotęgować nienawiść, której nie da się przewyciężyć. Całe obwody są wyludnione. Trwają starcia między oddziałami najemników i maruderów, którzy nie podporządkowują się nikomu. Rabunki i mordy są na porządku dziennym, lordzie Kadai. A to znaczy, że ludzie w strachu uciekają z rodzinnych wiosek, szukają ratunku w miastach, powiększając liczbę ubogich i pokrzywdzonych. W samym Karaniu, znajduje się osiemnaście tysięcy uchodźców. Nowa wojna między Edcho i Ajoszy ostatecznie zgubi kraj. Jest ona nie potrzebna Radzie, a tym bardziej księciu Todze. Dlatego właśnie, Rada Książąt, pragnie wspólnie z księciem Owaro i przedstawicielami domy Edcho, omówić położenie i podjąć potrzebną i właściwą decyzję.

- Co proponuje Rada?

- Po pierwsze, rozpuścić oddziały najemników i zobowiązać ich do opuszczenia kraju. Po drugie, wspólnie zacząć walkę z maruderami i tymi szajkami, które nie podporządkowują się żadnemu z domów. Po trzecie, Rada jest gotowa omówić wariant zarządzania krajem, w którym książę Todze zostanie wyznaczony imperialnym regentem, do czasu osiągnięcia pełnoletniości przez najjaśniejszego księcia Owaro. Czyli, na przeciąg dziewięciu lat, z prawami wojskowego dyktatora.

- A jeśli nie przyjmiemy tych propozycji?

- Wtedy, wszystko zostanie po dawnemu, lordzie Kadai. Kraj będzie rozdarty na dwoje, jak rozbita waza. Najemnicy będą dalej urządzić awantury i wcześniej czy później, doprowadzi to do nowej wielkiej wojny, w której dom Edcho nieuchronnie poniesie porażkę. - Riki na chwilę zamilkł. - Pozwolę dodać od siebie, lordzie Kadai, że jestem dyplomatą. Nie trzymam strony żadnego z domów. Moim marzeniem jest

ustanowienie pokoju w kraju, który walczy już sześćdziesiąt lat. To jest tyle, ile żyję na świecie. Jest mi ciężko na duszy, kiedy ludzie mojego narodu zabijają się w bratobójczej walce. Ale czuję się jeszcze gorzej, kiedy dzieci Smoka są zabijane przez barbarzyńców, sprowadzonych do tego kraju przez nienawidzące się wzajemnie rody.

- To rzeczywiście okropne - po raz pierwszy od początku rozmowy, zabrała głos Rana. – Macie rację, z tym trzeba coś zrobić.

- Trwały pokój i rozkwit na ziemi dzieci Smoka, potrzebny jest wszystkim, lady, - powiedział Riki, kłaniając się damie. – Cieszę się, że mam poparcie.

- Zrozumieliśmy cię, ambasadorze - powiedział Kadai, klepnąwszy dłonią po udzie. - Potrzebujemy czasu, żeby przemyśleć propozycję Rady.

- Ile czasu potrzeba najjaśniejszemu księciu, żeby dać odpowiedź?

- Dobę. A tymczasem, bądź naszym gościem. Służący odprowadzą cię na pokoje, byś odpoczął. W imieniu księcia zapraszam na obiad. Audiencja, skończona.

\*\*\*

Gościnne apartamenty w pałacu Górskiego Smoka były wybudowane według najlepszych tradycji sandżyjskiego budownictwa, bez żadnych nowomodnych ulepszeń i Riki po raz pierwszy tego dnia poczuł się szczęśliwy. Raczył nawet wypić filiżankę mocnej herbaty, którą przyniósł mu służący, zamówił też lekki podwieczorek i położył się, by odpocząć. Czuł się zmęczony po negocjacjach.

Obudził go służący, meldując, że podwieczorek dla ambasadora został przygotowany. Zażyczył sobie, by przekąskę podano natychmiast. Jedzenie było przygotowane nienagannie, nawet filiżanki nie były ozdobione smokiem, rodzinnym herbem Edcho, lecz kolorowym ornamentem. Trzeba przyznać, że Kadai potrafi być uprzejmy.

Pałeczki do jedzenia były, jak należy, dokładnie owinięte w listek cienkiego papieru ryżowego. Odprawił służącego, rozpałił na tacy maszynkę spirytusową, rozwinął pałeczki i ostrożnie podniósł papier do płomienia. Na szarej, chropowatej kartce, ukazała się fraza, napisana magicznym tuszem:

W następnym tygodniu, księżę pojedzie do Gojłonu.

Uśmiechnął się lekko i wsunął brzeg papieru w płomień. Kartka zapaliła się i w kilka sekund przekształciła się w delikatny popiół, który roztarł palcami. Zniszczywszy notatkę, postawił na maszynce filiżankę z ostrym grzybowym sosem, by podgrzać, wymieszał pałeczkami cienki makaron i z satysfakcją pomyślał, że osobisty kucharz księcia, jest nie tylko dobrym agentem, ale i mistrzem w swoim fachu. Makaron był krojony i odpowiednio ugotowany.

Księżę jedzie do Gojłonu. Todze będzie zachwycony. Już widział blask złota i słyszał jego dzwonięcie. Lord hojnie zapłaci za taką informację. Zagrywka z Radą, oczywiście nic nie da - Kadai jest zbyt mądry i przenikliwy, by zaufać Todze. Za to Gojłón, stanie się prawdziwą pułapką. Po prostu, prezent od bogów.

Wreszcie, pojawiła się szansa, by zakończyć przeciągającą się wojnę i oddalić roszczenia domu Edcho dotyczące władzy. Będzie można złamać grzbiet smokowi, od wieków burzącemu dawne tradycje, otwierającemu kraj dla tych człekokształtnych barbarzyńców. Świetna okazja uwolnienia się od ostatniego potomka heretyka Utaro. Nie wolno jej zmarnować. Jeszcze dzisiaj, trzeba uruchomić telepatyczny most z Todze i przekazać doniesienie szpiega. Nie będzie trudności z wykonaniem - w parku pałacowym znajduje się bardzo wiele źródeł Mocy. Jako doświadczony mag, doskonale wie o tym. Po oficjalnym obiedzie, wyrazi prośbę, by móc pospacerować

po parku i pomedytować. Zupełnie naturalna i nieszkodliwa prośba. Todze dowie się o wszystkim dzisiaj, i zdoła odpowiednio się przygotować.

A tymczasem, najwyższa pora, by delektować się smacznym jedzeniem.

## ROZDZIAŁ TRZECI

### KSIĘGARZ

Źródło znajdowało się z prawej strony drogi, w niewielkim parku. Było widać, że mieszkańcy przedmieścia opiekują się nim - źródło było obłożone kamieniami, dno czyste. Po długiej wędrówce w upale, woda wydała się podróżnikowi niezwykle smaczna. Ugasiwszy pragnienie, napełnił manierkę z tykwy i poszedł dalej.

Ulice przedmieścia były prawie puste - dzisiaj dzień targowy i cała dorosła ludność zebrała się na placu przy domu burmistrza, gdzie rozłożone są stragany. Podróżnik szedł ulicą i przyglądał się domom. Od ostatniej wizyty, na przedmieściu Dremmerchewenu nic się nie zmieniło. Wydawało się, że żalosne, drewniane chałupy, jeszcze bardziej podupadły, a płoty dookoła malutkich, przydomowych ogrodów warzywnych, jeszcze bardziej się rozchwiały i przypominały zęby moczymordy. Na sznurach, w podwórzach, suszyła się szara bielizna, przeplatana pęczkami ziół. Zza płotów, na obcych czekały psy, ale ani jeden nie zaryzykował, by wybiec na drogę. Na jednym z podwórek bawiła się grupka maluchów. Z ciekawością patrzyli na niego, ale bardzo szybko stracili zainteresowanie i wrócili do grzebania w błocie. Obok jednego z domów, na kłodzie, siedział chudy staruszek z bielmem na oczach. Podeszedł do niego.

- Łaska Gelesa z tobą, ojczy - powiedział. - O czym możesz opowiedzieć wędrowcowi, idącemu z daleka?

Staruszek nie zareagował na słowa i tylko zaniepokojony wyciągnął szyję, kiedy padł na niego cień. Nie doczekał się odpowiedzi, westchnął, poszedł dalej po zakurzonej drodze do centrum. Podmuchy wiatru rozwiewały jego ciemny płaszcz, sypały drobnym piaskiem po oczach.

Bliżej centrum, ludzi na ulicach przybywało. Przeważnie były to kobiety, które wracały z zakupami z targu. Patrzyły z ciekawością na obcego. Nie podejmował rozmowy z nimi - cóż te kobiety mogą opowiedzieć oprócz miejscowych plotek? O wartościową informację należy zwracać się do innych osób.

Plac targowy był pełen ludzi. Powoli przechodził koło straganów: proponowany towar był dobry, ale ceny zniechęcały. Tu, w okolicach Dremmerchewenu, ceny na prowiant były nawet wyższe, niż w centralnych obwodach Chealady, które ucierpiały w zeszłym roku z powodu suszy. Minął rzędy, gdzie handlowano mięsem i rybami, potem przeszedł koło handlujących przyprawami korzennymi i w końcu, znalazł się w tej części targu, gdzie prowadzono handel wymienny.

- Niech łaska Gelesa spocznie na tobie, mój przyjacielu - powiedział do siedzącego na słoneczku starszego wymieniacza. - Nie porozmawiasz z wędrowcem?

- Jestem wymieniaczem. Wymieniam pieniądze. Jeśli pragniesz wymienić swoje pieniądze według uczciwego kursu, jestem do twoich usług.

- A jaki jest twój kurs?

- Zależy, co chcesz wymienić. Seltońskie tulony, jeden do jednego, sabejskie assy - jeden do czterech, lub za jedną senterę tłoczoną w Radzie.

- Ach tak? A monety domu Edcho, już nie są notowane?

- Dlaczego nie? Wymieniam je w stosunku jeden do pięciu.

- Dziwne. Każdy pieniądz wymieniasz według innego kursu.

- Przyjacielu, albo przejdźmy do dzieła, albo zostaw mnie. Nie mam chęci z tobą rozmawiać.

- Dobrze - podróżnik pokazał wymienną, złotą monetę. - Mam jeden tulon. Otrzymasz go, jeśli odpowiesz.

- Żartujesz? - w oczach wymieniacza zamigotał chciwy blask. - A jeśli cię oszukam?

- Wyczuję twoje kłamstwo. A za szczerą odpowiedź, jeszcze podziękuję.

Umowa stoi?

- Dziwny z ciebie chłopak. No, dobrze, pytaj.

- Czy nie spotkałeś maga o imieniu Sakaszy?

- A po co ci on?

- Zadałem pytanie i chcę otrzymać odpowiedź.

- Jest taki chłopak w Dremmerchewenie. Ale, nie radziłbym ci mieć z nim do czynienia.

- Dlaczego?

- Jest wykluczony z Ligi Magów. Tak, zajmuje się ciemnymi sprawami, wróży stęsknionym wdówkom szukającym narzeczonych, uprawia znachorstwo.

- Gdzie go mogę znaleźć?

- Pytasz, jakbym był prefektem straży miejskiej. Wiem tylko, że jest w mieście. Jeszcze go nie powiesili. Szukaj sam, nie mogę ci pomóc.

- Dobrze. Wobec tego drugie pytanie: Czy to prawda, że dowódca Irmas ma nową pomocnicę?

- A tobie, co do tego? - podejrzliwie popatrzył na nieznanego. - Sprawy dowódcy Irmasa - to jego sprawy. A my, zwykli śmiertelnicy, wiemy tylko to, co powinniśmy wiedzieć.

- Słyszałem o kobiecie Mirczel Lodowata Krew. Mówią, że Irmas bardzo jej sprzyja.

- To, także sprawa dowódcy Irmasa. Jego prawo sprzyjać i gniewać się, karać śmiercią i ułaskawić. Ale chcę cię uprzedzić, przyjacielu - na twoim miejscu, zastanowiłbym się nad pytaniami. Irmas, ma człowieka o imieniu Kłocz-Dentysta. To mistrz w przesłuchiowaniu jeńców i podejrzanych typów. Wiesz, jak zmusza ich do mówienia?

- Domyślam się.

- Słyszałem, że najdłużej wytrzymał jeden najemnik z Kaestanu, którego nasłali z Południa, by śledził Irmasa. Poddał się, gdy Kłocz wyrwał mu osiemnasty ząb. Jeśli nie chcesz zdobyć okazji pobicia tego smutnego rekordu, zamknij gębę na kłódkę i nie zadawaj niebezpiecznych pytań.

- Zgoda, wobec tego trzecie pytanie. Potrzebuję dobrego zbrojmistrza. Najlepszego w mieście.

- Chętnie odpowiem. Lepszego od mistrza Arno nie znajdziesz. Ma sklep na Kupieckim Placu.

- Teraz, rzeczywiście mi pomogłeś - oddał monetę - dziękuję i żegnaj.

Odszedł od kramiku i ruszył dalej, wzdłuż karczm, ale do żadnej nie wchodził. Ukrył się za wielkim platanem i zaczął obserwować kramik wymieniacza, z którym dopiero co rozmawiał. Wszystko potoczyło się dokładnie tak, jak oczekiwał - wymieniacz zamknął kramik i pospiesznie skierował się w stronę bramy miejskiej.

Uśmiechnął się. Dzisiaj wieczorem, ludzie Irmasa, zaczną szukać starego Sandzy z południowym akcentem - tak go opisze wymieniacz. I nikogo nie znajdą. Tylko przedtem, muszę znaleźć lustro.

Sprzedawca w sklepiku z gotową odzieżą spotkał go służalczym ukłonem.

- Pragnie pan kupić nową odzież? - zapytał.

- Możliwe - odpowiedział podróżnik, oglądając wnętrze sklepu. – Masz lustro?

- Tak, panie. Proszę przejść do przymierzalni.

Wszedł do malutkiego pokoiku, oddzielnego od sali ciężką kotarą i popatrzył w wielkie, miedziane lustro na ścianie, z którego spoglądał szczupły, na brąz opalony człowiek w kwiecie lat, z mocną siwizną krótko ostrzyżonych ciemnych włosów i głębokimi zmarszczkami na czole i dookoła ust. Otworzył skórzaną sakwę zawieszoną przy pasie, wyjął małą buteleczkę z ciemnego szkła i wypił zawartość. Elixir wywołał lekki zawrót głowy i pieczenie w okolicy serca, a potem zobaczył w lustrze, jak zaczął zmieniać się jego wygląd.

Siwizna zniknęła, czarne włosy stały się jasnoblond, spłynęły na plecy ciężkimi falami. Czarne oczy zmieniły się w zielonkawe, zmarszczki znikły. Teraz odbijał się wizerunek trzydziestoletniego, rumianego, o jasnej cerze mężczyzny-Ajdży, którego większość kobiet uznałyby za miłego i przystojnego.

Zadowolony, odchrząknął, zarzucił na głowę kaptur płaszcza i wyszedł z przymierzalni. Sprzedawca podbiegł do niego, zachęcając do obejrzenia towaru, ale postarał się szybko opuścić sklep i po chwili, już kroczył drogą wiodącą do miejskiej bramy.

\*\*\*

Mistrz Arno przyzwyczał się do tego, że klienci nie lubią oczekiwania - hołota zazwyczaj nie odwiedza sklepu, dlatego nie zbeształ czeladnika. Z żalem popatrzył na niedojedzony obiad, wstał od stołu i skierował się do schodów, wiodących na parter.

Klient stał przy ladzie i z zainteresowaniem oglądał wystawione w witrynie i w drewnianych piramidach wzory broni, wytwarzanej przez mistrza i jego warsztat.

- Czym mogę służyć? - zapytał bez zbędnej uniżoności.

- Powiedzieli mi, że jesteś najlepszym zbrojmistrzem w mieście - odpowiedział gość. – A taki, jest mi w tej chwili potrzebny. Mam pracę do wykonania.

- Nie mam nic przeciwko dobrej pracy, jeśli zapłata jest godna. Czego potrzebujesz?

- Chcę, byś naprawił pewną rzecz - wy dobył z fałd płaszcza przedmiot, podobny do rycerskiej rękawicy płytowej, z niezwykle długim mankietem. - Proszę, spójrz.

Arno wziął przedmiot, zdziwiony spojrzał na gościa. Nigdy przedtem nie widział podobnego urządzenia, tym bardziej, wykonywanego z takim kunsztem. To była rzeczywiście płytowa rękawiczka ze stali, ale niezwykła: metal ciemny, z wyraźnym krystalicznym deseniem i każdy milimetr pokryty misternym, zawiłym grawerowaniem - jakby nieznane litery spletały się w niezwykłą sieć. Z tylnej strony przedramienia, mankiet miał głębokie wycięcie, w którym widniał jakiś dźwigniowy mechanizm, z zewnętrznej zaś - w przyspawanych wpustach, przymocowywana była krzywa, wąska klinga, długości mniej więcej łokcia. Rękawiczka, chociaż wykonana z metalu, była nad podziw lekka.

- Niezwykła broń - powiedział mistrz, spoglądając na klienta. - Wykonana doskonale. Nawet nie słyszałem nigdy o czymś takim. Jak się tym posługiwać?

Dziwny gość podniósł lewą dłoń w podobnej rękawicze, zacisnął palce w pięść - z szerokiego rękawa, ze świstem wyskoczyło lśniące, wygięte ostrze. Mistrz uchylił się mimo woli. Klient rozwarł pięść i ostrze wróciło na dawne miejsce.

- Ta, jest sprawna - objaśnił - a druga, zepsuta od dawna. Otrzymałem ją w takim stanie. Widocznie, ma uszkodzony mechanizm. Chcę, żebyś to naprawił.

- Sam nie wiem - powiedział Arno z wahaniem. - Prawdopodobnie, to magiczna broń. I bardzo stara.

- Masz rację, mistrzu. To epoka Pierwszego Imperium.

- Skąd ją wziąłeś?

- Prezent od bardzo dobrego człowieka.

- Naprawdę nie wiem, czy będę mógł ją naprawić - Arno obracał w rękach rękawiczkę.

- Postaraj się. Dobrze zapłacę.

- Spróbować, oczywiście, mogę. Przyjdź za tydzień.

- Rękawiczka potrzebna mi jeszcze dzisiaj, przed północą.

- Żartujesz, mój drogi! - oddał rękawiczkę. - Zabieraj swój rupiec i zjeżdżaj stąd. Jestem zbrojmistrzem, a nie magiem. Nikt nie zdoła wypełnić twojego zadania w takim terminie.

- Co mogę zrobić, żeby cię przekonać?

- Powiedziałem, że to jest niemożliwe.

- Na świecie nie ma rzeczy niemożliwych i ty o tym wiesz. Jestem przekonany, że wykonywałeś już... szczególne zlecenia.

- Przypuśćmy. Ale za szczególną pracę i płaca musi być szczególna.

- Podaj swoją cenę.

- Cenę? - podrapał się małym palcem po brodzie. - Dwieście pięćdziesiąt sentierów i ani miedziaka mniej. Drugą rękawiczkę też musisz zostawić. Powinienem wiedzieć, jak działa sprawny mechanizm.

- Zgoda.

- Połowę zapłaty, chcę otrzymać jako zadatek. Potrzebuję materiałów i pewnych narzędzi.

- Oczywiście - klient rzucił na ladę ciężką, skórzaną sakiewkę. - Ale pamiętaj, praca powinna być wykonywana dzisiaj do północy.

- Przekonałeś mnie, postaram się ci pomóc. Jak masz na imię?

- Nazywaj mnie Księgarzem.

- Księgarz, z dwoma klingami w rękawach? Prawdopodobnie, najgorliwiej czytałeś instrukcje wojskowe, mój przyjacielu.

- Nieważne, co czytałem. Wróć kwadrans przed północą. Jeśli wykonasz wszystko jak trzeba, otrzymasz ode mnie jeszcze pięćdziesiąt sentierów nagrody.

\*\*\*

Sakaszy niepewnie prześlizgnął się do sali w tawernie – dzisiaj, było tu szczególnie dużo „Jastrzębi Dremmerchewenu”. Wszyscy wiedzą, że ci barbarzyńcy niezbyt lubią Sandży. Prawdopodobnie, nienawidzą wszystkich na świecie i gotowi zabić każdego, kto im nie odpowiada. Trzeba być bardzo ostrożnym. W półmroku, trzymając się ściany i chowając głowę w ramiona, podkraść się do kąta i usadowił się przy wolnym stole. Najemnicy zgromadzili się przy bufecie - jeśli duchy przodków będą dla niego łaskawe, to te świny nie zwrócą na niego uwagi. Siedział cicho i czujnie rozglądał się po bokach, więc najemnicy nim się nie interesowali. Bardziej zajmowało ich zimne, spienione piwo, wódka z owsa i wysłużone, wulgarnie wymalowane dziewoje, które piły i przeklinały na równi z nimi.

Kupiec zjawił się po północy, kiedy mag już zaczął się mocno niepokoić. Natychmiast go dostrzegł i od razu się przysiadł.

- Przyniosłeś? –zapytał szeptem, z niezłym sandżyjskim akcentem.
- Przyniosłem - jeszcze ciszej odpowiedział mag. - Trzy flakony, tak, jak umawialiśmy się.
- Jesteś przekonany, że specyfik zadziała?
- Jaśnie pan mnie obraża. Używałem jakościowo najlepszych składników i ściśle przestrzegałem receptury.
- Uważaj, magu, nie lubię niespodzianek.
- Powinien pan wiedzieć, że specyfik działa stopniowo. Nieważne, do czego pan go domiesza, do jedzenia czy picia, ale, by zadziałał, koniecznie trzeba czasu.
- Ile?
- Jeden flakon zawiera trzy porcje, dawkowanie - jeden raz dziennie. Czyli, dziewięć dni.
- I co dalej?
- Objawy będą wskazywać na atak serca. Ani mag, ani żaden koroner nie wykryją śladów trucizny.
- Dobrze. Dawaj towar.

Sakaszy opuścił ręce pod stół, szybko wsunął w spoconą dłoń kupca pojemniczek z flakonami trucizny, drugą ręką chwycił trzosik ze złotem i schował za pas. Sprawa załatwiona, teraz trzeba szybko wynosić się z tego gniazda żmij. Z taką sumą, zostawać tu, jest bardzo niebezpiecznie. Pora też późna.

Począł, aż kupiec opuścił tawernę, szybko wstał, i jak przedtem, wzdłuż ściany, pośpieszył do wyjścia. Jednak został zauważony. Drogę zastąpił mu krępy najemnik, odziany w linothoraks [*Linothoraks – część zbroi, pikowana kurtka z kilku warstw tkaniny nasyconej żywicą*] i skórzanych spodniach, z ogromnym kuflem piwa w ręce.

- Skośnooki! - ryknął drab, ochlapując go piwem. - Spójrzcie chłopaki, w naszym zajeździe zjawił się skośnooki. Co tu robisz, brzydal?

- Dobry panie, chciałem tylko... Lepiej pójdę.

- Teraz już nie! - chłop chwycił Sakaszego za kołnierz, potrząsnął jak szczenięciem. – Nie wyjdiesz, tak po prostu, psi pomocie. Hej, braciszku, co zrobimy z tym nikczemnikiem?

- Niech nam zaśpiewa jakąś sandżyjską piosenkę - zaproponował pijany i rozochocony chłopak, w pikowanej kurtce i z kuszą za plecami.

- Niech zaśpiewa! - pisnęła jedna z dziewek.

- Śpiewaj! - wrzasnęło kilku najemników. Sakaszy skulił się, rozejrział - i wyszedł na środek sali.

Głos mu drżał, kiedy zaczął śpiewać. Zaśpiewał pierwszą piosenkę, jaką sobie przypomniał - historię o wiśniowym drzewie, posadzonym przy domu. Bohater, po wielu latach wraca do domu i dowiaduje się, że wszyscy jego bliscy umarli, a dom stoi pusty. Tylko wiśnia kwitnie, równie pięknie, jak w czasach dzieciństwa.

- Wystarczy! - brodaty olbrzym, z blizną przez całą twarz, uderzył łapskiem w kontuar z taką siłą, że butelki i kubki podskoczyły i poprzewracały się. - W brzuchu mi burczy od tego wycia. Poszedł precz, skośnooki!

Sakaszy omal nie zachłysnął się ze szczęścia, rzucił się do wyjścia. Na ulicy było ciemno i wietrznie, jacyś pijacy awanturowali się niedaleko wejścia do zajazdu, obrzucając się najwykwintniejszymi obelgami i epitetami. Otulił się szczelniej płaszczem i pobiegł do wylotu długiego zaułka, prowadzącego do bramy Starego Miasta.

Tu go napadnięto. Pięciu uzbrojonych nieznajomych. Jeden ścisnął wielki topór, drugi dębczaka, pozostali trzymali w rękach noże różnej wielkości.

- Stój, skośnooki! - rozkazał rozbójnik z siekierą. - Wykładaj, wszystko co masz w sakiewce.

- Nic nie mam przy sobie! - wybełkotał, cofając się przed napastnikami.

- Kłamiesz, psie! Dopiero co otrzymałeś dobre wynagrodzenie w brzęczących, złotych monetach. - Rozbójnik pomachał siekierą przed jego nosem. - Możemy zabrać pieniądze od żywego lub od umarłego. Wybieraj, więc.

Mag nagle zrozumiał. Kupiec-Ajdzy go oszukał. Wynajął bandytów, zanim przyszedł na spotkanie do zajazdu. Przestraszył się, że Sakaszy nie będzie w stanie dochować tajemnicy umowy. Drań!

- Dobrze, dobrze - pojednawczo wyciągnął do rozbójników obie dłonie. - Oddam wam pieniądze, tylko proszę, pozwólcie przejść i nie ruszajcie mnie.

- Odda, cha! - drab z siekierą podszedł do maga i szarpnął za pas, tak, że sakiewka ze złotem upadła na ziemię. - Sami weźmiemy. A ty...

Sakaszy ugodził napastnika elektrycznym ładunkiem. Zakłęcie okazało się słabe, by przygotować mocniejsze, trzeba było czasu, więc rabuś tylko krzyknął i potrząsnął ręką, rażoną błyskawicą. Mag rzucił się do ucieczki w głąb zaułka, z powrotem do tawerny, pociągając za sobą rabusiów. Jednakże, ktoś wyskoczył z cienia między domami, podstawił mu nogę - Sakaszy, koziółkując wpadł do rynsztoka. Nie zdążył się podnieść, silne ręce chwyciły go za kołnierz i postawiły na nogi. A potem, przed oczami, ukazała się oświetlona pochodnią drapieżna, szyderna gęba.

- Nie trzeba było uciekać, skośnooki - powiedziała gęba. - Teraz, zabijemy cię powoli. Twoje jelita rzucimy na pożarcie wałęsającym się psom.

- Nie trzeba się niecierpliwić, przyjacielu - powiedział czyjś głos za plecami Sakaszego. - Nikt nikogo nie zabije.

Rozbójnik pchnął swoją ofiarę w kierunku współtowarzyszy, odwrócił się do mówiącego.

- A tobie, co do tego, włóczęgo? - zapytał człowieka w ciemnym płaszczu, stojącego w obronie maga.

- To. Puść go i zjeżdżaj, póki jestem dobry. Pieniądze otrzymaliście, wobec tego, przedstawienie skończone.

- Nie, ono dopiero się zaczęło - powiedział bandyta i, wymachując siekierą, rzucił się na przybysza.

Po chwili, wypuścił siekierę i charcząc cofnął się od przeciwnika, starając się dłonią zacisnąć przecięte gardło. Dwaj inni, próbowali nożami dosięgnąć nieznanego, ale jeden padł na wznak, oberwawszy w twarz pięścią w stalowej rękawiczce, a drugi z jękiem potoczył się po ziemi, zalewając się krwią. Po tym, pozostali przy życiu bandyci salwowali się ucieczką, porzucając pochodnie.

Rozległo się głośnie pstryknięcie - człowiek w płaszczu, po wytarciu klingi o odzież jednego z zabitych, wciągnął ją do rękawiczki. A potem, podszedł do siedzącego w kucki i ogłuszonego Sakaszego.

- Chodźmy, zanim straż przybiegnie - powiedział, potrząsając maga za ramię.

- Kim jesteś? - zajęczał ten, usiłując w ciemności dostrzec twarz swojego wybawcy.

- Księgarzem. Chodźmy, powinniśmy o wielu rzeczach porozmawiać.

## **ROZDZIAŁ CZWARTY**

### **ZWÓJ SAKASZEGO**

Przyprowadził swego wybawcę do kwartału w najuboższej dzielnicy miasta, gdzie osiedlali się najbiedniejsi - nosiwody, ładowacze, tragarze, drobni rzemieślnicy i robotnicy najemni. Podążając za magiem, minawszy wąski, ciemny i brudny zaułek, Księgarz znalazł się w podwórzu-studni, otoczonym z czterech stron zniszczonymi, kilkupiętrowymi, drewnianymi domami. Po rozchwianych schodach weszli na galerię, opasującą fasadę domu. W wielu mieszkaniach, lokatorzy jeszcze nie spali - za szybami z papieru tliły się ogniki mętnych, oliwnych kaganków. Zalegający w podwórzu smród zastałej wody, moczu i gnijących śmieci, mieszał się z mocnymi zapachami ostrej, sandżyjskiej kuchni i modlitewnych kadzideł.

Sakaszy odsunął skrzypiące drzwi ze sklejki, wprowadził gościa do malutkiego, ciemnego przedpokoju. Zakłębem zapalił glinianą lampkę oliwną zawieszoną na łańcuchu. Przybysz zdjął zakurzony płaszcz, ściągnął buty i po matach przeszedł do pokoju, chociaż określenie pomieszczenie robocze, byłoby bardziej na miejscu, ponieważ mieszkanie maga składało się tylko z jednej izby, w której jadł, spał i pracował. Bambusowe regały wzdłuż ścian były zastawione glinianymi i fajansowymi naczyniami, garnuszkami, tyglami, moździerzami, a dwie półki jednej z etażerek wypełniały książki.

- Mogę cię poczęstować herbatą, panie - zaproponował, prosząc gościa by usiadł. - Wina nie mam, więc wybacz.

- Szkoda - odpowiedział Księgarz – po tym wszystkim, chętnie bym się napił. Ale jak nie masz, to trudno. Niech będzie herbata.

Mag uklonił się i szybko się przebrał. Brudny i rozerwany kaftan, krzywiąc się z obrzydzenia, wrzucił do kosza na śmieci, narzucił domowy, dziany sweter z grubej sierści. Obserwował, jak gospodarz przygotowuje na maszynie spirytusowej herbatę. Wreszcie, postawił przed gościem mały miedziany czajnik z herbatą i sam napełnił napojem malutkie, fajansowe filiżanki.

- Dobra herbata. Mógłbyś być mistrzem ceremonii w domu herbacianym - pochwalił Księgarz, po pierwszym łyku.

- Musisz szydzić ze mnie?

- Wybacz. Po prostu pochwaliłem herbatę. Dlaczego żyjesz w takiej biedzie? Przecież możesz pozwolić sobie na lepsze mieszkanie.

- To ja decyduję, gdzie i jak żyć.

- Wybacz niegrzeczność. Jestem po prostu trochę zdziwiony.

- Nawet nie podziękowałem ci za ocalenie - Sakaszy ceremonialnie się uklonił, wyprostował, badawczo patrząc w oczy Księgarza. - Uratowałeś moją skórę i jestem twoim dłużnikiem. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Opowiedzieć o tym, co ci się przydarzyło poprzedniej zimy.

- Mnie? - zrobił minę, jakby coś sobie przypominał i pokręcił głową. – Nic się nie przydarzyło. Już parę lat żyję w tym mieście i...

- I przynosisz wstyd szacie maga. Wiem o tym - Księgarz upił jeszcze łyk herbaty. - Chwytasz się brudnych spraw Sakaszy. Zioła miłosne, trucizny, fałszywe leki, lipne składniki. Przepowiadasz los i przy tym bezbożnie kłamiesz. Nie próbowałeś stawiania horoskopów?

- Kim jesteś? - poczuł strach. - I jakie masz prawo, by mnie osądzać?

- Nie osądzam. Wcześniej czy później skręcą ci kark za twoje kręctwa - jeśli, oczywiście, w porę się nie opamiętasz. Ale to nie moja sprawa. Jestem tu z innego powodu.

- Skąd się o mnie dowiedziałeś?

- Jesteś dobrym magiem Sakaszy. O ile wiem, jednym z najlepszych w narodzie sandżów. Ale powinieneś znać jedną prawdę - zawsze znajdzie się ktoś, kto jest lepszy od ciebie. Przysłał mnie człowiek, który był twoim nauczycielem.

- Mistrz Chade? - nie mógł ukryć zdumienia. - On jeszcze żyje?

- Żyje. I mocno się wstydzi za ciebie. Martwi go twój wybór.

- Mój wybór? - błysnął oczyma - to nie był mój wybór. Zniesławiono mnie przed mistrzem Chade i dlatego wypędził mnie z Ligi.

- Nie, to nie tak. Przyczyna nie tkwi w oszczerstwie, jak to raczyłeś określić. Mistrz zawsze mógł widzieć twoje serce. Wiedział, że w nim jest zbyt dużo ambicji i zachłanności. Zawsze kochałeś bardziej pieniądze, niż mądrość, Sakaszy. Po prostu wybrałeś niewłaściwą drogę. Złamałeś kodeks Ligi.

- To nie twoja sprawa.

- Możliwe. Ale przyszedłem nie po to, by cię osądzać. Potrzebna mi jest twoja pomoc. Jeszcze raz przypomnij sobie wszystko, co robiłeś osiem miesięcy temu.

- To jest bardzo trudne. Nie pamiętam.

- Dobrze, podpowiem ci. Od wielu lat próbujesz znaleźć wejście do Grobowca Smoka.

- Skąd wiesz?

- Wiem. Spotkałem się z antykwariuszem w Mitorii, u którego przed rokiem nabyłeś książki o Grobowcu. A do tego, kupowałeś w miejscowych kramikach z magicznymi ziołami, specyfiki pozwalające przeciwstawić się atakom duchów. Mam rację?

- I co z tego? Tak, rzeczywiście zainteresowałem się legendą o skarbach króla Utaro. Czy to źle marzyć o bogactwie?

- I spróbowałeś dostać się do grobowca, czyż nie tak?

- Tak, spróbowałem, ale nic z tego nie wyszło.

- Chciałbym wiedzieć, dlaczego?

- Ponieważ wejścia, jako takiego, nie ma! – wybuchnął. - Główny tunel kompleksu grobowego w Ark, to fałszywy trop, oszukaństwo. Wielu poszukiwaczy skarbów próbowało przede mną tam się dostać i wszystkich spotkało rozczarowanie. Prawdziwe wejście do grobowca Utaro, można otworzyć tylko za pomocą potężnej magii.

- Słusznie - uśmiechnął się Księgarz. - Utaro był nie tylko wielkim wojownikiem i politykiem, ale i utalentowanym magiem. Zdołał zabezpieczyć się tak, by jego zwłok nie beczczęścili chciwi grabarze. Zrozumiałeś to i zdecydowałeś się na inne działanie. Postanowiłeś otworzyć magiczny portal, który pozwoliłby ci przeniknąć do Grobowca Smoka przez inną przestrzeń.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Widzę, że masz na półce książkę wielkiego Tajeszy „O Innych światach i drogach między nimi” - znów się uśmiechnął. - Byłbyś złym magiem, gdybyś nie wykorzystywał tej idei we własnych celach.

Sakaszy spojrzął spode łba na dziwnego gościa, wstał z kucek i podszedł do małej szafki w kącie pokoju. Wyjął z niej wysmukłą butelkę i dwie szklaneczki, nalał sobie i gościowi. Było to gęste, seltońskie wino, wytrawne i cierpkie.

- No tak, a mówiłeś, że nie masz wina w domu! - uśmiechnął się Księgarz.

- Zastanawia mnie, drogi, bezimienny gościu, skąd o tym wszystkim wiesz.

- Taki mój obowiązek – wszystko wiedzieć, ale porozmawiajmy o sprawie. Otóż, spróbowałeś wykorzystać doświadczenie Tajeszy i stworzyć stabilny portal, by przy jego pomocy znaleźć wejście do Grobowca. Dla doświadczonego maga, stworzenie takiego portalu, to proste zadanie. Tym bardziej, że dobrze znałeś

miejsce, gdzie można tego dokonać. Mówię o kręgu mocy niedaleko Naraino. Rozumowałeś poprawnie. Ale, zapomniałeś o najważniejszym. Mam na myśli typ portalu.

- Typ?

- Oczywiście. Są trzy typy - portale jednorazowego przejścia, transportowe i stabilne. Ty, z całą pewnością, próbowałeś aktywować portal stabilny, ale do tego, nie wystarczyło twojej magii i umiejętności. Twój pierwszy portal okazał się jednorazowy i niestabilny, mam rację?

- Niestety, tak - pokiwał głową - nawet nie zaryzykowałem, by go wykorzystać i postanowiłem zarzucić pomysł.

- W samą porę. Zrozumiałeś, że twój zasób many jest zbyt mały i koniecznie musisz podnieść znacznie jej poziom. Słusznie wywnioskowałeś - im silniejszy mag, tym większe ma szanse utrzymania żywiołu portalu w pełnej stabilizacji. Silny środek do zwiększenia poziomu many wytworzyłeś szybko - alchemik z ciebie doskonały. I podjąłeś nową próbę otwarcia naraińskiego portalu.

- I nadal nie byłem w stanie wejść do niego - podsumował Sakaszy.

- Oczywiście. Ponieważ otworzyłeś portal transportowy. Nie mogłeś do niego wejść sam, ale otworzyłeś go dla tego, kto w tym momencie przechodził między światami. Zmieniłeś wektor przejścia i przybysz znalazł się w Chealadzie, a nie tam, gdzie powinien był trafić.

- Czyżby? Wobec tego, któż to taki? Człowiek, demon, duch? Kogo przerzuciłem do naszego świata?

- Tego nie mogę ci powiedzieć. Porozmawiamy o tym później. Problem zaś w tym, że twoje magiczne eksperymenty z naraińskim portalem doprowadziły do bardzo poważnych następstw. Odblokowałeś magiczny system, który przez długie wieki zamykał nie tylko Grobowiec Smoka, ale i Abissalium.

- Abissalium? - uniósł brwi. - Co to takiego?

- Dawny klasztor Wielkiej Łoży. Słyszałeś o Famarach?

- Aha, przerażające bajki starego przyjaciela! - chrząknął pogardliwie. - Potworne historie o zmieniających swój wygląd półludziach - półdemonach, zaludniających Chealadę, zanim zjawił się mój naród. A ty, w to wierzysz?

- Zanim odpowiem, powiedz mi: Co wiesz o mordowaniu spokojnych mieszkańców na północy wyspy?

- O wyciętych w pień wioskach? Dużo się tu o tym mówi. Opowiadają, że ktoś wyciął mieszkańców aż sześciu wiosek, w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Ale, nie trzeba być magiem, by zrozumieć, kto to robi. To najemnicy domu Ajoszy, mój przyjacielu - dopił wino - albo bandyci. To oni mordują ludzi.

- Mylisz się. Byłem na miejscu ostatniej zbrodni we wsi Kram-dinar i zobaczyłem to, czego nie mogli, albo nie chcieli, zobaczyć inni.

- Mianowicie?

- Ślady końskich kopyt.

- I cóż takiego szczególnego, w tych śladach?

- Nie wiem jak tobie, ale nie zdarzało mi się widzieć koni, które zamiast śladów kopyt, zostawiają ślady pazurzastych, trójpalczastych łap.

- Na przodków, co za bzdury opowiadasz! - zrobił znak, odpędzający złe duchy. - To niemożliwe.

- Możliwe. Famarskie zło ocalało, przodkowie króla Utaro nie wytępilli go ostatecznie i teraz, ono wraca. Chwilowo nie wiem, dlaczego zostali zabici ci nieszczęśnicy, ale domyślam się, że należy spodziewać się czegoś strasznego. Ten

kraj stoi nad przepaścią i nikt nie wie, kiedy ta się rozstąpi pod nami. A, wszystkiemu jesteś winien ty, Sakaszy. Ty nawarzyłeś tego piwa.

- Czego ode mnie chcesz? Żebym się pokajał, posypał głowę popiołem i na zawsze przestał zajmować się magią i sprzedażą fałszywych specyfików?

- Chcę, żebyś mi pomógł. Żebyś opowiedział mi o przybyszu. O tym, który przeszedł przez twój portal.

- To była kobieta – odpowiedział po chwili milczenia.

- Młoda kobieta-Ajdzy z mieczem i w zbroi?

- Dokładnie, tak. Znasz ją?

- Domyślam się, kim jest. I jeszcze - wiem, że nie pomogłeś jej. Zostawiłeś na śmierć obok kromlecha. Przestraszyłeś się?

- Ta-a-k - przeciągnął Sakaszy i w jego ciemnych oczach błysnęła nienawiść. - Bardzo dużo o mnie wiesz.

- Więcej, niż chciałbym. Opowiesz mi o tej kobiecie?

- Nie wiem, czy przeżyła. Rzeczywiście uciekłem. Przestraszyłem się, jak mówisz. Pomyślałem, że to strażnik Grobowca przyszedł, żeby mnie zabić.

- Wiesz, magu, teraz zaczynam żałować, że uratowałem cię przed rozbójnikami - spokojnie powiedział Księgarz. – Jesteś wyjątkowym nikczemnikiem. Mistrz Chade dokładnie cię scharakteryzował, a ja nie bardzo mu wierzyłem.

- A ty, miły i dobry - uśmiechnął się Sakaszy. - Niech tak będzie. Dowiedziałeś się wszystkiego, czego chciałeś. Teraz, zostaw mnie w spokoju.

- Jeszcze jedno. Taki człowiek, jak ty, nie mógł przepuścić okazji do grabieży. Oddaj mi to, co zabrałeś tej kobiecie i pójdę.

- Niczego nie zabierałem. Ta kobieta - była cała we krwi i prawie nie oddychała. Umarła na moich oczach. Zostawiłem ją przy kromlechu i uciekłem.

- Nie wierzę ci. Czuję, że rzeczy, które należały do tej kobiety, są tu, w twoim domu. Ich magicznej emanacji nie da się ukryć.

- Nie chcę już z tobą rozmawiać! - machnął rękami. - Zabieraj się z mojego domu, przekłety Ajdzy. Nie uda ci się mnie nastraszyć! Zamienię cię w kamień, przysięgam na Ariczy!

- Nie zamienisz. Same chęci nie wystarczą. Wyjdę nie wcześniej, niż zwrócisz mi to, co ukradłeś tej kobiecie. Inaczej... - zacisnął prawą dłoń w pięść i krzywe ostrze wyskoczyło z rękawa.

- Bądź przekłety! - Sakaszy na kolanach popęztał w kąt pokoju, podniósł kawałek deski podłogowej i rzucił Księgarzowi wydobyty ze schowka zwój. - Udław się! I zjeżdżaj z mego domu. Ty... okradłeś mnie, nikczemniku!

- Dziękuję - spokojnie powiedział Księgarz, dopił wino, wstał i skierował się do wyjścia.

Na ulicy było ciemno - wszystkie latarnie dawno pogasły, bezksiężycowe niebo zaciągnęły chmury. Wypowiedział zakłęcie Nocnego Podróżnika i śpiesznie opuścił dzielnicę slumsów.

Do hotelu przyszedł już nad ranem. Gospodarz spał i drzwi otworzył nocny służący. Dał mu monetę i skierował się do swego pokoju. Zamknąwszy drzwi, rozwinął zwój, który odebrał Sakaszemu.

Trzy przedmioty były mu dobrze znane - rzeźbiona broszka z kości, z runą wewnątrz, sześciokątny, bursztynowy amulet w oprawie i srebrny pas z blaszek pokrytych figuralnym reliefem. Czwarty przedmiot nie miał żadnej magicznej aury. Zwykły, złoty medalion na łańcuszku. Nacisnął na pokrywkę - ta odchyliła się i z wnętrza wypadł miękki, jasny kosmyk dziecięcych włosów. Nachylił się, ostrożnie podniósł loczek, włożył do medalionu i zatrzasnął pokrywkę. Znalazł to, czego szukał.

Tylko pobłogosławić tchórzostwo i chciwość Sakaszego - łajdak nie zdecydował się przehandlować zagrabionych przedmiotów, nie chciał ryzykować, a nóż ktoś wyczuje ich magiczną moc i dlatego próbował sam je wykorzystać. Gdyby sprzedał relikwie, byłby problem z ich odzyskaniem. Teraz, trzeba wymyślić, w jaki sposób zwrócić te rzeczy właścicielce i mieć nadzieję, że pomogą jej uwolnić się spod dozoru Cienia.

\*\*\*

Za oknami, wspaniale urządzonej sypialni w rezydencji namiestnika, zaczęło świtać. Mirczel odwróciła głowę i popatrzyła na Irmasa. Namiestnik spał mocno, od czasu do czasu lekko pochrapywał. W tym momencie, odważny wódz „Jastrzębi Dremmerchewenu”, postrach domu Ajoszy i sławny w całej Chealadzie łucznik, wyglądał na młokosa, zupełnie bezradnego. Przyszło jej na myśl sandżyjskie przysłowie: „We śnie nawet lew-ludożerca, przypomina domowego kota”.

Odrzuciła kołdrę, podeszła do stolika w kącie pokoju i nalała wody - męczyło ją pragnienie. Impreza w rezydencji zakończyła się po północy i tylko dlatego, że namiestnik zapragnął igraszek miłosnych. Resztę nocy spędziła w jego sypialni - już nieraz tak bywało. W mieście każdy wie, że Mirczel Lodowata Krew, to nie tylko prawa ręka groźnego Irmasa Udena, ale i jego kochanka. Dzisiaj, co prawda, spali tylko we dwoje - wbrew zwyczajowi, Irmas nie położył w pościeli jeszcze jednej kobiety. Z tych dziwek, które uświetniały dzisiejszą imprezę najemników, zarówno jemu jak i Mirczel, nie spodobała się ani jedna.

Wypiła łąpczywie wodę, napełniła drugi puchar i wróciła do pościeli. Przelotnie spojrzała na swoje odbicie w lustrze, mruknęła z zadowolenia - nie na próżno, schlebający Irmasowi bardowie nazywają ją Stalowym Kwiatem. Kto w Dremmerchewenie może z nią konkurować pod względem urody? W migotliwym świetle kryształowych świeczników, wygląda wyjątkowo tajemniczo i pięknie. Wyciągnęła rękę z pucharem w kierunku lustra, wolną rękę zanurzyła we wspaniałych, jasnych włosach, wygięła się w talii, przybierając najbardziej kuszącą pozę. Dobrze. Nawet bardzo dobrze. Odbicie w lustrze, odwzajemniło się promiennym uśmiechem, jakby potwierdzając, że nie ma nic przyjemniejszego dla kobiety, niż świadomość własnego piękna?

- Zachwycasz się sobą?

Drgnęła i rozlała wodę z pucharu. Irmas leżał na boku i wsparłszy głowę na ramieniu, obserwował ją.

- Jesteś urocza - powiedział. - Pewnego dnia porzucę to pogańskie miasteczko i przeniosę się do Seltonii. Błogosławiona ziemia, rodząca takie piękne kobiety.

- Nigdy nie porzucisz Dremmerchewenu - podeszła do łóżka i położyła się obok. - A wiesz dlaczego? Władza dla ciebie znaczy więcej, niż miłość. Po prostu się nią upajasz.

- A ty nie? Twoja odwaga i stanowczość uczyniły cię sławną. Budzisz lęk i uwielbienie na całej wyspie.

- I nienawiść. Nazywają mnie Krwawą Dziewicą i Wampirką. Chcę wina.

Irmas zadzwonił na służącego. Ten, w milczeniu wysłuchał polecenia namiestnika i wycofał się, nie podnosząc wzroku na obnażoną kobietę, leżącą u boku gospodarza.

- Świt, to dobry czas na miłość - powiedział, przewróciwszy dziewczynę na plecy i pochyliwszy się nad nią. - Wymyślimy nową grę?

- Dlaczego wysłałeś mnie do tego klasztoru?

- Gojton, Gojton! - Irmas westchnął. - Spalę to przekłete siedlisko przesądów, razem z całą ukrywającą się tam zbieraniną. A tę starą wronę, Berenikę, przybiję do drzewa gwoździami. Zaczyna mi działać na nerwy to, że stale o nich mówisz.

- Wybacz, miły. Ale też nie chciałeś, bym tam wszystko spustoszyła?

- Nie, nie chciałem. Ale teraz, chcę. Wyślę Kłocza. Niech spalą wszystko doszczętnie.

- Proszę cię, nie trzeba.

- Coś podobnego, wstawiasz się za tymi gąskami w bieli? - nachylił się do piersi Mirczel, musnął wargami wypukły, różowy sutek, potem liznął policzek. - Zmusz mnie do ułaskawienia ich. Chcę roztopić się w twoich objęciach.

- Zaczekaj, Irmasie. Chcę ci powiedzieć... Tam, w klasztorze, nagle odczułam wielki strach.

- Ty? Strach? Nie rozśmieszaj mnie, Miri. Gdybym nie znał cię dłużej niż pół roku, może nabrałbym się na twoje słowa. Przecież ty nie wiesz, co to strach.

- Najdroższy, opowiedz, jak tu trafiłam.

- Po co? Nigdy mnie o to nie pytałaś.

- Chciałam, ale bałam się wspomnieć. A teraz, bardzo chcę do nich wrócić.

- Byłaś ciężko ranna. Znaleźli cię moi ludzie na drodze koło Naraino. Najpierw sądzili, że należysz do ludzi Ajoszy, Chcieli cię ograbić i zostawić na pożarcie wronom. Zdjęli z ciebie zbroję i zobaczyli tatuaż na ramieniu...

- A co ma do tego mój tatuaż?

- Smok, najdroższa. Znak domu Edcho. Więc moi chłopacy zdecydowali, że jesteś z naszych. Dlatego cię tu przywieźli. Znachor Set wykurował cię, chociaż było z tobą bardzo źle.

- I to wszystko?

- A co jeszcze chcesz wiedzieć?

- Nie-nie, nic więcej... Pocałuj mnie.

Służący przyniósł wino i Irmas sam napełnił jej czaszę. Pili i całowali się, a potem namiestnik zaproponował grę w szalonego jeźdźca. Mirczel z rozpustnym uśmiechem osiodłała swego dowódcę i szepnęła:

- Teraz, miły, pokażę ci, co to prawdziwy galop...

Ich zbliżenia zawsze przypominały bitwę. Nocami, krzyki i jęki dochodzące z sypialni namiestnika, roznosiły się po całej rezydencji, zmuszając wartowników na piętrach i w podwórzu do uśmiechów i wymiany sprośnych dowcipów. Irmasowi podobało się, kiedy Mirczel przejmowała inicjatywę w pościeli. Żądał tylko, by go kąsała, szczypała, drapała, obsypywała najbrudniejszymi wyzwiskami - to go podniecało. Ale, sam był przy tym nad podziw czuły, delikatny i nawet sentymentalny. Także tym razem, po prostu leżał zamknięwszy oczy, gładził dłońmi jej biodra i piersi, i jęczał w takt jej ruchów. Kiedy dziewczyna doprowadziła do zaspokojenia i odprężenia, z westchnieniem ulgi opadła obok na pościel, wziął puchar z winem, wylał na jej brzuch i zaczął zlizywać, schodząc coraz niżej, do bioder.

- Łaskoczesz - zachichotała. - Co robisz?

- Sól - ochryplym głosem wyszeptał namiestnik. - Smak soli. Smak mojej ojczyzny. Twoje oczy - to morze, smak twojego ciała - to morska sól.

- Bogowie, Irmasie, stałeś się poetą!

- Przy tobie, jestem gotów zostać, kim tylko chcesz.

- Wobec tego, powiedz, po co wysłałeś mnie do klasztoru?

- O, błyskawico Rundy! - zajęczał namiestnik. - Jesteś po prostu zmija, Miri.

- Mimo wszystko, powiesz?

- Nie chcę teraz mówić o polityce.

- Więc to polityka?
- Tak, moje słońce. Sława tej staruchy Bereniki i jej gojłońskiej wspólnoty, nie daje mi spokoju. Ajdżowie uważają Berenikę za świętą. Mówią, że czyni cuda. Nie podoba mi się to. Nie uznaję autorytetów, oprócz siebie. Chciałem ustawić ich na należnym miejscu.
- Co wobec tego nie pozwala ci skończyć z Gojłnem?
- Księżę Owaro, darzy neni sympatią. I wuj księcia, Kadai uważa, że Ajdżowie powinni mieć autorytatywnego mentora duchowego. Niby to, tacy pożyteczni ludzie, dla sprawiedliwego wizerunku domu Edcho. Gdyby nie ich wola, już dawno nie zostawiłbym w Gojłonie kamnia na kamieniu. Ale, tobie jestem wdzięczny. Pojechałaś tam i dałaś tym świętoszkom do zrozumienia, że nie zostawimy ich w spokoju. Niech się trzęsą ze strachu.
- Wiesz co? - usiadła na łóżku, obejmując kolana dłońmi. - Chyba, jeszcze raz tam pojedę. Porozmawiam ze staruchą. Umieję rozmawiać z ludźmi.
- O czym chcesz z nią rozmawiać?
- Spróbuję przekonać ją, by nam pomogła. Ostatnio, dużo mówi się o mordowaniu Ajdżów we wsiach. Pomyślałam, że Berenika może coś o tym wiedzieć. W tym klasztorze, coś jest nie tak, Irmasie. Muszę to wyjaśnić.
- Dobrze, ale sama tam nie pojedziesz.
- Oczywiście. Wezmę ze sobą Wirna, La Bera, Lenjana i Jorna-Bastarda. Nikogo więcej nie potrzebuję.
- Nie wiem, dlaczego nie potrafię ci odmówić? - przetoczył się po łóżku, wstał i zaczął się ubierać. Obserwowała go z przyjemnością. Dobrze, że ma takiego kochanka - młody, silny i pociągający. Szczupły, muskularny, o silnych ramionach, które mogą naciągnąć łuk i kobietę popieścić tak, że rozpali się, jak piekielny ogień. Dziwne, że jeden z najokrutniejszych i najbardziej wpływowych dowódców najemnych watah w Chealadzie, ma takie czarne, marzycielskie oczy. Morderca o spojrzeniu anioła, nikczemnik z twarzą bohatera. Wiedziała, że połowa kobiet w mieście, platonicznie kocha Irmasa Udena. Ale nie była zazdrosna, ponieważ Irmas należy teraz do niej. Duszą i ciałem. Jest w niej szaleńczo zakochany, a ona to widzi i czuje. Ponadto, tak jej ufa, że nawet nie próbował wyjaśnić, dlaczego tak się rwie, by znów pojechać do Gojłonu...
- Nalej mi jeszcze wina - poprosiła, wyciągnawszy się w pościeli.
- Kiedy zamierzasz jechać? - zapytał nagle.
- Dzisiaj. Jeśli, oczywiście, pozwolisz.
- Dziwne.
- Coś nie tak?
- Nie, tylko dziwna zbieżność. Zakomunikowano mi, że księżę też zamierza udać się do Gojłonu. I to jeszcze dziś. Tak, że będziesz mu towarzyszyć. Dodatkowa ochrona nie zaszkodzi.

## **ROZDZIAŁ PIĄTY**

### **NENI**

Orselin stopniowo pozbywała się strachu. Już nie bała się wizyt brata Owri - stary doktor był bardzo dobry dla niej i zawsze przynosił jakiś prezent: jabłko, brzoskwinę albo kiść winogron. Z dwiema nowicjuszkami, Linni i Wiarą, nawet się zaprzyjaźniła. Dziewczyny były niewiele starsze od niej i bardzo rozmowne. Od nich dowiedziała się wszystkiego o klasztorze w Gojłonie i o jego gospodyni. Oprowadziły

ją po całym klasztorze, pokazały - pustelnię dla zakonnicy, szpital, świątynię, wielki, zadbane ogród na tyłach świątyni, po którym każdy mógł spacerować. Tylko do znajdującego się w sąsiedztwie obozu uchodźców, brat Owri nie radził jej chodzić - zbyt wielu tam chorych.

- To bardzo stary klasztor - opowiedziała jej Wiara. - Mówią, że został założony jeszcze przez pierwszego imperatora dynastii Burzowego Smoka. Na szczycie góry Fuszyro, w dzień i w nocy palił się magiczny ogień, chroniący ziemie Chealady przed złem. Tysiące ludzi przychodziło tu, by pokłonić się przed czarodziejskim płomieniem. Wtedy to, został zbudowany nasz klasztor, żeby pielgrzymi mieli gdzie się zatrzymać. Widziałaś ołtarz w świątyni - to ten sam kamień, na którym kiedyś, czarodziejski ogień płonął na szczycie góry. Nasz klasztor, tak naprawdę, to święte miejsce i siły zła nie mają do niego dostępu.

Orselin przytaknęła. Odwiedziła kiedyś klasztorną świątynię Gelesa i odniosła wrażenie, że jest biedna i nieciekawa. Ich cerkiew w Kram-dinar miała bogaty wystrój, piękne ławy dla parafian, okna z kolorowych szkła i miedziane świeczniki. Posadzka była marmurowa, a nie gliniana, jak tu. Dziwne, że w takim świętym miejscu, jest taka biedna świątynia.

Pewnego ranka, Linni przyniosła jej nową odzież, ale męską.

- Ubieraj się, siostrzyczko - powiedziała.

Nie zadając pytań, natychmiast włożyła płócienną koszulę, krótką kamizelkę, bryczesy i trzewiki z miękkiej skóry. Nigdy przedtem nie musiała ubierać się jak mężczyzna, więc ubiór wydał jej się niewygodny. Linni, chichocząc, wyjęła z fałdów swojego habitu kawałek lustra i podała Orselin.

- No, jak? - zapytała.

Spojrzała na siebie niezdecydowanie, a nawet ze strachem. Twarz wydała jej się nienaturalnie blada - czy to z powodu olśniewająco białej koszuli? Pod oczyma siniaki, a czarne włosy były krótko ostrzyżone - nie mogła przypomnieć, kto i po co ją ostrzygł. Prawdopodobnie, tak trzeba.

- Ale jesteś śliczniutka - powiedziała Linni - pewnie, chłopaki za tobą biegali tabunem.

- Nie biegali - pokręciła głową. - Był jeden chłopak, Rejns. Lubił mnie.

- A ty jego?

- Lubiłam... chyba. Nie wiem.

- Dobrze, napatrzyłaś się i wystarczy - zabrała lustro. - O lustrze, ani słowa neni. Dowie się, ukaże mnie. A teraz chodźmy. Matka-przeorysza chce cię zobaczyć.

Opuściły szpital i weszły do mieszkalnych pomieszczeń. Neni Berenika była w swoim gabinecie. Ucałowała Linni, potem otworzyła ramiona dla Orselin.

- Brat Owri mówi, że czujesz się lepiej - powiedziała, wpatrując się w twarz dziewczyny. - Widzę, że to prawda. Czy chcesz mi coś powiedzieć?

- A co powinnam mówić, matulu?

- Linni, wyjdź proszę - poleciła nowicjuszcze. Zrobiła pauzę, znów badawczo popatrzyła na Orselin. - Będę nazywać cię Orsi, nie masz nic przeciwko temu?

- Wszyscy mnie tak nazywali, matulu?

- Opowiedz mi o sobie, Orsi.

- Co ci mogę opowiedzieć, matulu?

- Wszystko. Chcę dowiedzieć się o tobie jak najwięcej.

Zaczęła opowiadać. O swojej przybranej matce, wdowie Rejlu. O Kram-dinar. O przyjaciółkach i przyjaciółach. O Rejnsie. O tym strasznym dniu, kiedy zobaczyła jeźdźców. Opowiadanie było zagmatwane, ale przeorysza słuchała uważnie.

- Więc nie znałaś swoich rodziców? - zapytała, kiedy dziewczyna zamilkła.

- Nie, matulu. Tylko słyszałam od wdowy Rejlu, że mój ojciec był wojownikiem, a mama pochodziła z Dremmerchewenu. Wdowa Rejlu mówiła, że oni zginęli podczas ostatniej wojny Smoka i Tygrysa.

- Ile masz lat?

- Szesnaście. Jesienią, skończę siedemnaście.

- Chcesz zostać w klasztorze?

- Nie wiem, matulu. Wszyscy tu są bardzo dobrzy dla mnie. Mnie się też tu podoba - opuściła wzrok. - Podoba się, na razie.

- Klasztor żyje według swoich surowych praw, dziecko. Jeśli zechcesz przyłączyć się do nas, musisz ich przestrzegać. Dużo pracować i zapomnieć o rozrywkach.

- A ty matulu, chcesz, żebym została z wami?

- Dobrze pytanie - uśmiechnęła się Berenika. - Jesteśmy radzi każdemu, kogo wola Gelesa przyprowadzi do naszego klasztoru.

- Trafiłam tu z woli Gelesa?

- Oczywiście. I bardzo mi pomogłaś. Dzięki tobie, dowiedziałam się jednej bardzo ważnej rzeczy. Chcesz, zdradzę ci tajemnicę?

- A możesz? - dziewczyna aż wyciągnęła szyję, w oczekiwaniu tego, co powie przeorysza.

- Myślę, że Geles obdarzył cię przy narodzinach swoim błogosławieństwem.

- Mnie? - odsunęła się od przeoryszy. - Co to znaczy?

- W tobie jest jego moc. Widzę to. Twoim przeznaczeniem jest służba słonecznemu bogu.

- Chcę żyć, jak wszystkie dziewczyny. Chcę wyjść za mąż i rodzić dzieci. Chcę mieć swój dom, z ogrodem i pięknymi meblami. Nie chcę zostać zakonnica.

- Wiele lat temu miałam podobne pragnienia jak ty, Orsi. Też chciałam mieć męża i dzieci. Ale mi była z góry przeznaczona inna droga. Ludzie, tak naprawdę nie wiedzą kim są i w jakim celu przyszli na ten świat. Też o tym nie wiedziałam. Ale potem... - uśmiechnęła się. - Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam ciebie, to zrozumiałam, że jesteś niezwykłą dziewczyną. W tobie jest światło. I to światło, jest twoim błogosławieństwem. I twoim brzemieniem.

- Chcesz, żebym została w klasztorze, matulu?

- Przeciwnie, chcę, żebyś natychmiast go porzuciła.

- Dlaczego? - czuła, że nic nie rozumie z tego, co się wokół niej dzieje. - Wypędzasz mnie?

- Nie, moje dziecko. Chcę, żebyś wypełniła dla mnie jedno ważne zadanie. Dlatego musisz udać się do Dremmerchewenu.

- Co powinnam zrobić?

- Jest tam pewien człowiek, bardzo mi bliski. Nazywają go bratem Steinem, ale najczęściej, po prostu Księgarzem. To bardzo dobry człowiek. Proszę cię, żebyś się nim zaopiekowała. Zgoda?

- Jeśli matula pragnie...

- Czyli, postanowione - pieszczotliwie przytuliła dziewczynę, pocałowała w czoło. - Umiesz jeździć konno?

- Oczywiście.

- Ogródnik Kichou osiodłał dla ciebie wierzchowca - znajdziesz go w podwórzu. Masz tu trochę pieniędzy - podała jej dwie złote monety - i pierścień-pieczęć z wizerunkiem Gelesa. Pamiętaj, że cały czas musisz jechać na północ. Z Gojtonu prowadzą dwie drogi, brukowana i gruntowa. Jedź gruntową, póki nie dotrzesz do wsi Fern. Tam, w miejscowej tawernie, pokażesz oberżyscie pierścień, a

on da ci konia na zmianę. Nie zatrzymuj się tam, pędź dalej na północ. Jeśli Geles będzie dla ciebie łaskawy, do miasta dotrzesz pojutrze. Brat Stein zatrzymał się w hotelu „Złoto i lasur”. Będzie na ciebie czekać.

- Zadanie wygląda na bardzo proste, matulu - spróbowała się uśmiechnąć. - Postaram się je wypełnić.

- Proszę cię, postaraj się - jeszcze raz pocałowała dziewczynę. – Jedź już, kochana. Błogosławię ci. Niech Geles kieruje i ochrania każdy twój krok.

- Dziękuję za wszystko, matulu - pocałowała suchą, pomarszczoną rękę przeoryszy i wybiegła z gabinetu.

W podwórzu, rzeczywiście czekał milczący ogrodnik Kichou, trzymający za wodze gniadego konika z wilgotnymi, dobrymi oczyma. Usadowała się w wytartym siodle i w tym momencie dojrzała nowicjuszeki - Linni i Wiara stały przy drzwiach świątyni i patrzyły na nią.

Uśmiechnęła się i pomachała im.

W odpowiedzi przesłały jej całusy. Z jakiegoś powodu, w ich oczach gościł smutek.

Co się dzieje?

Konik odwrócił do niej głowę i zachęcająco parsknął. Podjęła decyzję, leciutko uderzyła rumaka piętami po bokach. Bardzo chciała obejrzeć się i w bramie klasztoru nie wytrzymała, jeszcze raz spojrzała za siebie - na świątynię i tkwiące przy jej drzwiach ubrane na biało figurki. Nagle odniosła wrażenie, że tu już nigdy nie wróci.

Neni Berenika obserwowała przez okno, jak Orselin opuszcza klasztor. Potem, zaciągnęła gęstą storę i wróciła do swego stołu. Wyjęła ze skrzynki kryształową kulę, postawiła przed sobą i skoncentrowała się. Kula rozświetliła się od wewnątrz, a potem ukazała się twarz Księgarza.

- Matula!

- Znalazłeś to, czego szukałeś, Mommeku?

- Na razie, tylko trzy Relikwie, matulu. Niestety, nic nie wiem o moim Pierścieniu Języków, rękawiczkach Dowłada i o zbroi.

- Miejmy nadzieję, że zostały przy właścicielce. Spotkałeś się z nią?

- Jeszcze nie. Przebywa teraz w zamku Irmasa. Nie wpuszczają tam nikogo, więc i dla mnie nie zrobią wyjątku.

- A jak przebiega twoje śledztwo?

- Wszystko jest tak, jak powiedziałaś, matulu. To sprawka Famarów. Byłem w Kram-dinar – tam podobnie. Już szóste serce w ich rękach.

- Zostało jeszcze jedno. Powinniśmy się śpieszyć. Jeśli Wielkiej Łoży uda się obudzić Odwiecznego, to ziemia pograży się w chaosie i będzie na zawsze stracona dla Światta.

- Siódme serce jest przechowywane w grobowcu króla Utaro. Famarowie nie będą mogli dotrzeć do niego, póki nie zostanie przelana krew Smoka.

- Mam niedobre przeczucie, Mommeku. Czuję, że księciu Owaro grozi niebezpieczeństwo.

- Mogę chronić księcia.

- Nie, powinieneś zająć się Wojowniczką i zdobyć siódme serce, zanim uczynią to Famarowie. Sama zaopiekuj się księciem. Tak czy owak, nasze drogi powinny się przeciąć. Wysłałam do ciebie swojego człowieka. Wydaje mi się, że ta dziewczynka będzie ci użyteczna.

- Oj, matulu, powinnaś już zrezygnować z chęci ożenienia mnie! Kim jest ta nieszczęsnica?

- Chcę, żebyś był szczęśliwy, Mommeku. Twoja wieczna samotność mnie niepokoi. A ta dziewczyna, bardzo mi się spodobała. Poza tym – jedynie ona przeżyła rzeź w Kram-dinarze.

- Rozważę to, matulu. I postaram się być dla niej miłszy. Coś jeszcze?

- Ja... - zrobiła pauzę - chcę ci powiedzieć, że zawsze byłeś wspaniałym synem. I bardzo cię kocham, Mommeku. Uważaj na siebie, zgoda?

- Coś się stało, matulu? Nie podoba mi się twój nastrój.

- Ach, synku, jestem tylko starą kobietą i często nachodzi mnie chandra. Całuję cię i błogosławię. Żegnaj.

- Do zobaczenia, matulu! Kocham Cię.

Kryształowa kula zgasła. Neni Berenika poczuła zmęczenie. Nawet taka nieskomplikowana magia, jak aktywacja Mówiącej Kuli, pozbawiła ją sił witalnych. Starość, to zbyt ciężkie brzemię. Na szczęście, długo już nie trzeba będzie go dźwigać.

Dla wzmocnienia, wypita czaszę malinowego soku, ale słabość nie opuściła jej. Podeszła do okna, popatrzyła na zalane słońcem podwórze klasztoru. Potem przeniosła spojrzenie dalej, w stronę osiedla uchodźców, które tętniło życiem. Mężczyźni próbowali dobrze urządzić chałupy, w których osiedlały się ich rodziny, kobiety gotowały, prały, oporządzały bydło. Pomyślała, że tym ludziom trudno będzie wytłumaczyć, że będą musieli opuścić Gojłon. Pozostać tu nie mogą. Z bólem pomyślała o Linni, Wierze, Obri, Kichou, innych członkach jej małej wspólnoty. Z każdym z nich porozmawia na osobności. Nie powie im tego, co sama wie: o zniszczeniu sześciu wsi Ajdżów w noc zaćmienia księżyca. Nie powie im kto i dlaczego to zrobił ani jaki jest sens tych zwierzęcych mordów, ani o tym, że za dwa tygodnie nastąpi jeszcze jedna mistyczna noc, gdy siedem planet ustawi się w jednej linii i siódme ofiarowanie zdejmie magiczne łańcuchy z ostatnich wrót ciemnej otchłani Abissaliumu, za którymi ukrywa się jeden z najstraszniejszych wytworów Zacienionej Strony.

Wkrótce zdarzy się to, co powinno. Ukryte dotychczas moce, przystąpiły do działania. Na tym polega Przeznaczenie i niczego tu nie da się zmienić. Wielka wojna toczy się od dawna - trwa na płaskowyżach Orsiany, lada moment obejmie brzegi Zielonego morza i Chealada jej nie uniknie. Ta nieszczęsna ziemia, od wielu lat nie zaznała ani dnia pokoju, a teraz, nadciąga taki zmierzch, że strach pomyśleć, jaką noc zwiastuje. Zbyt dużo ciemności zalega w bogatych pałacach i porzuconych ruinach Chealady. Przyszłość, niegdyś wielkiego imperium Smoka, znajduje się teraz w rękach kilku ludzi, którzy nawet nie podejrzewają, co im przygotowały Tabele Losów.

Garstka ludzi i jej syn, którego nazywają Księgarzem, są jedynymi, którzy mogą pomóc, ponieważ pozostałe jej dzieci, już wypełniły swoje misje. Prawom Losu podporządkowują się nawet bogowie. Zapomniani tym bardziej.

Wszystko potoczy się tak, jak powinno się potoczyć. Ta ziemia jeszcze ujrzy wielkość Gelesa i ogień, płonący setki lat w klasztorze Gojłonu, pewnego dnia znów zapłonie. Ale zostanie to okupione Chwilą Cierpienia i Zgrzytaniem Zębów, Płomieniem i Bólem, Okrwawionymi Klingami i Męczeństwem. Długo oczekiwana i straszna chwila, obca nieśmiertelnym bogom, ale nieunikniona dla tych, którzy utracili swoją nieśmiertelność.

Przyszłość już otworzyła przed neni całą zawilgość swoich deseni. Deseń Czasu zamknął się w cyfrze „6”. Ma tylko sześć dni na to, by przygotować się do spotkania z Nieuniknionym.

Sześć dni, by dokończyć to, po co przyszła na świat.

- Kichou! - krzyknęła w otwarte okno. - Poproś siostry i brata Owri, by przyszli do mego gabinetu...

Nie, nie należy mówić z każdym pojedynczo. Porozmawia ze wszystkimi braćmi i siostrami razem. Powie im wszystko i spróbuje przekonać, by postąpili tak, jak ona uważa za konieczne.

To było uciążliwe milczenie. Oczekiwała odpowiedzi, a widziała tylko blade, napięte twarze i pustkę w oczach. Jej bracia i siostry byli oszołomieni, czekali na słowa mądrości i pocieszenia, a Berenika ich po prostu nie miała.

Czas słów, skończył się.

„Mój stary, dobry Owri, kochane dziewczynki, Linni i Wiara, moje siostrzyczki, Tairi i Kennig, pracusiu Kichou, dobrzy moi pomocnicy i prawdziwe dzieci Gelesa! Co mogę wam jeszcze powiedzieć, oprócz tego, co usłyszeliście?”

Pierwszy oprzytomniał Owri.

- Matulu - wymówił z trudem. - Neni Bereniko, nie mogłaś się pomylić?

- Nie, Owri. Przepowiednie nie oszukują. Wiedziałam o tym, zanim zjawiała się najemnica. A teraz jestem pewna, że pozostaje nam niewiele czasu. Niedługo zjawi się tu białe jagnię. I wilki też.

- Więc, musimy wszystko porzucić? - cicho zapytał Kichou. - Ogród dopiero zaczął owocować, matulu. W tym roku powinien być świetny urodzaj jabłek.

- Nie trzeba myśleć o jabłkach, Kichou. Trzeba pomyśleć o ludziach. Bracie Owri, powiem uchodźcom, że w klasztorze pojawiła się dżuma. To zmusi ich do odejścia. Ilu mamy chorych w szpitalu?

- Trzydziestu, neni.

- Ilu z nich może chodzić?

- Czterech, to ciężkie przypadki, trzech choruje na żółtaczkę. Nie powinni teraz opuszczać szpitala. - Owri przełknął kulę w gardle, spojrzał prosto w szafirowo-granatowe oczy przeoryszy. - I ja, nie mogę ich porzucić.

- To znaczy, że odmawiasz odejścia, Owri?

- Tak, neni. Pozostaję w Gojłonie.

- Sprzeciwiasz się mojej woli?

- Nie mogę sprzeciwić się swojemu sercu. Chyba, że mnie wypędzisz, inaczej odmawiam opuszczenia Gojłonu w tym czasie.

- Matulu! - nowicjuszek Linni i Wiara ze łzami upadły do nóg przeoryszy, wczepiły się palcami w habit, podniosły wspólny krzyk. - My też... też nigdzie nie chcemy iść! Nie wyganiaj nas, matulu!

- Matulu, przeoryszo - siwa Tairi upadła na kolana obok szlochających nowicjuszek, dotknęła ręk neni. - Tu jest nasze miejsce. Przy tobie, przeżyliśmy życie. Nie możemy odejść, wiedząc, że zostałaś sama!

- Tairi ma rację - rudowłosa Kennig błysnęła zielonymi oczyma. - Pobłogosław nas, neni. Daj nam cząstkę twojej woli i twojego męstwa. Pozostaniemy przy tobie.

Berenika chciała odpowiedzieć, ostro i władczo, ale nie mogła. Twarze jej podwładnych zaczęły się rozpywać, szlochanie ścisnęło krtani. Żeby nie upaść, ręką oparła się o stół. Tairi i Kennig podchwyciły przeoryszkę i pomogły usiąść.

- Co wy mówicie? - zaszlochała. - Przeżyłam siedemdziesiąt sześć lat. Moje życie się kończy. Została ostatnia próba, którą wytrzymam. Muszę tu zostać, żeby dać temu krajowi nadzieję. A wy... wy jesteście tacy młodzi. Kennig, Linni, Wiara, Tairi, co robicie! Owri! Dlaczego?

- Ponieważ w Księdze Gelesa jest napisane: „Wzgardzony będzie ten, który w obliczu prób i nieszczęść zostawi matkę swoją i ojca, brata swego i siostrę, i postąpi

małodusznie” - surowym głosem odpowiedziała ruda Kennig. - Nie żądaj od nas, matulu, byśmy złamali przykazania, których nas uczyłaś.

- Kennig mówi prawdę - powiedział Owri. - Pozostajemy.

- Nie zrozumieliście tego, co wam powiedziałam? - Berenika po raz pierwszy podniosła głos. - To, co przygotowano dla mnie, było z góry ustalone, dawno, jeszcze przed waszym i moim urodzeniem. A wasza służba Gelesowi w tym klasztorze dobiegła kresu. Byliście najlepszymi służącymi. Zaklinam was, zostawcie mnie i odejdźcie. Nie możemy walczyć z Losem, on jest zawsze silniejszy. Nie będę mogła was obronić. Siła, darowana mi, przejdzie na innego człowieka, a wy staniecie się łatwą zdobyczą Zła. Proszę was, zróbcie tak, jak wam każę. Nie obciążajcie mojego sumienia. Będzie mi ciężko rozstać się z życiem, ze świadomością, że nie byłam w stanie was uratować.

- Podjęliśmy decyzję - powiedział za wszystkich Owri, po chwili milczenia. - Nie osądź nas, neni. Nigdzie nie pójdziemy.

- O Gelesie! - westchnęła. - Czyż nie ma słów, które mogłyby was przekonać?

- Nie - twardo powiedziała Kennig.

- Nie - odezwały się Linni i Wiara, szlochając nadal.

- Nie – jak echo odezwała się Tairi.

- Nie - powiedział Kichou.

- Nie ma takich słów - rzekł Owri. - Zrobimy tak, żeby wieśniacy odeszli z Gojtonu, ale sami tu zostaniemy.

- Owri - popatrzyła na starego lekarza z bezgraniczną wdzięcznością. - Uczyń, chociaż to, proszę cię. Zatroszcz się o uchodźców. I odeślij chorych, którzy mogą chodzić.

- Matulu - Linni przypadła do kolan przeoryszy - co powinniśmy robić?

- Zbliży się wieczorna zorza - powiedziała Berenika, usiłując podnieść się z fotela. Tairi pomogła jej wstać. - Czas modlitwy, moi kochani. Pójdźmy i poprośmy Gelesa, by umocnił naszego ducha.

## **ROZDZIAŁ SZÓSTY**

### **ZBROJE, MIECZE I POLITYKA**

Gdy tylko słońce wzniosło się nad wieże miasta, Mirczel już była gotowa do drogi.

Pożegnawszy się z Irmasem, wróciła do swoich pokoi, wzięła kąpiel i przebrała się. Skończywszy poranną toaletę, pośpiesznie przekąsiła. Zrezygnowała z wina, wypita natomiast kilka czasz wody. Po śniadaniu, skierowała się do osobistego arsenału. Od czasu, kiedy została pomocnicą i kochanką Irmasa Udena, swoje uzbrojenie przechowywała tu, w małym pokoiku, dziesięć na dziesięć kroków. Kluczem, który zawsze nosiła przy sobie, otworzyła ciężki, okuty żelazem kufer. Leżała w nim niezwykła zbroja - ta sama, w której znaleźli ją ludzie Irmasa w pobliżu Naraino.

Patrząc na nią, wspomniała, jak szukała zdolnego zbrojmistrza, by ją naprawił. Były na niej wgniecenia i zadrapania, półkirys miał uszkodzone dwa zapięcia, naprawy wymagał także zawias łokciowy prawego naręczaka. Miejscowi zbrojmistrzowie odmawiali podjęcia się skomplikowanej pracy i nie mogła ich zmusić ani groźbami, ani obietnicami. Przestraszeni, widząc jej gniew, próbowali wyjaśnić, że naprawa zbroi wykonanej przez Sidów z elektronu, do tego starodawnej – to sprawa nieprawdopodobnie złożona. Jeden z nich nawet zaproponował, by udała się za

morze, do Glensid i tam znalazła mistrza, władającego starodawnymi technologiami. Z kolei, inny płatnerz, powiedział od niechcienia, że w wiosce Łancharna, leżącej około trzydziestu lig na wschód od Dremmerchewenu, mieszka niezły kowal-ajdża. Dlaczego by pani Mirczel nie mogła zwrócić się do niego?

I tak uczyniła. Kowal staruszek, długo oglądał zbroję, obmacywał zrogowaciałymi palcami łączenia, a potem nagle zapytał:

- Ile mi zapłacisz za pracę?

- Tyle, ile zechcesz – ogarnęła ją taka radość, że chciała ucałować kowala. - Wymień swoją cenę, mistrzu.

- Widzę, Krwawa Dziewico, że zbroję masz bardzo niezwykłą. I widzę także, że jest bezcenna. Nie wiem, skąd ją masz i wiedzieć nie chcę. Ale jeśli należy do ciebie, to znaczy, że tak chcieli bogowie. Naprawię. Za jeden złoty.

- Szydzisz ze mnie? – zasępiła się.

- Podałem swoją cenę, jak prosiłaś.

Mirczel odniosła wrażenie, że staruszek po prostu z niej się naśmiewa, ale potrzebowała tej zbroi - i zgodziła się. Mistrz kazał jej wrócić za tydzień, wziął złotą monetę i wrócił do swego zajęcia. Zniecierpliwiona, przez cały tydzień nie mogła znaleźć sobie miejsca. W wyznaczonym dniu przyjechała do wioski. Zbroja była gotowa. Kowal nienagannie wykonał pracę.

- Jesteś wielkim mistrzem - powiedziała. - niesprawiedliwe, że zażądałeś tak mizernej zapłaty. Prawdziwych mistrzów trzeba chronić i wspierać. Oto dwieście sentierów - weź je ode mnie.

- Nie wezmę - odpowiedział kowal. - Na tych pieniądzach jest krew mieszkańców Ajfodły. Zabieraj swoją zbroję i zostaw mnie w spokoju.

Z trudem stłumiła gniew i odjechała z goryczą w duszy. A nocą przyśniła jej się Ajfodła. Ten nieszczęsny dzień, kiedy przyjechała tam ze swoimi ludźmi. Irmas polecił zabić wszystkich, kogo tam spotkają. Więc rozkazała swoim wojownikom, by nie zostawiać z miasteczka kamienia na kamieniu. Osobiście zarąbała kilku biedaków, ale po chwili znudziło jej się zabijanie bezbronnych. Siedziała w siodle i obserwowała, jak jej ludzie wykańczają mieszkańców miasteczka. Wtedy jej najemnicy, postarali się od serca. Jakiegoś pyskacza, który krzyczał i oburzał się, że „Jastrzębie” rabują jego dom, przybili żelaznym prętem przez usta do drzwi spichlerza. Wisiał tak, z wytrzeszczonymi oczami, dławiąc się krwią i szarpiąc rękami i nogami, póki nie umarł. Tym, w którym domu znajdowało się cokolwiek przypominającego broń, odrąbywali po łokieć rękę. Chłopskie dziewczuchy rozbierali do naga i zmuszali do łapania kur, a sami, śmiali się, obserwując. W końcu, wszystkie zastrzelili z kusz. Starostę, z całą rodziną - żoną, starą matką i siedmiorgiem małych dzieci - wrzucili do studni. Nie przepuszczono nawet psom i kotom. Kiedy w miasteczku nie zostało żywej duszy, kazała wszystko spalić. Drewniane, chłopskie domki zapalały się szybko i bardzo szybko wymarła Ajfodła przekształciła się w prawdziwe piekło. Obudziła się z nieprzyjemnym uczuciem; w pokoju pachniało jakby spalonym ciałem. Po chwili, wyjrzała przez okno i zobaczyła, że w podwórzu, kucharczki opalają pochodniami świnię - i się uspokoiła. Minęło kilka dni i nie wytrzymała, znów udała się do Łancharny, żeby spotkać się z mistrzem, który naprawił zbroję, ale powiedziano jej, że stary kowal, umarł nagle.

Zbroja, od tamtego czasu, leżała w kufrze, w arsenale. Chroniła ją, rozumiejąc, że nikt już jej nie naprawi. Ale teraz, z jakiegoś powodu, zdecydowała się ją włożyć. Nie potrafiła racjonalnie wyjaśnić, dlaczego.

Ściągnęła z siebie skórzaną kurtkę, koszulę i spodnie, zrzuciła buty. Nikt jej nie mówił, że elfijską zbroję zakłada się na gołe ciało, wiedziała o tym podświadomie.

Stojąc przed lustrem, założyła drogocenny półkirys, umocowała pasami napleczniki i naręczaki, włożyła króciutką, płytową spódnicę. Na końcu, założyła osłonę nóg, która chroniła je od palców do środka biodra. Na dnie kufra leżała jeszcze para skórzanych rękawiczek. Na zewnętrznej ich powierzchni, od nadgarstka do koniuszków palców, znajdowały się rzędy gęsto osadzonych stalowych nitów. Wzięła rękawiczki, włożyła i spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Nigdy przedtem nie była taka silna i spokojna. Dziwne, ale nie czuła ciężaru zbroi, która jakby zrosła się z jej skórą. Czuła się w niej dawną wojowniczką Sidów. Jak nazywano te legendarne dziewice-wojowniczkę ochraniające sidskich królów? Przecież wcześniej słyszała nie raz to słowo, ale teraz, nie może go sobie przypomnieć.

Decyzja podjęta - do klasztoru pojedzie w tej zbroi. Teraz trzeba wybrać broń.

Miecz-tanga, który podarował jej Irmas po poskromieniu Ajfodły, był przy niej. Podobał się jej ten wyrób mistrza Chadoszy z Mitory, z długą, lekko wygiętą klingą, odpowiednią, ciężką rękojeścią i tłoczoną tsubą, owalną gardą, dobrze osłaniającą rękę. W Imperium Smoka mogli je nosić tylko wybitni ludzie, a miecz Mirczel jeszcze miał nazwę - na klindze, zgodnie z rozkazem Irmasa Udena, było wygrawerowane jej imię. Do tej broni, wniosła tylko dwa udoskonalenia: dociażyła rękojeść zmieniając głowicę i zamówiła pochwę, która pozwalała nosić klingę zgodnie z kontynentalnym obyczajem - na plecach.

Następną godzinę spędziła w sali treningowej, ćwicząc się na drewnianej kukle - powinna przywyknąć do poruszania się w niezwykłej zbroi. Ponownie ogarnęło ją zdumienie, że pancerz pozwala swobodnie ruszać się, atakować i bronić. Trenowała, póki całe ciało nie pokryło się potem i nie zaschło w ustach.

Służący przyniósł ręcznik i kielich z zimną, ziołową herbatą. Spytał z ukłonem, czy czegoś nie potrzebuje.

- Idź do mojego arsenału - rozporządziła - przynieś miecz z bursztynem w głowni i w skórzanej pochwie. Nie pomylisz się, drugiego takiego tam nie ma.

Służący poszedł. Mirczel wróciła do kukły i jeszcze przez pewien czas zadawała cięte i klujące uderzenia, rozkoszując się lekkością zbroi. Po chwili, służący wrócił z mieczem.

Odłożyła tanga, wzięła prostego półtoraka i zdziwiła się - dlaczego tak długo z niego nie korzystała? Prosty, obosieczny bastard, był o wiele cięższy od tanga, ale z jakiegoś powodu poczuła, że ta klinga – idealnie pasuje do jej dłoni, jakby kuto ją specjalnie dla niej. Parę ataków kukły, przekonały ją, że do Gojtonu uda się z dwoma mieczami. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego, liczni najemnicy, wywodzący się z Seltonii i Midingi, nosili po dwa długie miecze.

Wiedziała także, że oni uważają ją za doskonałego miecznika. Irmas, obserwując jej ćwiczenia w sali szermierczej, zapytał nagle, gdzie nauczyła się tak posługiwać tą bronią. Uniknęła wówczas odpowiedzi. Powiedziała tylko, że w swoim czasie nauczył ją krewny, chociaż nie była to prawda. Szczerze mówiąc, sama nie wiedziała, skąd ma taką umiejętność.

- Poruszasz się, jak pantera - określił Irmas. - Masz bezlitosną rękę, dobre oko i świetne wycucie równowagi. Nie zazdroszczę temu, kto okaże się twoim przeciwnikiem.

- To cię niepokoi?

- Raczej zadziwia. Po raz pierwszy spotkałem kobietę, której mało kto się oprze w pojedynku.

- Twoje słowa są dwuznaczne, Irmasie. Masz na myśli - mało kto się oprze kobiecie, czy wojownicze?

- I to i to. Módl się do swoich bogów, Seltonko, żeby twoimi nauczycielami nie okazali się moi wrogowie. Lubię cię, ale nie okażę miłosierdzia.

- Jakie to typowe dla mężczyzn - bać się silnych kobiet! Nie jesteś wyjątkiem, Irmasie. Ale za komplement, dziękuję. Myślę, że twoi nieprzyjaciele, zostali także moimi. Nie musisz się niepokoić. Jeśli zechcę cię zabić, powiem ci o tym...

- Pani! - starszy najemnik, Seltończyk, w solidnym lammelarze [*Lammelar - ochronna zbroja, z małych, metalowych, połączonych płytek albo łusek*] wszedł do sali, z zachwytem popatrzył na swoją szefową. - Szukał cię namiestnik. Prosi, byś odwiedziła go w sali narad.

- Dobrze, że przyszedłeś, Lenjanie - powiedziała, wsuwając miecz do pochwy. - Znajdź Jorga, La Bera i Wirna, czekajcie na mnie koło stajni. Powiedz stajennym, niech osiodłają Mistrala. Będzie potrzebna mi wasza pomoc.

- Jak pani każe - ukłonił się i natychmiast wyszedł.

Opuszczając salę, nie powstrzymała się, by jeszcze raz spojrzeć na swoje odbicie w lustrze. W rezydencji, zwierciadła wisiały wszędzie - przywódca Jastrzębi miał do nich niepojętą słabość. Zbroja prezentowała się wspaniale. Ponadto, wydało jej się, że wygląda wyjątkowo świeżo i efektownie, wczorajsza uczta i bezsenna noc w ogóle nie odbiła się na jej twarzy. Tylko spojrzenie zdradza lekkie zmęczenie i fryzura...

Zerwała opaskę i szybko zaplotła długie, jasne włosy w warkocz. Przez chwilę odniosła wrażenie, że z lustra popatrzyła na nią zupełnie inna kobieta, bardzo znajoma. Nie było czasu, by zastanawiać się nad kolejną ekstrawagancją pamięci - Irmas czeka.

W sali narad nie było namiestnika. Przeszła wzdłuż ścian, obwieszonych cenną bronią i zatrzymała się przy ogromnym stole, na którym w każdym szczególe była odtworzona cała Chealada. Łańcuchy górskie z kamieni, łąki i pola z malowanego płótna. Lasy, wyobrażały małe drzewa z waty. Były tu szklane rzeki i jeziora, miasta, misternie ulepione z gliny. Mapa była podzielona na dwie części czerwonym sznurem - północną, popierającą dom Edcho i południową, sprzyjającą Ajoszy.

Pewnego dnia zainteresowała się, dlaczego rozgorzała ta niekończąca się wojna, która wstrząsała Chealadą, na długo przed jej pojawieniem się w tym kraju. Irmas opowiedział, że wszystko zaczęło się po śmierci imperatora Utaro, który rządził krajem ponad sto lat temu. On pierwszy zaczął zapraszać do kraju, Ajdżów - tak miejscowi nazywali wychodźców z kontynentu, Seltończyków, Noringów, Reszyjców. Od niego, przesiedleńcy otrzymali ziemię na północy wyspy i nawet założyli nowe miasto - Dremmerchewen. Miejscowa ludność nie przepadała za przybyszami z kontynentu. Po kilku latach głodu i epidemii, kraj wyludnił się, brakowało rąk do pracy, a Ajdżowie z reguły byli świetnymi rolnikami i rzemieślnikami. Sam Utaro patronował przesiedleńcom, zrównał ich w prawach z odwiecznymi mieszkańcami kraju - sandżami, a potoczny język przesiedleńców „ajdżtan” uczynił drugim oficjalnym - i nawet założył elitarną gwardię, składającą się z kobiet, do ochrony swojej osoby. Umarł w czterdziestym ósmym roku swych rządów, nie zostawiając spadkobiercy. Jego jedyny syn, Riszy, umarł wcześniej. W testamencie, przekazał zarządzanie krajem swojej trzeciej żonie, cesarzowej Nijo z domu Edcho. Kiedy dowiedział się o tym Mikari, władca domu Ajoszy, kuzyn zmarłego, spróbował obalić Nijo i zdobyć tron, ale został zabity przez ochroniarzy. Stało się to zarzewiem wojny. Z początku, znakomite domy prowadziły ją zgodnie z dawnymi regułami rycerskiego honoru. Jeńców i zakładników nie zabijano, starano się oszczędzać posiadłości przeciwnika. Ale stopniowo, wewnętrzna wojna przekształciła się w ponadkrajową -

Sandzowie podtrzymywali dom Ajoszy, który osiadł na południu, a potomkowie przesiedleńców – Ajdżowie, dochowali wierności władcom z domu Edcho. Wojska Ajoszy zaczęły burzyć świątynie Gelesa, którego czcili wychodźcy z kontynentu. Nie było wiadomo, kto pierwszy zaczął angażować najemników do walki z rywalami, Edcho czy Ajoszy,. Wraz z pojawieniem się najemnych żołnierzy z Dzikich miast, Midingi, Noringi i Seltonii, skończyła się szlachetna walka. Nowa wojna Smoka i Tygrysa, jak ją nazywano, trwała z przerwami prawie sześćdziesiąt lat i zrujnowała kraj. Wyginęły całe wybitne rody, a centralne obwody kraju, gdzie trwały działania bojowe, były spustoszone i wyludnione. W 1213 roku, w Drugiej Epoce Lindze, Edcho i Ajoszy zdołali jednak podpisać rozejmem. Władza została powierzona Radzie Książąt, a jedyny, daleki potomek imperatora Utaro, dwunastoletni książę Owaro, nazywał się w Pergaminie o Rozejmie, „Godnym i niezaprzeczalnym pretendentem do tronu Smoka”. Pretendentem - nie imperatorem. Obie strony nie mogły dojść do porozumienia w wyborze imperatora, który odpowiadałby wszystkim. Kraj został podzielony, władzę przechwycili miejscowi przywódcy oddziałów najemnych, wrogość między Sandzami i Ajdżami nie zniknęła i stało się oczywiste, że nowa wojna może wybuchnąć lada chwila. Wywołać ją może nawet najbliższy powód...

- Czekasz na mnie? - Irmias podszedł do Mirczel, objął i pocałował. – Na błyskawicę Rundy, do twarzy ci w tej zbroi! Noś ją zawsze, rozkazuję.

- Chciałeś mnie widzieć?

- Gołąb pocztowy przyniósł mi ważną depezę z rezydencji księcia. Owaro zamierza udać się dziś do Gojłonu. Ma ochronę z Ajdżów, ale lord Kadai uważa, że to za mało. Zrozumiałem, o czym wspominał. Możesz mi okazać wielką przysługę, jadąc do Gojłonu.

- Jadę tam, nie z powodu księcia.

- Jednak, przy okazji, będziesz mogła o niego... zatroszczyć się. Wyślę jeszcze pięćdziesięciu ludzi. Nie, lepiej stu pięćdziesięciu.

- Nie trzeba. Pojadę z czterema.

- Nie respektujesz moich rozkazów?

- Irmasie, nie zmuszaj mnie, bym odmówiła wyjazdu.

- O czymś nie chcesz powiedzieć, moja najdroższa.

- Chciałam pojechać, żeby spotkać się i porozmawiać z Bereniką. Ty natomiast proponujesz, bym została niańką księcia, który jest mi obojętny i do tego zjawiała się w klasztorze z uzbrojoną armią! Przysięgam na wszystkich bogów, to jakby w noc poślubną zawlec do pościeli wszystkich swoich krewnych i to ze strony narzeczonego.

- Czego się spodziewasz po tej wyprawie?

- Chcę po prostu spotkać się z Bereniką. Powinnam z nią porozmawiać. A potem, jestem gotowa bronić twego sandżyjskiego nikczemnika, jeśli tego chcesz.

- Bronić? – zręcznie udał zdziwienie. - Kto ci powiedział, że jego trzeba bronić?

- Kochany, przestań zawracać mi głowę. Powiedz wprost, co zaplanowałeś?

- Chodź, popatrzmy na mapę, moja bogini - wypuścił dziewczynę, podszedł do planu Chealady. - Spójrz, tu jest pałac Burzowego Smoka, rezydencja księcia. Leży w bardzo bezpiecznej okolicy, nie uważasz? W górach, do tego bardzo daleko od posiadłości Ajoszy i sojuszników. Nie będą w stanie przedostać się tu niezauważalnie jego najemni mordercy, a tym bardziej, wielki oddział. Dlatego książę jest tu bezpieczny.

- Do czego zmierzasz, Irmasie?

- Patrzmy dalej - namiestnik przeszedł kilka kroków wzdłuż stołu i wskazał palcem - to Gojłon. Klasztor czystych i nieskażonych grzechami owieczek boga Gelesa. Prawie na samej granicy ziem Edcho i Ajoszy. Jak myślisz, dużo szans ma tu Ajosza, by pochwycić lub zabić księcia Owaro?

- Pochwycić albo zabić? - poczuła, że twarz jej płonie.

- Tak, kochana. Lepiej, oczywiście, zabić. Pomyślałem więc, że oddział stu pięćdziesięciu ludzi, poradzi sobie z gwardią księcia, a pięciu, raczej nie bardzo.

- Irmasie, oszalałeś! Chcesz, żebym ja ...

- Ani słowa więcej! - namiestnik łagodnie zasłonił jej usta. Uśmiechał się, ale oczy miał poważne i złe. – Jest ci przecież obojętny los tego sandżyjskiego wyrodka, czy się mylę? Sprawy domu Edcho idą źle, bardzo źle. Jakby nie patrzeć, w nikim nie mają oparcia, oprócz mnie, Irmasa Udena. Jestem realną siłą, Miri. Kto mi się sprzeciwi? Kadai? Rada Książąt? Po dziesięcioleciach wojny, pod ich dowództwem zostały żalosne resztki wojowników. Dużo pretensji, mało siły, Miri. A ja mam półtora tysiąca najemników w Dremmerchewenie i w ciągu miesiąca, będę w stanie zebrać drugie tyle. Wystarczy, by rozprawić się i z Edcho, i z Ajoszą. Wyobrażasz sobie, Irmas Uden, nowym imperatorem Chealady! Brzmi niczym muzyka, cha-cha-cha-cha!

- Zbikowałeś.

- Nie masz fantazji, Miri. I ambicji. A przecież, możesz zostać cesarzową - nachylił się do dziewczyny, pochwycił wargami pukiel włosów nad jej uchem. - Napłodzimy tylu spadkobierców, że ani jedno zezowate książątko nie będzie kwestionować prawa naszego domu do władzy! Co powiesz na to?

- Powiem „nie”. Nie zabiję dziecka.

- Rzucasz mi wyzwanie? Chcesz mnie rozzłościć? Ale tam, w Ajfodle, nie byłaś taka skrupulatna.

- Irmasie, nie podoba mi się twój zamysł.

- A mi, bardzo. Nie masz dużego wyboru, Miri. Albo wykonasz, co ci polecam, albo zostaniesz tu - przestał się uśmiechać - tylko teraz, już jako moja branka.

- Jeśli musisz zabić księcia, wyślij Kłocza - z radością spełni każdy nikczemny rozkaz.

- Do niego, jestem przekonany, ale do ciebie nie. Po powrocie z Gojłonu, zachowujesz się dziwnie.

- Co we mnie jest takiego dziwnego?

- Wszystko, Miri. Zjawiłaś się nie wiadomo skąd. Moi ludzie nie zabili cię i nie ograbili, przywieźli do mnie - to już zakrawa na cud. Kto im wpoił, by zostawili cię żywą, Miri? Mówisz w każdym języku, chociaż sama jesteś niby Seltonką. Masz prawdziwą, elfijską zbroję i miecz, których wartość jest chyba wyższa od góry Fuszyro. Takiej broni nie mają nawet wybitni lordowie w Chealadzie. Nie zabrałem ci jej, chociaż mógłbym. Także nie pozwoliłem, by zrobił to Kłocz. A wiesz, dlaczego? Jestem przekonany, że to uzbrojenie trafiło do ciebie nie bez powodu. Mój mag powiedział, że twoja broń ma silną aurę. Na niej, są jakieś czary, ale jakie? Piękna, młoda panna, jest wojownikiem z zaczarowaną bronią, do tego, jakby spadła z nieba - co mogę myśleć o tym wszystkim, Miri? Jesteś wojownikiem, a na twoim uroczym, kuszącym ciele, nie ma ani jednej blizny - dlaczego? Gdzie, kiedy, z kim walczyłaś, kim byli twoi sojusznicy i wrogowie? Nie pamiętałaś nawet swojego imienia, przecież to ja nazwałem cię Mirczel, na cześć swojej ukochanej siostry. Zbliżyłem się do ciebie, pokochałem. Tak - tak, Irmas Uden pokochał cię, bezimienną i nieznaną, chociaż najwybitniejsze damy Chealady marzą, by trafić do jego łoża. Może, to magia, Miri? Być może, nastali cię moi wrogowie? Kim ty w ogóle jesteś? Czy możesz to wyjaśnić?

- Nie pamiętam.  
- Ma się rozumieć. Bogowie pozbawili cię pamięci - tak najwygodniej!  
- Wcześniej, tego nie roztrząsałeś.  
- Wcześniej, byłaś inna. Robiłaś to, co ci kazałem i myślałaś tak, jak tego potrzebowałem. A teraz, po powrocie z Gojtonu, zmieniłaś się. Nie mogę zrozumieć, co się z tobą stało. Nie ufam temu, kogo nie mogę zrozumieć.  
- Irmasie, nawet nie przypuszczałam, że jesteś takim łajdakiem.  
- Sprzykrzyło mi się być chłopcem na posyłki, Miri. Zbrzydła mi służba żalosnemu władcy, który zachował swoje tytuły i życie tylko dzięki mnie. Zasluguję na więcej. Nigdy wcześniej nie miałem szansy, by otrzymać prawdziwą władzę, więc nie przepuszczę jej. Niepewność, tkwi tylko w tobie. Albo jesteś moim sojusznikiem i uczciwie podzielę z tobą laury zwycięstwa, albo jesteś moim wrogiem i będę musiał cię ukarać. Wybór należy do ciebie, Miri.  
- Wcisnąłeś mnie do kąta i żądasz, bym dokonała wyboru? Bardzo po męsku, mój drogi! - czuła, jak opanowuje ją coraz większa wściekłość i strach. - Powinam pomyśleć.  
- Nie ma na to czasu. Słońce jest już wysoko, a dzisiaj musisz udać się w drogę.  
- Zgoda – zrozumiała, że teraz ma tylko jeden cel: za wszelką cenę wydostać się z Dremmerchewenu. – Zgadzam się wleźć w to bagno. W końcu, ten chłopak jest mi obojętny, a ty jednak, uratowałaś mi życie. Tylko nie wyobrażaj sobie, że przestraszyłam się.  
- Nie przyszło mi to do głowy! - powiedział ze śmiechem. - Wiedziałem, że dogadamy się. Nawet nie wyobrażasz, jaki majestat nas czeka! Rzucę do twoich nóg całą Chealadę, Miri. I pamiętaj, że śmierć księcia, całkowicie obciąży sumienie najemników Ajoszy. Dlatego, nie można zostawiać świadków - ale ty o tym wiesz.  
- Wiem. Natychmiast udaję się w drogę.  
- Podsunęłaś mi niezłą myśl - powiedział, nie patrząc na dziewczynę. - Wyślę z tobą Kłocza. Przypilnuje ciebie, i pomoże. We dwoje dacie sobie radę, jestem o tym przekonany.  
- Nie wątpię w to - ruszyła do wyjścia.  
- Miri!  
- Co jeszcze? - zatrzymała się, popatrzyła wyczekująco na Irmasa.  
- Nie chcesz pocałować mnie na pożegnanie?  
- Sam kazałeś mi się śpieszyć.  
- No, z powodu kilku minut sprawa nie ucieknie - podszedł do najemnicy, pokrył zachłannymi pocałunkami jej twarz. - Kocham cię, najdroższa. Nawet nie wyobrażasz, jak bardzo. Gdy ciebie nie ma, tracę rozum. Zaczarowałaś mnie, Miri. Twój Irmas jest szalony. Płonie z namiętności.  
- I wysyła mnie jak najdalej od swoich oczu.  
- Wybacz, ale jestem zmuszony. Nikt lepiej od ciebie nie wykona tej pracy. Nawet Kłocz. Zrób to dla mnie, Miri, a wprowadzę cię na tron... Dlaczego się śmiejesz?  
- Zachowujesz się, jak chłopiec. Obsłiniłeś mi całą szyję. Co z tobą?  
- Nie mogę nad sobą zapanować. W tej zbroi szalenie mnie podniecaasz. Chodźmy, zajmijmy się w końcu miłością. Na drogę. Chcę, żebyś wspominała moje pieczyoty w drodze do Gojtonu.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

## ŁUSKA SMOKA

Dźwięk dzwonu, z dalekiej wieży strażniczej, obwieścił północ. Larin odchylił się na oparcie fotela, zachrząścił stawami palców - od niedawna artretyzm coraz częściej przypominał o sobie. Oczy też sprawują się coraz gorzej. Cóż, od starości nigdzie nie uciekniesz. Pozostaje tylko mieć nadzieję, że bogowie okażą miłosierdzie i śmierć przyjdzie, zanim przekształci się w bezradny wrak.

Rozległo się pukanie do drzwi wejściowych. Pomyślał, że mu się przywidziało, ale po kilku sekundach pukanie powtórzyło się - głośniejsze i bardziej zdecydowane. Zastanawiając się, kogo przyniosło o tak późnej porze, stękając, podniósł się z fotela i szurającym, starczym krokiem, poszedł otworzyć drzwi.

W progu, stał młody Ajdża w ciemnym płaszczu z kapturem. Larin przymrużył niedowidzące oczy, próbując w półmroku dostrzec twarz gościa.

- Boże! – krzyknął zdumiony. - Ty?

- Dobry wieczór, Larinie. Mogę wejść?

- Panie, jeszcze pytasz? - staruszek cofnął się, robiąc gościowi przejście. - Twoja wizyta, to honor dla mnie. Wchodźże!

Nieznajomy wszedł, zdjął płaszcz i powiesił na haczyku przy drzwiach. Gospodarz zaprowadził gościa do swego gabinetu, wyjął z szafki butelkę starego sabejskiego nektaru i dwie gliniane czarki.

- Nic się nie zmieniło w twoim domu - gość z ukłonem przyjął z rąk staruszka czaszę z winem. - Stałość mędrca we wszystkim. Jak dawniej, pracujesz do północy.

- Sabejczycy mają porzekadło: „Czas się zmienia i my zmieniamy się wraz z nim”. Jednak się mylą. Człowiek się nie zmienia, tylko przystosowuje się do świata, albo odrzuca go. Ten świat, który widzę za oknem, nie jest moim światem. Mój dom, to mój wszechświat. Tylko, pracować nocą, stało się łatwiej niż w młodości. Dzięki bezsenności.

- Chciałbym podążyć za twoim przykładem - gość upił łyk wina. - Ale czasem, trzeba zapomnieć o mądrościach i zanurzyć się w brudnych sprawach tego świata.

- Przyszedłeś w konkretnej sprawie, panie?

- Wybacz, że ci przeszkodziłem, potrzebuję pomocy.

- Tobie jest potrzebna moja pomoc? Od kiedy to bogowie zaczynają prosić o pomoc zwykłych śmiertelników?

- Od czasu, kiedy utracili swoją boską moc i nieśmiertelność, Larinie. Szczególnie, kiedy potrzebują rady prawdziwego mędrca.

- Dziękuję za pochlebne słowa. Jeszcze wina?

- Proszę - gość przeciągnął czaszę - interesuje mnie Łuska Smoka.

- Myślę, że niezbyt wiele pomogę. Wiem tylko to, co jest napisane o tym artefakcie w starych sandżyjskich traktatach.

- O tym i ja wiem. Pomyślałem, że może znasz jakieś starodawne legendy, związane z Łuską.

- Przesady ludowe? Nic interesującego - staruszek pokręcił głową. - Mówią, że po raz pierwszy Łuska Smoka została wymieniona w starodawnych kronikach z czasów wojen z Famarami. Niby sam Ariczi, Wielki Burzowy Smok i praojciec sandżów, przybrał postać kowala i wykonał dla imperatora Chimy, zbroję ze swojej łuski. Tylko dzięki jej magicznej mocy, Chimu, w decydującej bitwie, rozgromił Famarów i zniszczył Wielką Łożę famarskich czarowników. Od tamtej pory, zbroja stała się główną relikwią imperatorów Chealady i przechodziła z ojca na syna, póki nie zniknęła bez śladu w czasie rządów imperatora Utaro. Jej zniknięcie stało się przyczyną wszystkich nieszczęść, które potem zwały się na Chealadę.

- Wierzysz, że zbroja zniknęła?

- Jestem Ajdża, panie i niezbyt dobrze znam podania rdzennej ludności. Ale po śmierci Utaro, o zbroi nigdzie się nie wspomina. Słyszałem nawet, że Utaro kazał ją zniszczyć - przecież on u kresu życia uwierzył w nowego boga, Gelesa.

- Myślę, że to nie tak. Zbroja istnieje i trzeba jej szukać w grobowcu.

- W zapiskach Tajeszy nie ma wzmianki o Łusce Smoka, ale to o niczym nie przesądza. Był tylko architektem. Jeśli zbroja Ariczi zachowała się, to może być tylko tam, gdzie spoczywają zwłoki Utaro - powiedział staruszek. – Tylko, jak ją wydostać... Jeszcze nikomu nie udawało się znaleźć wejścia do Grobowca Smoka.

- Dwa dni temu spotkałem człowieka, który próbował tego dokonać. Niejakiego Sakaszy.

- Imię znajome. Liczni go tu znają. Bardzo utalentowany, ale bezpryncypialny, chciwy i ambitny mag. Dziwi tylko, że z takimi zdolnościami, żyje na poziomie ubogich. Pieniądze ma, bo nie gardzi żadnym zajęciem. Podejrzewam, że nie chce ściągać na siebie uwagi i to jest podejrzane. Co ci powiedział, panie?

- Tylko tyle, że próbował przeniknąć do grobowca przez magiczny portal. Ten chłopak wie, że głównym architektem był wielki Tajeszy, dlatego doszedł do właściwego wniosku, że mógł on użyć systemu portali, zamiast prawdziwego wejścia.

- Ciekawe. Udało mu się znaleźć wejście?

- Nie. Zabrakło mu sił. Próbował wykorzystać ognisko mocy w pobliżu Naraino, ale mimo wszystko, skończyło się niepowodzeniem.

- Wykorzystał dawną świątynię famarską? - nawet w półmroku można było dostrzec, że staruszek pobladł. – Czyżby, był szaleńcem?

- Szaleniec albo nie, ale zapoczątkował sprawę. Grobowca nie otworzył, ale Abissalium zostało odblokowane. Rozumiesz teraz, dlaczego musiałem się wmieszać?

- Okropne. Nawet nie wyobrażam sobie następstw takiej lekkomyślności.

- Ciemność ożyła, Larinie. Jest tylko jeden sposób uniknięcia koszmaru – trzeba wydostać przechowywany w grobowcu kamień alchemiczny - Kanwał. Trzeba także zabrać zbroję Ariczi i zrobić wszystko, by trafiła do prawowitego spadkobiercy tronu, księcia Owaro. Tylko Łuska Smoka ochroni go i uczyni niekwestionowanym spadkobiercą tronu. Jestem przekonany, że Sakaszy działał z polecenia Rady Książąt. Zbroja stałaby się decydującym argumentem w walce o władzę. Gdyby trafiła do Todzie, natychmiast proklamowałby się imperatorem, bez liczenia się z domem Edcho - i miałby do tego prawo.

- Rozumiem, panie. Zamierzasz odzyskać zbroję?

- Niestety, Larinie, dobrze wiesz, że nie możemy ingerować w przebieg zdarzeń, bo to prowadzi do nieuchronnego wzmocnienia Zacienionej Strony. Mogę tylko wspomóc szlachetnego w działaniu, by dopełniło się przeznaczenie Losu. To właśnie próbuję zrobić, ale bez większego powodzenia.

- Mówiłeś o pomocy. W czym mogę cię wesprzeć?

- Potrzebne mi są kopie wszystkich tekstów z Grobowca Smoka. Wiem, że je posiadasz. Im prędzej sporządzisz, tym lepiej.

- Skopiować w języku starosandżyjskim, czy przetłumaczyć na ajdżański?

- Na darnacki. Tylko, zrób to szybko.

- Będzie gotowe jutro pod wieczór.

- Dziękuję, Larinie. Możesz mnie nie odprowadzać, znajdę drogę. Nie zapomnij tylko zamknąć za mną drzwi.

Dopił wino, narzucił płaszcz i zniknął za drzwiami. Larin, jeszcze jakiś czas siedział nieruchomo, próbując uświadomić sobie, co się zdarzyło. Po chwili wstał,

dokuśtykał do stołu, dolał oliwy do kaganka i poprawił knot, żeby palił się jaśniej. Małym nożykiem dokładnie zatemperował dwa nowe pióra, zajrzał do kałamarza - był prawie pełny. Po skończonych przygotowaniach, podszedł do szafy z książkami.

Odnalazł potrzebne zwoje - tubus z roboczymi zapiskami Tajeszy, był przywalony innymi książkami. Teraz, nie mógł nawet przypomnieć sobie, kiedy i w jakich okolicznościach trafiły do niego brudnopisy największego maga Chealady. Zbierał książki od ponad czterdziestu lat, kupował wszystkie proponowane przez księgarzy i antykwariuszy. Chętnie płacił każdą cenę za szczególnie rzadkie rękopisy. Miał także cenniejsze książki, niż zapiski Tajeszy - choćby bezcenne farmarskie pergaminy. Ich prawdziwą wartość znał tylko on jeden.

- Sam Mommek chce, bym was przetłumaczył - zwrócił się do zwojów, które trzymał w rękach. - Spróbujemy zrobić to, czego chce Obdarzający Mądrością.

Nie doszedł do fotela - coś uderzyło staruszka w potylicę i jak martwy upadł na stół, przewróciwszy kałamarz i zrzuciwszy lampę na podłogę. Czarny cień przeskoczył przez parapet, za nim ukazał się inny. Zazgrzytało kółko krzesiwa, posypały się iskry i nieznajomy zapalił tajemną latarnię. Wyciągnął z potylicy martwego staruszka malutką, stalową strzałkę, którą przed minutą wystrzelił z dmuchawki. A potem zaczął zbierać rozsypane po podłodze pergaminy.

- To te rękopisy? - szepnął drugi cień.

- Słyszałeś ich rozmowę - odpowiedział pierwszy - staruszek wziął z szafy te zwoje. Uważam, że o nie chodziło. Wracajmy, szybko.

Morderca wsunął pergaminy do torby przy pasie, uderzył latarnią o brzeg stołu i paląca się oliwa pociekła na podłogę. Po tym, czarne postacie wylazły oknem i rozplynęły się w ciemnym zaułku, niczym zjawy.

\*\*\*

Księgarz oddalił się od domu Larina na odległość dwóch kwartałów, kiedy poczuł na sobie uważne i czujne spojrzenie. Ktoś go śledził, najprawdopodobniej, od domu starca. Odwrócił się, ale oświetlona księżycowym blaskiem ulica była pusta. Stał chwilę, i pomaszerował dalej. Po chwili, gwałtownie się odwrócił - i upadł na ziemię.

Dwie strzały uderzyły w mur nad głową. Zerwał się, zacisnął pięści, wysuwając z rękawiczek ostrza ukrytych noży. Rzuciło się na niego trzech ludzi w czerni - dwaj mieli długie i krótkie miecze, trzeci był uzbrojony w cep bojowy.

Odbił skierowane w głowę uderzenie miecza, obrócił się na obcasach, rozstawiając ręce niczym skrzydła. Morderca odskoczył, krzyknął krótko - nóż Księgarza rozciął jego gienzowy kirys i zostawił długą, głęboką ranę na piersi. Drugi zbir skoczył, operując dwoma krótkimi mieczami. Odparował także jego uderzenia, odskoczył i wykrzyknął zakłęcie Pioruna. Błysk białego płomienia był tak jaskrawy, że na chwilę oślepił morderców, a on zdołał wykorzystać ich zaskoczenie. Zerwał wiszącą przy pasie kościaną figurkę-netsuke, wyobrażającą gotowego do skoku lamparta i wykrzykując formułę Wezwania, rzucił na ziemię.

Napastnicy przypuścili kolejny atak i w tym momencie, za ich plecami, rozległ się wściekły ryk. Nocna ciemność przybrała postać rozwścieczonej, czarnej pantery. Zwierzę skoczyło na plecy jednego z najemników, uderzeniem łapy skręciło mu kark i odrzuciwszy ciało, natychmiast napadło na drugiego. Ten próbował bronić się cepem, ale kot okazał się zwinniejszy, wczepił się zębami w nogę i powalił go na ziemię. Księgarz lewą ręką odbił miecz trzeciego mordercy i wsadził mu klingę w brzuch. Najemnik zachrypiał, próbował ostatkiem sił sięgnąć go kłującym uderzeniem, ale

chybił – miecz, tylko wykrzesał iskry ze ściany, o stopę od niego. Kontruderzenie krzywej klingi rozcięło mu gardło: szlochając i niedorzecznie kiwając głową, okręcił się w miejscu i runął w błoto, obryzgując krwią buty i płaszcz Księgarza. Pantera w tym czasie rozprawiła się z ostatnim nikczemnikiem i teraz stała nad ciałem, uderzając o ziemię długim ogonem.

- Wspaniale, Kajuszu – pochwalił, ciężko oddychając. - Jesteś zuchem.

Pantera podeszła bliżej, kocim zwyczajem otarła się głową o nogę Księgarza. Chwilę pieścił zwierzę, potem obejrzał trupy.

- Prawdopodobnie, pozdrowienie od Sakaszy i od Todzie - mruknął. – Niech to lichu, Larin!

Pomknął ulicą, nawet nie schował kling w rękawiczki: pantera, susami pędziła jego śladem. Gdy tylko skręcili za narożnik i zobaczył dom Larina, zrozumiał - śpieszyć już nie ma dokąd. Zobaczył języki ognia w oknach, unoszący się nad dachem czarny dym, prawie zlewający się z nocnym niebem, usłyszał zaniepokojone krzyki. Zrozumiał, że spóźnił się.

- Wybacz mi, staruszkę - powiedział, patrząc na rozpalający się pożar. - Zgubiłem cię.

Pięści rozwarły się same, klingi z prztyczkiem schowały się w rękawy. Pokręcił głową, odwrócił się i pomaszerował wzdłuż ulicy. Pantera bezszelestnie, niczym zjawa, podążała za nim.

\*\*\*

Orselin nigdy wcześniej nie była w Dremmerchewenie. Do miasta przybyła bez szczególnych trudności - straż przy bramie tylko spytała, kim jest i po co przyjechała. Uściwszy należną opłatę, zostawiła konia w gospodzie, przylegającej do muru twierdzy, i poszła do miasta. Czystość i spokój, panujące w Gojłonie sprawiły, że miasto wydało jej się zatłoczone, brudne i hałaśliwe. Nagle zatrzymali ją najemnicy i zaczęli zadawać pytania. Pokazała im pierścień, który otrzymała od neni.

- Doskonale - powiedział dowódca patrolu i odebrał go. - Teraz spływaj, abym cię więcej nie widział.

Tak się przestraszyła, że rzuciła się do ucieczki, nie myśląc, dokąd i po co biegnie. Dopiero na placu ratuszowym trochę oprzytomniała. Od mieszczki w podeszłym wieku dowiedziała się, że hotel „Złoto i lazur” - stoi w pobliżu.

Gospodarz wziął ją za młodzieńca. Nie był zbyt rozmowny, tym bardziej nie miał zamiaru opowiadać o swoich gościach.

- Potrzebny pokój? - powiedział, zmierzwiwszy dziewczynę podejrzliwym spojrzeniem. - Nie? To znikaj stąd, osesku.

- Proszę - położyła na kontuarze srebrną monetę. – Muszę pilnie spotkać się z bratem Steinem.

- Stein, powiadasz? - zręcznie strzepnął monetę z kontuaru – zdaje się, że jest taki chłopak. Zajrzyj na pierwsze piętro, ostatnie drzwi po prawej stronie.

Podziękowała gospodarzowi, na palcach weszła po schodach i odszukała potrzebne drzwi. Musiała stukać dość długo i już pomyślała, że brat Stein dokądś poszedł, ale usłyszała za drzwiami szmer.

- Czego potrzebujesz, przyjacielu? - otwierający drzwi, młody mężczyzna w ciemnej odzieży, obejrzał ją od stóp do głów.

- Brat Stein?

- Tak. A ty, kim jesteś?

- Orselin. Przysłała mnie neni Berenika.

- Ach, to ty! - mężczyzna uśmiechnął się. Zauważyła, że ma miłą twarz, i bardzo przyjazne oczy. – Że też od razu nie domyśliłem się! Pannica, o której mówiła matula. No cóż, zapraszam.

Weszła do pokoju i zatrzymała się. Nie była w stanie zrobić kolejnego kroku. Brat Stein roześmiał się.

- Nie bój się, to Kajusz - powiedział, przywoławszy panterę. - Pocziwiec i bardzo lubi młode dziewczyny. Ale, jeśli się boisz, niech tak będzie - machnął ręką, wypowiedział jakieś zaklęcie i pantera zniknęła, jakby rozplynęła się w powietrzu. - No, po wszystkim, jesteśmy teraz we dwoje.

- Jak ... to zrobiłeś? – zapytała jękając się.

- Trochę magii, kochana. Neni Berenika nie powiedziała ci, że jestem w pewnym sensie magiem?

- Nie.

- Matula często zapomina powiedzieć moim przyjaciołom najważniejsze - uśmiechnął się. – Rozgość się, ślicznotko. Wybacz, ale nie mam czym cię poczęstować.

- Nie jestem głodna - skromnie przysiadła na skraju łóżka. Myśli się plątały i nie wiedziała, o czym mówić z tym człowiekiem. Ale Stein sam określił temat rozmowy.

- Matula mówiła, że pochodzisz z Kram-dinar. Jak ci się udało przeżyć?

Opowiedziała mu o dramatycznych wydarzeniach. Nie przerywał, słuchał uważnie i od czasu do czasu delikatnie kiwał głową, jakby słowa Orselin potwierdzały jakieś jego myśli i domysły.

- To znaczy, że ci jeźdźcy rozmawiali z tobą? - zapytał, kiedy skończyła opowiadać.

- Tak, panie.

- Mów do mnie Stein, albo Księgarz. Będzie mi bardzo miło, jeśli będziesz mówić do mnie - „ty”.

- Jakoś mi niezręcznie.

- Dlaczego? Jestem niewiele starszy od ciebie. W takim przyjacielskim zwrocie, jest ciepło i zaufanie. Dlatego nie krępuj się. Zgoda?

- Dobrze.

- Tak już lepiej. Co ci powiedzieli jeźdźcy?

- Rozmawiał ze mną tylko jeden. Było to coś w rodzaju zalecania się. Ale miał taki dziwny głos, że przestraszyłam się.

- Nic w tym dziwnego. Rozmawiałaś z Famarem.

- Z kim?

- Z Famarem. Kiedyś zaludniali tę wyspę. Potem przyszły plemiona Sandzów i w długiej, krwawej wojnie zwyciężyli Famarów. Teraz, ci zjawili się znów i to jest najgorsze.

- Kim oni są?

- Demonami. Istotami, które łączą w sobie ludzkie i zwierzęce cechy.

- Byli podobni do ludzi.

- Oczywiście. Zewnętrznie nie różnią się od ludzi. Ale to iluzja. Potrafią się maskować, ukrywają prawdziwy wygląd, który można dostrzec tylko przy pomocy magii. Być może, właśnie dzięki umiejętności ukrywania swego oblicza, zdołali przetrwać po niszczycielskich wojnach z Sandżami.

- Straszne - otrząsnęła się - dlaczego mnie nie zabili?

- Tego też nie wiem, Orselin. Mówiąc szczerze, też mnie to bardzo mocno dziwi. Są bezlitosnymi mordercami i bardzo nienawidzą ludzi. Może, po prostu

nasycili się przelaną krwią? Ale najprawdopodobniej, chcieli, żebyś opowiedziała o nich. Przed zdarzeniem w Kram-dinar, nikt nie znał prawdy. Wszyscy w Chealadzie uważają, że pogromy spokojnych rolników w sześciu wioskach na północy kraju, są sprawką maruderów i rabusiów. Famarzy są przekonani, że nikt im nie przeszkodzi w osiągnięciu zamierzeń. I to mnie przeraża.

- A nie możecie ... nie możesz im przeszkodzić?

- Ja? - pokręcił głową. - Jestem tylko wykształconym mnichem. Z Famarami powinien zmierzyć się doskonały wojownik. Wszystko, co mogę zrobić, to spróbować pomóc mu w pokonaniu diabelstwa. Ale najpierw, trzeba go znaleźć.

- To wszystko jest takie skomplikowane - powiedziała w zamyśleniu - chciałabym, żeby ktoś zemścił się za moich przyjaciół, zabitych w Kram-dinarze. Za Ewijel. Za Rejnasa. Za wdowę Rejlu. Ciągłe ich widuję w snach. Czasem żałuję, że nie jestem mężczyzną. Wzięłabym miecz i ...

- Sam miecz nie wystarczy, Orselin. Potrzebne jest doświadczenie – uśmiechnął się. - Mam propozycję. Pójdziemy zjeść obiad. Jestem bardzo głodny i ty, prawdopodobnie, także nie jadłaś. A potem, wyjedziemy z miasta. Masz konia?

- Tak ... Księgarzu.

- Doskonale. Ja nie mam konia, więc będziemy musieli kupić.

- Jestem gotowa - wstała, rozłożyła ręce.

- Chcesz znać prawdę? - uśmiechał się, ale jego oczy, z jakiegoś powodu były smutne. - Biorę cię ze sobą bez większego entuzjazmu. Czeka mnie bardzo niebezpieczna podróż. Śmiertelnie niebezpieczna. Dzisiejszej nocy, omal mnie nie zabili. Gdyby nie Kajusz, nie rozmawialibyśmy ze sobą. A ty, tak łatwo się zgadzasz. Przemyśl to, Orselin. Nie zmuszam cię, możesz zostać w Dremmerchewenie.

- Nie, nie zostanę - zdumiała się twardością swego głosu - pojedę z tobą.

- Tak kazała matula, prawda?

- Tak. Poza tym - chwilę milczała - po prostu nie mam, dokąd iść. Chcę być z tobą.

- Dobrze - westchnął. - Kolejny raz przekonuję się, że matula Berenika zna się na ludziach.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

### KWESTIA ZAUFANIA

Była wściekła, ale opanowała się, by nie nagadać Irmasowi głupstw. Już wiedziała, że straciła zaufanie dowódcy „Jastrzębi”. Rozmowa z Kłoczem, tylko potwierdziła domysły.

- Jedziesz z nami - oświadczył jej Dentysta w podwórzu rezydencji - ale pamiętaj, że oddziałem dowodzę ja. Musisz podporządkować się mi.

- Nawet, jeśli zaczniesz wydawać głupie rozkazy, Kłocz? - niewytrzymała.

- Masz zbyt wysokie mniemanie o sobie, dziewucho - powiedział tonem niewróżącym nic dobrego. - Gdyby nie Irmas, dawno otrzymałabyś to, na co zasługujesz. Wielu naszych chłopców od dawna marzy, by puścić cię po kręgu. A potem, dołączyłbym twoje perłowe ząbki do swojej kolekcji.

- Tak mnie nienawidzisz, Kłocz? - ze złośliwym uśmiechem zapytała dziewczyna.

- Nienawidzę wszystkich bab, a pięknych, zwłaszcza. Nie jesteś wyjątkiem.

Nic dziwnego, pomyślała, uśmiechając się nadal do najemnika. Jesteś tylko brudnym sadystą, zbrojeńcem i psychopatą. Trudno, popatrzę, jak będziesz dowodzić ...

- Pójdę osiodłać konia - powiedziała. - Kiedy wyjeżdżamy?

- Natychmiast. Pójdzie z tobą Wirn, będzie miał cię na oku.

- Mirczel, uwierz, to rozkaz Irmasa - powiedział jej Wirn w stajni. - Jeśli chcesz mojej rady, bądź ostrożniejsza.

- Dlaczego tak myślisz, chłopaku?

- Wydaje mi się, że z jakiegoś powodu popadłaś w niełaskę namiestnika.

- Bzdura! – dała prztyczka w nos młodemu człowiekowi i roześmiała się. - Jestem zbyt dobra w łóżku, żeby Irmas przestał mnie cenić i kochać. A z Kłoczem, nasz dowódca na razie jeszcze nie sypia, chwala Beris. Zobaczysz, jeszcze zmuszę tego brudnego Dentystę do lizania moich butów.

Wirn pokręcił głową. Nie uwierzył. Dziewczyna sama nie wierzyła w to, co mówi, ukrywała strach pod brawurą. Kłocza bali się wszyscy. Bał się go nawet sam Irmas. Najemnicy szeptem opowiadali sobie o przerażającym pokoju tortur, urządzonym przez niego w piwnicy rezydencji. Dostarczano tam nie tylko tych, których Irmas uważał za swoich wrogów – nieraz, do tych piekielnych podziemi, trafiały młodziki dziewczyny i chłopcy, których porwał w mieście. Ten przygarbiony, niemłody już człowiek, z pociągłą, bladą twarzą, siwą szczoteczką wąsów i ponurym spojrzeniem wypukłych, czarnych oczu, był prawdziwym diabelskim pomiotem Ciemności i nie ukrywał sadystycznych skłonności – szczycił się nawet swoim nieludzkim okrucieństwem. Irmas jeszcze ją ochrania, ale co będzie, jeśli ostatecznie nią się rozczaruje? Wtedy ten maniak, otrzyma nad nią pełnię władzy. Starła się o tym nie myśleć. Powoli osiodłała karego ogiera, sprawdziła podkowy, podróżne torby i lekko wskoczyła na siodło.

- Czego stoisz? - zapytała Wirna. - Jedziemy, chłopaki czekają.

Najemnicy już zebrali się na placu. Wcześniej witali ją okrzykami, teraz milczeli i tylko kilku ludzi, przeważnie Seltończyków, powitało ją z dawnym szacunkiem. To był zły znak, ale udała, że to jej wcale nie niepokoi.

- Trzymaj się obok mnie - kazał jej Kłocz. Zmienił zwykłą, wytartą, skórzaną kurtkę i myśliwskie spodnie, na drogą, lakierowaną sandżyjską zbroję. Wielu najemników nosiło podobne. Mirczel pokornie skinęła głową. Kłocz machnął ręką i oddział wyjechał przez otwartą bramę.

Do zmięzchu, pokonali około dwudziestu lig - kawalkada cały czas poruszała się szybkim kłusem. Obóz rozbito w wielkim, klonowym gaju, obok bagniska. Zajęła się swoim koniem, ale po chwili zawołał ją jeden z najemników.

- Idź, Kłocz cię wzywa.

Domyślając się, że jest jeszcze potrzebna osobistemu katowi Irmasa, przekazała konia jednemu z wojowników, a sama skierowała się do namiotu, który został rozbito tylko dla Kłocza. Dentysta leżał na łóżku polowym i dłużył drzazgą w zębach. Weszła do namiotu i zastygła w oczekującym milczeniu.

- Czego stoisz? - burknął. - Usiądź.

Usiadła na beczułce, zastępującej krzesło. Zmierzył ją lodowatym spojrzeniem, milcząc jeszcze przez jakiś czas.

- Irmas zdradził ci swój plan? – zapytał wreszcie.

- Nie na tyle, bym zrozumiała, czego się ode mnie oczekuje.

- Tak myślałem. Nasz dowódca, bardzo cię lubi. Jest przekonany, że powinienem się z tobą niańczyć. Dobrze, słuchaj. Irmas dowiedział się, że księżę

Owaro, ze swoim wujem i półsetką ochroniarzy, udał się dzisiaj w pielgrzymkę do Gojtonu.

- To wiem.

- Słuchaj i nie przerywaj, nie lubię tego. Pojadą najprawdopodobniej starą, imperialną drogą - to najwygodniejsza trasa w kierunku Gojtonu. Jechać będą bez pośpiechu, a to znaczy, że na miejscu księżę będzie mniej więcej za tydzień. Rozłóż mapę na stole.

Rozwinęła leżący przed nią zwitek pergaminu - był to niezwykle prosty plan północnej części Chealady. Natychmiast odnalazła Dremmerchewen, pałac Burzowego Smoka i starą drogę imperialną.

- Masz jakieś pomysły? - zapytał.

- Najpierw, chciałabym wysłuchać twoich.

- Szybko się uczysz, kobieto - przyjrzał się jej uważnie. - To dobrze, że najpierw słuchasz, a potem mówisz. Mam trzy warianty wykonania rozkazów. Pierwszy - urządzimy zasadzkę w pół drogi, między Dremmerchewenem i Gojtonem. Teren lesisty, pełno odpowiednich miejsc.

- Też mi to przyszło do głowy. Ale jak rozumiem, taki plan jest dla ciebie zbyt prosty.

- Chcę, żebyś oceniła jeszcze dwa.

- Jaki jest drugi?

- Podążać za orszakiem księcia do samego Gojtonu. Rozprawić się z nim już na miejscu.

- A sens?

- Ustrzelimy dwa zające. Zlikwidujemy skośnookiego i jednocześnie spalimy ten diabelski klasztor.

- Tak, a trzeci plan?

- Podobny do drugiego. Przyłączymy się do orszaku i pojedziemy z księciem jako ochrona, wysłana przez namiestnika. Zaczekamy do nadejścia nocy i ... - przeprowadził palcem po gardle. - Myślę, że ten najlepszy.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Księżciu towarzyszą elitarni ochroniarze. Nie wiem, jak są bitni, ale jest ich pięćdziesiąt dusz. Otwarta walka, może pochłonąć wiele ofiar. Irmas nie lubi, kiedy giną jego ludzie.

- „Jednak nie chcesz ryzykować swoim tyłkiem, sukinsynu, naprawdę się boisz, że stu pięćdziesięciu twoich łotrów nie poradzi sobie z gwardią księcia” - pomyślała i dodała głośno: - Trzeci plan, rzeczywiście najlepszy. Czyli, jeśli dobrze rozumiem, powinniśmy się spotkać z orszakiem księcia gdzieś w połowie drogi.

- Aha. Za około dwa dni. Oni jadą na południe, a my na wschód. Spójrz na mapę, gdzie najlepiej zaplanować spotkanie.

- Przy siedmiu wodospadach - powiedziała. - To miejsce znajduje się w równej odległości od Dremmerchewenu i od rezydencji księcia.

- Widzę, że zrozumiałaś. W porządku, jesteś wolna - położył się na plecy, zakładając ręce za głowę.

- Nie chcesz mi nic więcej powiedzieć, Kłocz?

- Co masz na myśli?

- Dlaczego Irmas przestał mi ufać?

- A nie pojmujesz? Złamałaś jego rozkaz. Kazał ci się rozprawić z mnichami. Wysłał cię po pieniądze. Wróciłaś z pustymi rękami - ani głów, ani srebra.

- W klasztorze niczego nie było, Kłocz. Nie było też powodu, by zabijać garstkę mnichów i wieśniaków. Nie przyniosłoby to żadnych korzyści.

- Och, Mirczel, jaka z ciebie ... baba! Rzecz nie w srebrze i nie w mnichach, tu chodzi o autorytet „Jastrzębi”. W Chealadzie, każdy powinien sikać w spodnie ze strachu, słysząc o „Jastrzębiach Dremmerchewenu”. A teraz, pójdą słuchy, że ludzie Irmasa Udena potrafią okazywać miłosierdzie. Nie jest to dobre i właśnie to, nie spodobało się Irmasowi.

- Bardzo żałuję, że go zawiodłam - z ironią powiedziała Mirczel. - Postaram się więcej go nie rozczarowywać.

- I mnie też - podniósł głowę. - Wiesz, dlaczego powiedziałem o trzecim planie? Żeby cię uprzedzić. Kiedy przyłączymy się do orszaku, będę miał cię na oku. Jeśli nabiorę jakichkolwiek podejrzeń, nie będę zważać, że jesteś najukochańszym materacem Irmasa. Wypatroszę cię jak dorsza, ale tak, że jeszcze z pół godzinki pożyjesz i zobaczysz, jak smażę na ognisku twoją wątrobkę.

- Serio myślisz, że mnie tym nastraszysz? - uśmiechnęła się. - Jestem wojownikiem i nie boję się ani bólu, ani śmierci. Zachowaj swoje chore fantazje dla dremmercheweńskich wdówek i zapamiętaj, że Irmas jest mądry i chytry. Jesteś pewien, że to ty musisz mnie nadzorować? Irmas, także i mnie dał takie same wskazówki wobec twego tyłka. Zobaczą, że coś kręcisz, albo biegiesz truchtem - odrąbię twój śmierdzący odrostek i przyszyję ci do czoła. Nie miej wątpliwości, że nie dam rady.

Było to kłamstwo, ale dopięła swego - zobaczyła, że w oczach Kłocza przemknęła trwoga. Nawet mu na myśl nie przyszło, że dowódca mógł także jej dać taki sam rozkaz.

- Suka! - zasyczał złośliwie.

- Dobranoc, bohaterze - zatrzymała się przy wyjściu, mrugnęła porozumiewawczo. - Jeśli będą śnić się koszmary, krzycz jak najgłośniej - przybiegnę, uspokoję.

Wyszła z namiotu i zatrzymała się, próbując opanować zdradziecką słabość w kolanach. Rozmowa przestraszyła ją. Dawno nie odczuwała takiego wszechogarniającego, ślepego strachu - i równocześnie, takiej nienawiści.

W swoim namiocie, spróbowała odtworzyć mapę, którą widziała u Kłocza. To pewne, że nikczemnik nie wyjawiał jej swoich prawdziwych zamiarów. Wszystkie trzy warianty likwidacji księcia, są fałszywe. Ma na pewno jeszcze jeden, prawdziwy plan, wymyślony wspólnie z Irmasem, ale nie zdradzi jego szczegółów. Trzeba odgadnąć jego zamiary.

Odłożyła miecze, położyła się na łóżku i zamyśliła się, od czasu do czasu sięgając po flaszkę z winem. Oczywiście, zasadzka jest najprostszym i najwygodniejszym wariantem zamachu - na pierwszy rzut oka. Ochrona księcia składa się z Ajdżów i te dziewice-wojowniczkę znają wojskowe rzemiosło nie gorzej od najemników. Drogę będą rozpoznawać na kilka lig do przodu i urządzić pułapkę nie będzie tak łatwo, można powiedzieć, że niemożliwe. Gwardia księcia posiada doskonałą broń i pokonanie jej, nawet z trzykrotną liczebną przewagą, nie będzie prostym zadaniem. Nie, zasadzki Kłocz nie urządzi. Sam zresztą przyznał, że nie pragnie otwartej walki.

Można założyć, że będzie podążać za księciem do Gojłonu i tam spróbuje go zabić. Ale wtedy również nie uniknie walki z gwardią księcia. Spróbowała w szczegółach przypomnieć drogę do Gojłonu. Sam klasztor zajmuje niewielki obszar. Najemnicy nie będą mogli wykorzystać swojej trzykrotnej przewagi. Do zabudowań prowadzi szeroka, odśnieżona serpentyna, zasadzki w pobliżu nie urządzisz.

Trzeci wariant wydał się najbardziej logiczny, ale i on ma niedociągnięcia. Chyba wuj księcia, lord Kadai, nie ufa na tyle najemnikom, by pozwolił im rozlokować

się w swoim obozie. Irmas trzyma stronę domu Edcho, ale jego reputacja jest nieszczęśliwa. Wuj-regent tym bardziej nie zaufa Kłoczowi. Tylko szalenie wpuścił do domu wściekłego psa.

Przypomniała sobie poranną rozmowę z Irmasem i jego słowa, że Gojton znajduje się akurat na granicy posiadłości Edcho i Ajoszy i, że tu są większe szanse, by pochwycić albo zabić księcia. Powiedział wtedy: „Pamiętaj, że śmierć księcia całkowicie obciąża sumienie Ajoszy”.

Dlaczego wobec tego Kłocz wystroił się w sandżyjską zbroję? Także jego niktzemnicy wyglądają jak Sandżowie. Wcześniej, zamiłowania do zbroi ludu Smoka nie przejawiali. Czekaj, czekaj ...

Z wrażenia, zakotała jej serce. Jeszcze raz przywołała w pamięci plan terenu, usytuowanie Gojtonu. Przypomniała sobie zaznaczone na mapie drogi prowadzące do klasztoru - i wszystko stało się jasne.

Lord Kadał nigdy nie puściłby na pograniczne terytorium jedynej spadkobiercy z oddziałem składającym się z pięćdziesięciu ludzi, nawet, jeśli jest to elitarna gwardia. Musiał zaangażować dodatkową ochronę i oczywiście, zwrócił się do Irmasa o pomoc. A ten ...

A Irmas, zdecydował się wykorzystać w swojej rozgrywce Ajoszy, który dowiedział się o podróży księcia – niewykluczone, że od samego Irmasa. Chyba, że sam lord Kadał jest z nim w zмовie. Kto wie, może wujowi sprzykrzył się siostrzeniec i zamierza osobiście objąć rządy? Przysłana przez namiestnika ochrona nie obroni spadkobiercy przed napastnikami - będzie zgodnie współdziałać z ludźmi Ajoszy. Klasyczne uderzenie sztyłem w plecy.

- Wirn! - krzyknęła.

- Tak, dowódco? - najemnik zajął do jej namiotu.

- Przynieś mi wina, arkusz pergaminu, atrament i pióro. Tylko tak, żeby Kłocz nie widział.

- Chcesz napisać list?

- Nie - odpowiedziała - chcę coś narysować.

\*\*\*

Nic szczególnego nie wydarzyło się drugiego i trzeciego dnia podróży. Oddział nadal posuwał się na południe, podążając leśnymi drogami, omijając wsie i miasteczka. Kłocz więcej nie wzywał Mirczel do siebie i nawet nie żądał, żeby cały czas trzymała się obok niego. Dziewczyna była zadowolona - zawsze był dla niej niemiły, ale teraz, go nienawidziła. Dokładnie skrywała swoje uczucia, starała się zachowywać stoicki spokój. Kiedy ktoś ze służących Kłoczka próbował ją zaczepić, puszczając pod jej adresem nieprzyzwoite dowcipy, w odpowiedzi na jej twarzy pojawiał się tylko pogardliwy grymas. Rozważała swój plan i starała się nie okazywać ciekawości, żeby nie wywoływać niepotrzebnych podejrzeń. Dopiero wieczorem, czwartego dnia podróży, z najbardziej niewinną miną zapytała Kłoczka, gdzie się teraz znajdują.

- A tobie to, po co? - zapytał najemnik.

- Nie mogę się doczekać, by wreszcie zająć się zadaniem. Ciągniesz nas przez las i prawdopodobnie, sam z trudem odnajdujesz drogę.

- Prowadzę, dokąd trzeba. Nie martw się, jesteśmy teraz na północny zachód od Dainackiego Pustkowie. Jutro przed obiadem, zobaczysz siedem wodospadów.

W namiocie wyjęła mapę, którą narysowała z pamięci. Wynikało, że Kłocz tym razem nie skłamał. Powinni teraz być około siedemdziesięciu lig od starej drogi

imperialnej, dokładniej, od tego miejsca, gdzie skręca pod kątem prostym do Gojłonu. Widocznie, tu Kłocz zamierza spotkać się z orszakiem księcia.

Wirn przyniósł gorącą polewkę i chleb. Zjadła i długo leżała na łóżku, rozważając swój plan. Pomysł był ryzykowny, prawie skazany na niepowodzenie, ale innego wyboru nie ma. Jeśli chce przeszkodzić w rozprawieniu się z księciem, musi odrzucić wszelkie wahania. Trzeba działać.

„- A dlaczego tak się przejęłaś losem tego chłopaka? - spytał wewnętrzny głos. - Ten książę Owaro, jest dla ciebie nikim. Należy do Sandzów, ty jesteś Seltonką. Chcesz bawić się w szlachetność? Irmas miał rację, nie wolno ci ufać. Postępujesz głupio i nierozważnie. Uratował ci życie, a ty go zdradzasz. Jakie ma dla ciebie znaczenie, czy chłopak będzie żył, czy umrze? Nikt nie żąda od ciebie podejrzenia mu gardła, z radością uczyni to Kłocz.”

Kłocz ... Przypomniała sobie, co pewnego razu opowiedział jej stary Lenjan. To było jeszcze przez wydarzeniami w Ajfodle. Widział on, jak Kłocz nocą przyprawił do zamku dwóch nastoletników-oberwańców. Potem zniknęli. A po upływie trzech tygodni, Lenjan usłyszał na rynku rozmowę mieszkańców miasta: w dremmercheweńskim kanale znaleziono worek, w którym były porąbane kawałki ciała dwojga dzieci. Wtedy zrozumiała, po co Lenjan opowiedział jej tę historię: stary Seltończyk ostrzegał ją przed Kłoczem. I oto teraz, pomyślała, dziedziczny książę Chealady może dostać się w łapy tego zbrodźcy, mordercy dzieci.

- „Czy ty naprawdę myślisz, że starucha-zakonnica może ci pomóc? - ożył wewnętrzny głos. - Jesteś Mirczel. Dawne życie nie ma żadnego znaczenia. Irmas proponuje ci władzę. Jeśli twój plan nie powiedzie się, umrzesz w męczarniach. Kłocz nie daruje ci lekkiej śmierci. Pomyśl o tym”.

- Już pomyślałam - powiedziała sama do siebie.

Miecze miała za plecami, mapę wsunęła pod kirys. Wyszła z namiotu i skierowała się do urządzonego przez najemników postoju koni, gdzie wśród półtora dziesiątka innych, był przywiązany jej kary ogier Mistral. Obóz pogrążył się w ciszy, tylko kilku wartowników przechadzało się między jasno płonącymi ogniskami.

Koń powitał ją życzliwym fyrkaniem i natychmiast wbił mordę w jej rękę, szukając zwyczajowego poczęstunku.

- Wybacz, przyjacielu - szepnęła. - Muszę zrobić ci krzywdę. Pomóż mi!

Rozglądając się, szybko odwiązała powód od uwięzi, skrzesała iskrę na kawałeczek hubki i tlejącą się wsunęła ogierowi w ucho. Potem szybko wróciła do namiotu i zamarła w oczekiwaniu.

Mistral zarżał tak dziko, że aż się wzdrygnęła. Wyskoczyła z namiotu i zobaczyła, że wściekający się z bólu ogier szaleje po obozie, przewracając ludzi, a spłoszone konie rozbiegają się w różne strony, wzmagając popłoch.

- Trwoga! – rozległy się natychmiast dziesiątki głosów. - Trwoga!

Nie zwlekając, rzuciła się w kierunku najbliższych drzew. Ktoś zagroził jej drogę, groźnie krzyknął - uderzyła go pięścią w twarz, przewróciła na trawę, wbiegła w gęstwinę krzaków i zaczęła się przez nie przedzierać, łamiąc gałęzie. Pędziła jak najdalej od obozu, nie wybierając drogi, w ciemności, nie myśląc o tym, że może połamać nogi o powalone drzewa albo wpaść do dołu. Potem, gąszcz nagle się skończył i znalazła się na wielkiej polanie. Nie słyszała już krzyków i rżenia koni. Chwilę odsapnęła i pobiegła przez las, oddalając się coraz bardziej od obozu.

Biegła całą noc. Robiła krótkie przerwy na odpoczynek, sprawdzała mapę i biegła dalej. O świcie dotarła do małej rzeczki, weszła do wody nie zdejmując zbroi, zmyła z siebie kurz i pot, i napiła się. Nogi paliły, ale strach przed pościgiem zmuszał

do dalszego biegu. Teraz, kiedy nad wierzchołkami drzew pojawiło się słońce, mogła pewniej kierować się na południowy wschód, do starej drogi imperialnej.

Kiedy w lesie zrobiło się całkiem widno, jeszcze raz zdecydowała się na odpoczynek. Siły ją prawie opuściły - przez noc przebiegła nie mniej niż dziesięć lig. Ból rozsadzał klatkę piersiową, nogi drżały, niczym u zagonionego konia. Piekły otarcia i zadrapania od gałęzi i kolców. Była tak zmęczona, że obawiała się utraty świadomości. Mogła już tylko iść wolnym krokiem - mięśnie nóg chwyciły skurcze, gdy tylko próbowała biegnąć. Ale od obozu Kłocza znacznie się oddaliła. Z mapy wynikało, że do starej drogi imperialnej zostało około ligi.

Jej uwagę przyciągnęły wrony. Nad lasem krążyło całe stado i krakanie bardzo się nie spodobało uciekinierce. Pomyślała o pościgu. Kłocz nie jest durniem, na pewno zorientował się, w którą stronę mogła pobiec. W duchu nazwała siebie głupią - nie powinna była biec na południe, lepiej, gdyby zatoczyła koło. Dobrze chociaż, że Kłocz nie ma psów ...

Szybko wdrapała się na niewysoką, kamienistą skarpę, biegnącą przez las, porośniętą brzozią, rzadkim sośniakiem i krzakami. Tu, chwilę odpoczęła, napiła się z manierki i jeszcze raz przeanalizowała dalszą trasę. Teraz, droga powinna być tuż przed nią. Trzeba znaleźć miejsce, skąd będzie ją widziała i czekać, aż ukaże się orszak księcia. Poza tym, w tych skałach nietrudno będzie znaleźć dobrą kryjówkę.

Teraz, kiedy gorączka ucieczki opadła, poczuła się senna. Przeszła jeszcze kilkaset łokci po grzbiecie skarpy i nagle usłyszała przerażający dźwięk. Było to rżenie konia, dobiegające z przodu.

Przyłgnęła do ziemi w wąwozie między wielkimi głazami, wciskając się w omszałe kamienie. Około stu łokci przed nią, spośród drzew, wynurzyły się jakieś postacie. Rozpoznała najemników. W jednej chwili ogarnęła ją rozpacz – jednak Kłocz ją dogonił. Ale potem, gdy dokładniej im się przyjrzała, zrozumiała, że to nie są ludzie Irmasa.

- Ajoszy! - wyszeptała.

Jeźdźcy, parami, bez pośpiechu przemieszczali się wzdłuż grzbietu długą kolumną. Było ich około setki. Zauważyła, że niektórzy są ranni, wielu miało odzież w ciemnych plamach. Nawet z takiej odległości czuła mocny zapach żywicy, dymu, dziegciu, końskiego i ludzkiego potu. Przechodzący grzbietem stoku oddział, z pewnością był ostatnio w poważnych opałach - obok jeźdźców, ponuro wlokły się osiodłane konie z czarnymi, lśniącymi zaciekami na siodłach i czaprakach. Takich osieroconych wierzchowców, były dziesiątki. Ludzie nie wyglądali na przygnębionych, jak to bywa zazwyczaj z tymi, którzy przeżyli porażkę. Śmiali się, gestykulowali, coś mówili do siebie - nie mogła dosłyszeć słów, ale domyślała się, że najemnicy dzielą się ze sobą wrażeniami z niedawnej potyczki. Poczuła ucisk serca, gdy uświadomiła sobie, kim są i w jakim starciu brali udział.

I dlaczego krąży tyle kruków?

Oddział przejechał obok i zrobiło się cicho. Długo jeszcze leżała na kamieniach, przysłuchując się napełniającym las dźwiękom, potem podjęła decyzję. Szybko zeszła ze stoku i ruszyła na południe, śladami zostawionymi przez wojowników Ajoszy, które wyprowadziły ją wprost na drogę.

Splószone kruki i wrony, chmarą wzbiły się w niebo, kracząc z rozdrażnieniem. Rozejrzała się. Krwawa utarczka odbyła się niedawno, krew jeszcze nie zdążyła poczernieć. Trupów było bardzo dużo - dziesiątki. Zabici byli najemnikami, ale dojrzała wśród nich także ciała obnażonych kobiet ze strasznymi, ziejącymi ranami, odrąbanymi kończynami, z niektórych wypadły wnętrzności. Niektóre, miały od ucha do ucha przecięte gardła - tych rannych, dobili już po walce.

Domyśliła się, że to trupy strażniczek księcia, z których najemnicy zdjęli zbroje i drogą odzież, zabrali broń. W przydrożnym rowie dopalał się przewrócony furgon. Jeszcze jeden, cały podziurawiony strzałami, powoli i bez celu ciągnęły za sobą dwa, cudem ocalałe z rzezi konie. Za nim, ciągnęła się krwawa ścieżka. Najemnica zatrzymała go, zajrzała pod tent - na workach i pudłach z zapasami, leżeli martwi służący. Przekraczając ludzkie i końskie trupy, kałuże krwi, doszła do porzuconej na drodze wspaniałej lektyki, dosłownie przywalonej martwymi ciałami. Rozegrała się tu najgorętsza walka, ochroniarki-Ajdży do końca broniły księcia. Ale nie udało się go ocalić: dostrzegła w stercie zakrwawionych, porąbanych ciał, pozbawiony głowy trup chłopca, w przesyconych krwią jedwabnych szatach. Jeszcze jedno ciało, bez głowy, należało do silnego mężczyzny: nieboszczyk leżał obok chłopca i nadal ścisnął w dłoni złamany przy samej gardzie miecz. Mordercy, zabrali głowy ze sobą. Nachyliła się, odszukała wśród resztek zniszczonej broni ułamane ostrze miecza, przeczytała na klindze imię właściciela: „Mistrz Cui, dla lorda Kadai”. Wuj-regent zginął w walce, próbując uratować siostrzeńca, ale nie powiodło się to.

Ona także się spóźniła.

Teraz, może zrobić tylko jedno - spotkać się z Bereniką i uprzedzić o niebezpieczeństwie. Teraz ma konia, a do Gojłonu, już niedaleko. Może, chociaż tu zdąży na czas.

\*\*\*

Zer Giłan, gwałtownie otworzył oczy. Jeszcze niedawno, dookoła buszował piekielny płomień - i oto, zniknął. Przy łóżku stał służący.

- Oczekuje cię gospodarz, zer - zakomunikował. – Pośpiesz się.

Podniósł się z pomiętej pościeli, wytarł zlaną potem twarz i szyję. Narzucił lekką tunikę, włożył spodnie i buty. Służący poprowadził go nie do laboratorium, ale do mieszkalnych pomieszczeń Malchai.

Mag stał przy ogromnym palenisku i patrzył na żarzące się węgle, na których leżała zwęglona, ludzka czaszka.

- Spełniło się, synku - powiedział - krew Smoka została przelana. Czuję jej zapach, wyczuwam tę mistyczną siłę, którą mi daje. Smok stracił swoją krew, a to znaczy, że zniknęła jeszcze jedna przeszkoda na naszej drodze.

- Krew Smoka? - popatrzył na ojca - mówiłeś, że to ja powinienem dokonać ofiarowania.

- Wszystko w porządku. Teraz możemy zakończyć dzieło, które zapoczątkowałem dawno temu. Już wkrótce kamień Kanwału, będzie w naszych rękach, synku.

- Co mam zrobić?

- Przygotować się. Jedziemy po kamień.

- My?

- Tak, Giłanie. Nadszedł mój czas. Osobiście stanę na czele Jeźdźców. Beze mnie, nie uda się wam wejść do grobowca Utaro. Kiedy go zdobędziemy i złożymy ostatnią ofiarę, otworzę Abissalium. Uwolnię Odwiecznego i podbijemy tę ziemię. Ty i twoi bracia, zostaniecie pierwszymi kapłanami Wielkiej Łoży, odrodzonej po tysiącleciach.

- Mówiłeś, że zostanę królem Chealady.

- Oczywiście, synku. Odziedziczysz tę ziemię po mnie.

Giłan opuścił głowę. Zrozumiał, co chciał powiedzieć ojciec.

- Kiedy wyruszamy?  
- Jak tylko przejdzie Burza. Pierwsze zdarzenie z trzech przepowiedzianych, już spełniło się: przy końcu czasów została przelana krew potomka Smoka. Oko Śmierci zobaczyło, a Głos Śmierci szepnął mi, że Smok jest martwy. Na dwa następne zdarzenia musimy poczekać: Burzę Czterech Żywiółów i połączenie linii Ełliła i Gorgona w głowie Lwa. Dopiero wówczas, zawładniemy sercem Przeobrażenia. Nic nie możemy więcej zrobić, Giłanie. Nie powinniśmy się śpieszyć z ofiarowaniem, chociaż wszystko jest przygotowane.  
- Zrozumiałem, ojcze. Rozkazuj, wszystko wykonam.  
- Jestem szczęśliwy, Giłanie - oczy Malchai zapłonęły drapieżnym, purpurowym blaskiem. - Zobaczyłem dzień, w którym została unicestwiona przeklęta dynastia Ariczy. Teraz, nic nas nie powstrzyma. Zabiorę Utaro siódme serce Odwiecznego i nie będzie w stanie mi się sprzeciwić.  
- Utaro? Ostatni imperator Lindze? Umarł przecież dwieście lat temu.  
- Tak myślisz? - uśmiechnął się Malchai. - Przeklęty Sandża znalazł sposób na oszukanie śmierci. Ale teraz nie jest już straszny. Przelana krew Smoka pozbawiła go siły.  
- Chcesz mi jeszcze coś powiedzieć?  
- Nie. Zawołałem cię tylko po to, by podzielić się swoją wielką radością. Idź, odpoczywaj, synku.  
Giłan wrócił do dusznej sypialni, rozebrał się, położył na wilgotnym prześcieradle. Długo leżał nieruchomo, przysłuchując się nienaturalnej ciszy, napętlającej podziemia Durbałły. A potem, spłynął na niego sen. Znów wokół płonęły języki ognia, ogromna, wymalowywana czaszka patrzyła z ciemności pustymi oczodołami, a on, trzymał w ręce miecz pomazany krwią.  
A w drugiej - ścisnął imperatorskie berło, w którym pulsowało purpurowe serce Odwiecznego.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

### WOLA LOSU

Chłopiec wszedł do pokoju powoli, ale bez najmniejszego wahania. Przywitała go Neni Berenika, życzliwie uśmiechając się.  
- Chciałem rozmawiać z tobą, neni - powiedział.  
- Wiedziałaś, że przyjedziesz, mój książę - odpowiedziała przeorysza. - Postąpiłaś nieroztropnie, ale jestem zadowolona, że tak się stało. Witaj w Gojłonie.  
- Dlaczego uważasz, że postąpiłem nieroztropnie?  
- Zbyt wielu chce twojej krzywdy, mój książę. Rozumieją, że przyszłość tej nieszczęsnej ziemi zależy od ciebie. Jesteś odważnym chłopcem. Tylko nieliczni zaryzykowałiby podjęcie tak niebezpiecznej podróży z tuzinem obstawy.  
- Miałem wielką świtę - powiedział, patrząc na przeoryszę ciemnymi, spokojnymi oczyma. - Ale, kiedy do Gojłonu został dzień drogi, wuj wysłał mnie w dalszą drogę, a sam został z orszakiem. Będzie czekać na mój powrót.  
- Twój wuj, to mądry człowiek. O czym chciałeś rozmawiać ze mną, książę Owaro?  
- Mogę usiąść? - zapytał. Neni Berenika uśmiechnęła się, wzięła chłopca za rękę i podprowadziła do swojego fotela.

- Chciałem zobaczyć Gojton i opowiedzieć ci mój sen - powiedział, usadowiwszy się w fotelu. - Śniłem go w zeszłym tygodniu i przeraziłem się.

- Sny często bywają złudne. Nie trzeba im wierzyć. Ale, jestem gotowa wysłuchać. Opowiedz mi go.

- To był bardzo dziwny sen. Przyśniło mi się, że stałem się białym jagnięciem. Było ze mną jeszcze sześć jagniąt. Bawiliśmy się na trawniku przed pałacem. Ale potem zobaczyłem, że one umarty, jedno po drugim. Ktoś pochwycił mnie i niósł do wielkiego kamienia, żeby złożyć w ofierze. Widziałem ciemnego olbrzyma z lodową głową i z krzywymi nożami w rękach. Szedł wprost na mnie, buchając z paszczy czerwonym płomieniem. Obudziłem się przerażony.

- Bardzo dobrze zapamiętałeś swój sen. - Berenika spojrzała w czarne oczy chłopca i zobaczyła w nich powracający strach.

- Rzadko mi się śnią koszmary, neni. Zwykle, widzę mój pałac. Albo, że latam nad górami - to najprzyjemniejsze sny, bardzo je lubię.

- Przestraszyłeś się tego olbrzyma?

- Nie boję snów - chłopiec pokręcił głową - ale ten był straszny. Nawet zawołałem swoją Ajdżę, żeby posiedziała w mojej sypialni.

- I dlatego przyjechałeś do Gojtonu?

- Tak. Chciałem spotkać się z tobą. Wiem, że jesteś bardzo mądra i posiadasz wielką moc.

- Kto powiedział ci o tym?

- Mój służący Madeo. On wierzy w Gelesa i wszystkim mówi, że jesteś święta. Że możesz obronić każdego człowieka, który zwróci się do ciebie o pomoc.

- Tak mówi?

- Tak. Wiem, że mój naród cię bardzo lubi. Zwłaszcza Ajdżowie. Madeo mówi, że w niektórych rodzinach nawet modlą się do twoich wizerunków.

- Nie mają racji - uśmiechnęła się Berenika - jestem po prostu starą kobietą i nie mam żadnej czarodziejskiej mocy. Ale to nieważne. Uspokój się, księżę. Twój sen jest bez znaczenia. Nie ma wielkoludów z lodową głową i ognistą paszczą. I nie możesz zostać jagnięciem. Jesteś chłopcem i pewnego dnia staniesz się dorosłym mężczyzną i władcą tego kraju.

- Mówisz prawdę? - twarz chłopca rozjaśniła się.

- Najprawdziwszą prawdę.

- To znaczy, że mogę wracać do swego pałacu?

- Oczywiście, księżę. Tylko na twoim miejscu, trochę odpoczęłabym. Nie chcesz u mnie pobyc?

- Wuj powiedział, żebym się nie zatrzymywał - księżę podrapał się w koniuszek nosa. - A co mi możesz pokazać?

- Nasz ogród. Także świątynię Gelesa.

- Z przyjemnością obejrzałbym świątynię.

- Wobec tego, chodźmy. Opowiem ci o Gelesie i jego sługach. Chyba, to cię interesuje?

- Interesują mnie przede wszystkim opowiadania o bohaterach - oświadczył - jeśli bóg Geles ma swoich wojowników, możesz opowiedzieć mi o nich.

- Geles ma wielu służących. Wojownicy i mnisi, uczeni i rolnicy, rzemieślnicy i rybacy, uzdrowiciele i ubodzy. Wielu nawet nie podejrzewa, że słoneczne oko Gelesa patrzy na nich. Jest bardzo wybredny w wyborze służących. Nigdy nie uczyni złego człowieka swoim narzędziem - na chwilę zamilkła, by złapać oddech. - No co, pójdziemy do świątyni?

Książę pozwolił się wziąć za rękę, powoli i godnie wyszli z części mieszkalnej na podwórze. Tu oczekiwała kapitan Krispiła ze swoimi wojowniczkami.

- Pobłogosław, neni - postąpiła krok w stronę Bereniki i uklękła przed nią. Pozostałe Ajdzy, widząc to, także pochyliły się przed przeoryszą.

- Widzisz, one ciebie czczą - szepnęła książę - nie oszukiwałem.

- Tak naprawdę, one pochyliły się przed wielkością Gelesa - szeptem odpowiedziała neni i mrugnęła porozumiewawczo do chłopca.

Świątynia nie spodobała się księciu. Wewnątrz było biednie, ciemno i pusto, a on spodziewał się niesłychanej wspaniałości. W kaplicy jego pałacu było pięknie i tajemniczo. Rosły tam niezwykle drzewa, przezroczysta woda w świętym stawie odbijała niebo i dzwoniły melodyjnie połączone dzwonki, kiedy nadlatywał wiatr. Obejrzał świątynię i wykrzyknął zdziwiony:

- Tu jest bardzo biednie!

- Geles nie potrzebuje złota i srebra - powiedziała Berenika - to złudne skarby. On szuka prawdziwego złota.

- Co nazywasz prawdziwym złotem, neni?

- Dobro. Światło. Miłość.

- Trudno mi to zrozumieć - odpowiedział - ale wierzę, że Geles jest bardzo dobry. Jak się poprawnie do niego modlić?

- Najważniejsze, by słowa modlitwy płynęły z serca. Szczerze go poproś, to cię usłyszysz.

- Tak po prostu? - zdziwił się. - Kiedy chcę pomodlić się do przodków, czynią to za mnie kapłani. Mówią, że potrafią rozmawiać z duchami i przodkami.

- To bardzo możliwe. Ale Geles nie potrzebuje kapłanów. On lubi, kiedy człowiek rozmawia z nim osobiście.

- Dlaczego?

- Ponieważ, tak mu się bardziej podoba.

- Wobec tego, do czego jesteście potrzebni wy, mnisi?

- Żeby pomagać ludziom znaleźć drogę do jego ołtarza.

- Prawdopodobnie, dobrze zrobiłem, że tu przyjechałem - powiedział - o co mam poprosić Boga?

- Nie wiem, mój książę. Poproś go o najważniejsze. O to, czego najbardziej pragniesz na świecie.

- Nie - książę nagle cofnął się, pokręcił głową. - Nie zostanę. To jest upokarzające. Jestem księciem i powinienem sam wszystko osiągać. Nie powinienem o nic prosić.

- Dlaczego tak myślisz? - Berenika była zadziwiana.

- Jestem księciem. Nie mnichem, nie wojownikiem, nie rolnikiem. Wuj Kadai mówi, że książęta stoją wyżej od śmiertelnych ludzi. Geles przestanie mnie szanować, jeśli będę prosić o to, co mogę osiągnąć sam.

- Mały pyszałek! - uśmiechnęła się przeorysza. - Cóż, jeśli chcesz, pomodlę się za ciebie. Poproszę go, żeby pomógł ci zostać prawdziwym imperatorem.

- Dobrze, tylko nie teraz. Czas wracać do wuja.

- Jak sobie życzysz.

Pierwszy wyszedł ze świątyni. Ajdza podprowadziła cętkowanego konika, na którym tu przybył. Ochrona już czekała w siodłach na rozkaz wyjazdu.

- Chcę cię zaprosić do swojego pałacu - powiedział, podając przeoryszy rękę.

- U mnie jest pięknie, ciepło i bez przeciągów, nie tak jak w twoim klasztorze. Obiecuj, że przyjedziesz do mnie w gościnę.

- Oczywiście, mój książę.

Skinął łaskawie przeoryszy, podszedł do konia - i nagle obrócił się do Bereniki. Oczy jego radośnie zabłyśły.

- Wiem, o co dla mnie poprosisz Gelesa! - wykrzyknął. - Niech uczyni tak, żebym posiadał najlepszy w świecie miecz. Lepszy niż moi Ajdżowie. Lepszy niż wuj. Poprosisz?

- Na pewno, mój książę.

- Uwaga! - krzyknęła Krispiła.

Wojowniczką Ajdży razem wyrwały klingi, ustawiły się żywą zaporą między księciem i samotnym jeźdźcem, wyłaniającym się zza zakrętu drogi. Gnał konia szalonym galopem, jakby uciekał przed pościgiem. Zgodnie z rozkazem Krispiły, ruszyły obcemu naprzeciw.

Jeździec zatrzymał się we wrotach klasztoru. Zeskoczył z konia i pobiegł naprzeciw ochrony, jakby starał się szybciej trafić na ich miecze. Krispiła mocno się zdziwiła: jeźdźcem okazała się młoda, jasnowłosa kobieta, do tego w bardzo drogiej i niezwyklej zbroi.

- Stój! - krzyknęła, podnosząc miecz - ani kroku dalej!

Zatrzymała się, a po sekundzie, już spokojnym krokiem, skierowała się w stronę ochrony księcia. Krispiła klepnęła konia, wyjechała naprzeciw nieznanemu.

- Stać! - krzyknęła teraz w języku sandżyjskim.

- Chcę widzieć neni Berenikę - powiedziała kobieta - mam złe wieści.

- Kim jesteś?

- Mirczel, Krwawa Dziewica z Dremmerchewenu.

- Mirczel Lodowata Krew? – zdziwiła się Krispiła - słyszałam o tobie. Służysz dowódcy Irmasowi Udenowi. Czego tu szukasz?

- Książę Owaro został zabity. Ludzie Ajoszy napadli na orszak księcia na starej drodze imperialnej i wszystkich zabili.

- Kłamiesz! - wrzasnęła Krispiła - książę jest żywy.

- Widziałam ciało księcia. Najemnicy zabrali jego głowę, jako trofeum. Lord Kadai też został zabity. Ochrona, służba, wszyscy są martwi. - Podeszła bliżej do oszołomionej Krispiły. - Widzę, że jesteś ochroniarzem-Ajdżą. Nie masz po co wracać. Drogi patrolują oddziały najemników. Zabiją was ... - I w tym momencie zacięła się. Zobaczyła dwunastoletniego chłopca, w prostej, jasnej odzieży, stojącego nie opodal i z ciekawością przyglądającego się jej. Obok niego stała neni Berenika i patrzyła, tym zadziwiającym spojrzeniem, które zapamiętała z pierwszego spotkania w Gojtonie.

- I oto, jesteśmy wszyscy - powiedziała Berenika, przerywając napięte milczenie. – Los, zebrał nas razem. Nadszedł czas, by każdy wykonał to, co zostało mu przeznaczone z góry.

\*\*\*

Kłocz powoli obchodził ciała zabitych, zaglądając w ich zastygłe twarze i półprzymknięte oczy. La Ber, któremu Dentysta kazał jechać za sobą, ze wstrętem pomyślał, że Kłocz ze szczególną przyjemnością przygląda się martwym wojowniczkom-Ajdży - podoba mu się ich bezradna, śmiertelna nagość. Pozostali najemnicy wyglądali na rozczarowanych: ludzie Ajoszy, którzy wymordowali orszak, zabrali wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość.

- Była tu niezła rzeźnia - zauważył Kłocz, mówiąc bardziej do siebie, niż do La Bera. – Ominęła nas świetna zabawa.

- Kłocz! – dało się słyszeć kilka głosów – tu jest książę!

Dentysta czubkiem buta stoczył z pobocza drogi do rowu ciało pięknej, jasnowłosej Ajdzy, z ciętą raną na piersi i, założywszy za plecami ręce, pomaszerował do gromadzących się przy porzuconej lektyce najemników. Ci rozstąpili się, przepuszczając go do kręgu.

- To on, książę - powiedział Lenjan, pokazując Kłoczowi ciało chłopca.

- Hm! - Dentysta podrapał się po nasadzie nosa, kucnął obok trupa. - Dowódca Leors, zdecydował zabrać głowę, jako dowód. Niewielka strata. Zawieziemy Irmasowi bezgłowego księcia. I wujaszek też pozbył się swojej mądrej głowy. Jaka szkoda i jaki sukces!

- Lorda Kadai też weźmiemy ze sobą? - zapytał Lenjan.

- Oczywiście. Przecież nie zostawię wybitnego Edcho na tej drodze, jako żer dla wron. Trzeba zachować pogrzebowe konwenanse. Wszystko przejrzelście w lektyce? Papiery, pieniądze, prezenty dla starej kwoki w Gojłonie?

- Nic tam nie ma - odpowiedział jeden z najemników. - Tylko torebka z cukierkami. Przekłęci Ajoszy, nawet obicie z nosidła zdarli.

- Z cukierkami? - Kłocz drgnął - z jakimi cukierkami?

- Z mordoklejkami - beztróska odpowiedział najemnik. - No, tymi, które z lukrecji robią.

- Książę nie lubił słodczy - powoli powiedział Kłocz i ponurym spojrzeniem obrzucił cichnących najemników. - Ano, rozstąpcie się, obejrzą trupa!

- Coś nie tak, Kłocz? - zapytał Lenjan.

- Możliwe - chwycił martwe ciało chłopca za kołnierz tuniki, szarpnął. Mocny jedwab nie poddał się i Kłocz, klnąc, wyjął sztylet. - Irmas mówił, że książę Owaro nad prawym obojczykiem ma trzy duże pieprzyki, rozmieszczone w równoboczny trójkąt. Popatrzmy, sprawdzimy ...

Po chwili, udało się rozciąć nasączony zaschniętą krwią jedwab. Tkanina odkleiła się od ciała, obnażając prawe ramię chłopca. Podano manierkę z wodą, by mógł zmyć krew.

- Przysięgam na Rundę! - wyrwało się Kłoczowi - to nie książę! Żadnego trójkąta z pieprzyków.

- Sobowtór - domyślił się Lenjan.

- Sandżyjska swołocz! - Kłocz, w przyływie wściekłości, kopnął ciało Kadai. - Ten stary pies wszystkich oszukał. Owinął nas wokół palca, jak ostatnich głupków. Książę żyje. Ludzie Leorsa zabili sobowtóra.

- To raczej niemożliwe - niepewnie powiedział La Ber, patrząc na zabitego. - Irmas mógł pomylić się co do znamienia.

- Nie mógł, zważ, że książę dorastał na jego oczach - ze złością splunął na martwe dziecko. - Kadai, okazał się mądrzejszy od nas wszystkich. Mądrzejszy od Irmasa i degeneratów z domu Ajoszy. Podstawił, od samego początku, jakiegoś osieroczonego wyrodka. Albo też, ktoś ich uprzedził.

- Mirczel? - przypuścił Lenjan.

- Nie sądzę - zgrzytnął zębami. - Ta zdzira nie zdążyłaby się spotkać z Kadai, zanim zjawili się tu chłopaczyska Leorsa. Bez konia, za nic by nie zdążyła. Idę o zakład, że sobowtór był z nimi od wyjazdu z pałacu, Kadai przeczuwał podstęp. Usiedliśmy w kałuży na całego. Ale wystarczy domysłów, trzeba szukać księcia.

- To nie najlepszy pomysł, Kłocz - powiedział Lenjan. - Księcia mogło nie być w orszaku.

- Jestem prostym żołnierzem, przyjacielu, ale nie idiotą. Irmas powiedział, że wyjazd do Gojłonu był pomysłem księcia. Czy myślisz, że pozostał w pałacu Górskiego Smoka, a jego sobowtór podróżuje? Nie, chłopaki, przysięgam na jelita

Tarałły, że księżę był w orszaku. Kwisz - zwrócił się do rosnącego, brodatego norringczyka w kolczudze - weź trzydziestu ludzi i pędź na północ, w stronę Dremmerchewenu. Przetrzęsij każdą wieś, szukaj chłopaka. Jeśli znajdziesz, przywieź go do mnie. Lenjan, a ty, mknij na południe. Dogoń Leorsa i postaraj się wyjaśnić, czy widzieli jeszcze jednego chłopaka w orszaku. Może zabrali kogoś ze sobą żywcem? Trzydziestu ludzi niech jedzie z tobą. Tylko niczego nie opowiadajcie o księciu. Po prostu, zapytajcie o chłopaka. Pozostali, pojedą ze mną do Gojłonu. Trzeba przyjrzeć się świętoszkom i zorientować się, czy Kadai nie wysłał chłopaka pod ich skrzydełka. Spotkamy się przy Siedmiu Wodospadach. Tą suką, Mirczel, zajmijmy się potem. Nie ma dokąd uciec - otarł dłonią spocone czoło. - Wcześniej czy później, zrobię z niej stracha na wróble.

\*\*\*

Długo patrzyli na siebie: Mirczel ze zdumieniem, Berenika - ze spokojnym oczekiwaniem. Wreszcie, najemnica głośno westchnęła.

- Jednak, księżę żyje?

- Jak widzisz - Berenika podeszła do wojowniczkki, wzięła ją za rękę. – Widzę, że się cieszysz, córeczko?

- Ja ... Nic nie rozumiem – obrzuciła spojrzeniem otaczające ją kobiety Ajdzy, z mieczami w dłoniach. – To, naprawdę księżę Owaro?

- Tak, to ja - powiedział godnie. - Oddaj swoje miecze moim ochroniarzom i nie myśl o sprzeciwianiu się. Nie chcę twojej śmierci, ale moje miłosierdzie ma granice.

- Proszę zaczekać - Berenika zwróciła się do księcia. - Ta dziewczyna nie jest twoim wrogiem, mój księżę. Sam Geles przyprowadził ją tu, by nam pomogła.

- Powiedziała, że mój wuj został zabity. Ojdcze też jest martwy. Skąd wie o tym, jeśli nie była razem z mordercami?

- Ojdcze? - nie zrozumiała Mirczel.

- Chłopiec, podobny do mnie. Bardzo mi żal, że go zabito. Wypełnił swój obowiązek, jak wierny sługa - z godnością popatrzył na najemnicę - widziałaś mojego wuja?

- Tak, księżę. On też nie żyje. Poznałam go tylko po mieczu, który ścisnął w dłoni. Mordercy odrąbali mu głowę i zabrali ze sobą.

- Ciocia Rana będzie płakać, ale pocieszę ją. Mój wuj zginął jak wojownik. Zawsze marzył o takiej śmierci.

Mirczel pokiwała głową: dorosły mężczyzna mógłby pozazdrościć temu dziecku opanowania.

- Oddaj broń - rozkazała Krispiła, kierując ostrze miecza w jej stronę.

- Dobrze - rzuciła na ziemię najpierw tangi, potem prosty półtorak - Neni Berenika powiedziała prawdę, nie chcę nikomu z was szkodzić.

- Masz nieciekawą reputację - powiedziała Krispiła i dała znak jednej z wojowniczek, by podniosła broń. - Nie ufam ci.

- Proszę uwierzyć w to, co powiem. W stronę Gojłonu zmierza oddział najemników dowódcy Irmasa. Mają rozkaz znaleźć i zabić księcia.

- Kłamiesz - powiedziała Krispiła - Irmas Uden, to wierny służący domu Edcho.

- Być może. Ale osobiście dał mi rozkaz zabicia księcia Owaro. Z całym szacunkiem dla ciebie, kapitanie, wypełniłabym go, gdybym tylko zechciała. Twoje podwładne, nie zdołałyby mi przeszkodzić.

- Dlaczego złałaś rozkaz Irmasa?

- Ponieważ, nie chcę śmierci Owaro.

- Po co w ogóle przyjechałaś tu?

- Żeby porozmawiać z matką Bereniką. Tylko po to.

- O czym chciałaś porozmawiać ze mną, córeczko? - zapytała przeorysza.

- O mnie. Kiedy byłam tu poprzednio, ty ... Odkryłaś coś przede mną. Jestem pewna, że możesz mi o tym opowiedzieć. To bardzo ważnego dla mnie. Cały czas myślałam o widzeniach, które tu miałam, o tobie. Proszę cię, żebyś mi pomogła.

- A ja, przez wszystkie te dni czekałam, kiedy powrócisz - powiedziała Berenika. - Uwierz, dla mnie najważniejsze, że sama szukałaś ze mną kontaktu. Chodźmy. O wielu sprawach powinnyśmy porozmawiać.

- Chcesz rozmawiać z tą kobietą w świątyni? - zapytał Owaro przeoryszę.

- Tak, mój książe. To jest bardzo ważne. A ciebie, proszę, byś chwilę poczekał.. Poczekaasz, prawda?

- Tak - jeśli sobie życzysz.

- Bardzo dobrze - podniosła na wojowniczkę swoje przenikliwe, błękitne oczy.

- Chodź za mną, córeczko. Geles czeka na nas.

Ruszyła śladem zakonnicy, czując na sobie uważne spojrzenia ochrony. W świątyni nic się nie zmieniło od dnia jej ostatniego pobytu, tylko teraz talerz i filiżanka na ołtarzu były puste, a świece, były zgaszone. Berenika stanęła przy nim, ciężko dysząc, dała znak najemnicy, by podeszła bliżej.

- Mogłabym po prostu z tobą porozmawiać – powiedziała. - Opowiedzieć wszystko, co wiem o tobie - a wiem niemało, uwierz mi. Wiem, kim jesteś. Wiem, jak i dlaczego znalazłaś się w tych stronach. Ale słowa, to jedno, a uczucia, to zupełnie co innego. A oprócz tego, na długą rozmowę, po prostu nie mamy czasu.

- Możesz powiedzieć, co się ze mną zdarzyło?

- Musiałaś przejść przez Zacienione Przejście, córeczko. Cień, który otworzył bramę do naszego świata, nie był w stanie cię zabić, ale zdołał zmienić. Twoja dusza jest otulona Opieką Cienia. Uwolnić od niej ciebie może tylko oczyszczenie bólem. Męczysz się, ponieważ nie możesz przypomnieć sobie najprostszych rzeczy – kim jesteś, skąd pochodzisz, co wydarzyło się w twoim życiu - Berenika uśmiechnęła się.

- Mówią, że są ludzie, którzy mogą przypomnieć sobie to, co było w ich poprzednim życiu. Bardzo często, takie wspomnienia, mogą wstrząsnąć naszą duszą. Oczyszczyć ją i nawet uwolnić od dolegliwości albo wad.

- Czy jest to możliwe?

- Pewnego razu widziałam, jak przywrócili do zdrowia sparaliżowanego. Uzdrowiciel nie poił go cudownymi ziołami, nie odmawiał nad nim zaklęć, nie obwieszał chorego magicznymi talizmanami. Po prostu, powiedział nieszczęśliwemu paralitykowi to, co ten najbardziej chciał usłyszeć.

- Co, mianowicie?

- Osiem lat wcześniej, ten człowiek, wtedy jeszcze zdrowy i w pełni sił, udał się w morską podróż z Dremmerchewenu do Ergaloty. Była przy nim jego młoda żona, którą bardzo kochał. W drodze, statek napotkał sztorm i osiadł na mieliźnie. Kapitan przesadził pasażerów do szalup - najpierw kobiety i dzieci, potem, do pozostałych łodzi, mężczyzn - i zaczęto wiosłować do brzegu, ale sztorm porzucił łodzie po morzu. Człowiek, o którym mówię, jako jeden z pierwszych znalazł się na brzegu, ale mocno się martwił o żonę i rozpytywał wszystkich o nią. Potem, jeden z marynarzy powiedział mu, że widział, jak fala przewróciła dwie łodzie i wszyscy, którzy w nich byli, utonęli. Człowiek, słysząc to, stracił świadomość, a kiedy oprzytomniał, nie mógł

chodzić – nastąpił paraliż nóg. W takim stanie przeżył osiem lat i nikt nie mógł go wyleczyć, póki nie spotkał prawdziwego uzdrowiciela.

- Co takiego powiedział choremu znachor?

- Tylko jedną frazę: „Twoja żona żyje”. Wstrząs był tak wielki, że chory zerwał się na nogi i paraliż ustąpił. Po pewnym czasie wydobrał na tyle, że odnalazł swoją żonę - ona rzeczywiście przeżyła burzę i przez wszystkie lata, żyła w niewielkiej, seltońskiej osadzie rybackiej.

- Dlaczego mi to opowiadasz?

- Ponieważ, jesteś podobna do tego chorego. Opieka Cienia sparaliżowała cię, co prawda, nie ciało, a twoje wspomnienia. Straciłaś pamięć po tym, jak przeszłaś przez Zacienione Przejście.

- Nie pamiętam tego.

- Oczywiście. Zacienione Przejście, jest podobne do Wrót Śmierci. Dla zwykłego człowieka, wejście w nie jest równoznaczne ze śmiercią. Ale ty, jesteś niezwykłą kobietą. Na tobie spoczywa błogosławieństwo Zapomnianych Bogów, a Ich dary, ochroniły cię. Cień nie był w stanie cię zabić, ale pozbawił wspomnień. Jak cię nazywają, córeczko?

- Mirczel. Przecież znasz moje imię, neni.

- Jesteś pewna, że to twoje prawdziwe imię?

- N-nie. Irmas powiedział, że nazwał mnie tak, na cześć swojej siostry.

- Więc widzisz. Chciałabyś przypomnieć sobie, kim jesteś i jakie masz imię, nadane ci przez rodziców?

- Możesz to uczynić dla mnie? - Mirczel zadrżała cała. - Proszę cię, matulu, pomóż mi! Poprzednim razem rozmawiała tu ze mną inna kobieta. Była podobna do strzępu mgły, do zjawy. Ale miała zadziwiająco ciepły głos. To nie byłaś ty, prawda?

- Nie. Ta kobieta miała większe prawo do rozmowy z tobą, niż ja. Ale postaram się ci pomóc. Połóż się na ołtarzu i weź mnie za rękę.

Mirczel ścisnęła cienkie, kościste palce przeoryszy w swoich, poczuła, że serce zaczyna bić szybko i mocno, niby w przeczuciu czegoś nieprawdopodobnego. Pokornie położyła się na zimnym kamieniu, wyciągnęła się na całą długość. Berenika dotknęła jej czoła złożonymi jak do błogosławieństwa palcami drugiej ręki, powiedziała śpiewnie:

- Taj nera ełaj, mae Geles awatar!

Mirczel zobaczyła, jak biały baranek, którego posąg Gelesa trzymał tuż nad jej głową, rozplątał się w puszystą, białą chmurkę i zaczął opuszczać się wprost na nią. Głęboko westchnęła - i serce zatrzymało się. Biała mgła wchłonęła ją w siebie i z nieprawdopodobną szybkością poniosła do góry, nad szczytami otaczających Gojton szaroniebieskich, zaśnieżonych gór, w bezdenny błękit, tak samo głęboki i czysty, jak oczy neni Bereniki.

## **ROZDZIAŁ DZIESIĄTY**

### **POWRÓT**

Pierwsze odczucie - to wrażenie lotu. Z zadziwiającą szybkością unosi się z dna ciemnej, pustej studni, aż trafia na światło - oślepiające, złudno-białe, pochłaniające wszystkie kolory. A potem, z tego oślepiającego blasku, zaczynają wyłaniać się zarysy przedmiotów. Ogromne, wyższe od niej, złociste kwiaty o ostrym zapachu. Powoli obracające się na brzegu rzeki koło młyńskie. Drewniane domy o dwuspadowych dachach. Ludzie, którzy przechodzą obok, są jacyś dziwni,

ogromnego wzrostu. Patrzy na nich z dołu, a oni uśmiechają się. A potem, podnoszą ją czyjeś ręce - i światło blednie.

Dalej, niczym we śnie. Zmieniają się twarze, miejsca, głosy, dźwięki, raz ciemność, raz światło, jakby dzień i noc podmieniały siebie na krótką chwilę. I tylko jedna twarz jest możliwa do zapamiętania, ponieważ cały czas ją widzi w różnych miejscach i sytuacjach - ciemnowłosa kobieta, z ciemnymi, błyszczącymi i bardzo żywymi oczyma. Ta kobieta ubiera ją, karmi łyżką, prowadzi za rękę przez kwitnące pole, zaplata warkocz, coś pieszczotliwie szepcze jej do ucha, smaruje uzdrawiającą maścią rozbite kolano. Widzi jej dłonie, palce i zauważa, że kobieta na małym palcu prawej ręki nie ma paznokcia.

Światło, ciemność, znów światło. Pogodny, wiosenny wieczór, przestronna izba ustrojona wiankami i wstążkami. Dookoła odświętnie ubrani, uśmiechnięci ludzie. Dziewczyny w haftowanych tunikach i z kwiatami w rękach, mężczyźni w nowych kamizelkach. Jasnowłosa i błękitnooki młodzieniec z uśmiechem podaje jej czaszę. Aromat napoju odurza. Bierze ją, upija łyk i rozgląda się po bokach. Wydaje jej się, że czuje upajający smak warg młodzieńca, na brzegu pucharu. Ludzie uśmiechają się, coś krzyczą do niej, machają rękami. Jeszcze raz chce popatrzeć na urodziwego młodzieńca: w jego oczach, spojrzeniu, uśmiechu, jest coś takiego, że słodycz kładzie się na sercu i policzki zaczynają palić, jak w gorączce. Ktoś zabiera od niej czaszę - to ta sama kobieta, którą widziała wcześniej. Ale teraz, już z przyprószonymi siwizną włosami i zadziwiającymi, głębokiej mądrości oczyma.

- Bądź szczęśliwa, córeczko! - mówi kobieta i na jej policzkach błyszczą łzy.

Znów światło, spalające czas. Straszne uczucie upadku. Ból. Nieznośny, nieokreślony, rozrywający ciało na kawałki. Krzyczy, ale ból jej nie opuszcza. Czy nikt jej nie słyszy? Czy nikt nie ulży jej w cierpieniu? A potem, wydaje się, że rozdarto ją na pół i po chwili, nawet przez własny krzyk słyszy ten dziwny dźwięk - jakby miauczenie, kaszel, czy też pisk. Pochyliła się nad nią uśmiechnięta twarz - na czole tej kobiety błyszczą drobne kropelki potu.

- Ciesz się, Lejdo - mówi kobieta - wielka Beris wysłała ci zdrową dziewczynkę.

Pokazują jej jakąś brzydką istotę, podobną do odartego ze skóry jagnięcia, pokrytą śluzem z krwawymi żyłkami, z pomarszczoną, zmęczoną twarzyczką, ogromną głową i wykrzywionymi ustami. Nie chce patrzeć na tego małego potwora, sprawiającego jej taki ból - ale z jakiegoś powodu czuje spokój i zadowolenie, jakby dokonała czegoś nieprawdopodobnie ważnego, nadającego sens życia każdej kobiecie.

Błysk, ciemność. Noc, kłęby czarnego dymu, języki buszującego ognia liżą ciemne niebo. Ogromny stos pogrzebowy rozsiewa taki żar, że odsuwa się od niego, osłaniając rękami. Płacze, ale nikt nie słyszy jej łkania - wszystko zagłusza uroczysty ryk purpurowego płomienia, pożerającego wyniszczone chorobą ciała. Zna wielu z tych, którzy teraz leżą na tym stosie. Byli jej przyjaciółmi z dzieciństwa, gośćmi na jej ślubie, sąsiadami, po prostu znajomymi. Wydawało się, że zawsze będą obok niej, ale dzuma postanowiła inaczej. Leży tu jej najlepsza przyjaciółka Mirel. Babka, która powiedziała jej o urodzeniu córeczki Elei. Wuj, rodzona siostra jej męża i jej pięcioletni syn. I obok nich - kobieta, która nie miała paznokcia na małym palcu prawej ręki.

- MAMAAAAAAA! - krzyczy, ale ryk płomienia wszystko zagłusza ...

Błysk, purpurowa zasłona, drgające cienie na ścianach z bali. Na łóżku, przed nią, leżą dwa zawinięte w białe, grube płótna, ciała - duże, męskie i malutkie, ośmiomiesięcznego dziecka. Księżyc w pełni zagląda do okna i okrywa złudną bielą

ich zastygłe twarze. Stoi obok, w jednej ręce trzyma palącą się pochodnię, w drugiej – szmacianego misia, którego sama uszyła dla córeczki. Teraz, jest nikomu niepotrzebny. Wypłakała wszystkie łzy. Cienie czołgają się po wymarłym domu i wydaje się, że słyszy świszczący szept samej Nekrian:

- Czemu zwlekasz? Oni nie żyją i cudu nie będzie. Żegnaj się szybciej, nie zmuszaj, bym czekała ...

Przystawia żagiew do polanej oliwą sterty słomy w kącie domu. Ta, zapala się z donośnym kłaśnięciem. Rzuca w rozpalający się płomień osieroczonego misia i wychodzi z domu. Płomień tańczy w oknach, zaczyna wydobywać się na zewnątrz, obejmuje dach. Obojętnie obserwuje, jak pali się jej dom i tylko po pewnym czasie zauważa zbierających się ludzi. Patrzą na nią ze strachem. Widzą w niej wcielenie śmierci, posłankę Nekrian, tę, której oddech albo dotknięcie może zarazić dżumą. Boją się. Ale, oni są jej obojętni. Buszujący płomień obejmuje dom, zapada się dach, wyrzuciwszy w nocne niebo słup iskier i wtedy, odwraca się, i odchodzi z rodzinnego miasta. Na zawsze - tak, jak odchodzą umarli ze świata żywych. Wszystko, co może zabrać ze sobą, to własne nieszczęście, pamięć o ukochanych i pukiel włosów zmarłej córeczki.

Błysk. Ciemność. Znow oślepiające światło. W oczach, fioletowe kręgi. W ustach, metaliczny smak krwi. Nadgarstki związane skórzanym rzemieniem, siedzi w cuchnącym dole, pełnym nieczystości. Potem silne ręce chwytają ją, wyciągają z dołu. Dokądś wloką ją smagli, brodaci mężczyźni w śmierdzących burnusach. Od czasu do czasu biją - pięściami, nogami, kolczastymi gałęziami. Zrywają resztki odzieży, układają na jakimś koźle, na brzuchu, przywiązują pasami za nogi i ręce. Próbuje sprzeciwić się, krzyczy - duszą ją włosianym sznurem, prawie traci przytomność. A dalej, jeden za drugim, gwałcą ją - ze śmiechem, z zachęcającymi okrzykami. Zaciska zęby, żeby nie krzycheć z bólu, obrzydzenia, bezsilności. Kątem oka widzi, że z boku stoi grupka kobiet o kamiennych twarzach. Żony tych, którzy teraz ją gwałcą, gorącym i cuchnącym oddechem owiewają jej plecy. Stoją spokojne, zaciekawione. A potem słyszy zgodne, rytmiczne klaskanie: kobiety biją brawo w takt ruchów kolejnego gwałciciela ...

Ciemność, światło, znow ciemność. Wczesny, słoneczny poranek. Rynek w Darnacie. Drewniany pomost z niskimi poręczami, a dookoła niego - ludzie. Wielu ludzi, sami mężczyźni. Stoi na pomoście całkiem naga. Ręce przykute łańcuchem do długiej kłody, leżącej na skraju pomostu. Obok, inni niewolnicy: ciemnowłosa kobieta z obojętną twarzą, nastolatki obojga płci, posiwiałe mężczyźni z bliznami na całym ciele.

- Hej, proszę, nie skąpcie! - krzyczy handlarz niewolników do tłumu. - Patrzycie, jaka dziewczyna! Prawdziwy kwiat. Jaka pierś, jakie nogi, jaki tyłek! Po prostu, rasowa klacz, a nie dziewczyna. I to wszystkiego za osiemdziesiąt sakkarów.

- Żartujesz, Eszmer – krzyczy ktoś z tłumu. - Za osiemdziesiąt sakkarów, będę popychać wszystkie darnackie dziwki przez cały rok. A ty za jedną żądasz tyle! To północne ścierwo jest warte dwadzieścia złotych!

- Człowieku, bój się gniewu Igierabała! - woła handlarz, próbując przekrzyknąć drwiący śmiech, okrążających pomost mężczyzn. - Dwadzieścia sakkarów kosztuje zwykły osioł, a nie taka wyjątkowa ślicznotka. Siedemdziesiąt pięć sakkarów, w imię Igierabała opuszczę pięć złotych.

- Zduńnięś, handlarzu! - dobrze ubrany mężczyzna, z czarną brodą, pogardliwie splunął pod nogi. - Siedemdziesiąt pięć sakkarów za babę? Gdyby jeszcze była dziewicą, może by uszło, ale przecież ją mieli wszyscy, którzy się nie lenili - czy nie mam racji?

- Ta padlina, nie jest tyle warta - podchwytuje inny - śpij z nią sam, to ci prosiaki urodzi.

- Ta północna krowa, za rok stanie się gruba i leniwa - dodał jeszcze jeden nabywca. - Miałem seltońską nałożnicę. Te mieszkanki północy są zbyt zimne, nie umieją dogodzić mężczyźnie. Trzydzieści sakkarów, to ostatnia cena.

- Jawny rozbój! Ukarze was wszystkich Kua, przekłęci sknerzy. Przetrzyjcie swoje bezwstydne oczy i popatrzycie na tę dziewczynę. Za taką ślicznotkę dajecie trzydzieści żalonych sakkarów? Niech dosięgnie was dżuma, trąd i syfilis!

- Żebyś sam zdechł od dżumy, synu osła! Pluję na ciebie. Sam spójrz, ta dziewczucha ma takie złe oczy. Zadzga swojego gospodarza we śnie, albo sobie poderżnie gardło.

Patrzą na nią dziesiątki ludzi, a ona z nienawiścią i pogardą odwzajemnia ich spojrzenia. Jest gotowa zabić każdego, bo oglądają ją jak zwierzę, targują się, opluwają i poniżają. Ale ma skute ręce, a czarna, ślepa wściekłość w jej duszy, tylko zaćmiewa oczy i grozi apopleksją.

- O, byście wszyscy byli przekłęci! - krzyczy handlarz - pięćdziesiąt sakkarów! Wszystkiego pięćdziesiąt sakkarów za dziewczuchę! I niech mnie żywcem zeżrą robaki, jeśli zrzucę z tej ceny chociaż jeden kawasz.

Staruszek w skórzanej tunice przeciska się w tłumie, podchodzi do pomostu i patrzy na Kastę. Ta, chce ukryć się przed jego spojrzeniem, ale wszystko, co może zrobić - to włożyć w swoje spojrzenie całą nienawiść, jaką czuje do tego człowieka i do wszystkich ludzi.

- Podchodzi mi ta żmija - mówi staruszek - pięćdziesiąt sakkarów, mówisz? Biorę. Wyślij dziewczynę do Dużego Cyrku, tam ci oddam pieniądze.

Odchodzi, jeszcze raz spojrzawszy na nią. Handlarz daje znak pomocnikowi i ten zdejmuje z jej rąk łańcuch. Na plecy narzucają okrycie. Wszystko, co teraz czuje, to niewymowną ulgę, dlatego, że hańba się skończyła.

I niewymowny wstyd, dlatego, że ją kupili.

Ciemność, błysk, jaskrawe światło. Ogromny amfiteatr, falujący niczym morze. Stoi na arenie i widzi twarze publiczności, spojrzenia pełne krwiożerczego zachwytu, rozpalonego przedsmakiem śmierci i cierpienia. Po chwili, w przeciwległym wyjściu na arenę pojawia się jej przeciwnik. Dostrzega, że to Farak. Współplemieniec tych, którzy bili, drwili z niej, sprzedali handlarzowi niewolników. Być może, był jednym z tych, który gwałcił ją z aprobującymi oklaskami swojej żony. Ogarnia ją nienawiść, nigdy jeszcze tak nie pragnęła czyjejś śmierci. Idzie do przodu z taką wściekłością, że przeciwnik z trudem powstrzymuje atak. Brodata fizjonomia zniekształca się strachem, widzi nawet kropelki potu na jego czole, zauważa, jak rozszerzyły mu się źrenice. Próbuje osłonić się krótkim mieczem, ale ona naciera, przyciskając go do ściany. Wybity uderzeniem buławy miecz, wylatuje z ręki przeciwnika, z rozkoszą zadaje nowe uderzenie w ramię wroga, łamiąc kość. Farak z krzykiem pada na kolana, w jego oczach pojawia się przerażenie i błaganie o litość. Ponownie wymachuje buławą, łamie mu drugą rękę, gruchoce żebra, potem bije wyżej, celując w brodatą fizjonomię, żałując, że może zabić tego gnoja tylko jeden raz. Rozlega się trzask rozbitej kości, przeciwnik, niczym worek pada do jej nóg. Trybuny cichną, obserwując, jak rozbija w drobny mak głowę pokonanego. Któryś z widzów, zaczyna wymiotować wprost pod nogi sąsiadom. Rzuca na piasek zakrwawioną buławę, kopie okaleczone ciało i odchodzi z areny. Na trybunach zapada milczenie. Już za Bramą Zwycięzców słyszy, jak amfiteatr wybuchają oklaskami i tysiące gardeł wykrzykują jej imię:

- Kas-ta! Kas-ta!

Kasta? Dlaczego oni wołają Kasta? Mama nazywała ją Lejdą. Aha, przecież sama nadała sobie to imię, ponieważ wydawało jej się, że Lejda też umarła. Że jej serce przekształciło się w popiół, podobnie, jak ciała ukochanych ...

Po tym wszystkim, co się zdarzyło, niegodna jest nosić imię, którym nazywali ją ci, których kochała.

- Widziałam, jak to robiłaś - słyszy szept Nekrian - byłaś szczęśliwa, kiedy zabijałaś.

- Tak, byłam szczęśliwa - mówi, nie odwracając się. Nie chce spotkać się spojrzeniem z boginią Wiecznego Spokoju. - Będę zabijać jeszcze i jeszcze.

- Mądra decyzja - szeleści nieludzki głos. - Teraz zawsze będę obok ciebie ...

Ciemność. Oślepiające światło. Czarna sylweta zbliża się do niej z purpurowo-szkarłatnego blasku. To Ork. Blady, zlany krwią z otwartych ran pokrywających ciało. Martwe oczy zwrócone na nią, bezkrwiste wargi ściągnięte w strasznym, zastygłym uśmiechu.

- Szenaj-eszgan-roch-ammar-denna! - szepcze zjawa.

Drży cała, rozwiera pięść. Na dłoni, niepozorny kamień z dziurką, przekształca się w sześciokątny, bursztynowy amulet.

- Zapomniani czekać na ciebie! - szepcze.

Znów, to straszne uczucie spadania, a potem purpurowa mgła.

- Wiem, ty jesteś jednym z Zapomnianych. Nazywasz się Kelis, ale twoje prawdziwe imię, Angusz, bóg księżycy. Ty mi możesz wszystko wyjaśnić.

- Co ci powiedział Ajlor?

- Że nie jestem Kastą. Potraktował mnie jak mężczyznę.

- Ajlor się nie pomylił. Twoje zacienione odbicie jest mężczyzną.

- Nie rozumiem.

- Dwadzieścia dwa lata temu, w dawnej stolicy Niny, Erie-Dalor, urodziła się dziewczynka imieniem Margiana. Dziecko poczęte z nienaturalnego związku demona Zacienionej Strony i śmiertelnej kobiety. Pólczłowiek - półdemon. Szarańscy magowie Czaszy, dawnego zakonu, stworzonego jeszcze podczas epoki Szu, osiągnęli swój cel - urzeczywistnili pierwsze ze złowieszczych prorocत्व o powrocie cesarstwa Zacienionego Władcy. Ale w tym samym czasie, kiedy Margiana stała się ziemskim wcieleniem Cienia, urodziło się jeszcze dwoje dzieci - dziewczynka i chłopiec. Urzeczywistniło się to, co zapisane zostało w Tabelach Losów: strony, Jasna i Zacieniona, zrównoważyły się. Niemowlęta, urodzone w noc spełnienia prorocत्व, zostały naznaczone łaską Zapomnianych, przeciwstawiających się Zacienionej Stronie od dnia, kiedy był stworzony świat. I łaska ta – to odbicie Cienia. W momencie narodzin, bogini-matka Najnawa, swoją mocą zamieniła dusze dzieci. Męska dusza znalazła się w ciele dziewczynki, żeńska - w ciele chłopca. Jest w tym głęboki sens: Oko Cienia nie mogło zobaczyć wyglądu dziecka w naszym świecie i wyrzucić mu krzywdy. Dziewczynka, o której mówię - to ty, Kasta. Zapomniani, obserwowali cię od momentu, kiedy w doryjskim mieście Aloria, twoi rodzice podzielili łożę, marząc o tym, żeby ta noc miłości, przyniosła im dziecko.

- Urodziłam się w Cerunii!

- Ale poczęto cię w Alorii. Twój ojciec, Rekser-wojownik był seltońskim najemnikiem w armii ówczesnego władcy Dorii, Foskanosa. W Alorii poznał twoją matkę Challanę. Na krótko przed twoim urodzeniem, kontrakt Reksera wygasł i oboje z żoną wrócili do Cerunii.

- To prawda, moich rodziców nazywali właśnie tak. A chłopiec, kto to taki?

- To wnuk stratega Artawisa, syn jego córki Chrissi i Leonisa, sławnego wojownika. Nazywa się Leodan.

- Wielka Beris! Jednego Leodana znam. Nic niewarty, zniewieściałny niewolnik, zdatny tylko do podawania nocnika.

- Tym niemniej, on jest właśnie tym dzieckiem, które urodziło się o jednej godzinie z tobą. Rozpalająca się w Dorii wojna, zmusiła jego rodziców do ucieczki z kraju. Galera, którą płynęli, została zdobyta przez sabejskich piratów. Leonis został zabity, jego ciężarną żonę, sabejczycy sprzedali handlarzowi niewolników w Petarii, a ten odsprzedał ją darnackiemu bogaczowi Uzmajowi. W taki sposób, Chrissi trafiła do Darnatu i Leodan urodził się w domu Uzmaja. Nadszedł dzień i Tabele Losów przyprowadziły cię też do Darnatu. Wasze drogi znów się spotkały.

- Teraz rozumiem, dlaczego kobieta-doryjka mówiła o jakiejś Chrissi. Wszystko, o czym mówisz, Kelis, jest po prostu nieprawdopodobne.

- Jednak prawdziwe. To był jedyny sposób, by ukryć przyszłego wojownika przed okiem Cienia. Twoja przewaga polega na tym, że Cień nie może ciebie znaleźć: do pewnego czasu, jesteś niewidoczna dla niego. Tym, którzy służą Zacienionej Stronie w realnym świecie, nawet do głowy nie przychodzi, że wojownikiem Zapomnianych, którego tak się boją, jest kobieta.

- Poczekaj, Kelis, jeśli jestem Leodanem, to, jak to możliwe, że pokochałam Ajlora, urodziłam dziecko?

- Masz ciało kobiety. W świecie cielesnym, ono podporządkowuje sobie duszę. Żyłaś więc w pełnej harmonii ze swoim ciałem. Póki twoi bliscy żyli, nie podejrzewałaś nawet, kim tak naprawdę jesteś. Przeżyte cierpienia i nieszczęścia, zmieniły cię. Zmieniły twoje ciało i twoją duszę. Prawdziwa dusza, żyjąca w ciele Kasty, jest duszą wojownika Leodana i coraz bardziej się uzewnętrznia. To, że zdołałaś wypełnić moje polecenia, jeszcze raz to potwierdza.

- Ale ja tego nie chcę, Kelisie! Chcę pozostać kobietą. Przyzwyczyłam się, że jestem Kastą.

- Jesteś Lejdą. Przypomnij sobie, że zmieniłaś się. Śmierć twoich najbliższych zmusiła Lejdę, by stała się Kastą. Teraz, twój los, żąda kolejnej zmiany. Nie bój się, pozostaniesz sobą. Ale musisz iść tą drogą, która w Tabelach Losów była przeznaczona utajonemu władcy Sabei i Dorii - Leodanowi. Wojownikowi, który zdoła przeciwstawić się potędze Szeranu i zatrzymać powrót Zacienionego Przeróżenia.

- Co mam teraz robić?

- Iść na spotkanie oczekującej cię burzy. Poradzisz sobie. Już nieraz zaglądałaś śmierci w twarz, więc twoja przyszłość nie przerazi cię.

- A co z Ajlorem i Eleą? Wydaje mi się, że utraciłam ich na zawsze.

- Tak ci się tylko wydaje. Spotkasz się z nimi. Nie w tym życiu, ale spotkasz ich i oni cię poznają, będą radować się tobą. Uwierz, tak będzie. A teraz idź. Drogę powrotną, znajdziesz bez mojej pomocy.

- Odprowadzić cię? - szepcze Nekrian.

- Nie, nie trzeba. Angusz powiedział, że to nie jest śmierć. Powiedział, że jestem żywa.

- Miła moja! Umierałaś już tyle razy, że będzie ci trudno odróżnić życie od śmierci.

- Powinnam zrobić wszystko tak, jak powiedział Angusz, pani. Nie chcę ponownie utracić Ajlora i Elei.

- Wobec tego, idź - szeleści głos z zaświatów - po prostu chciałam cię poznać. Twój duch jest twardy i to mi się podoba. Idź. Będę cię obserwować, Kasto.

Czy już się wszystko skończyło?

- Jeszcze nie!

Sidka, w skórzanym, myśliwskim stroju i zielonym, aksamitnym kapturze, wychodzi z drgającego purpurą blasku i zbliża się do niej.

- Dzisiaj udowodniłaś, że jesteś godna swojej sławy, Lejdo Eleo Kasto – zwróciła się do niej. - Przyjdzie dzień, kiedy o tej bitwie będą układać pieśni na całej północy.

- Nic nie zrobiłam dla zwycięstwa - sprzeciwia się - to zasługa tej dziewczynki. Zatrzymała stwora, który zabił La Mara. Obudziła siłę, która zniszczyła wampiry.

- Masz rację. Z wampirami w Mennarachanie skończone, ale Przejście jest nadal aktywne. Wiesz, co musisz zrobić, Seltonko.

- Oczywiście. Tylko, jeszcze jedną minutę, Ennid.

Kasta klęka koło ciała La Mara, obejmuje i całuje Wiołę, z trudem powstrzymując łzy. A potem, podporządkowując się nieoczekiwanemu i niezrozumiałemu porywowi serca, ściąga z szyi bursztynowy amulet i przyciska do piersi La Mara. Bogowie, modli się w duchu, jeśli słyszycie mnie, dokonacie cudu, proszę, zwróćcie go tej dziewczynce, a z wdzięczności wykonam wszystko, o co tylko poprosicie ...

Cud nie następuje. Nie wyczuwa pod dłonią pożądanego bicia, powracającego do życia serca, nie ma pierwszego westchnienia, ciała wróconego do życia. Ale, spojrzawszy na błogi wyraz twarzy La Mara, zadrżała - stara blizna, szpecąca maga za życia, zniknęła. Także siwizna na skroniach i głębokie zmarszczki dookoła ust, świadczące o trudach życia, zanikły. Czarodziejskiej siły kamienia Ajwary, wystarczyło tylko na tyle, ale z jakiegoś powodu, stało jej się lżej na duszy.

- Przebacz, Arenie - szepcze i całuje La Mara, ściskając jego zimne palce. - Zawsze będę pamiętać o tobie.

- Zaopiekują się nim - słyszy głos Ennid za swoimi plecami. - A o Wiołę też... ja się zatroszczę. Czyń, co powinnaś, wojowniczo. Po prostu wejdź do tej studni. Idź z moim błogostawieństwem.

- Idę, Ennid.

Podnosi się z kolan, kieruje do studni - Przejścia. Zawiesza kamień Ajwary na szyi. Patrzy w dół, w huczącą, płonąca wszystkimi odcieniami czerwieni otchłań. Jeszcze raz przywołuje w pamięci postać La Mara i cały strach, wszelkie wahania, pozostawia za sobą. Wspiąwszy się na brzeg studni, kładzie prawą dłoń na amulecie z lokiem Elei - i wkracza do Przejścia.

Pierwsze, co widzi po otwarciu oczu - niebo i okrążających ją, uzbrojonych jeźdźców.

- Jaka laleczka! - mówi jeden z nich. - Co za zbroja! Nie widziałem takiej w życiu, przysięgam na skośnookiego Moroła!

- Zbroja, mi się należy - oświadcza przywódca oddziału, zsiada z konia i pochyla się nad nią. - A baba wasza. Możecie z nią poużywać.

- Kłocz, ona ledwie oddycha - śmieje się ktoś. - Nie lubię pół zdechłych. Chociaż, dziewczynka jak się patrzy.

- No i walnij ją, póki żywa - mówi schrypnięty głos. - A zdechnie, Temmel nią się zajmie się. On nawet nieboszczki wykorzystuje.

Czuje, na ciele czyjeś ręce, ale nie może się nawet poruszyć. Co to - zaklęcie, paraliż, śmierć? Pochylający się nad nią ludzie brzydko pachną, mają drapieżne, prostackie twarze i są uzbrojeni. Na pewno zabiją ją. A jej, nawet brakuje sił, by zacisnąć palce w pięść.

- Hej, Kłocz, ona ma tatuaż na ramieniu! - wykrzykuje jeden z maruderów. - Smok! To dziewczucha z rodu Edcho.

- Rzeczywiście - mówi ten, kogo nazwali Kłoczem. - Hej, pięknie, ocknij się! Wydaje się, że mnie słyszy.

- Na pewno słyszy, bo gały wytrzeszcza - zauważa schrypnięty. – Prawdopodobnie, straciła rozum.

- Zostawmy ją, Kłocz - proponuje głos.

- Zostawić nie problem. Ale dowiedzieć się, kto tak urządził człowieka Edcho na naszym terenie, warto. Weźmiemy ją ze sobą do Irmasa. Przyjdzie do siebie - porozmawiamy, a jak zdechnie - płakać nie będę. Kwisz, chwytaj ją za nogi!

Czuje, że ją podnoszą, dokądś niosą. Ostatnia składna myśl - powinna powiedzieć tym ludziom, kim jest. Podać swoje imię.

Powiedzieć im, że nazywa się Lejda Elea Kasta i jest wojowniczką Zapomnianych Bogów.

Błysk. Światło. Nad głową, z zawrotną szybkością, przemykają puszyste, śnieżnobiałe obłoki. Z białej mgły, patrzą na nią bezdenne, błękitne oczy.

- Kasta?

- Neni Berenika?

- Teraz wiesz, że nic nie znika bez śladu. Nasze szczęście i nasza bieda, są zawsze z nami.

- Teraz wiem, dlaczego pomogłaś wrócić mi z Zacienionej Strony. Jesteś Najnową, matką Zapomnianych.

- Poznałaś mnie?

- Już przy pierwszej bytności w Gojtonie, wyczułam twoją moc. Wybacz mi, chciałam ci wyrzucić krzywdę.

- Moje prawdziwe imię, pamiętają nieliczni. Moja potęga, pozostała w przeszłości. Ale podoba mi się, kiedy ludzie nazywają mnie neni Berenika. Przez całe życie próbowałam robić to, co robiłam od niepamiętnych czasów dla swoich dzieci. Starłam się być matką dla ludzi, podobnie, jak byłam nią dla Bogów. Widzę cierpienia tej ziemi, Kasto i nie mogę pozwolić, by Ciebie zawładnął nią ostatecznie. Jesteś ze mną?

- Jestem z tobą. Do ostatniego tchu, matko.

- Kiedyś złączyłam twój los z losem chłopca o imieniu Leodan. Zrobiłam to, bo widziałam w przyszłości ogień i krew. Ale przy tym, związałam twój los ze swoim, Kasto. Jestem zadowolona, że nie osądzasz mnie. Dziękuję ci. Nie wątpiłam, że odpowiesz właśnie tak. Możemy wrócić do Gojtonu.

\*\*\*

Biała mgła rozwiała się. Rozejrzała się, nie śmiejąc się poruszyć. Neni Berenika była obok.

- Ja ... Widziałam - wyszeptwała, patrząc na przeoryszę. - Oni wszyscy byli ze mną. A ja zapomniałam, wszystkich zapomniałam. Jak mogłam zapomnieć!

- Wróciłaś - Berenika pieszczotliwie pogłaskała jej włosy. – Przeszłość wróciła córeczko. Przed tobą, twoja droga.

- Matulu, nie wiem, co powiedzieć. Chcę mi się płakać z bólu i szczęścia.

- Teraz nie czas na słowa i łzy. Wszyscy powinni opuścić to miejsce. Pomożesz mi, jeśli zaopiekujesz się chłopcem.

- Neni! - w drzwiach świątyni ukazała się Krispiła i jej wojowniczką. - Jeźdźcy, neni.

- Gdzie księżę? - spokojnie zapytała Berenika.

- Jestem tu, neni - Owaro wszedł do świątyni, zbliżył się do przeoryszy. – Jada tu jacyś jeźdźcy. Jeszcze są daleko.

- To Kłocz - odpowiedziała Kasta. - Krispiła, zwróć mi moją broń.

- Będziemy walczyć? - zapytał Owaro i jego ciemne oczy radośnie zabłyśły.

- Nie poradzicie sobie z nimi - powiedziała Berenika. – Musicie stąd odejść.

- Nie możemy odejść - Kasta popatrzyła na chłopca. - Ja ...

Berenika dała znak, by zamilkła. Potem podeszła do posągu Gelesa i uruchomiła jakiś ukryty mechanizm. Kamienny ołtarz, z głuchym szmerem, zsunął się z piedestału i otworzył kwadratowy właz, prowadzący pod ziemię.

- To przejście doprowadzi was do rzeki - powiedziała przeorysza. - Pochodnie i krzesiwo, znajdziecie w kamiennym schowku, po prawej stronie wejścia do jaskini. Mój książę, Krispiło, uchodźcie natychmiast!

- A ty? - zapytał.

- Nie mogę odejść - odpowiedziała – Gojton, to mój dom. Nie mogę i nie chcę go opuszczać. Tu jest moja rodzina i całe moje życie.

- To źli ludzie, neni - powiedział - mogą cię skrzywdzić.

- Nie odważą się. Obroni mnie Geles. Krispiło, śpieszcie się!

- Zrozumieliśmy, neni. Jesteś gotowy, mój książę?

- Gotowy - Owaro podszedł do przeoryszy. - Wybacz, neni. Przyjadę do Gojtonu jeszcze raz i znów się spotkamy.

- Oczywiście - pocałowała chłopca. – Śpieszcie się, nie możecie tu dłużej zostawać.

Na rozkaz Krispiły, dwie strażniczki weszły do włazu, by zbadać drogę. Książę odważnie zeskoczył w ciemność.. Kasta obserwowała, jak ochroniarki znikają w tajnym przejściu. Zanim przyłączyła się do swoich ludzi, Krispiła rzuciła do nóg Kasty jej miecze.

- Idziesz z nami? - zapytała.

- Tak - odpowiedziała – dogonię was.

Kapitan Ajdży kiwnęła głową i zeszła do włazu. Berenika odprowadziła ją spojrzeniem, potem popatrzyła na Kastę.

- Mamy jeszcze trochę czasu - powiedziała. - Postaram się mówić bardzo krótko, ale myślę, że zrozumiesz wszystko. Księżciu zagraża wielkie niebezpieczeństwo. Nie ze strony najemników i Ajoszy. Do Chealady wróciła siła, która władała tą ziemią do czasu przyjścia ludu Smoka. Kiedyś, wyspa należała do zwierzodemonów-Famarów. Potem, Sandżowie zdołali pokonać ich, ale teraz, oni wracają. Jeśli uda im się otworzyć otchłań Abissaliumu, Zacieniona Strona zyska potężnego sojusznika, a książę zginie. Chealada zaś stanie się ogromnym cmentarzyskiem.

- Powinnam obronić księcia?

- Tak. Wszyscy go zdradzili. Pomóż mu. Kiedy będzie bezpieczny, znajdź człowieka o imieniu Księgarz. On ma dary Zapomnianych, które otrzymałaś od innych Bogów. Ale najpierw, zatroszcz się o księcia, a ja podaruję ci swoją Tarczę. Kiedyś, była jedną z Relikwii. To wszystko, czym ci mogę pomóc.

- Już mi pomogłaś - uklękła na jedno kolano, pocałowała brzeg szaty przeoryszy. - Gdzie mam szukać Księgarza?

- Myślę, że on zmierza do Ark. To jest na południowy wschód od Gojtonu. Prosiłam go, by dowiedział się o tobie w Dremmerchewenie, ale teraz już nie ma potrzeby. Księgarzowi potrzebna twoja pomoc, żeby mógł dostać się do Grobowca Smoka. Razem powstrzymacie Famarów. Idź już.

- Mówiłaś o Tarczy.

- Jest przy tobie - uśmiechnęła się Berenika. - Moja Tarcza - to moje błogosławieństwo. Jeśli chcesz, możesz ją uczynić widoczną. Po prostu, weź w ręce drogi ci przedmiot i pomyśl o mnie. Przywołaj moje imię.

- Które z dwóch, Matko-Bogini?

- Ludzkie. To, pod którym zapamiętają mnie ludzie.

- Rozumiem - ukloniła się przeoryszy - zrobię wszystko tak, jak powiedziałaś.

- Wiem. Błogosławię ci, córeczko. A teraz idź. Oni są już blisko.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

### BURZA

Plac przed świątynią był pusty. Porywy wiatru podnosiły tumany kurzu, a przy niskim, drewnianym budynku, z lewej strony świątyni, stały stłoczone w gromadę, osiodłane konie. Kłocz chrząknął znacząco.

- Jest tutaj - powiedział tonem myśliwego, który zapędził zwierzynę. - Konie na czaprakach mają herby domy Edcho. Zsiadajcie z koni! Czeka nas walka z wojowniczkami Ajdży.

La Ber nie wykonał rozkazu dowódcy. Jako pierwszy, zobaczył starszego człowieka w ciemnej odzieży, który wyszedł z budynku, postać chwilę, przyglądając się nieproszonym gościom i ruszył naprzeciw jeźdźcom, wymachując rękoma.

- Odjeżdżajcie! - krzyczał człowiek. - Tu dżuma! Odjeżdżajcie!

- Dżuma? - Kłocz zeskoczył z siodła, zwrócił się do biegnącego. - Kim jesteś, niech cię pożrą demony?

- Jestem bratem Owri, lekarzem - podbiegł do najemników, zatrzymał się, ciężko dysząc. - Odjeżdżajcie stąd. Tu morowa choroba. Zarazicie się.

- Choroba? - Kłocz nieufnie chrząknął. - A co z księciem Owaro? Jest zaczarowany?

- Tu nie ma żadnego księcia - Owri znów zamachał rękoma, rozpaczliwie próbując przekonać najemnika. - Tu tylko zadzumieni. Jeśli wam życie miłe ...

- Nam, miłe - odpowiedział Kłocz - a tobie, braciszku, nie. Ponieważ kłamiesz. Chociaż nie, nie kłamiesz. W Gojtonie rzeczywiście zjawiała się dżuma i ta dżuma, nazywa się Kłocz. Gdzie jest książę, lekarzynie?

- Tu nie ma żadnego księcia - Owri mimo woli cofnął się. - Jestem tylko ja ...

- Bezużyteczny kawałek gówna - Kłocz błyskawicznym ruchem wyrwał miecz i rąbnął na skos. Doktor, chwytając ustami powietrze, zwałił się plackiem w kurz. - Za mną!

Najemnicy zeskoczyli z koni. Dentysta kopnięciem otworzył drzwi szpitala i poczuł ostry zapach ziół i maści.

- Nienawidzę tego smrodu! - burknął i zmarszczył nos, pokręcił głową, ale poszedł dalej.

W wielkiej, ogólnej sali, byli chorzy - głównie starszanki. Leżeli, naciągawszy na siebie kołdry, bojąc się poruszyć i patrzyli na nieproszonych gości wystraszonym wzrokiem. Była tu jeszcze młoda kobieta, z ognisto-rudą czupryną i złymi, zielonymi oczami. Czujnie i zaczepnie patrzyła na najemników.

- O rany, jakie tu mniszki! - gwizdnął. - Gdybym wiedział, dawno bym wstąpił do zakonu w Gojtonie. Gdzie książę?

- Tu sami chorzy - powiedziała ruda. - Nie ma żadnego księcia. Nie widzisz?

- Chorzy? - podniósł rękę. - Zaraz ich wyleczymy. Chłopaki, ładujcie kusze!

Rudowłosa kobieta z nienawiścią obserwowała, jak najemnicy wznoszą i ładują broń. Dowódca machnął ręką, zaszczękały cięciwy, strzały poleciały w kierunku chorych. Wiele strzał. Kiedy ucichły krzyki i jęki, Kłocz znów przeniósł spojrzenie na zakonnicę.

- Mówisz, że chorzy? - zapytał. – Już po wszystkim, nie ma więcej żadnych chorych. Gdzie księżę?

- Ty morderco! - warknęła Kennig, zaciskając pięści. - Obrzydliwy nikczemnik. Geles przeklnie cię za twoje okrucieństwo.

- Tak, jestem mordercą. A ty dobra i piękna - zaśmiał się. - Pewnie patrzysz na nas i myślisz: „Teraz ci łotrzy, zaczną mnie gwałcić! Wreszcie sobie użyję! Czyż nie tak, ruda? Przecież ty, już nie rok i nie dwa bez chłopca. A nieużywana dziurka świerzbi po nocach. Świerzbi?

Zakonnica splunęła na zbira. Dentysta ze spokojem wytarł ślinę z kirysa.

- Chłopaki, co będziemy robić? - zapytał - pomożemy świętej duszyczce odczuć radość życia przed śmiercią?

- Nie mam nic przeciwko temu! - zachichotał jeden z najemników, pożerając dziewczynę oczyma.

- Z przyjemnością – silny, czarnobrody chłop, wyszedł do przodu, zaczął rozpinać pas. - Lubię rude!

- Poczekaj, Almonie - Kłocz podszedł do Kennig. - Boisz się? Po raz ostatni pytam, gdzie jest księżę?

- Po raz ostatni odpowiadam, nie ma tu żadnego księcia. Zjeżdżaj stąd, nikczemniku!

- Nie, to nie. Rozmyśliłem się. Nie będziemy ciebie gwałcić. Po co psuć taką świętość? Chcę dostarczyć ci szczególnej przyjemności, ruda - wbił sztylet w brzuch zakonnicy, obrócił w ranie, nie odwodząc wzroku od jej twarzy, zaglądając w pełne przerażenia i bólu oczy kobiety. – Co, przyjemnie? Myślę, że tak.

Kennig powoli osunęła się na posadzkę. Kłocz ze spokojem wytarł sztylet o jej odzież, nogą przewrócił zakonnicę na plecy. Wargi jej poruszały się, ale mówić już nie mogła.

- La Ber, pochodnię - rozkazał. – Spalić wszystko. Natychmiast.

\*\*\*

Owri podniósł głowę, zajęczał. Spróbował dłonią zacisnąć ranę, ale nie był w stanie - brzuch rozpruty, dłonią takiej rany nie zamknie się. I jeszcze ten zapach - on nigdy nie oszukuje. Jelita rozcięte, a to znak, że długo nie pożyje. Nie czuł już nóg. Jeszcze chwila i ten straszny, pulsujący w całym ciele ból, zniknie na zawsze. Gelesie, jak boli! To dziwne, że z takim bólem, jeszcze może myśleć i być świadomy tego, co się dzieje.

Obłok dymu z palącego się szpitala, nakrył go: zakasłał, zajęczał, skręcił się od nowego paroksyzmu bólu. Oczy zaciągała mgła, ale jeszcze mógł widzieć.

Obserwował, jak najemnicy wywlekli z domu krzyczące i płaczące dziewczyny, Linni i Wiarę, zerwali z nich odzież i powalili na ziemię. Zobaczył, co wyczyniają z nimi te męty - w każdym szczególe - i dlatego odwrócił wzrok. Nie mógł im pomóc. Napłynęła śmiertelna słabość. Z jękiem wsparł się na łokciu, spróbował przesunąć się. Ruch, odezwał się straszny ból w brzuchu. Przez moment, wydało mu się, że umiera, ale po chwili poczuł, że ból odchodzi. Podniósł głowę i zobaczył, jak

miotają się po podwórzu przestraszone pożarem konie, jak szary dym ścieli się falami po ziemi.

Szpital płonie. Z okien wyłaniają się języki ognia. Tam są chorzy. Powinien im pomóc. Przynajmniej, być obok nich w tym momencie ...

Zaczął pełznąć na łokciach, jęcząc z bólu, wlokąc za sobą wypadające wnętrzności. Udało się pokonać kilka sążni. Wtem, padł na niego cień.

- Popatrzcie, lekarzyna jeszcze oddycha - powiedział najemnik zdziwionym głosem.

Ciężki topór zwałił się na jego głowę i zapadła ciemność.

\*\*\*

Berenika nawet się nie odwróciła, kiedy do świątyni weszli uzbrojeni ludzie. Modliła się przy ołtarzu. Ręka w płytowej rękawiczce, ciężko spoczęła na jej ramieniu.

- Mów, starucho, gdzie księżę Owaro - zabrzmiał głos.

- Tu go nie ma - odpowiedziała, nie odwracając się. - Odejdźcie. To święte miejsce.

- Kłamiesz, stara wiedźmo. Widzieliśmy konie Ajdży. On, gdzieś tu jest. Jeśli chcesz uratować swoją pomarszczoną skórę, odpowiadaj - gdzie księżę?

- Szukaj, być może, znajdziesz ...

Ręka chwyciła za habit, odciągnęła od ołtarza. Zobaczyła dookoła potworne mordy - otaczały ją demony, nie ludzie. Czy też, może widzi teraz ich dusze?

- Nie rozumiesz, co się dzieje, wiedźmo - potwór patrzył na nią skośnymi, żółtymi oczyma, w których płonęło pragnienie krwi i śmierci. - Gdzie schowałaś Owaro?

- Tu nie ma księcia, demonie. Zostaw mnie.

- Nie chcesz mówić? Zgoda. Wszystko jedno znajdę szczeniaka. A ty, zdechniesz.

Uderzenie w twarz, przewróciło Berenikę na ziemię. Nie mogła wstać, otarła tylko rękawem rozbite wargi. Napotkała wzrok bijącego ją skośnookiego demona. po chwili, nastąpiło kolejne uderzenie, nogą w twarz. Usta wypełniły się krwią, jęknęła - i rozciągnęła się na chłodnej ziemi, rozłożywszy ręce. Ciężki but nadepnął na pierś, łamiąc kruche żebra, zamigotała długa klinga, a potem przyszedł ból. Nieznośny, ponad siły słabego, ludzkiego ciała.

Gdyby Tarcza została z nią, śmiałyby się teraz demonom w twarz. Ale, Tarczę musiała oddać. Szkoda tylko, że nie zdołała namówić dobrego Owri, Kichou, dziewczynek, do ucieczki z Gojłonu. Nie uchroniła ich przed bólem, przerażeniem, cierpieniem. Kiedyś, w następnym życiu, poprosi ich o przebaczenie.

Sumienie ma czyste. Zdążyła wykonać wszystko, co jej przeznaczył Los. Była przy swoich dzieciach do końca. A teraz, ona, urzeczywistniona Najnawa, Bogini-Matka wszystkich istot, sama pozna, jak to jest - być śmiertelnym. Przeżyć swoją ostatnią chwilę.

Chwilę Cierpienia i Zgrzytu Zębów, Płomienia i Bólu, Krwawej Klingi i Męczeństwa.

Pewnego dnia, ogień znów zapłonie w Gojłonie. Odrodzi się na pogorzelsku, wyrośnie jak ognisty kwiat, z krwi niewinnie zamęczonych dzieci Gelesa. Ciepło wróci na tę ziemię, skutą zimnem okrucieństwa i obłędu. Geles nie zapomni swoich dzieci - ani żywych, ani martwych.

Śmierć zawsze zmusza do myślenia o życiu. A życie, nigdy nie bywa daremne.

Matowa klinga weszła w serce Bereniki. Ból się skończył.

\*\*\*

Kiedy Kłocz, odtrącając najemników, wszedł do środka kręgu, Wiara już była martwa. A na jęczącej Linni, sapał jakiś osiłek ze spuszczoneymi spodniami. Chwyił go za kołnierz i ściągnął z dziewczyny wśród śmiechu najemników.

- Kłocz, a ty co? - chłopak szybko naciągał spodnie, próbując upchać w nich swoją niezaspokojoną męskość. – Przecież, dopiero zacząłem. Ale jeśli chcesz ...

- Nie ma czasu - popatrzył na zwiniętą w kłębek Linnie, podszedł do niej, zgarnął włosy i jednym machnięciem sztyletu, przeciął nowicjuszcze gardło. Odrzuciwszy rżącą dziewczynę, gestem rzeźnika strząsnął krew z ostrza, popatrzył na swoich ludzi. – To wszystko, rozrywek więcej nie będzie. Potrzebny jest mi książę. Sprawdzaliście w celach?

- Oblaziliśmy wszystko, Kłocz - odpowiedział wojownik, o imieniu Darks. - Chłopaka nigdzie nie ma. Znalezione tylko jakąś starą zakonnice, która próbowała przed nami czmychnąć oknem. Więc ją popchnęliśmy, szpontonem w plecy. W ogrodzie znaleźliśmy też staruszka-ogrodnika, no, to jego też ...

- Tu nic nie ma - głucho powiedział La Ber, starając się nie patrzeć w stronę konwulsyjnie drgającej Linni. - Tylko gliniane garnki i kosze. Nawet jedzenia brakuje.

- Kłocz! - wojownik przepchnął się do kręgu. - Chłopaki znaleźli w świątyni podkop.

- No, to jesteśmy w domu! - głośno odetchnął - teraz nam nie ujdzie.

- Kłocz, pomyśleliśmy z chłopakami, że trzeba by postąpić według naszego obyczaju – odezwał się wytatuowany najemnik z Dzikich Miast. – Powinniśmy zostawić parę kaestańskich świec.

- Nie mamy czasu, Sarkaszu. Książę ucieknie.

- Trzeba dotrzymywać tradycji, dowódco.

- Zgoda. Chce wam się bawić z tą padliną, bawcie się, tylko szybko. Kiedy skończycie, doganiajcie nas. Idziemy do podkopu. La Ber, zbierz wszystko, czego można użyć do oświetlenia. Pochodnie, pakuły, maźnice, świece. A klasztor, spalić.

- Będzie wykonane, dowódco - odpowiedział La Ber.

Palący się Gojłon, nie zobaczył barwy zachodu - słońce skryła ogromna, ciemna chmura. A potem, lunęła ulewa z gradem. Klasztornym podwórzem popłynęły różowe strumienie. Zrobiło się zupełnie ciemno i tylko liczne błyskawice oświetlały to, co zostało z klasztoru.

Dopalające się ruiny szpitala.

Czarne, opalone ściany mieszkalnej przybudówki.

Opuszczony sad, gdzie pod uginającymi się od dojrzewających owoców jabłoni, leżało porzucone przez morderców ciało ogrodnika.

Trup sędziwej Tairi pod ścianą.

Osieroconą świątynię.

I trzy, bielejące w mroku figury przy drzwiach świątyni.

Kaestańskie świece. Wizytówka najemników z Dzikich Miast. Nasadzeni na długie piki jak na rożna, brat Owri, Linni i Wiara.

Ulewa zmywała z nich brud, krew, nasienie gwałcicieli, miłosiernie wykonując jednocześnie czynność obmywaczek i płaczek. Ciało powoli spelzały po drzewcach

kopii, póki ugięte kolana męczenników nie wsparły się o przesyconą krwią ziemię. W takiej pozie zastygli, klęcząc z opuszczonymi głowami - jakby się modlili. I wówczas, nastąpił prawdziwie sądny dzień. Ulewa nasiliła się, zalewając tlejące się, śmierdzące pogorzeliisko. W różowych kałużach podskakiwały kule gradowe. Nadleciał wiatr, wyjąc wśród skał. Uderzenia piorunów złały się w zwarty, ogłuszający trzask.

Burza szalała po całej Chealadzie. Takiego huraganu, nikt dotychczas nie widział. Wydawało się, że nastąpił koniec świata. Ludzie, ukrywając się w swoich domach, w strachu odmawiali modlitwy. Niebываłej wielkości grad wybił zasiewy, huraganowy wiatr łamał wiekowe drzewa, zrywał dachy z domów i statki z kotwic. W centralnych prowincjach kraju, rzeki wystąpiły z brzegów, zatapiając pola i drogi. Miasta i wsie pogrążyły się w mroku i przesądnym przerażeniu. W wyciu niesamowitej burzy, ludzie słyszeli przenikliwy krzyk i płacz.

- Burza Czterech Żywiołów - powiedział Malchai do Giłana. - Czekalem na nią i ona przyszła. Wszystko gotowe do siódmego ofiarowania. Możemy ruszać w drogę.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

### CIEMNOŚĆ I KLINGI

Tunel był wąski i niski, ale przy jego końcu otwierała się wielka, krasowa jaskinia. Owaro, z ciekawością dziecka, podziwiał stworzone wapienną wodą niezwykle narośla i ogromne gipsowe sople, zwieszające się z ciemności pod stropem jaskini, rozbłyskujące różnokolorowymi iskrami w świetle pochodni. Na czoło upadło mu kilka kropel zimnej wody - uchylił się przestraszony, ale po chwili wytarł twarz i roześmiał się.

- Ostrożnie, mój książę - uprzedziła Krispiła - ziemia wilgotna, uważaj, żebyś nie poślizgnął się.

- Mówisz, jak do dziecka, Krispiło - odpowiedział - a jestem już dorosły.

- Oczywiście, mój książę.

Wojowniczkierowały się do wyjścia z jaskini, czerniejącego w jej dalekim końcu, ale szmer kroków z tyłu zmusił je do zatrzymania się i chwycenia za miecze. Z tunelu wyszła Kasta i podeszła do Krispiły.

- Mam nadzieję, że będziesz zachowywać się rozsądnie - powiedziała dowodząca.

- Nie musisz się niepokoić. Neni prosiła, by bronić księcia. Dla mnie, jej wola jest święta.

Krispiła nie odpowiedziała, dała znak dalszego marszu swoim podwładnym. Krótki tunel, wyprowadził z pierwszej jaskini do drugiej, większej. Płynął tu wartki strumień. Owaro przeskoczył go i pobiegł do przodu, wymachując zapaloną pochodnią. Był zachwycony grą światła w gipsowych kryształach i naciekach na ścianach jaskini, usuwaniem się głębokich ciemności przed płomieniem pochodni.

Kasta trzymała się w ariergardzie. Nie myślała o księciu - teraz, kiedy ten był względnie bezpieczny, wszystkie myśli były skupione na Berenice. Zbyt dobrze wiedziała, czym zakończy się wizyta w Gojtonie jej byłych podkomendnych. Konie Ajdzy zostały w klasztorze i najemnicy będą szukać Owaro, przesłuchiwać zakonnice, również neni. Kłocz, jest specjalistą od rozwiązywania języków. Poczula, jak włosy stają dęba - wyobraziła, co się stanie ze wszystkimi mieszkańcami klasztoru.

Wrócić? Spróbować zatrzymać Kłocza? Bez sensu. Nie zatrzyma sadysty, nie poradzi sobie z półtora setką nikczemników. Stanie się jeszcze jedną ofiarą. Nie obroni księcia, nie wypełni ostatniej woli przeoryszy. Straszna jest świadomość własnej bezsilności!

Pochodnie paliły się daleko z przodu. Dookoła gęstniała ciemność. Przyspieszyła kroku. Woda chlupała pod nogami, ciężkie, zgniłe powietrze, osiadało wilgocią na rozpalonej skórze. Jaskinia skończyła się, znów zaczęło się wąskie przejście. Niski strop przyginał do ziemi. Na szczęście, żadnych bocznych przejść nie było, sama przyroda zatroszczyła się o to, by trafiający do tych jaskiń ludzie, nie błądzili.

Wydało się, że dosłyszała z tyłu się jakiś dźwięk, podobny do oddalonego, głuchego trzasku. Zatrzymała się, nad słuchując. Po raz pierwszy pojawiła się myśl o możliwym pościgu.

Nowa jaskinia okazała się większa od poprzednich, tylko tu, barwy były wyrazistsze i posępniejsze. Granatowe ściany wylaniały się spod wapiennych nacieków czarnymi i ciemnopurpurowymi plamami. Kamieniste dno wydawało się lepkie, szło się coraz trudniej. Książę wyglądał na zmęczonego. Zauważyła, że odzież chłopca przemokła i powiedziała o tym Krispile.

- Nie mamy w co go przebrać - odpowiedziała. - Nie udawaj zatroskaniej.

- Po prostu mówię o tym, co widzę - odpowiedziała, dotknięta niechętnym tonem strażniczki.

- Książę rozumie, gdzie jesteśmy i co się z nami dzieje. To nie jest kapryśne i rozpieszczone dziecko. Tak, że zamilcz i idź dalej.

- Zatrzymam się na chwilę - odpowiedziała – wy idźcie.

- Nie będziemy czekać na ciebie.

- Wasza wola. Idźcie, tylko zostawcie mi jedną pochodnię.

Krispiła oddała jej swoją i dołączyła do pozostałych. Kasta wróciła do tunelu, z którego dopiero co wyszli. Wstawiła pochodnię w rozpadlinę ściany i nad słuchiwała. Cisza była nienaturalna, nie odczuwa się takiej na powierzchni ziemi. Dźwięcznie spadały krople i jeszcze skądś, z głębi, donosił przytłumiony huk - gdzieś pod nimi, we wnętrzu góry, płynęła podziemna rzeka. Kasta przysiadła na kamieniu, patrząc na pochodnię. Płomień palił się jasno, ma czas zanim pochodnia zgaśnie.

Oczekiwanie okazało się krótsze, niż się spodziewała. Do dalekiego, podziemnego huku, dołączyły nowe dźwięki. Szmer, cichy skrzyp mnóstwa butów na żwirze i pobrząkiwanie metalu.

Chwyciła łuczywo, pobiegła do wyjścia z jaskini. Było tu jeszcze jedno przejście, nie szersze niż piętnaście sążni, idące łagodnie pod górę. Pokonawszy je, znalazła się w gigantycznej, krasowej sali. Na jej dnie było płytkie wypłuczysko, pozostawione przez podziemną rzekę. Ognie żagwi poruszały się około setki łokci przed nią, w gęstej ciemności przeciwległej części jaskini.

- Zatrzymajcie się! - krzyknęła i pobiegła do przodu.

- Co się stało? - Krispiła stanęła między nią i księciem.

- Pościg. Mamy ich na ogonie.

- Nie dogonią nas? - Owaro wyraźnie zbladł.

- Proszę się nie niepokoić, mój książę - Krispiła nie mogła ukryć trwogi. - Nie pomyliłaś się?

- Chciałabym się mylić, ale te ściany dobrze przewodzą dźwięk. Taka gromada ludzi nie może poruszać się bezszelestnie. Ile macie pochodni?

- Jeszcze trzy.

- Zostawcie mi jedną i postarajcie się szybko znaleźć wyjście. Spróbuję ich zatrzymać.

- Sama? - Krispiła nieufnie pokręciła głową. - Może, chcesz dołączyć do nich?

- Kapitanie, myślę, że możemy jej zaufać - pośpiesznie powiedział Owaro, spoglądając na Kastę. - Niech robi, jak uważa.

- Dziękuję, wasza wysokość. Proszę iść, proszę nie zwlekać.

- Nie zatrzymasz ich. Zabiją cię i dogonią nas.

- Jaka to różnica dla ciebie? Zyskam trochę czasu dla was.

- Z naszą pomocą zdobędziesz więcej - Krispiła zwróciła się do swoich wojowników. - Sae, Tajsza, Eman, pozostaniecie z najemnicą. My, odchodzimy.

- Mądra decyzja - Kasta popatrzyła na księcia i wróciła do przejścia. Trzy kobiety-wojowniczk, przechwyciły spojrzenie swojej szefowej i ruszyły za Kastą.

- Na co czekamy? - zapytał Owaro, kiedy cztery figury odeszły w głąb jaskini. - Idziemy, czy nie?

- Mój książę, czy mogę prosić o łaskę? - zapytała Krispiła.

- Słucham.

- Chciałabym zostać i zatrzymać wroga.

- Myślisz, że one nie poradzą? A co ze mną?

- Rozumiem, mój książę. Proszę o wybaczenie.

- Nie-nie, masz rację, Krispiło. Daj mi trzy osoby towarzyszące, one wyprowadzą mnie stąd. A sama, pomóż tej najemnicy. - Książę poprosił Krispiłę, by nachyliła się do niego i wyszeptał: - Przecież wiem, co będzie, jeśli nas dogonią. Jest ich dużo. We czwórkę, nie powstrzymają pościgu.

- Mój książę myśli, że zatrzyma ich osiem osób?

- Osiem, to dwa razy po czterech. Czy nie mam racji?

\*\*\*

Kłocz, zadowolony zaklął. Ślady na miękkiej glinie, pozostawione przez uciekinierów, jeszcze nawet nie napełniły się wodą. Zdobycz jest blisko, nie umknie.

- Sarkasz! - zawołał.

Wytatuowany Kaestańczyk podszedł do dowódcy.

- Myślę, że oni nas słyszą - powiedział Kłocz. - Chociaż kazałem poruszać się cicho, nasz tupot, słychać na pół mili. Na pewno spróbują nas zatrzymać.

- Urządzą zasadzkę?

- Właśnie. Musimy być przezorni. Weź trzydziestu ludzi z kuszami i biegnijcie do przodu. Natkniecie się na wojowniczk, podejmijcie walkę i wrzeszczcie na całe gardło. Przyjdziemy wam z pomocą.

- Zrozumiałem, dowódco.

Najemnicy ożywili się. Zbliżająca się walka, była dla nich dobrą rozrywką. Dookoła Sarkasza natychmiast zgromadzili się chętni tworzyć awangardę. Pobiegli za nim do rysującego się z przodu wejścia do tunelu. Dentysta obserwował, jak jeden za drugim, znikają w ciemności.

- Ruszamy dalej - rozkazał - średni krok, oszczędzajmy siły.

- Myślisz, że spróbują walczyć? - zapytał La Ber.

- Nie mają wyboru. Ale to nieważne. Rozprawimy się z nimi bez wysiłku.

La Ber chciał coś odpowiedzieć, ale ciszę w jaskini zakłócił wściekły, wielogłosowy ryk, który kilkakrotnie powtórzyło echo. Awangarda natknęła się na tych, których szukali.

\*\*\*

Kamieni i głazów na dnie jaskini było dużo, ale Kasta zaproponowała, by wybierać tylko takie, którymi można było rzucić na odległość przynajmniej dziesięciu stóp. Krispiła z aprobatą pokiwała głową, kiedy Seltonka przedstawiła plan obrony. Przy całym doświadczeniu, dowodząca nie mogłaby wymyślić lepszego planu.

Kiedy w tunelu zamigotały świetlne refleksy pochodni, wojowniczkę już czekały w pogotowiu. Gdy ludzie Sarkasza znaleźli się w połowie tunelu, poleciały w ich stronę kamienie. Najemnicy odpowiedzieli wściekłym rykiem i gradem strzał posyłanych na oślep: wojowniczkę swoje pochodnie, przezornie zgasiły.

Kamienie leciały z ciemności, toczyły się po pochyłości tunelu, trafiały w nogi, wytrącały z rąk broń. Nie mogły spowodować poważnych strat, ale spowolniły tempo ataku. Jednak napastnicy szybko oprzytomnieli i posłali nową salwę. Sae, trafiona w ramię, zgrzytając zębami, ułamała końcówkę i wyciągnęła strzałę z rany. Krispiła, strzała zarysowała naramiennik.

Kolejne dwie salwy z tunelu, okazały się bezskuteczne. Strzały, z brzękiem trafiały w kamienie, kruszyły łamliwy gips, rykoszetem wzbijały się pod strop, nie osiągając celu. Sarkasz zrozumiał, że ostrzał nic nie da, trzeba atakować, tym bardziej, że kamieniami już w nich nie rzucono. Pierwsza grupa najemników szybko dobiegła do wejścia do jaskini. Wtedy kobiety wyskoczyły zza skał i stalagmitów, rzucając się na wroga. Poległo od razu z tuzin najemników. Nawet nie zdążyli zorientować się, przez ile osób zostali zaatakowani. Krispiła osobiście zabiła trzech, Kasta - dwóch. Ocalali, z krzykiem i wyzwiskami rzucili się z powrotem do tunelu, ale po chwili, nowa fala zbirów ruszyła do ataku, nastroszona ostrzami mieczy, glewii i naginat.

- Życie, w obronie Smoka! - krzyknęła Krispiła.

Pochodnie najemników świeciły obrończyniom księcia teraz prosto w twarz. Ze świstem przeleciało kilka, puszczonej jeszcze na chybił trafił strzał, ale one już stały murem przy wyjściu. Najemnicy, prawie osiągnęli odległość do walki wręcz, ale nagle, stanęli jak wryci - w jednej z nich, rozpoznali Mirczel Lodowatą Krew.

- Mirczel?!

- Bij! - krzyknął Sarkasz, wymachując krzywym kaestańskim mieczem.

Za nim rzuciło się kilku najemników, pochodzących z Dzikich Miast, ale wojowniczkę spokojnie przyjęły walkę na miecze. Sarkasz rzucił się na Krispiłę. Dowodząca odbiła uderzenie, oszukała Kaestańczyka umiejętnym, fałszywym zamachem i z piskiem rozwścieczonej kotki, wsadziła mu ostrze w lewe oko. Walczyły odważnie, z determinacją i w krótkim czasie bitwa została zakończona. Przy wyjściu z tunelu leżało około dwudziestu trupów i śmiertelnie rannych. Ajdży dobiły ich bez cienia litości. Nastąpiła cisza.

- Mirczel! – krzyknął ktoś z tunelu.

- Wirn? - odpowiedziała Kasta, uśmiechając się.

- To ty, Miri?

- Ja. Zabierajcie się stąd, bo nie przejdziecie.

- Miri, chcemy zostać przy tobie.

- A, to dlaczego?

- Ponieważ jesteś Mirczel. A tu, zostali sami Seltończycy i kilku Noringów. To, prawie ziomkowie. Pozostali zwiali.

- Czyżby się chcieli poddać? - zainteresowała się Krispiła, wycierając o odzież zabitych najemników swoje miecze.

- Nie, przechodzą na naszą stronę - odpowiedziała Seltonka. - Stało się to, czego oczekiwałam.

- Ufasz im? Na nich jest krew Gojłonu.

- A na mnie, krew Ajfodły - odpowiedziała Kasta i krzyknęła w głąb tunelu: - Jeśli chcecie, to zostańcie ze mną. Witajcie!

\*\*\*

W stronę Kłocza biegło kilku ludzi. Z ich twarzy wyczytał, że wszystko idzie nie po jego myśli.

- Co tam się u was dzieje? - krzyknął.

- Sarkasz nie żyje! - smagły najemnik podbiegł do Dentysty: po policzku, płynęła mu krew, oczy wychodziły z orbit. - Tam jest Mirczel.

- Mirczel? - podniósł brew. - Skąd tu się wzięła ta suka?

- Jest razem ze strażniczkami. Wirn i Seltończycy przeszli na jej stronę.

- A wy dalszcie drapaka? - wyrwał miecz i aż do pasa rozrąbał smagłego najemnika. - Za mną!

Tunel wypełniły odgłosy ciężkich kroków, krzyki, dzwonięcie broni. Najemnicy wpadli do jaskini - tam, już na nich czekali. I znów strażniczki nie drgnęły. Obok nich, walczyła teraz Kasta i jej Seltończycy. Jedna z ochroniarek księcia upadła na piasek ze strzałą w gardle, Tajsza zabiła czterech, ale sama otrzymała cios naginą, który rozpruł brzuch. Pozostałe walczyły sprawnie i brawurowo i od ich krzyków, tężała krew w żyłach najemników. Wykute ze świetnej stali miecze strażniczek księcia, bez trudu przebijały zbroje i tarcze, gruchotały kości i czaszki, obcinały kończyny i wypruwały wnętrzności. Kasta zablokowała tunel z prawej strony wojowniczek: atakował ją rozwścieczony współplemieniec zabitego Sarkasza, ale nic nie wskórał. W kilka sekund zarażała dwóch innych, trzeciemu odcięła rękę po łokieć, czwartemu zgruchotała czaszkę uderzeniem rękojeści tanga. Obok niej walczył Wirn, rozdając druzgocące razy obosiecznym toporem. Walczący zmagali się na niewielkim przyczółku przy wyjściu z jaskini, potykali się o trupy i rannych, pochodnie syczały i gasły w kałużach krwi. Wąski tunel nie pozwalał ludziom Kłocza na atak wszystkimi siłami. Ci z tyłu, napierali na walczących z przodu, którzy ginęli pod ciosami strażniczek, Kasty i jej Seltończyków. Wejście do jaskini było zablokowane i za każdy krok najemnicy płacili życiem. Kiedy napastnicy postanowili się wycofać, by się przegrupować i rozpocząć nowy atak, posadzka jaskini, na dwadzieścia sążni od wejścia, była zavalona ciałami zabitych i umierających. Uśmiechnęła się ze złośliwą satysfakcją - Kłocz bezsensownie i bezmyślnie stracił nie mniej niż połowę swoich ludzi. Najwyższy czas z nim porozmawiać.

- Hej, Kłocz! - krzyknęła w głąb tunelu. - Poznajesz mnie? No, czego milczysz, sukinyśnu?

- To ty, seltońskie ścierwo? - stał w środku tunelu, trzymając w lewej ręce pochodnię, a w prawej miecz. - To dobrze, że jesteś tutaj. Szkoda tylko, że nie dobiłem cię tam, na narańskiej drodze. Ale nic straconego, nie muszę cię szukać. Przygotuj się do zdechnięcia, zaraz cię wypatroszę, jak obiecałem.

- Masz zbyt bujną wyobraźnię, wybij to sobie z głowy Dentysto. Straciłeś połowę oddziału. Wirn z ośmioma ludźmi jest teraz ze mną. Strażniczki zarzynają was, jak świnię. Przewaga jest po mojej stronie. To twój koniec, padlino! Nie wyjdiesz z tej jaskini żywy.

- Zabiję cię, suko! - zaryczał - zabiję powoli, potnę na kawałki.

- Najpierw, zbliż się do mnie. Przegrałeś Kłocz. A wiesz dlaczego? Ponieważ jesteś śmieciem. Morderco dzieci, wyrodku prostytutki, świński wypierdku. Chcesz mojej krwi? Spotkajmy się sam na sam. Daję ci możliwość zabicia mnie. Spróbuj, zabij Krwawą Dziewicę. Tak czy owak, wszystko jedno zdechniesz, jak wściekły pies. Wykorzystaj swoją szansę, Kłocz. Chyba, że się boisz, tchórzliwa hieno?

- Wszystko jedno, zabiję cię!

- Więc chodź, czekam.

Ruszył, ale zatrzymał się. Trzęsło nim z wściekłości, ale także przestraszył się tego, co zaproponowała mu Mirczel. Nie chciał się przyznać, że odczuwa strach. Obserwowały go ponure spojrzenia jego ludzi i nie wolno było odrzucić wezwania. Jeśli odmówi, zbuntują się i wtedy stanie się nieboszczykiem. Ale walczyć z samą Mirczel... Nieraz słyszał o tym, jak po mistrzowsku włada mieczem Krwawa Dziewica. Nagle zrozumiał, że znalazł się w beznadziejnym położeniu. W pułapce. Od tych myśli, okrył się zimnym potem.

Zabić Mirczel, albo umrzeć samemu. Innego wyboru, nie ma.

- No cóż - warknął - idę!

Przekraczając przez leżące w tunelu trupy, wszedł do jaskini. Mirczel stała w otoczeniu Seltończyków Wirna i wojowniczek. Twarz miała spokojną, a w zielonkawych oczach najemnicy, zobaczył swoją śmierć.

- Co będzie, jeśli cię zabiję? - zapytał.

- Uratujesz swój brudny tyłek. Księcia nie zobaczysz, wojowniczki Ajdzy nie przepuszczą cię dalej. Udasz się do Irmasa i powiesz, że jego plan się zawalił. A przy okazji, przekażesz ode mnie pożegnalne pozdrowienie.

- Jaką mam gwarancję, że one mnie nie zabiją? - wskazał ostrzem miecza na strażniczki.

- Moje słowo. Ale najpierw zabij mnie, albo przynajmniej spróbuj to zrobić - Wyciągnęła z pochwy tanga, wzięła od Wirna płonącą pochodnię. - Dość gadania. Demony w czeluściach Gułchandy, długo czekały na ciebie.

- Na ciebie też, suko - wypalił i ruszył do przodu.

Ognie dwóch pochodni zakręciły się w zawrotnym wirze, brzęknęła stal, syjąc iskrami. Wybuch przekleństw, dzwonienie kling, chrzęst żwiru pod podeszwami butów - i nagły krzyk bólu i wściekłości. Jedna z pochodni upadła na ziemię i zgasła. Kłocz odskoczył, oszalałym wzrokiem popatrzył na swoją lewą rękę. Klinga Kasty całkowicie odcięła na niej dwa palce.

- Naprzód, Dentysto! - z szyderczym uśmiechem powiedziała Seltonka.

Zaryczał, zaatakował głowę. Kasta od niechcienia odparowała wypad, odskoczyła, opuszczając klingę, niby zapraszając do kolejnego ataku. Poszedł do przodu, zasypał wojowniczkę gradem ciosów, ale ani jeden z nich nie sięgnął celu. A potem, atakujący wrzasnął – jej miecz odciął mu dłoń lewej ręki.

- Będę cię cię kawałek po kawałku, gadzino - powiedziała, nacierając na niego. - Tak! I tak!

Kłocz już nie bardzo rozumiał, co się dzieje. Ból w ręce nie do zniesienia, krew chlusta na wszystkie strony. Ogarnęło go śmiertelne, zaćmiewające rozsądek, przerażenie. Kolejny cios w twarz, rozciął brew, powiekę i kość policzkową, wybił lewe oko. Najemnik już nie był zdolny do walki, zrozumiał, że przegrał i, bezcelowo machał mieczem, nieświadomy, co robi - piszcząc cienko, złośliwie i strasznie, na jedną nutę. Kasta przysiadła, unikając ślepych uderzeń klingą, obróciła się i podcięła przeciwnikowi nogę. Ten, zawył z bólu i z wściekłości, upadł na kolano.

- A teraz, tak! - krzyknęła Seltonka, zadając kolejny cios.

Lewa ręka została odcięta przy ramieniu. W krzykach Dentysty, już nie było nic ludzkiego: instynkt zmuszał go do machania mieczem, ale to była agonía.

- Kasta, wystarczy! - zaczął błagać Wirn - dobij go!

- Zgoda - machnęła tangiem, odcinając najemnikowi kiść prawej ręki. Po tym uderzeniu, Kłocz przewrócił się na plecy i zaczął pełznąć, jak najdalej od Kasty, wlokąc zranioną nogę. Głowa jego trzęsa się, więcej już nie wył, tylko szlochał i skomlał.

- Taki twój koniec, śmieciu - nadepnęła na brzuch zmalretowanego Kłocza. - A teraz, idź prosto do demonów.

Najpierw, było uderzenie pochodnią w twarz i płonąca żywica zasyczała w oczach szubrawca. Ociekający krwią już nie mógł krzyczeć, wydał tylko potworny dźwięk, podobny do ochryplego, kaszlącego śmiechu. Po chwili, Kasta wsadziła miecz w brzuch najemnika i szarpnięciem, obróciła klingę w ranie. Kłocz zatrząsał się i wyzionął ducha.

Wojowniczką wyrwała miecz, opryskując krwią swoje nagolenniki. A potem weszła do tunelu. Najemnicy, milcząc, cofnęli się przed nią.

- La Ber! - zawołała.

Młody Seltończyk przepchnął się do przodu, podszedł do swojej byłej szefowej i klęknął.

- Rozkazuj, Mirczel - powiedział.

- Nie jestem Mirczel. Słyszeliście wszyscy? - obejrzała zastygłych w ponurym milczeniu najemników. - Jestem Lejda Elea Kasta. I nie jestem już waszym dowódcą. Wracajcie do Irmasa, póki się nie rozmyśliłam.

- Pójdziemy za tobą - powiedział La Ber.

- Ja nie służę już Irmasowi.

- My też - powiedział La Ber. - Będziemy służyć tobie.

- Nie mam czym płacić.

- A my i nie żądamy zapłaty - odpowiedział Seltończyk.

- La Ber - przeszła na szept - oni są martwi?

- Tak - Seltończyk mimo woli opuścił wzrok - wszyscy zabici.

- I neni?

Zasmucony najemnik kiwnął głową.

- Posłuchaj rozkazu, La Ber - powiedziała po długiej pauzie - wracaj do Gojtonu i pogrzeb ich. A potem, udaj się do pałacu Górskiego Smoka. Będę tam na ciebie czekać i wtedy porozmawiamy.

- Szczycę się, że dzisiaj walczyłam obok ciebie, Mirczel Lodowata Krew - powiedziała Krispiła, kiedy Kasta wróciła do jaskini. - Na Gelesa, ty płaczesz?

- Z wielkiego smutku, Krispiło. I ze szczęścia - powiedziała i spróbowała się uśmiechnąć, ale uśmiech był bardziej podobny do grymasu bólu. - Nie każdego dnia dane człowiekowi zrozumieć, że cudem wrócił do świata żywych. Zwłaszcza, jeśli dla tego zmartwychwstania, oddali swoje życie, święci ludzie.

## **ROZDZIAŁ TRZYNASTY**

### **GĘŚ I DZBAN**

Tuż przed północą, jeździec podjechał do eleganckiego ganku Opalowego Pałacu w Karaniu. Zsiadł z konia, zdjął sakwy, a wierzchowca przekazał podbiegającym służącym i, minawszy zastygłych przy wejściu wartowników w

Isniących, stalowych zbrojach, wszedł do pałacu. Tu go spotkał paradnie wystrojony dysponent.

- Do lorda Todze, natychmiast - powiedział gość.

Uklonił się w odpowiedzi i w milczeniu poprowadził późnego wizytatora na pokoje przywódcy Rady Książąt. Nie zadawał żadnych pytań. W pałacu cała służba wiedziała, że przywódca „Karańskich Rozpruwaczy”, Ejli Leors, ma przywilej spotykania się z księciem, o każdej porze dnia i nocy.

W części sypialnej panował półmrok, za półprzezroczystymi przegrodami, migotały małe lampy. Tu, spotkał Leorsa ochroniarz i poprowadził dalej, do sypialni księcia.

Todze jeszcze nie położył się spać. Siedział na macie, a młodziutka masażystka rozcierała mu szyję i plecy. Gość zatrzymał się w progu, złożył księciu uprzejmy ukłon i, otrzymawszy zaproszenie, wszedł do sypialni.

- Odejdź - rozkazał masażystce, potem długo i beznamiętnie patrzył na gościa. Ten, był przyzwyczajony do sandżyjskich obyczajów i wiedział, że wybitni wielmoże mieli w zwyczaju, najpierw w milczeniu przypatrywać się sobie, jakby po raz pierwszy się spotkali, a potem, zanim przeszli do sprawy, długo prowadzili rozmowę na mało istotne tematy. Ale tym razem Todze odstąpił od etykiety.

- Bardzo szybko wróciłeś, Ejli.

- Sprawa załatwiona, lordzie - najemnik położył sakwy - księżę nie żyje i jego wuj też. Przywiozłem dowód.

- Gdzie?

- W tym worku, lordzie.

- Otwórz.

Leors przyklęknął, otworzył worek tak, żeby księżę mógł widzieć jego zawartość. Wyraz twarzy księcia pozostał beznamiętny, długo milczał, a potem potrząsnął dzwonkiem.

- Niech przyniosą herbatę i wino - kazał wchodzącemu służącemu - i niech pan Riki natychmiast przyjdzie do mnie na rozmowę.

- Wypełniłem kontrakt - powiedział Leors. - Nie powiem, że to było proste. Przeklęte strażniczki Ajdzy są bitne, jak opętane. Straciłem sześćdziesięciu ludzi.

- Hojnie wynagrodzę. A co z ludźmi Irmasa?

- Dali nam trochę czasu. Irmas dotrzymał słowa, jego ludzie umyślnie nie przyłączyli się do orszaku Owaro. Spotkaliśmy się z nimi już po bitwie.

- Czego chcieli?

- Pytali, czy nie ocalał ktoś z pobojuwiska. Powiedziałem, że zabiliśmy wszystkich.

- Rzeczywiście zabiliście wszystkich?

- Nawet konie.

- Wobec tego, dlaczego pytali?

- Może, myśleli, że wzięliśmy jeńców z nadzieją na okup. Wypełniłem wasz rozkaz.

Służący wnieśli tace z porcelanowymi i srebrnymi filiżankami, butelki z winem i wielki czajnik z zieloną herbatą, przyprawioną wyciągiem z kwiatów lotosu i z cytryną. Todze przyjął napój. Poleciał najemnikowi nalać wina, po czym gestem odprawił służących.

- Poinformuję Radę Książąt o zagładzie księcia Owaro - powiedział - myślę, że przyjmie ze zrozumieniem wiadomość. Tak czy owak, jest szansa na zakończenie wojny.

- A co ja mam robić?

- Milczeć. I twoi ludzie też niech milczą, jeśli nie chcą stracić głów - z rozkoszą upił kilka łyków - jeszcze coś?

- Otrzymałem wiadomość od swoich werbowników w Dzikich miastach. Wynajęli jeszcze dwustu siedemdziesięciu ludzi i mogą przysłać ich do Chealady choćby dziś.

- Ale potrzebne są pieniądze, czyż nie tak?

- Czterdzieści funtów srebra, lordzie.

- Skarbiec państwowy wyczyszczony. Ale pomyślę, co dla ciebie mogę zrobić.

- Dziękuję, lordzie.

- Odejdź i zatroszcz się o to - wskazał na worek z głowami - zakopcie gdziekolwiek.

- Będzie wykonane, lordzie.

Po odejściu Leorsa, w sypialni księcia zjawił się Riki. Jakiś czas książę i jego gość w milczeniu pili herbatę, rozkoszując się smakiem i aromatem napoju, potem Todze opowiedział, z czym do niego przyszedł dowódca najemników.

- Serce boli od nieszczęścia, ale umysł mój jest jasny i radosny - powiedział Riki. – To okropne, że została przelana czysta krew Smoka i ród Edcho wygasł. Ale nie było innej możliwości, by zakończyć wojnę. Niech księcia pocieszy fakt, że uczynił to dla dobra Chealady.

- Ty mnie rozumiesz, Riki i jestem ci wdzięczny. To także twoja zasługa, że nasi wrogowie są martwi. Ale Rada Książąt może tego nie zrozumieć.

- Rada Książąt jest podporządkowana waszej woli, książę. Teraz, kiedy zostaliście jedynym, prawnym spadkobiercą Tronu Smoka, ani jeden ze współzadających nie odważy się was w czymkolwiek osądzać. Tym bardziej, że nie ma dowodów waszego udziału w zagładzie Kadai i księcia Owaro. Zabili ich najemnicy. Rozpuścimy pogłoski, że to sprawka ludzi Irmasa Udena.

- To oznacza wojnę z północą, Riki.

- I tak jest nieunikniona, książę. Realną władzę na północy, zawsze trzymali w swych rękach najemnicy. Rozejm, zawarty z domem Edcho, nie przechodzi w spadku na bandyckie szajki, służące temu domowi. Obojętne, dobry czy zły był książę Owaro, ale był waszym krewnym i sandżą z wybitnego rodu. A kimże jest Irmas? Barbarzyńcą, cudzoziemcem i mordercą, dowodzącym zbieraniną takich samych szumowin. Uważać go za równego sobie, znaczy poniżyć się. Zniszczyć go - to skończyć z władzą zagranicznych najemników i uwolnić kraj od wrzodu, zniekształcającego go od czasów heretyka Utaro.

- Twoja nienawiść do Ajdżów wydaje mi się przesadzona, Riki. Oni są dobrymi poddanymi i zawsze żyli w zgodzie z naszym narodem.

- Są obcy na tej ziemi, książę. Przybyszami, nieznającymi i nieszanującymi naszych obyczajów, naszych tradycji i świątyń. Mają swoją wiarę i swoje wartości. Tak, są dobrymi pracownikami i wojownikami, ale czy my, potomkowie narodu Ariczy, jesteśmy gorsi? Ta ziemia należy do nas i na niej nie ma, i nie powinno być miejsca dla przybyszów. Minie jeszcze sto, dwieście, trzysta lat i Ajdżowie po cichu zniszczą nas. Rozpuszczą nas w sobie, znieważą naszą świętą krew mieszanymi małżeństwami, nawrócą Sandżów na swoją wiarę, zburzą święte tradycje, na których Imperium Smoka trwało dwa tysiące lat. Ajdżowie są silni, książę, niepodobni do nas. Dla Sandżów, najważniejsze w życiu, jest podążanie ustalonym przez bogów porządkiem, wykonywanie swojej pracy i obowiązków wobec władzy i rodziny. Wszelkie zmiany, nie leżą w naszej naturze. Ajdżowie są inni. Kieruje nimi pragnienie wyróżniania się, wykazania się, bycia lepszym w każdej sytuacji. Pogardzają kastowym porządkiem i śmieją się z naszych poglądów na rolę jednostki w państwie.

Nie respektują ustalonego porządku, lecz tworzą nowe, z myślą o sobie. Ich wesołość, niezależność, wolność myślenia, są niebezpieczne dla nas, książę. Dlatego powinniśmy się uwolnić od nich. Chealada powinna stać się ziemią Sandzów i tylko Sandzów.

- Mimo wszystko, twoja zjadłość jest dla mnie niezrozumiała. Gdyby przyjął twoją logikę, należałoby zniszczyć cały naród.

- Może w tym jest nasz ratunek?

- To trudny wybór, Riki.

- Kiedy byłem bardzo młody, nauczyciel opowiedział mi przypowieść o pewnym człowieku. Był tak biedny, że miał tylko dwie, w jego przekonaniu, cenne rzeczy – wielki, gliniany dzban i gąsiątko. By ptak nie uciekł, wsadził go do dzbana i gąsiątko rosnęło w nim, póki nie przekształciło się w wielką i tłustą gęś. Wtedy w kraju zapanował głód. Jedzenie było bardzo drogie i biedak nie mógł go sobie kupić. Wymęczony głodem, zdecydował się zabić i zjeść gęś. Jednakże, by to zrobić, powinien rozbić dzban - gęś była tak wielka, że wyciągnąć jej, bez rozbijania naczynia, nie było można. Nauczyciel zapytał mnie: „Jakbyś postąpił na miejscu tego biedaka, Riki?”. Długo głowiłem się nad tą zagadką i dałem odpowiedź, którą mój nauczyciel uznał za poprawną.

- I jakże to, poprawna odpowiedź?

- Biedakowi było żal stracić swój skromny majątek. Głód zmuszał go do zjedzenia gęsi, by uchronić się przed śmiercią. Próbował zachować przynajmniej dzban - przecież rozbiwszy go, pozostałby z niczym. Jednakże wyboru nie miał. Gdyby zachował naczynie, to by umarł sam i niepotrzebnie zgubiłby ptaka. Musiał więc rozbić dzban i zjeść gęś, ale tym samym, uratował swoje życie.

- W czym tkwi morał tej bajki?

- Czasem, musimy dokonywać bardzo trudnych wyborów, książę. Obecne wątpliwości i strach, nie pozwalają dostrzec prawdziwej wielkości celu, który stoi przed nami. Jeśli oprzemy się na bajkę, którą opowiedziałem, to naród Sandzy jest tą gęsią, Ajdzy - dzbanem, a ty książę, tym właśnie człowiekiem, który musi dokonać wyboru. Problem polega, nie na zaspokojeniu głodu, a na uratowaniu gęsi. Jeśli się nie rozbije dzbana, gęś wcześniej czy później w nim się udusi, ściśnięta glinianymi ściankami.

- Rozumiem, Riki. Co dalej?

- Krew księcia Owaro, splamiła ręce najemników - Ajdżów. Teraz, kiedy go już nie ma i Edcho ostatecznie utracili prawa do Tronu Smoka, na twojej drodze do imperatorskiej korony stoi tylko Irmas Uden i jego zbieranina. Zniszcz go, książę. Pomścisz księcia Owaro, a przy okazji... - na chwilę zamilkł - wykorzystasz okazję do uwolnienia kraju od cudzoziemców. Rozumny władca powinien rozwiązywać problemy ogniem i mieczem. Wprowadź prawa, które nie spodobają się Ajdżom. Uczyni ich ludźmi drugiego gatunku na tej ziemi. Zabroń używania ich języka, pozbaw praw, które mają Sandzowie, nie pozwalaj na zajmowanie wysokich stanowisk, swobodnego wyznawania ich religii, nabywania i sprzedaży majątku, kształcenia się w języku ojczystym, otwierania szkół i uniwersytetów. Sprowadź ich do poziomu niewolników, którym proponuje się tylko jedno - służyć Sandżom. Przekonasz się, że barbarzyńcy szybko zaczną opuszczać Chealadę. Ci, którzy zostaną, nie będą dla nas groźni, bo wybrali niewolniczy los, uznali naszą przewagę i będą gotowi nam służyć. Zrób tak książę i nasze imperium znów stanie się wielkie i kwitnące, takie, jakim było pod rządami pierwszych władców z dynastii Lindze. Masz możliwości i moc, by tego dokonać.

- Przemawia przez ciebie mądrość, Riki. Pomyślę o tym.

- Wszystko, czego pragnę, książę, to z oddaniem służyć swojemu krajowi – uklonił się lekko – marzę, by zobaczyć Imperium Smoka potężne i kwitnące, a mój naród szczęśliwy. Wiem książę, że jesteś właśnie tym człowiekiem, który urzeczywistni moje marzenie.

- To nie będzie proste - odpowiedział książę, wyraźnie zadowolony z mowy Rikiego. – Zgodnie ze starym prawem, cała władza w kraju będzie należała teraz do Rady Książąt. Do pewnego czasu, trzeba będzie liczyć się z jej zdaniem. Moje pełnomocnictwa nie są tak duże, by sprzeciwić się woli Rady.

- Masz argument, który przekona Radę lepiej, niż jakakolwiek mowa.

- Wiem, wiem - Todze machnął ręką. - Teraz znowu będziesz prawić o Łusce Smoka.

- To nie jest zwykła zbroja, książę. To zbroja imperatora i ten, kto ją włoży, zostanie, według prawa, jedynym władcą Chealady.

- Trzeba ją jeszcze zdobyć.

- Mój człowiek zajmuje się tym i ma spore sukcesy. Udało mu się odgadnąć najważniejszy sekret Utaro - tajemnicę wejścia do Grobowca Smoka. Jeszcze trochę czasu i Łuska Ariczy będzie nasza.

- Tak mówisz, jakbyś był pewny sukcesu.

- Jestem absolutnie przekonany, że czeka nas sukces. W każdym razie, książę, musisz w to wierzyć. Łuska Ariczy jest potężnym artefaktem i atrybutem najwyższej władzy, pochodzącym z czasów legendarnego Chimu, zwycięzcy Famarów. Kto odważy się kwestionować twoje prawo do jednoosobowego rządzenia krajem, jeśli włożysz tę zbroję? Nikt. Nieszczęścia tej ziemi zaczęły się od tego dnia, kiedy Utaro, zabrał ją ze sobą do grobu. Odrodzenie zacznie się w dniu, kiedy imperator Todze stanie przed Radą, odziany w Łuskę Ariczy. Dla takiej chwili warto podjąć każdy wysiłek, czyż nie tak?

- Przekonałeś mnie, Riki. Jestem szczęśliwy, że mam takiego mądrego doradcę. Prowadź nadal swoje poszukiwania, a ja zajmę się Radą. Muszę zakomunikować im smutną wiadomość o śmierci księcia Owaro i jego wuja.

- Proszę przygotować na tę okoliczność żałobną szatę. Wszyscy powinni widzieć twoją wielką i szczerą rozpacz. Niech oczy twoje, książę, szklą się od łez, nawet, jeśli serce śpiewa z radości. Podniósł się i uklonił. - Dziękuję za herbatę i rozmowę. Za twoim pozwoleniem, chciałbym się oddalić.

- Idź, mój przyjacielu. Spotkamy się jutro i porozmawiamy jeszcze o przyszłości.

- Bez wątpienia, książę.

\*\*\*

Do domu, wrócił późną nocą. Nie czuł senności, bo rozmowa z księciem wywołała zbyt silne emocje. Aroganckie i wydawałoby się nieziszczalne marzenia zaczęły się urzeczywistniać. Poprawniej byłoby powiedzieć, że już przybrały realną formę. Owaro nie żyje, jego potężny wuj-wojownik, też. Plan Rikiego zadziałał. Teraz trzeba użyć całego swego autorytetu i wpływów, aby przekonać księżęta do ustanowienia Todze wojskowym dyktatorem. Uważał, że to nie będzie takie trudne. Połowa Rady, to krewni Ajoszy i ci nie będą przeciwni takiemu rozwiązaniu. Ostatecznie, jeśli Rada nie zajmie zdecydowanego stanowiska, można ją po prostu rozwiązać ...

Zaprawdę, wielki dzisiaj dzień. Dawno takiego nie było i należy go godnie zakończyć.

Przeszedł do sypialni, usiadł na podłodze i przyjął wygodną pozę do medytacji. Żeby wejść w stan kontaktu, potrzebował więcej czasu niż zazwyczaj - najbliższy punkt mocy znajdował się poza pałacem. By całkowicie zintegrować swoje „ja” z przepływającymi potokami energii, nawet tak silny mag jak Riki, potrzebował większego skupienia. Najpierw odczuł tylko pustkę, ale bardzo szybko zjawilo się znajome klucie w potylicy, potem, znalazł się wewnątrz jaskrawej, świetlistej przestrzeni i bardzo szybko zobaczył siebie, znieruchomiętego w pozie mędrca, z zamkniętymi oczyma. Duchowy kanał został otwarty, teraz należało znaleźć tego, z kim pragnął porozmawiać.

Ruszył przez przestrzeń i zobaczył w dole żalosne, słomiane dachy ubogiego okręgu Dremmerchewenu. Jeszcze chwila - i znalazł się wewnątrz pokoiku, gdzie niski, wąskolicy mężczyzna, w ciemnej odzieży, uważnie studiował przy świetle kaganka jakieś zwoje. Gospodarz wyczuł jego przybycie, oderwał się od swoich książek i podniósł twarz do sufitu.

- Sakaszy! - zawołał Riki.

Mężczyzna usłyszał i pochylił się w poddańczym ukłonie.

- Nauczycielu - powiedział - jesteś tu?

- Drugi dzień nie mam od ciebie wiadomości. Chcę wiedzieć, co się dzieje.

- Najpierw o dobrym, nauczycielu. Twój ludzie zdołali zdobyć notatki Tajeszcy.

- Dowiedziałeś czegoś nowego o Grobowcu?

- Wszystko wygląda właśnie tak, jak przypuszczałeś. Jest portal, prowadzący do Grobowca. Tajesza zostawił w swoich brudnopisach ważne uwagi. Teraz, próbuję znaleźć sposób otwarcia go.

- Coś ukrywasz, Sakaszy.

- Nauczycielu, ten człowiek, o którym ci mówiłem ... Ajdża, o przyzwisku Księgarz, pytał mnie o portal i jeszcze, interesował się kobietą, którą wtedy znalazłem w pobliżu Naraino.

- No i co?

- Księgarz uważa, że ta kobieta przeszła przez portal. A ja wiem, kim ona jest. Ta cudzoziemka, służy teraz u dowódcy Irmasa. Wybacz nauczycielu, że nie powiedziałem wszystkiego na samym początku.

- To nieważne. Co jeszcze?

- Teraz nieprzyjemna wiadomość, nauczycielu. Trzech twoich ludzi zostało zabitych minionej nocy.

- To, coś poważnego. Wiesz, kto ich zabił?

- Nie, nauczycielu. Ale podejrzewam, że to ten Księgarz. Ciała twoich asasynów znaleziono na ulicy w pobliżu domu starego Larina. Były strasznie okaleczone.

- Dlaczego uważasz, że to zrobił Księgarz?

- To wojownik, chociaż nazywa siebie Księgarzem. Powiedziałem twoim ludziom, że mnie odwiedził i ci obiecali, że będą go obserwować. Myślę, że próbowali go zlikwidować, ale sami zostali zabici.

- Jeden Ajdża pokonał moich ludzi i dlatego uważasz, że jest wojownikiem?

- W tym barbarzyńcy, coś jest, nauczycielu. Widziałem, jak walczy. Przed kilkoma dniami uratował mnie od rabusiów i artystycznie zarznął dwóch z nich.

- Zaniepokoiłeś mnie. Nie lubię, kiedy ktoś wchodzi w moje sprawy. Musisz dowiedzieć się o nim wszystkiego.

- Dobrze, panie. Nie chcę cię niepokoić, ale myślę, że Księgarz też interesuje się grobowcem Utaro i może pokrzyżować nasze plany.

- Nikt nie powinien ich pokrzyżować, Sakaszy. Głową odpowiadasz za sukces. Ale masz rację, ten Księgarz jest niebezpieczny. W każdym razie, płacze się nam pod nogami, a to źle. Potrzebujesz pomocnika. Odszukaj w mieście człowieka o imieniu Bodzo-grubas. Jest związany z Gense-ro-Omajto, Szarymi Klingami. Pomoże ci. Niech moc opiekuje się tobą.

- Zrozumiałem, nauczycielu. Zrobię tak, jak polecisz.

- Pozbądź się przeszkody i natychmiast udaj się do Ark. Im szybciej zdobędziesz Łuskę Smoka, tym lepiej.

- Wykonam twoje polecenia, nauczycielu.

- Zdaję się na ciebie, Sakaszy. Nie rozczaruj mnie.

- Jestem twoim sługą.

Riki zakończył kontakt. Niebo za oknami sypialni zaczęło szarzeć. Zajął on znacznie więcej czasu, niż przypuszczał. Poczłł niezwykle zmęczenie i potrzebę snu. Zaspany służący, który przybył na zawołanie, pomógł mu przebrać się. Już w pościeli, pomyślał, że chyba nie zawadzi samemu pojechać do Dremmerchewenu i zorientować się, kim jest ten zagadkowy Księgarz. Najbardziej zaniepokoiło go to, że według opisu Sakaszego, jest to Ajdza. Nigdy wśród nich nie było potężnych magów. Kult Gelesa nie uznaje żadnych praktyk magicznych. Skąd, wobec tego, ten się wziął? Wszystko to jest bardzo podejrzane. Najbardziej jednak zdziwiły słowa Sakaszego, że ten, niby Księgarz, samotnie rozprawił się z trzema Szarymi Klingami. Jeśli tak, to wojownik z niego wyborny i niebezpieczny rywal w zaczynającej się walce o zdobycie zbroi Ariczy. Mimo woli pomyślał, że Sakaszy, nawet przy pomocy ludzi z Giense-ro-Omajto, chyba nie zdoła pokonać zagadkowego Ajdzy. Jeśli w najbliższych dniach, nie rozprawi się z tym typem, muszę zająć się nim sam. Książę Todze bez entuzjazmu przyjmie wiadomość o zamiarze podróży do Dremmerchewenu, ale postaram się być przekonujący. Nie powiem o prawdziwej przyczynie wyjazdu. Nie musi o wszystkim wiedzieć.

Teraz trzeba wyrzucić wszystko z głowy i po prostu się wyspać. Mijający dzień był szczęśliwy, ale bardzo męczący.

Zamknął oczy i pograżył się w głębokim śnie.

## **ROZDZIAŁ CZTERNASTY**

### **ZJAWA I MORDERCY**

Mięso na rożnie opiekowało się stopniowo i pachnący sok kapał na węgle. Teraz, kiedy kolacja była prawie gotowa, Orselin poczuła, jaka jest głodna. Księgarz zauważył, jak patrzy na pieczeń i uśmiechnął się.

- Zmęczyłaś się?

- Trochę - przyznała się dziewczyna. - I chce mi się jeść.

- Niech mięso dobrze się usmaży. Nie jestem amatorem półsurowej wołowiny.

Przytaknęła. Księgarz obrócił rożnem i poszedł do koni. Chciała porozmawiać, ale zrozumiała, że jej towarzysz nie jest skłonny do konwersacji. Może, jest po prostu zmęczony? Spędzili w siodłach cały dzień.

Rozpoczęli podróż o świcie: w zajeździe, przy Starej Bramie, Księgarz wytargował dla siebie mocnego, chociaż niepozornego konia i zaopatrzył się w prowiant. Opuścili miasto. Długo jechali, najpierw na wschód, a potem na południe. Podczas pierwszego, krótkiego postoju, Orselin nie wytrzymała i zapytała, dokąd jadą.

- Do Ark - odpowiedział mnich.  
- To bardzo daleko - zauważyła.  
- Pięć dni drogi, jeśli jedzie się bez pośpiechu i odpoczywa nocami. Mamy czas.

W południe zrobili jeszcze jeden popas na brzegu niedużej rzeczki, nabrali świeżej wody, napoili konie i sami się posilili. O zmierzchu mężczyzna zdecydował urządzić prawdziwy postój. Wybrał ustronną dolinkę w pobliżu drogi, rozpałił ognisko, naciął gałęzi na poślanie, rozsiadł i spętał konie.

- Zajmij się kolacją - powiedział, kiedy dziewczyna zapytała, czy nie potrzebuje pomocy.

Drewno w ognisku zmieniło się w żar i Orselin umieściła nad węglami mięso do upieczenia. Pokroiła na pledzie bochen chleba, obrała z łupiny kilka cebulek. Mnich tymczasem, zakończył oporządzanie koni.

- Noc spędzimy tu - powiedział, odłamując od piętki kawałeczek chleba. - Dolinka głęboka, wiatr nam nie dokuczy.

- A wilki? – zapytała.

- Nie ma tu wilków. Zostały wytrzebione jakieś dwieście lat temu. Sporadycznie spotyka się dziczące psy. Dużo ich namnożyło się po wojnie i to one napadały na ludzi, bo przywykły do odżywiania się ludzkimi zwłokami. Przestraszyłem cię?

- N-nie – powiedziała drżąc. - Jest zimno.

- Kiedy mięso się upiecze, rozpalimy znów ognisko i wtedy nie zagrożą nam żadne drapieżniki. Idź, ubierz się cieplej, a ja przypilnuję mięsa.

Dziewczyna przytaknęła, skierowała się do juków leżących obok siodła i czapraków. W jednym z nich odszukała podszytą futrem skórzaną tunikę, którą pośpiesznie włożyła i wróciła do ogniska. Przy swoim towarzyszu, czuła się bezpieczniej.

- Jeszcze chwila - powiedział mnich, nakłuwając pieczeń ostrzem noża - będziemy mieli doskonałą kolację. Nie ma nic lepszego od kawałka smażonego mięsa, zjedzonego na świeżym powietrzu.

- Wspomniałeś o Famarach – zaryzykowała, mimo wszystko, by skłonić swojego towarzysza do rozmowy. – Nic nie wiem o nich. Kim są?

- Złem. Absolutnym i bezlitosnym. Kiedyś ta ziemia należała do nich. Potem przyszli przodkowie Sandżów i pokonali ich. Ale oni nie zniknęli ostatecznie. Ukryli się w nocnych cieniach i czekali na swoją godzinę, która właśnie nadchodzi.

- Skąd wiesz?

- Wiem. Przecież jestem mnichem. Przeczytałem w starodawnych księgach, że pewnego dnia, Cień wróci na ziemię. To się zdarzy wówczas, kiedy cały świat zostanie ogarnięty wojną. Famarzy są częścią Cienia, więc wracają.

- Mówisz straszne rzeczy, bracie Stein.

- Nie trzeba się bać. Świat zawsze był podzielony na Jasną i Zacienioną Stronę. Od zarania dziejów, Światło i Cień prowadzą nieustanną wojnę i wszyscy jesteśmy uczestnikami tej wielkiej bitwy. Każdy ma prawo wyboru – po której stronie stanie. I to jest właściwe. Jednak się zdarza, że pewnym ludziom, od momentu narodzin, wyznaczone jest konkretne miejsce w tej walce. Jeśli człowiek dowie się o tym, opuszcza go strach, a pozostaje tylko odczucie obowiązku.

- Dlaczego mi o tym mówisz?

- Ponieważ, szukam takiego człowieka. Kobiętę, która została wybrana przez dawnych bogów dla konfrontacji z Cieniem.

- O mnie mówisz?

- Nie. Ma na imię Kasta i powinienem ją znaleźć. Taka jest wola bogów.  
- Nie rozumiem - poczuła niespodziewaną i niezrozumiałą zazdrość. – Ty, mnich, człowiek czczący Gelesa, mówisz o jakichś bogach?

- Dziwisz się? Geles – to tylko jedno z imion, którym określamy ojca wszystkich dawnych bogów. Tych, którzy kiedyś stworzyli ten świat i kierowali nim, póki nie nastały czasy zapomnienia. Dzisiaj, tylko nieliczni pamiętają o tych prawdziwych. A bogowie nigdy nie zapominali o ludziach, starali się im pomagać. Tylko nie mieli już dawnej mocy. Pozostał im tylko jeden sposób wpływania na losy świata - szukanie bohaterów. Albo tych, którzy mogą stać się bohaterami... O, zdaje się, że nasza kolacja gotowa!

Zdjął z ognia rożen, zręcznie pokroił gorące, soczyste mięso na glinianym talerzu. Dziewczynie wydało się, że nigdy w życiu nie jadła niczego smaczniejszego.

- Dobra wołowina, młoda - powiedział mnich, przeżuwszy pierwszy kawałek. – Przydałoby się skropić octem. I czosnek by się przydał. Poczekaj chwilę!

Wyciągnął z torby wielką, skórzaną manierkę, odkręcił korek, napenił z niej kubek i podał dziewczynie. W naczyniu było mocne, ciemne piwo - ulubiony napój Ajdżów.

- To lepsze niż woda - powiedział - nie lubisz piwa?

- Nie bardzo - odpowiedziała. – Ale jest rzeczywiście dobre.

- Ja też wypiję łyżeczek. Twoje zdrowie, Orsi!

- Jaką rolę ma odegrać Kasta?

- To długa opowieść. Ale, jeśli w dwóch słowach, to powinienem pomóc jej, a ona mi. Razem zakończymy wojnę, która gnębi tę ziemię i nie dopuścimy do powrotu Famarów.

- Jakie to wszystko dziwne! - westchnęła. - Jeszcze niedawno nic nie wiedziałam o Famarach, o Cieniu, o dawnych bogach. Po prostu, żyłam w swojej wiosce, spacerowałam z przyjaciółkami, spotykałam się z Rejnsem, marzyłam o szczęśliwym zamążpójściu. A potem... I co będzie, kiedy znajdziesz tę kobietę, Kastę?

- Oddam jej Coś. A w zamian, poproszę o pomoc.

- A do czego ja ci jestem potrzebna?

- Dobre pytanie - zaśmiał się. - Myślę, że w tym też przejawiała się wola bogów. Twoje pojawienie się w Gojlonie nie było przypadkowe. Jestem prawie pewny, że ty też należysz do tych ludzi, których dawni bogowie obdzielają szczególnym losem.

- Szczególnym losem? - poczuła rozdrażnienie i obrazę. - Moją wieś wycięto do ostatniego człowieka. Zginęli wszyscy, których znałam i kochałam. Neni Berenika wysłała mnie do ciebie, a ty, nawet nie możesz z sensem powiedzieć, do czego ci jestem potrzebna?

- Nie obrażaj się, Orsi. Musisz być cierpliwa.

- Innych słów aprobaty nie będzie?

- Nie mam ci nic innego do powiedzenia, dziecko. Proszę tylko o jedno - pozostań ze mną. Jeśli tu jesteś, to znaczy, tak musi być. Poza tym, lubię twoje towarzystwo.

- Kłamiesz - powiedziała, ale ostatnie słowa mnicha zmieszały ją i z jakiegoś powodu, ucieszyły. - Przecież jestem dla ciebie ciężarem.

- Nie mów głupstw. Jeśli neni przysłała cię do mnie, to znaczy, że tak trzeba. Ciężarem też nie będziesz. Rozumiem, dlaczego tak mówisz. Mogę sprawiać wrażenie odludka, zamkniętego w sobie. Ale nie jestem taki – szeroko się uśmiechnął. - Jestem samotnikiem.

- A dlaczego zostałeś mnichem?

- Prawdopodobnie, to najlepsza droga dla każdego, kto pragnie osiąść mądrość.

- Czytać książki – powiedziała w zamyśleniu - dużo-dużo wiedzieć. Uczyc innych życia zgodnego z prawami bożymi i przy tym, nie zaznać rodzinnego szczęścia, miłości, uciechy cielesnej, nigdy nie wziąć na ręce własnego dziecka. Prawdopodobnie, takie życie jest bardzo trudne, bracie Stein.

- Trudne. Ale przyzwyczałem się do samotności - mrugnął porozumiewawczo do dziewczyny. – Za to, mam wolność.

- Wolność bez miłości? Czy warto?

- Porozmawiamy o tym jutro. A teraz, kładź się spać. O świcie ruszymy dalej, musisz wypocząć.

- A ty?

- Przypilnuję ogniska. Miejsce jest odludne, jakieś zwierzę może napaść.

- Dlaczego nie chcesz, żeby Kajusz nas pilnował?

- Ponieważ, nie chcę spać, słowo honoru. Kładź się, o nic się nie martw. Powinnaś dobrze wypocząć.

Przestała się sprzeczać, położyła się na końskim potniku, podłożyła pod głowę siodło, nakryła filcowym pledem i spróbowała myśleć o czymś przyjemnym. Syte jedzenie i zmęczenie, po dniu spędzonym w siodle, sprawiły, że bardzo szybko zasnęła.

Ksiągarz dorzucił chrustu na węgle i ognisko zapłonęło jasno, trzeszcząc i wyrzucając iskry w nocne niebo. Jakiś czas siedział nieruchomo, a potem westchnął i wyszeptał zakłęcie wezwania. Ciemność zgęstniała w mętny obłok i po chwili przekształciła się w czarną panterę.

- Chodź, Kajusz - przywołał zwierzę - posiedź ze mną.

Pantera podeszła bliżej, rozciągnęła się na ziemi przy nogach mnicha. Ksiągarz zająrzył w błyszczące, zielone oczy drapieznika i nagle pomyślał, że nigdy nie miał przyjaciela bardziej oddanego, niż Kajusz. A kim będzie dla niego Orselin? Jednak odpowiedź na to pytanie jest bardzo skomplikowana. Czeka ich jeszcze bardzo dużo prób, a najważniejsza – to, grobowiec Utaro.

Spojrzał na dziewczynę, przekonał się, że śpi mocno. Skradając się, podszedł do swego konia, rozwiązał jeden z juków i wyjął kulę, z półprzezroczystego, różowego szkła. Wrócił do ogniska, położył przed sobą na trawie i wyszeptał zakłęcie.

Kula pozostała ciemna. Poczuł zdumienie i trwogę. Co się dzieje? Wszystko robi jak zwykle, ale matula, z jakiegoś powodu nie odpowiada. Przeciągnął dłońmi po twarzy i spróbował jeszcze raz skoncentrować się na szklanej sferze, przywołał w pamięci twarz matki, w najdrobniejszych szczegółach.

Znów nie udało się aktywować kuli.

- Co z tobą, mamó? - wyszeptał, biorąc kulę do ręki. - Nie chcesz rozmawiać ze mną?

Nad polaną przeleciał powiew wiatru, rozdmuchując żar w ognisku. Przez chwilę wydawało się, że wewnątrz zabłysnął ogień, ale ta słaba iskra natychmiast zgasła. Rozejrzył się bezradnie, wziął ją w obie dłonie, jakby chciał ogrzać zimne szkło i przywrócić do życia. Potężny, daleki grzmot, zmusił do przerwania próby łączności .

Wiatr wzmógł się. Korony drzew nad głową zaczęły się kołysać coraz mocniej. Podniósłszy wzrok w nocne niebo, zobaczył, że nie ma już na nim gwiazd. Zwartą czerń firmamentu rozcinały przelotne błyskawice – coraz częstsze. Konie zaczęły niespokojnie parskać. Prawdopodobnie, zbliżała się burza.

Ściskając w ręce szklaną kulę, odwrócił się do Orselin. Dziewczyna obudziła się. Leżała, tuląc się w koldrę, a w jej oczach czaił się strach.

- Co to? - jęknęła, napotkawszy wzrok Księgarza.

- Burza? - popatrzył w niebo, które rozświetlały coraz częstsze błyskawice - dzień był taki pogodny ...

Trzask pioruna przerwał rozważania mnicha, nad polaną nadleciał taki wiatr, że drzewa gięły się prawie do ziemi, a konie miotły się jak oszalałe. Ognisko zgasło, gwałtowny podmuch rozrzucił węgle po polanie. Zrobiło się ciemno i słychać było tylko chrzęst łamiących się gałęzi i wycie wiatru. Orselin krzyknęła, usiadła na wojujoku, bezradnie patrząc na Księgarza.

- Idziemy! - starając się przekrzyczeć wycie wzmagającego się wiatru, chwycił dziewczynę za rękę i powlókł w kierunku niewysokiej skały w dolince między drzewami.

Zaledwie zdążyli się schować w zagłębieniu pod skałą, kiedy na las zwałił się dziki szkwał. Z żalosnym trzaskiem zaczęły przewracać się sosny. Niebo rozdarła błyskawica, oświetlając las, a po sekundzie, tak zagrzmiało, że ziemia zadrżała. Orselin wtuliła twarz w pierś mnicha i drżała z przerażenia. Księgarz też był wystraszony. Takiej burzy, jeszcze nie widział.

Pioruny były teraz bez ustanku, rozłupując i podpalając drzewa, podświetlały niezwykłą, purpurowo-czarną chmurę, pełznącą po niebie. Od ciągłego huku zamierało serce. A potem, lunął deszcz - ścianą, potopem, łomoczącym wodospadem, jak gdyby wszystkie wody niebiańskie runęły na ziemię. Nawet mnich poczuł przesądne przerażenie. Przyciskając do siebie płaczącą ze strachu Orselin, patrzył dookoła i próbował zrozumieć, co się dzieje. To nie burza, powiedział do siebie. To znak.

Co się dzieje?

Z dziwnej chmury wystrzeliła błyskawica, trafiła w pagórek leżący kilkadziesiąt łokci od miejsca gdzie się schowali. Mężczyzna na chwilę oślepl, a potem zobaczył to, co zmusiło go zapomnieć o wszystkim.

Przed nim, na szczycie pagórka, wśród powalonych i roztrzaskanych przez pioruny drzew, ukazała się świetlista postać. Stała, rozłożywszy ręce, jakby się modliła. Poczuł się tak, jakby go przebiła lodowa włócznia - nie mógł widzieć twarzy zjawy, ale domyślił się kto to taki.

- Mamo! - krzyknął i wyszedł z ukrycia. Nie zwracał uwagi na zbijający z nóg żywioł. Biegł, grzęznąc w potokach pniącego się błota, ale nie zdążył - postać zniknęła. Rozpłynęła się w ryczącym mroku burzy, zgasła. Został sam, na usypanej wiatrołomem polanie.

- Mamo ... - wyszeptał i bezradnie opuścił ręce. Po chwili, ktoś uchwycił się rękawa jego sutanny.

- My..., zginiemy? - wybełkotała Orselin, szcękając zębami z chłodu i strachu.

- Nie - powiedział patrząc tam, gdzie jeszcze przed chwilą stała zjawa. - To koniec, za chwilę będzie po wszystkim. Uspokój się.

- Dlaczego uciekłeś? - zapłakała, wczepiła się w mnicha jeszcze mocniej. - Myślałam ... myślałam.

- Oni są martwi - powiedział. - Wszyscy martwi. Mamo, mam, coś ty narobiła?

- Co mówisz?!

- Nic - Księgarz z trudem pokonał słabość. - To tylko, głośnie myśli.

- Nasze konie uciekły! - krzyknęła.

- Uciekły. Idziemy - objął dziewczynę i pociągnął do miejsca ukrycia. - Trzymaj się mnie. Burza już się kończy.

Jeszcze raz obejrzał się z nadzieją ujrzenia czegokolwiek, ale plac na szczycie pagórka był pusty. Wiatr nadleciał z nową siłą, czarne niebo przebiło się mocnym gradem. Stojąc po kolana w wodzie, przyciskał do siebie drżącą Orselin i myślał o tym, co się zdarzyło. O tym, co wcześniej czy później musiało się zdarzyć. Ten dzień, nadszedł. Bogini-matka uczyniła wybór. Oddała Tarczę i zapłaciła za to życiem. Bogowie stali się śmiertelni - wszyscy Zapomniani, jego bracia i siostry, on sam, Mommek, bóg mądrości, nazywający się Księgarzem. Wielka bitwa zaczęła się i trzeba się śpieszyć. Wojowniczką powinna zwrócić otrzymane relikwie.

I pomóc mu odzyskać zbroję Ariczy.

\*\*\*

Tawerna we wsi Itari, znajdująca się w połowie drogi między Arkiem i Dremmerchewenem, była pełna ludzi. Miejscowych nie było, tylko podróżni, zaskoczeni w drodze niepokodą. Przemoczeni i przerażeni, pili rozwodnione piwo i paskudną, jęczmienną wódkę. Rozprawiali o tym, co zobaczyli. Na niezwykłą parę, wchodzącą do tawerny - młodego mnicha i krótko ostrzyżoną, niebieskooką dziewczynę w ubrudzonej odzieży - zwróciła uwagę tylko gospodyni.

- Co wielebny sobie życzy? - spytała mnicha najdelikatniejszym tonem.

- Gorące wino i pokój.

- Nie ma ani jednego, ani drugiego. Wszystkie pokoje zajęte, a wina zabrakło.

- A jedzenie i konie masz?

- Jedzenia nie mam. O konie można zapytać handlarza Roniego, w zachodnich opłotkach.

Mnich popatrzył na swoją towarzyszkę: sprawiała wrażenie chorej na febrę.

- W porządku, bracie Stein, posiedzę tu – odezwała się dziewczyna. Gospodyni pokręciła głową.

- Dam ci matę - powiedziała. - To będzie kosztować jednego sjentera.

- Mam pieniądze - zapewnił mnich.

Gospodyni skinęła głową i oddaliła się. Księgarz rozejrzał się po izbie: tawerna rzeczywiście była pełna ludzi. Smrodliwe, zatęchłe powietrze, aż przylepiało się do skóry.

- Śmierdzi - marszcząc się, powiedziała Orselin, jak gdyby zgadując myśli towarzysza.

- Pójdę, przespaceruję się - powiedział mnich.

- Idę z tobą.

- Nie powinnaś. Masz gorączkę i musisz odpocząć. Karczmarka przyniesie matę, więc będziesz mogła się przespać. Ja, postaram się we wsi o jedzenie. Nie możemy podróżować bez zapasów i bez koni.

- Boję się zostać sama.

- Nic ci tu nie grozi - leciutko uściśnął palce dziewczyny. – Masz tu pieniądze, dasz gospodyni za matę. Wrócę niebawem.

Bodzo-grubas ziewnął i popatrzył na niebo. Księżyc był po zachodniej stronie – zbliżała się północ. Po straszliwej burzy, szalejącej jeszcze niedawno, niebo, gwiazdy i księżyc były czyste i jasne, jakby je umyto źródlaną wodą. Przyszło mu na myśl, że obraz ten, może posłużyć za kanwę wierszowanej miniatury.

Gdyby nie ta nawałnica, dogoniliby ofiarę jeszcze za dnia. Teraz jednak pożałował, że sam udał się na wyprawę. Riki, przez swojego człowieka, prosił go, by osobiście nadzorował wykonanie kontraktu, a słowo zleceniodawcy jest prawem. Do

tego, trzydzieści tysięcy sjenterów. Takich pieniędzy Szarym Klingom, dawno nikt nie zaproponował. To istny majątek. Dla takiej sumy, można zostawić na pewien czas rozkoszny dom, piękne nóżnice, wykwintne potrawy i osobiście wziąć udział w nagonce. Jednocześnie, nadarzyła się okazja do rozgrzewki i rozprostowania starych kości. Po raz ostatni Bodzo-grubas, patriarcha klanu Gensje-Ro-Omajto w Dremmerchewenie, zabijał własnoręcznie osiem lat temu. Dziś, w Chealadzie, popyt na usługi Szarych Kling jest niewielki, dawna sztuka zabijania w sposób wytworny i piękny, już niepotrzebny. Bardziej opłaca się wynająć przeklętych najemników albo zwyczajnych bandytów, którzy są gotowi zarznąć człowieka za butelkę ryżowej wódki. Dlatego, trzeba wykorzystać okazję – nie wiadomo, czy nadarzy się jeszcze sposobność popracowania, jak dawniej. Wziął ze sobą czterech najlepszych ludzi: piątka, to święta liczba dla Gense-Ro-Omajto. Pięć palców jednej karzącej ręki. Trzeba przestrzegać tradycji.

Zwiadowcy wrócili, zanim skończył rymować ostatnie dwie linijki swojej miniatury.

- Są w Itari, nauczycielu - powiedział starszy.

Bodzo zwrócił się do Sakaszy, otulonego w ciepły płaszcz.

- Wszystko mi opowiedziałeś, magu?

- Opowiedziałem? - otrząsnął się. - Wszystko, panie Bodzo. Wszystko, co wiedziałem.

- Uważaj, bo bardzo nie lubię niespodzianek. - Obrzucił spojrzeniem swoich ludzi. - Zaczynamy. Przed upływem nocy, musimy wykonać zadanie.

Handlarz Roni miał na sprzedaż tylko jednego konia – starą, zajeżdżoną kobyłę z wyliniałą grzywą, startymi zębami i spuchniętymi pęciami. Maksymalna jej wartość, była nie większa niż dziesięć sjenterów - Roni żądał dwudziestu pięciu. Dobili targu, przy dwudziestu. Z jedzeniem było jeszcze gorzej. Domy chłopów w Itari były puste, jak ich oczy i żołądki. Kiedyś, prawdopodobnie, była to dostatnia wieś, ale po wojnie Tygrysa i Smoka popadła w zupełną ruinę. Ulice toną w błocie, pola przy domach zarosły chwastami, ogrody wyglądają jak dzikie gaje. Mężczyzn prawie nie ma, zostali tylko staruszkowie i kobiety. Ludzie prosili mnicha o błogosławieństwo, zapraszali do domów, ale na propozycję sprzedaży jedzenia, tylko kręcili głowami. Potem, podeszła do niego starsza, wyczerpana kobieta.

- Pobłogosław, wielebny - poprosiła.

Spełnił prośbę - i otrzymał dwa osami, suche, jęczmienne placki. Małe, niewiele większe od dłoni. Takie chlebki, chłopci pieką na zapas i potem cały rok przechowują w plecionych koszach i jedzą, rozmoczywszy we wrzątku. Podał kobiecie monetę, ale ta pokręciła głową i odeszła.

Odłamał kawałeczek z jednego placka i włożył w usta. Chleb zalatywał kurzem i pleśnią, chrząścił na zębach niczym tynk. Nieszczerólnie jedzenie dla tego, kto kiedyś był mieszkańcem nieba. Był ...

Wizja musiała być prawdziwa. Matka nie żyje, a on, bracia i siostry, stali się śmiertelnymi, zwykłymi ludźmi, których udziałem jest – obrócenie się w proch. Wobec tego, jaki sens w tym, co robi? Po co ma teraz szukać Wojowniczkę, próbować zdobyć zbroję?

Czy jest sens, czy nie, rozpoczęte dzieło trzeba doprowadzić do końca. Może tam, na końcu drogi, znajdzie się odpowiedź przynajmniej na jedno z pytań.

Oddał swój placek kobyle, drugi wsunął za pazuchę - dla Orselin. Spojrzał w niebo. Nie było już chmur, zrobiło się pogodnie. Nocny wiatr kołysał drzewami. Od

porywów przenikały go dreszcze. Odzież nadal była wilgotna, trzeba szybko wrócić do zajazdu, dziewczyna także na niego czeka ...

Niespodziewanie wyłoniły się czarne cienie. Jeden ruszył na niego od strony domów, dwa inne wyskoczyły zza wysokich krzaków, na poboczu drogi. Gdyby nie księżyc, rzucony orion trafiłby w twarz, ale stał zamigotała w księżycowym blasku - i Księgarz, cudem, zdążył się uchylić. Broń dosięgła kobyły, ta żałośnie zarżała, szarpnęła powód i rzuciła się do ucieczki, jak najdalej od domów.

- Kajusz! - krzyknął mnich, zaciskając pięści i wysuwając klingi z rękawiczek.

Pierwszy asasyn rzucił się na niego z mieczem, celował w głowę. Odparował wypad, padł na kolano, podcinając wrogowi nogę swoją klingą. Napastnik uchylił się i obok ukazał się drugi. Zrozumiał, że zginie.

I zginąłby - gdyby nie Kajusz.

Lampart, bezszelestnie wyskoczył z ciemności, rzucił się na morderców, jakby ich naśladując – w milczeniu. Łapą zdruzgotał twarz pierwszemu, szarpnął drugim, rzucając go w błoto. Zapachniało krwią. Mnich obrócił się, by stawić czoła trzeciemu mordercy. Odbił skierowane w głowę uderzenie miecza, krótkim machnięciem lewej ręki rozciął przeciwnikowi nasadę nosa. Ranny zaszlochał, odskoczył, próbując zachować równowagę. Uderzył go w twarz, łamiąc szczękę i przewracając na ziemię. A po chwili usłyszał, jak gwałtownie i zaciekle zawył Kajusz i odwrócił się, by stanąć twarzą w twarz jeszcze z dwoma asasynami.

Jeden z nich był ranny - krew tryskała z rozdartej pazurami lamparta arterii, ale mógł jeszcze walczyć i atakować mnicha kłującym wypadem. Klinga dosięgła piersi, zsunęła się po żebrach, rozrywając ciało. Oparzony bólem mnich krzyknął. Nurkując pod mieczem przeciwnika, zadał podwójne uderzenie w brzuch asasyna, wypuszczając wnętrzności. Ostatni z morderców, otyły i wielki, ruszał się mimo wszystko ze zdumiewającą zręcznością. A do tego - nie był ranny.

- Kajusz! - krzyknął, próbując wykorzystać ostatnią nadzieję.

Klinga grubasa uderzyła skośnie, z boku - precyzyjne, trenowane przez dziesięciolecia śmiertelne uderzenie, było wycelowane w skroń. Takiego uderzenia nie można odbić.

Ostrze uderzyło po lewej ręce mnicha, trafiając w stalowy mankiet rękawiczki bojowej. Zgrzytnął metal, ból w ręce okazał się mniej ostry, niż oczekiwał. Miał bardzo mało czasu na kontratak, ale zdążył. Klinga prawej rękawiczki weszła po nasadę palców w brzuch grubasa. Księgarz szarpnął nią do góry, rozpruwając przeciwnikowi brzuch. Dopiero, po pewnym czasie, dotarło do niego, że walka się skończyła.

Podtrzymując lewą rękę, podszedł do Kajusza. Lampart leżał na boku, oddychał krótko i często. Dotknął głowy zwierzęcia: lampart ciężko westchnął, zupełnie po ludzku.

- Kajusz! - szepnął mnich. - Kajusz, co z tobą?

Lampart jeszcze raz westchnął i wyciągnął się na zakrwawionej ziemi. Księgarz przeciągnął dłonią po dolnej części grzywy zwierzęcia, wyczuwając spazmatyczne drżenie mięśni - ostatnie, pośmiertne skurcze.

- Ty też, przyjacielu mój, opuścisz mnie - szepnął.

Palce lewej ręki ruszały się, kości były całe, ale rękaw płaszcza na wskroś przesiąkł krwią. Rękawiczka była rozrąbana, klingę zaklinowało, dźwignie pogięły się, mechanizm zapchało skrzepami krwi. Rana na piersi krwawiła mniej, ale ogarnęła go słabość i zawroty głowy. Trzeba natychmiast zatamować krew i opatrzyć rany. Po chwili pomyślał przerażony, że broń morderców mogła być zatruta. Jeśli tak, to czasu pozostało niewiele ...

W krzakach, z prawej strony, zauważył skradającą się postać. Brzęknęła wyrzucona z rękawiczki klinga, rzucił się w mrok, dogonił osobę w czerni, próbującą zbiec z pola walki i ciosem w plecy przewrócił na ziemię.

- Ty?!

- Nie zabijaj! - pisnął Sakaszy, osłaniając się dłońmi. - Łaski!

- Dlaczego, Sakaszy?

- To nie ja! Wszystkiemu winien Riki, nadworny mag księcia Todze. To on mi kazał.

- Mów - rozkazał, przystawivszy klingę do gardła maga - jak na spowiedzi, inaczej, przysięgam na wieczność, ja ...

- Ja ... Wiem, gdzie znajduje się wejście. Zwoje Larina ... Tam były podpowiedzi.

- To znaczy, że morderstwo Larina - też twoja sprawka?

- To wszystko wina Rikiego. Opowiedziałem mu o swoich poszukiwaniach, o portalu, który otworzył się niedaleko Naraino. Potrzebne mi były pieniądze. Chciałem sprzedać mu sekret zbroi Ariczy.

- Kłamiesz, Sakaszy. To ty podsunąłeś Rikiemu pomysł ze zbroją, a on się tego uchwycił. Jeśli Todze otrzyma świętą zbroję domu Chimy, uzyska wówczas wszystkie prawa do tronu Chealady. Dom Edcho nie będzie w stanie pretendować do władzy. I to twoi ludzie zabili starego Larina.

- To ludzie Rikiego! - zawył Sakaszy. - To Riki kazał mi wynająć Szare Klingi.

- Gensje-ro-Omajto? - Księgarz zdrętwiał. - Mordercy imperatorów. Ich usługi bardzo drogo kosztują.

- Riki dał pieniądze. Czterdzieści tysięcy sjenterów.

- Hojnie! - lekko docisnął klingę. - Mów, gdzie jest zaczarowane wejście do grobowca, inaczej ...

- Znajduje się w pałacu Górskiego Smoka. To jest pewne.

- Z czego to wywnioskowałeś?

- Zwoje, Księgarzu, i moja intuicja. Przez ostatnie lata życia, Utaro nie opuszczał pałacu. Po śmierci, sarkofag z ciałem imperatora był niby przewieziony do Ark. Ale sarkofag był zamknięty i zapieczętowany. Chyba nie było tam ciała Utaro.

- To tylko przypuszczenie.

- Nie. To prawda. Właściwe wejście do grobowca jest ukryte w pałacu Górskiego Smoka. W Ark, został zbudowany fałszywy grobowiec. Utaro zatroszczył się o to, by po jego ludzkim życiu, prawdziwy grobowiec pozostał niedostępny.

- Co znaczy „po ludzkim życiu”?

- To, co mówię. Utaro przekształcił się w licza.

- To niemożliwe. Nie dysponował magiczną mocą tego typu.

- Dużo wiesz! - Sakaszy skrzywił się z uśmiechem. - On miał alchemiczny kamień Kanwał, jeden z siedmiu magicznych kryształów, kiedyś przechowywanych w skarbnicy Wielkiej Łoży famarskich czarowników. Ten kamień, kieruje magią Przeobrażenia i Utaro spożytkował jego moc, żeby odrodzić się ożywieńcem, zostać liczem i wiecznie chronić zbroję Ariczy i swoje skarby. Po śmierci Utaro, mag Tajeszy, wydobył serce imperatora i włożył w jego miejsce kamień Kanwał i tak Utaro został liczem.

- Tak było zapisane w zwojach?

- Tak. Teraz mnie wypuścisz?

- Nie - Księgarz rozwarł palce i schował klingę w rękawicze - pójdziesz ze mną. Jeśli pomożesz, gwarantuję, że przeżyjesz jeszcze wiele lat. Jeśli nie, zabiję.

- Panie, nic nie umiem! - popłakiwał Sakaszy. - Nie potrafię być ci użyteczny.

- Wstawaj - mnich zdrową ręką podchwycił maga, postawił na nogi. – Masz przy sobie zwoje?

- Nie, zostały w moim domu w Dremmerchewenie.

- Nieważnie. Powinieneś pamiętać, co tam zapisane. Weź też pod uwagę, że już raz się powstrzymałem i nie upuściłem ci krwi. Ale teraz mnie rozzłościłeś. Przez ciebie zginął Kajusz, mój jedyny przyjaciel. Dlatego, nie doprowadzaj mnie do wściekłości, bo umrzesz.

- Zrozumiałem, panie.

- Gdzie są konie tych zuchów? - mnich wskazał na trupy asasynów.

- Zostawiliśmy we wsi, w podwórzu opuszczonego domu.

- Chodźmy, pokażesz to miejsce.

Mag tylko kiwnął głową, wymruczał coś nieartykułowanego. Księgarz podchwycił go pod rękę i powlókł do wsi. Mógł jednak zrobić kilka kroków, a potem poczuł, że ziemia usuwa się spod nóg. Ostatnie, co zobaczył - to niebo, bezdenne-czarne, usypane ogromnymi gwiazdami, spadającymi na niego z ogromną prędkością.

Ostry ból spowodował, że wrócił do przytomności. Początkowo niczego nie widział, potem, z półmroku wyłoniła się twarz Orselin.

- Co ... Co ze mną? - szepnął.

- Ty, ojcie święty, byłeś na krawędzi światów, kiedy cię znaleźliśmy - obok dziewczyny ukazało się inne oblicze, szerokie, otwarte i uśmiechnięte, ze szparkami oczu i błyszczącymi koralikami potu na czole. - Ale teraz, wszystko w porządku. Opatrzyłem i pozszywałem twoje rany najlepszym sposobem. Pomyśleć tylko, że ręka jakiegoś nikczemnika podniosła się na świętego człowieka!

- To lekarz - powiedziała Orselin, odczytując w oczach mnicha pytanie. - Znaleźliśmy cię i gospodyni natychmiast zawołała lekarza.

- Straciłem świadomość - powiedział, patrząc w sufit. Wydawało się, że ręka i pierś już nie boją tak mocno, jak w pierwszej chwili.

- I prawie połowę swojej krwi, ojcie święty - lekarz odszedł od rannego. - Ale żyć będziesz. Chwała przodkom, masz mocną budowę i zdrowie.

- Poczekaj - zapytał, patrząc na uśmiechającą się Orselin - a gdzie Sakaszy?

- Kto?

- Mag, który był ze mną.

- Nie było nikogo. Leżałeś sam, w kałuży krwi, przy dalekich domach.

- Zbiegł - zgrzytnął zębami. - Trzeba go dogonić.

- E, nie, ojcie święty! - lekarz rozkazującym gestem powstrzymał rannego, próbującego wstać z łoża - dzionek-dwa trzeba poleżeć, odbudować siły. A jeszcze lepiej tydzień. Szwy powinny zagoić się jak należy.

- Nie mogę - zrobił jeszcze jeden ruch, ale pierś przeszył ból i wszystko zawirowało przed oczyma.

- Aleś ty zwinny, ojcie święty! - uśmiechnął się lekarz. – Ale, niestety , trzeba poleżeć. Opiekuj się nim, córeczko. Jeśli pojawi się gorączka, albo zły zapach ran, natychmiast mnie wołaj, dobrze?

- Orselin! - zawołał mnich, kiedy zorientował się, że lekarz poszedł – gdzie jesteś?

- Jestem tu, bracie Stein - dziewczyna podeszła do łoża, pochyliła się nad rannym.

- Oni... Zabili Kajusza. Zostałem zupełnie sam.

- Nie jesteś sam. Będę przy tobie, jak długo będziesz sobie życzył.

- Wobec tego, nie odchodź. Bądź obok.

- Dobrze.
- Orselin!
- Co, bracie Stein?
- Jeśli umrę, zrób to dla mnie... W mojej torbie leży zawiniątko. W nim są pewne rzeczy, bardzo cenne. Odszukaj najemnicę o imieniu Mirczel i oddaj jej te rzeczy. Nie pytaj, po co - tak trzeba. Wykonasz?
- Nie umrzesz, bracie Stein. Nie mów głupstw.
- Postaram się. Ale my wszyscy staliśmy się teraz śmiertelnymi.
- Zawsze nimi byliśmy - nakryła swoją dłonią rękę mnicha. - Wszyscy umrzemy, ale nie tu i nie teraz. Czyż nie tak, bracie Stein?
- Wierzysz, w to co mówisz?
- Oczywiście. Przecież z nami jest Geles, on nas ochroni.
- Geles! - zamknął oczy. - Zmęczyłem się. Wybacz, nie mogę mówić.
- Nie mów. Prześpij się. Będę przy tobie.
- Orselin - wargi chorego drgnęły - wiesz, o czym teraz pomyślałem? Jeśli obudzę się, to największym szczęściem dla mnie będzie twój widok.
- Śpij, bracie Stein. Śpij. I niech sen uzdrowi twoje rany. Zobaczyła, że zamknął oczy i cichutko dodała: - A ja, pomodłę się za ciebie.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

### GNIEW DOWÓDCY IRMASA

Na wozie leżały dwa rozdęte, poczerńnięte ciała, nakryte rogożą, stwardniałą od krwi i oblepioną muchami. Fetor był nieznośny, podwórze zamku w krótkim czasie dosłownie przesiąkło tym smrodem, a w niebie, nad wieżami cytadeli, już krążyły stada wron przyciągnięte widowiskiem śmierci. Irmias Uden, wykrzywiając wargi z obrzydzenia, uniósł rogożę ostrzem miecza i natychmiast opuścił.

- Błyskawico Rundy! - wyrwało mu się – chyba dobry kat nim się zajmował.
- To nie kat - powiedział jeden z najemników, którzy przywieźli ciała do Dremmerchewenu. - Mirczel go tak urządziła.
- Mirczel? - z trudem zachował niewzruszony wyraz twarzy. - To zrobiła Mirczel?
- Tak, dowódco. Była z ochroną księcia. To ona zabiła Kłocza.
- Czegoś tu nie rozumiem - mówił lodowatym tonem. - Przywieźliście mi trupa Kłocza i jeszcze tę Sandżyjską padlinę Kadai, na dowód, że z księciem skończone. Ale, nie widzę samego Owaro. Gdzie jest ciało księcia? I gdzie Mirczel?
- Dowódco - najemnik klęknął, skłonił głowę - pozwolisz opowiedzieć, jak było?
- Na to właśnie czekam.

Najemnik zaczął opowiadać, ze szczegółami, od momentu, kiedy oddział wysłany przez Irmiasa wyjechał z Dremmerchewenu. Był dobrym narratorem. Gdy słuchał, twarz mu coraz bardziej mroczniała, jakby jasny letni obłok, przekształcał się w burzową chmurę.

- To znaczy, że księżę uszedł - powiedział, kiedy najemnik skończył swoją opowieść. – Ludzie Ajoszy wykończyli sobowtóra, a księżę uszedł. I Mirczel była przy nim, tak?
- Dokładnie tak, dowódco - potwierdził najemnik, nie podnosząc oczu.
- A gdzie Lenjan, La Ber, Wirn?
- Przeszli pod dowództwo MirczeL. Najpierw La Ber i Wirn, a potem, także Lenjan.

- Tak - Irmaz popatrzył na zasłonięte krwawą rogożą ciała i poczuł, jak rozpala się w duszy srogi, niehumaniczny gniew. - A wam starczyło bezczelności, by wrócić z takimi wiadomościami?

- Panie, nie gniewaj się! - najemnik schował głowę w ramiona - walczyliśmy dzielnie, ale te baby są prawdziwymi demonami. Każdy, kto zbliżał się do nich na długość klingi, ginął na miejscu.

- Skompromitowaliście mnie, Dormazie. Teraz, każdy włóczęga w Chealadzie, będzie śmiać się, że setka „Jastrzębi Dremmerchewenu” przegrała bitwę z dziesięcioma dziewczuchami. Sam wybierzesz śmierć, czy ja mam to zrobić?

- Panie, przebacz! - najemnik zbladł, wargi mu zdrząły. - Przeklęte wojowniczkę Ajdzy urządziły w jaskiniach świetną zasadzkę. Tam nawet tysiąc wojowników nie poradziłoby sobie. Nie mogliśmy wykorzystać liczebnej przewagi. A Kłocz...

- Co Kłocz?

- Przyjął wyzwanie na pojedynek i Mirczel porąbała go na kawałki.

- Biedaczysko! Zbyt pragnął krwi księcia i zapomniał, że Mirczel wybornie włada mieczem. Wyobraził sobie, że wykończyć to ścierwo, będzie tak samo łatwo, jak wyrwanie jeńcom zębów kleszczami. Nie pomściliście go, prawda?

- Nie, panie - odpowiedział najemnik prawie niedosłyszalnie.

- Wiecie, czego najbardziej chcę teraz? - zapytał, zwracając się do tych, którzy wrócili z Gojtonu. - Chcę, żeby ziemia się rozstała i pochłonęła was żywcem. Gdyby tak się stało, nie musiałbym brudzić rąk waszą ohydłą krwią. Zejdźcie mi z oczu!

- Panie, a co zrobić z ciałami? - zapytał giermek Nair.

- Odwieź do kuchni i niech kucharz przygotuje mi z nich pieczone na kolację! - groźnie błysnął oczyma. - Co robią z padliną, Nairze? Zakopcie ich w imię Tarałła, bo wszystko tu zacznie śmierdzieć.

- Słucham, panie.

Irmaz splunął i pomaszerał do wejścia na wieżę. Czuł, że jeszcze chwila - i oszaleje z wściekłości. Plan, który uważał za nienaganny, zawałił się, księżę uszedł, Kłocz martwy, a ta żmija Mirczel...

Niepotrzebnie ją zlekceważył. Dziewucha okazała się nadzwyczaj mądra i zwinna. Zdołała okręcić wokół palca idiotę Kłocza, nie przesadzając, uratowała tego małego wyrodka Owaro. Błyskawico Rundy, co za baba!

Wrócił do siebie i jeszcze długo nie mógł się uspokoić. Potłukł kilka waz, parę luster, a potem zrozumiał, że zachowuje się jak rozhisteryzowana baba. Trzeba przestać się wściekać, wziąć się w garść i pomyśleć, co robić dalej.

- Kassad! - krzyknął, uchylając drzwi.

Naczelnik ochrony zjawił się natychmiast. Z jego twarzy wyczytał, że ten oczekuje burzy i już przygotował się na najgorsze. Nic nie mówiąc, dowódca „Jastrzębi” podszedł do stołu i nalał wina z dzbana do dwóch kielichów.

- Napij się ze mną, przyjacielu - zaproponował, podając Kassadowi puchar z winem. - Nie chcę pić w samotności.

- Dziękuję, panie.

Haustem opróżnił swój puchar i natychmiast znowu go napełnił. Naczelnik, tylko dotknął wargami brzeg czaszy.

- Ilu mamy Seltończyków, Kassadzie?.

- Dokładnie nie wiem, panie. Siedemdziesięciu albo osiemdziesięciu, coś koło tego. A dlaczego pytasz?

- Słyszałeś, co powiedział ten syn hieny Dormaz? Seltończycy, który byli w oddziale Kłocza, ochoczo pobiegli za Mirczel.

- Przypuszczasz, że są niepewni?

- Tak myślę. Zawołaj do mnie Warga i Pardisa. Trzeba porozmawiać.

Warg, dowódca midingskich łuczników i Pardis, naczelnik najemników z Dzikich Miast zjawili się szybko – byli przygotowani, że po tym co się zdarzyło, Irmas ich wezwie. Zauważył, że Ward, najmłodszy, wygląda na zmieszanego. Za to Pardis, długobrody gigant z siwą grzywą, weteran dziesiątka wojen, zachowywał stoicki spokój.

- Kassadzie, zamknij drzwi - polecił naczelnikowi straży, potem podszedł do Pardisa i zajrzał w jego oczy. - Co powiesz, staruszk?

- Powiem, że boleję nad śmiercią Sarkaszego. Był doskonałym wojownikiem i moim przyjacielem.

- A ty, co powiesz? - zwrócił się do Warga.

- Nie mogę uwierzyć, że wszystko tak wyszło – zdobył się tylko na tyle młody człowiek.

- „Nie mogę uwierzyć!” - przedrzeźnił Irmas. - W to, rzeczywiście trudno uwierzyć, przysięgam na ogień piekielny! Dziesiątek bab, wyciął więcej niż półsetki wojowników. Kiedy wiadomość o tym rozniesie się po Chealadzie, brzuchy dowódców Ajoszy popękają od śmiechu! Jestem skompromitowany, a wszystkiemu winna ta rozpustnica Mirczel.

- Dowódco, ona nie ucieknie nam - powiedział Pardis. - Rozkaż i odnajdziemy ją nawet w królestwie Moroła.

- Nie ona mnie teraz niepokoi - Irmas nalał jeszcze wina. - Owaro uszedł. Mój plan zawalił się. Teraz Edcho - moi najwięksi wrogowie. I Ajoszy, też moi wrogowie. Sam zapędziłem się w pułapkę. Mam mało ludzi i nie mogę czekać. Czas działa przeciwko mnie. Co radzisz, Pardisie?

- Myślę, dowódco, że ty sam wiesz najlepiej, jaką decyzję podjąć - ostrożnie zauważył staruszek.

- Chytry z ciebie lis! A jeśli powiem, że nie wiem, to co?

- Nie uwierzę. Nie licz tego za pochlebstwo, Irmasie, ale jesteś najrozsądniejszym ze wszystkich dowódców, pod którymi służyłem. A służyłem pod wieloma, Runda mi świadkiem!

- Co zrobi Owaro po bitwie w Gojlonie? Uda się z powrotem do swojej twierdzy, pałacu Górskiego Smoka. Jego ochronę przetrzebili Ajoszy, zebrać znaczącą liczbę nowych wojowników nie jest w stanie. Lorda Kadai nie ma wśród żywych, ale teraz, Owaro ma nowego dowódcę.

- Masz na myśli Mirczel? - Pardis skrzywił się pogardliwie. - Głupia seltońska dziwka. Jaki z niej dowódca?

- Niezły, Pardisie. Zbyt dobrze poznałem tę dziewczynę przez ostatnie miesiące. Jest w niej jakaś dziwna, niezrozumiała dla mnie siła. Ręczę, że zaatakowanie Kłocza w jaskiniach pod Gojlonem, to jej pomysł i świetnie go zrealizowała, oby była przeklęta! Ponad pięćdziesięciu ludzi zabitych, a w oczach ocalałych, widziałem strach. Moi ludzie boją się, Pardisie! To coś znaczy.

- Nie bądź surowy dla nich. Widzieli śmierć i cudem jej uniknęli. Dopiero teraz rozumieją, kto jest ich wrogiem i będą walczyć na śmierć i życie, żeby zgładzić swoją winę.

- Mówiłem o seltończykach...

- Dowódco?

- Są niepewni. Nie ufam im.

- Mamy się z nimi rozliczyć i wyrzucić? – odezwał się Kassad.

- Rozliczyć? - odwrócił się do naczelnika ochrony - tracić skarb państwa, którego i tak mamy niewiele? Nie, nie będzie marnotrawstwa. Oni muszą zniknąć, Kassadzie. Tobie i twoim ludziom powierzam to zadanie.

- Czyli, powinniśmy ...

- Tak, przysięgam na Tarałta! Uwolnij mnie od zdrajców, a jak to zrobisz, nie moja sprawa.

- Zrozumiałem, dowódco - naczelnik ukłonił się.

- Zamierzasz atakować pałac Górskiego Smoka? - zapytał Pardis.

- A mam wybór? – uśmiechnął się złowieszczo - wojna rozpoczęta i trzeba działać szybko, póki sytuacji nie wykorzystali Ajoszy.

- A gdyby spróbować, zawrzeć z Ajoszy umowę, dowódco?

- Rozumiem cię, Pardisie. Ale to zły pomysł. Będziemy musieli dzielić się płodami zwycięstwa z nimi, a to mnie zupełnie nie urzęda. Kiedy rozprawimy się z Owaro, wtedy będziemy rozmawiać z Radą Książąt, już jako władcy Północy.

- Niezły wymyśliłeś plan, dowódco - powiedział Kaestańczyk.

- Pardisie, jak najszybciej wybierz spośród swoich ludzi najlepszych jeźdźców i wyślij gońców do dalekich garnizonów. Niech porzucą swoje kurniki i kierują się do Dremmerchewenu. Udowodnię tym zezowatym Edcho, że zbyt wcześnie świętują zwycięstwo. Irmasa Uden jeszcze zobaczy, jaki kolor mają ich wnętrzności! Możecie odejść!

Dowódcy wyszli. Nalał jeszcze wina, ale zamiast podnieść puchar do ust, rzucił nim o ścianę, ozdabiając ją ciemną plamą, podobną do krwawych rozbryzgów. Kolejna fala wściekłości, goryczy i uczucia straty, ogarnęła dowódcę „Jastrzębi”.

- Miri, coś ty narobiła! - zajęczał, patrząc w pustkę. – Coś ty narobiła!

\*\*\*

Sznury w zegarze zmieniły się, było już po północy, a hulaszka uczta w Dremmerchewenie trwała nadal. Ulen Saljer stał na swoim posterunku w narożnej wieży zamku, opierając się na kopii i przysłuchując dźwiękom trwającej orgii. Przykro, oczywiście, że nie może brać udziału w tak świetnej zabawie. Ale, nie on jeden - naczelnik straży Kassad na wszystkie posterunki wyznaczył dzisiaj ziomków Saljera, Seltończyków. Dziwna decyzja.

W wieży było zimno i wartownik pomyślał o gorącym winie. O wielkim pucharze gorącego rewiniaka, z przyprawami korzennymi i miodem. I jeszcze, o dobrym kawałku zapiekanej na węglach wieprzowiny. Tylko, że dzisiaj nikt nie pomyśli o tym, że wartownicy, też ludzie. Przekłęci Kaestańczycy opijają się teraz domowym piwem, winem, wyciągiem z jawchi, ściskają dziwki, a on marznie na posterunku. Do zmiany jeszcze daleko. W najlepszym razie dostaną im się ogryzki tych, którzy teraz zabawiają się na zamkowym dziedzińcu. Na myśl o tym, że złością splunął pod nogi.

Dowódca zawsze podkreśla, że jednakowo ceni wszystkich swoich ludzi, ale w rzeczywistości, najtłuściejsze kawałki zawsze przytrafiają się tym wyrodkom, Kaestańczykom, ziomkom Irmasa. A pozostałym...

Odgłos kroków i brzęk żelaza na galerii odciągnął go od niewesołych myśli. Ktoś wchodził na wieżę. Szybko założył hełm, wyprostował się, oczekując gości.

Ścianę oświetliły pochodnie. Twarz wartownika rozpogodziła się - prawdopodobnie, to zmiana. Na przedzie szedł Kassad, za nim pięciu ludzi w pełnym uzbrojeniu. Jeśli go teraz zmienią, przez resztę nocy można będzie nieźle się zabawić...

- Saljer! - krzyknął Kassad. - Jesteś w wieży?
- Tak, dowódco - młody Seltończyk wyjrzał za drzwi.
- Wszystko w porządku?
- Cisza i spokój, dowódco.
- Chodź tu.

Zadziwił się: nigdy rozprowadzający nie żądał, aby wartownik wychodził z wieżyczki strażniczej na galerię. Jednakże, naczelnik straży dał rozkaz, który trzeba wykonać. Położywszy kopię na prawe ramię, wyszedł z wieży i skierował się do Kassada.

- Dobry z ciebie wojownik, chłopcze - powiedział dowódca. - Mówię to dlatego, że przez rok służby pokazałeś się z najlepszej strony.

- Dziękuję, dowódco - Saljer był zadziwiany. - A w czym...

- Otrzymałeś dymisję - powiedział Kassad i pchnął Seltończyka długim sztyłem w brzuch. Saljer zakrztusił się z bólu, opadł na kolana. Drugim uderzeniem dowódca podciął mu gardło. Kiedy ten przestał rzeźić, najemnicy szybko rozebrali nieboszczyka, zabierając zakrwawioną odzież i zbroję. A potem, podchwycili trupa i przerzucili przez mur do fosy.

- Po wszystkim - powiedział Kassad, słysząc plusk wody – o jeszcze jednego psa mniej. Kajnar, zajmij jego miejsce. A my pójdziemy, rozprawimy się z pozostałymi ...

\*\*\*

- Majczy, chodź tu!

Dziewczynka odwróciła się, podbiegła do kobiety niosącej wielki, pleciony kosz z bielizną. Ta wyciągnęła do niej rękę, uśmiechnęła się.

- Musimy się śpieszyć? - zapytała dziewczynka.

- Oczywiście. Inaczej dobre miejsca na przystani zajmą bez nas.

Przytaknęła ze zrozumieniem. Zaczęły schodzić po łagodnym nabrzeżu do rzeki, rozdzielającej Dremmerchewen na Stare i Nowe miasto.

- Będę prac ubranka Nini, a ty nasze, tak mam? - zapytała, kiedy z przodu ukazała się przystań.

- Oczywiście. Tylko upierz szybko, bo potrzebuję twojej pomocy. Samej mi trudno.

Poranek był przyjemny, rześki, jasny, sprzyjający wszelkim pracom. Na brzegu siedziało już kilka kobiet - same sąsiadki Ari i jej córki Majczy. Niektóre przyszyły tu jeszcze przed świtem. Kobiety witały się ceremonialnie: chociaż wszystkie z biednych rodzin, ale starodawne tradycje należy szanować. Tylko dwie z Ajdży, pomachały Ari rękami. Nie były zainteresowane miejscowymi obyczajami. Ari z niezadowoleniem popatrzyła na nie. Chociaż, czego można oczekiwać od byłych, najemniczych dziwek?

- Mam, pójdę prac ubranka! - oświadczyła Majczy.

- Dobrze, tylko daleko nie odchodź. I do wody nie włącz.

Kobiety zebrały się w grupkę na przystani, zaśpiewały starodawną pieśń o praczkach, które dzień i noc piorą za grosze i nigdy nie jedzą do syta. Pieśń była tęskna, a słowa niezrozumiałe dla dziewczynki - kto wie, o czym śpiewają dorośli? Szkoda czasu na słuchanie. Brzeg tuż obok, mętna woda omywa go falami i porusza ładne, okrągłe kamyczki rozrzucone w mokrym piasku. Zapominając o kukielkowych ciuszkach kucnęła przy wodzie i z zapalem zaczęła zbierać piękne kamienie.

Uzbierała pełną garść, a potem pomyślała, że nie ma gdzie ich składać, jedynie w koszyczku z gałgankami Nini.

Gdy położyła kamyki pod odzienie lalki, zauważyła nieznanego. Śmieszny to był człowiek. Płynął na plecach, zupełnie nagi. Patrzyła na niego i nie rozumiała, po co to robi. A ten, powoli zbliżał się w jej kierunku, od strony wielkiego zamku i nurt rzeki coraz bardziej kierował go do brzegu. Zauważyła jeszcze, że jakoś dziwnie się uśmiecha. Ma wielkie-wielkie usta i długą twarz. Tak naprawdę, jest coś z nim nie tak

...

Wrzasnęła głośno i przeciągle, upuściła koszyk i rzuciła się do ucieczki. Ari już biegła córeczce naprzeciw, rozłożywszy ręce, biała niczym marmur.

- Majczy! Majczy! - chwyciła córeczkę, spojrzała na wykrzywioną strachem twarz. - Co z tobą?

- Tam ... tam! - dziewczynka dusiła się od płaczu i zaczynającego się ataku astmy. - Tam ... Mamaaaaa!

Topielec tymczasem przybił do brzegu. Kobiety już były obok Ari i jej córeczki, niektóre próbowały uspokoić dziecko, inne podeszły do nieboszczyka. Odwróciły wzrok, ponieważ był nagi. Jego gardło było przecięte od ucha do ucha i zionąca rana, tak naprawdę przypominała ogromne, cynicznie uśmiechające się, purpurowe usta. Niewidzące oczy, patrzyły na kobiety, spod przymkniętych powiek.

- Na pamięć przodków, zakryjcie mu twarz! - zaczęła błagać jedna z kobiet.

- Patrzcie, tam jeszcze jeden płynie! - krzyknęła inna, wskazując na rzekę. - A dalej jeszcze jeden!

Nieboszczyków było dużo. Płynęli od strony zamku - wszyscy nadzy albo półobnażeni, sini, z wytrzeszczonymi oczyma i strasznymi ranami na ciele. Niektórych rzeka niosła wprost do zatoki, innych wyrzucała na brzeg. Wszystkie ciała należały do ajdżów. Kobiety milcząc patrzyły na nich, ktoś szeptał zaklęcie odpędzające złe duchy, ktoś próbował rozpoznać płynących po rzece nieboszczyków.

- To nie nasi - powiedziała jedna z kobiet, Sandżyjka w podeszłym wieku. - To najemnicy. Coś wydarzyło się w zamku.

- Te zwierzęta, już się zaczęły zabijać - powiedziała półgłosem inna. - Niech bogowie ukarzą ich za takie okrucieństwo!

- Niech się zabijają - szepnęła starsza kobieta. - Może, chociaż tak się od nich uwolnimy.

Nieboszczyk, który jako pierwszy przybił do brzegu, poruszył się, kiedy dosięgła go kolejna fala. Dookoła, pływały różnokolorowe gałganki z koszyka Majczy. Jeszcze raz, spojrzawszy ołowianym, nierealnym wzrokiem, na zastygłe w milczeniu kobiety, ześliznął się z brzegu do wody i odpłynął, doganiając swoich współbraci.

## **ROZDZIAŁ SZESNASTY**

### **PRZYJACIELE I WROGOWIE**

- Myślisz, że przyjdą? - zapytała Krispiła.

Kasta nie od razu odpowiedziała. Podeszła do stołu i popatrzyła na miseczki z przekąskami, które przyniósł służący. Małe, porcelanowe naczynia, z drobno krojoną świeżą rybą, krewetkami, surowymi warzywami, wyszukanymi pachnącymi sosami. Mieszkańcy pałacu, od wielu lat nie widzieli tak wykwintnego jedzenia. Książę Owaro przysłał do jej pokoju wszystko, co najlepsze ze swego stołu. Ale Kasta nie chciała jeść.

- Wypiję trochę - powiedziała i nalała do porcelanowej czaszy gęste, czerwone wino o kwiatowym zapachem.

- Nie odpowiedziałaś, Eleo Kasto.

- Znasz odpowiedź. Książę Owaro żywy, oddział Irmasa rozbity, zabiłam Kłocza. Pokrzyżowaliśmy plany Irmasa, wystawiliśmy go i jego ludzi na pośmiewisko. Będzie się mścić. Wie także, że jedyne miejsce, gdzie książę może ukryć się przed wrogami - to pałac Górskiego Smoka. Dlatego, oczekuj gości.

- Nie jesteś z nami?

- Zrobiłam swoje - upiła łyk wina. - Obiecałam neni Berenice pomóc księciu w dotarciu do bezpiecznego miejsca. Obiecałam jej także znaleźć człowieka o imieniu Księgarz. Wola neni jest dla mnie święta.

- Szkoda. Mamy mało wojowników. Liczyłam na ciebie i twoich Seltończyków.

- Seltończycy zostaną. Nie potrzebuję ochrony.

- Ty jedna, jesteś warta całej armii. A mnie, zostało wszystkiego piętnastu ludzi, plus jeszcze dziesięć dziewczetek-ochroniarek księżnej Rany. Z twoimi ludźmi, jest nas tylko osiemdziesięciu.

- Można uzbroić służących, widziałam tu wielu mężczyzn.

- Można, ale jacy z nich wojownicy. W większości, to staruszkowie i nastolatkowie.

- Książę ma krewnych. Dlaczego nie przyślą tu swoich oddziałów?

- Do tego, żeby zebrać wojsko, trzeba czasu. Stańc na ich czele, też nie ma kto. Lord Kadai nie żyje, a dom Edcho nie ma innego, tak doświadczonego dowódcy. A Irmas...

- Irmas ma powyżej półtora tysiąca zbójów - dokończyła Kasta, upijając jeszcze wina. - Półtora tysiąca, przeciwko naszym osiemdziesięciu.

- Nie damy rady obronić księcia - z wojskową szczerością powiedziała Krispiła.

- Jeśli tu przyjdą najemnicy, znajdziemy się w pułapce. Co proponujesz?

- Gdyby Owaro nie był dziedzicznym księciem, radziłabym wywieźć go do najbliższego portu, wsiąść na statek i... Ale to, jak rozumiem, nie do przyjęcia.

- Książę nigdy nie zgodzi się na ucieczkę z kraju.

- Wobec tego, pozostaje bitwa. Trzeba szukać sojuszników. Na kogo z krewnych Owaro można liczyć?

- Pewny jest lord Chado. Ma prawie dwustu wojowników. Ale jego ziemie znajdują się daleko od nas. Dwa dni drogi wierzchem. Irmas będzie tu wcześniej.

- Dwa dni tam, dwa z powrotem i czas na to, żeby zebrać wojowników, razem tydzień. Masz rację, Krispiło, Chado nie zdąży. Jego dwustu wojowników, też nie zrównoważy sił. Trzeba zebrać przynajmniej tysiąc ludzi. Zanim nie nadejdzie pomoc, musimy sami radzić.

- Sami? - ze zdziwieniem popatrzyła na Seltonkę. - Co masz na myśli?

- Bronić pałacu, ot co.

- Wybacz, ale według mnie, wino uderzyło ci do głowy.

- Widziałaś bramy pałacu? Są bardzo wąskie. Mury są mocne, stoki pod nimi bardzo strome i Irmas nie będzie w stanie używać machin oblężniczych. Wszystko, co może zrobić, to tylko spróbować wdrzeć się na dziedziniec. Jeśli uda nam się obronić bramy i mury, będziemy w stanie utrzymać się do przybycia pomocy.

- Myślałam o tym. Ale to jest bardzo ryzykowne. Ty też mówisz: „Jeśli uda się”.

- Krispiło, jesteś wojownikiem. Widziałam cię w walce i wiem, że ty i twoje podkomendne, nie cofną się. Trzeba natychmiast wysłać gońców do lorda Chado i innych zwolenników księcia i prosić o pomoc. Znajdź pewnych ludzi i powierz im to zadanie.

- Czyli... wierzysz?
- Zawsze wierzę w zwycięstwo. Prawdopodobnie, dlatego jeszcze żyję.
- Zbiorę ludzi - z dostrzegalnym zapalem powiedziała Krispiła.
- A ja pojedę do Ark. Myślę, że trzy dni mi wystarczą. Tylko potrzebuję koni.
- Nasza stajnia jest do twojej dyspozycji. I jeszcze ...

Krispiła nie dopowiedziała: zza przegrody pojawił się służący.

- Jego wysokość, prosi panią Kastę do swoich pokoi na rozmowę - powiedział, pochylivszy się w uprzejmym ukłonie. - Jego wysokość, bardzo prosi panią Kastę, by odwiedziła go natychmiast.

- Idę - dopiła wino, wzięła ze stolika miecz-półtorak i wyszła z pokoju. Krispiła podążyła za nią.

Książę Owaro oczekiwał wizyty nie w paradnej sali, a w swoich osobistych pokojach. Z księciem była księżna Rana, ochrona i około dziesiątka dworzan. Kasta zauważyła, że Owaro i Rana oblekli się w białe szaty - w Chealadzie, to kolor żałoby.

- Wasza wysokość - Kasta weszła za otwartą przegrodę i przyklękła.

- Bardzo chciałem się z tobą zobaczyć - powiedział Owaro. - Ja i moja siostra, pragnęliśmy podziękować ci za pomoc. Uratowałaś mi życie.

- Robiłam to, co powinnam była robić, wasza wysokość. Na nieszczęście, nie byłam w stanie uratować neni Bereniki.

- Dowódca Irmas odpowie za to morderstwo - Owaro zasępił się. - I za morderstwo mojego wuja, lorda Kadai, także.

- Jednakże, mój książę, Irmas ma teraz przewagę - powiedziała Kasta, gestem rezygnując z czaszy wina, które podał służący. - Właśnie rozmawiałam o tym z kapitanem waszej ochrony. Nie chcę straszyć waszą wysokość, ale Irmas koniecznie spróbuje dokończyć sprawę, którą zaczął. Dobrze znam tego człowieka. Bardzo szybko jego oddziały będą przy murach waszego pałacu.

- Nie o tym teraz mowa, Kasto - odpowiedział książę. - Mówimy o wdzięczności. Sidzo!

Jeden z dworzan, siedzący na piętach przy ścianie salonu, podniósł się natychmiast. W rękach trzymał płaską skrzynkę z polerowanego drewna. Ukłoniwszy się księciu, położył ją na macie przed Kastą.

- Otwórz - polecił Owaro.

Wewnątrz, na czarnym aksamicie, leżały wspaniałe sztylety z długimi, prostymi klingami. Ciemna stal, była pokryta najdelikatniejszą grawerką, dlatego wydawały się ażurowe. Rękojeści, według miejscowego obyczaju, obciążone były chropowatą skórą rekina, a głównie i gardy - srebrne.

- Sztylety księcia Chabu, jednego z pierwszych władców ludu Sandzy - wyjaśnił Owaro. - Legenda mówi, że są one obdarzone mocą samego Ariczy, przeciwną wszelkiemu złu. Przez wieki były przechowywane w skarbcu rodu Edcho. Do tej pory żaden wojownik nie był godny, by je nosić. Teraz, zjawił się taki wojownik. Ja i Rana, darujemy ci te sztylety. Zasłużyłaś na nie.

- Dziękuję waszej wysokości - dawno nie odczuwała takiej radości, ale i takiego zmieszania. - Ale, mój książę, zbyt wysoko oceniasz moje zasługi.

- Imperatorzy powinni być szczerzy, inaczej poddani nie będą ich szanować. Zgodnie z moim rozkazem, nasz zbrojmistrz wykona do tych sztyletów godne pochwy. Otrzymasz je rano. Jeszcze, przyjmij ten dekret - rozkazał sekretarzowi przekazać Kaście zwój ryżowego papieru, przewiązany czerwoną wstążką. - Odtąd, mianuję cię kapitanem mojej gwardii Ajdzy.

- Wasza wysokość - kątem oka dostrzegła, że Kryspiła, stojąca obok, zbladła - z wdzięcznością przyjmując sztylety lorda Chabu, ale nie mogąc przyjąć nowej posady.

- Odmawiasz mi?
- Tak, mój książę. Masz kapitana, jakiego można sobie tylko życzyć. Z kapitanem Krispiłą walczyliśmy ramię w ramię w jaskiniach pod Gojtonem i spisywała się ani o drobinę gorzej ode mnie. A być może, nawet i lepiej. Mówisz, że to ja uratowałam ci życie. To nieprawda, mój książę. Zrobiła znacznie więcej i jej wojowniczkę zrobiły wszystko, by cię obronić. Sama nie dałabym rady. To ona powinna ci służyć.
- To znaczy, że odmawiasz? - zapytał.
- Mój książę, nie jestem wolna w swoim wyborze. Są sprawy ważniejsze od nas i nawet wola dziedzicznego księcia nie może ich zakwestionować.
- Jakże to sprawy?
- Wola bogów.
- Kto ci powiedział, że powinnaś wykonywać wolę bogów, a nie moją?
- Neni Berenika, mój książę. Kazała cię bronić, ale kazała mi również iść dalej, drogą mojego przeznaczenia.
- Dokąd prowadzi twoja droga, lady Kasto? - zainteresowała się Rana.
- Nie jestem lady, pani - zrobiła pauzę, żeby zebrać myśli - jestem prostą dziewczyną z seltońskiego miasta Cerunii, którą zły los pozbawił wszystkiego, uczynił najpierw niewolnicą, a potem wojownikiem na arenie darnackiego cyrku. Przez trzy lata próbowałam przeżyć i dlatego zabijałam takich samych nieszczęśników. A potem, spotkałam Orka o imieniu Tulkan i moje życie się zmieniło. Dowiedziałam się, dlaczego przez tyle lat los doświadczał mnie cierpieniem i stratami. Prawie rok minął, gdy zostałam wojowniczką Zapomnianych Bogów. Tak się złożyło, że utraciłam pamięć, ale dzięki neni Berenice przypomniałam swoje życie i teraz wiem, dokąd mam iść i co robić. Bardzo mi przykro, mój książę, ale ta droga, zmusza mnie do opuszczenia granic Chealady.
- Porzucisz mnie w trudnym czasie, Kasto? – zapytał z urazą.
- Nie, wasza wysokość. Póki ci grozi niebezpieczeństwo, pozostaję z tobą. Ale, gdy tylko zagrożenie minie, porzucę Chealadę.
- Rozumiem. Chcesz zostać wolną najemnicą, jaką byłaś dotychczas - nagle wyciągnął rękę do Kasty – akceptuję cię taką, jaką jesteś i na znak swej łaski, oficjalnie przebaczam to, co zrobiłaś w Ajfodle. Każę przygotować edykt o darowaniu winy.
- Mój książę jest zbyt dobry dla mnie. Można ułaskawić przestępcę, ale nie można zmusić, by zapomniał o dokonanym przestępstwie.
- Władza moja nie rozciąga się na sumienie. Co jeszcze mogę dla ciebie zrobić?
- Proszę o pozwolenie porzucenia na kilka dni twojego pałacu. Powinnam się udać do Ark.
- A twoi ludzie?
- Zostają tu, do ochrony pałacu.
- Owaro zamyślił się. Przechwycił szybkie spojrzenie chłopca, adresowane do Krispiły i zrozumiała, że książę nie ufa jej do końca. Cóż, można zrozumieć - po tym wszystkim co przeżył, po prostu się boi. W pałacu pozostaje czterdziestu uzbrojonych najemników, którzy uznają tylko jej zwierzchnictwo i nikogo więcej.
- Wasza wysokość - powiedziała, przyłożywszy dłoń do piersi - mogę przysiąc, że moi ludzie będą ci służyć z takim oddaniem, jak służą mi. Proszę nie wątpić w nich. Seltończycy są ludźmi honoru. Tylko proszę o rozciągnięcie twojej łaski i na nich.
- O czym ty mówisz?

- Swoim ułaskawieniem, zmyłeś z mojej duszy krew Ajfodły. Wielu z moich ludzi było ze mną w tej nieszczęsnej wsi. Proszę okazać także im swoją łaskę.

- Dobrze, pomyślę o tym - chłopiec pochylał się do Rany i księżna skinęła aprobowująco. - A teraz, możesz iść. Jestem zadowolony z naszej rozmowy.

Wróciwszy do siebie, nalatała wina do czaszy. Po rozmowie z księciem, czuła się nieszczęśliwie. Był dla niej taki szczodry i łaskawy, bo martwi się o przyszłość. Rozumie powagę sytuacji i oczekiwał od niej słów pocieszenia, ale nie usłyszał ich. Teraz wszystko zależy od tego, czy zdąży pojechać do Ark i wrócić na czas do pałacu Górskiego Smoka, zanim zjawi się Irmiasz ze swoją hałastrą. A poza tym, może on otrzymać pomoc od ludzi Ajoszy i wtedy ich położenie stanie się beznadziejne.

Wypiwszy łąpczywie wino, otworzyła skrzyneczkę ze sztyletami i wzięła jeden z nich do ręki. Były one wytworem prawdziwej sztuki zbrojarskiej. Nigdy przedtem nie widziała tak misternej roboty i takiego kunsztu wykończenia. Brzeszczot był ostrzejszy od brzytwy, trafienie taką bronią zabije człowieka niezawodnie. Szczodry dar. Po chwili, odłożyła go do skrzyneczki i w tym momencie usłyszała delikatne kroki za plecami.

Przy wejściu stała Krispiła. Wyglądała na zmieszaną.

- Bardzo arogancko rozmawiałaś z księciem - powiedziała - nawet przestraszyłam się z tego powodu.

- Niepotrzebnie. Książę jest mądrym chłopcem. Wiedział, że nie dam mu innej odpowiedzi.

- Kasto, ja... - zbliżyła się o krok i uśmiechnęła się. - Nie oczekiwałam. Postąpiłaś bardzo szlachetnie. Czym mogę ci się odwdziaczyć?

- Przyjęciem prezentu - wzięła miecz, który podarował jej Irmiasz i wręczyła dziewczynie. - Weź. Proszę.

- To twój miecz - oszołomiona Krispiła cofnęła się do wyjścia, kierując w stronę Seltonki otwarte dłonie. - Nie, nie mogę!

- Możesz. Przypomina mi o smutnych chwilach mojego życia i zła, uczynionym przeze mnie, którego już nie można naprawić. Nie chciałabym już nigdy brać go w ręce. A tobie, posłuży. Wykonany został przez mistrza Chadoszy. Zupełnie niezły miecz, przysięgam na Szante.

- Wiem, że jest dobry, ale mam swój.

- Uczyni, jak ja. Podaruj swoją klingę jednej z dziewczyn - Sae albo Emanie. Zasłużyły na prezent od ciebie, wykazując się odwagą tam, w jaskiniach pod Gojtonem. A mój miecz, zostaw sobie.

- A może, podaruję go tobie?

- Jaki w tym sens, Krispiło? Nie, zrób o co proszę - weź miecz i korzystaj z niego.

Krispiła była Ajdzą, doświadczoną i odważną wojowniczką, którą od dzieciństwa uczono, że dziewczyny z elitarniej gwardii mają tylko jedną drogę - walczyć o bezpieczeństwo monarchy i umierać za niego w walce. Ale była przede wszystkim kobietą i ogarniając ją uczucie wyraziła tak, jak przystało kobiecie: podeszła do Kasty, objęła i pocałowała.

- Dlaczego nie mam siostry podobnej do ciebie? - szepnęła.

- Nie żałuj tego, Krispiło. Byłabym paskudną krewną.

- Kasto, nie znasz swojej wartości - wzięła miecz, podniosła do warg i, ukłoniwszy się, wyszła z pokoju. Nie chciała, żeby najemnica mogła odczytać z jej twarzy uczucia, zupełnie niepasujące dowódcy gwardii księcia. Kasta odprowadziła ją spojrzeniem i poczuła niespodziewaną ulgę. Jakby runęła jakaś niewidzialna ściana, dzieląca ją dotychczas od Krispiły.

Nalała jeszcze wina. W głowie szumiało, twarz płonęła – czy to od trunków, czy ze wzruszenia. Spojrzała na zaczarowane sztylety księcia Chabu.

Owaro jej wierzy i liczy na nią. Taki jest sens tego prezentu. Neni Berenika nie prosiła, by zaopiekowała się dalszym losem dziedzicznego księcia Chealady – czy jednak trzeba było o to prosić?

To nie jej wojna. Ale tak się złożyło, że musi w niej uczestniczyć. Z Owaro, mają wspólnego wroga - Irmasa Udena, z którym trzeba walczyć. O swoje życie, czy o życie tego chłopca - jaka, w istocie, różnica?

Ale najpierw trzeba wypełnić wolę neni. Trzeba znaleźć człowieka o imieniu Księgarz.

Książę stał na werandzie i obserwował, jak w podwórzu Kasta siodła konia. Krispiła stała za jego plecami.

- Porzucą nas? - zapytał, nie odwracając się do Ajdzy.

- Nie, mój książę. Jedźcie po pomoc.

- Myślisz, że ktoś zechce mi pomóc?

- Oczywiście, mój książę. Lordowie domu Edcho staną jak jeden mąż w waszej obronie. Składali przysięgę.

- Irmas też przysięgał mi i wujowi Kadai - powiedział, obserwując nadal Kastę.  
- Nikomu nie można wierzyć.

- Nie trzeba rozpaczać, mój książę - tylko tyle mogła powiedzieć - bogowie zawsze byli łaskawi dla domu Edcho.

- Nie rozpaczam. Myślę, że Kasta wróci, dlatego pozwoliłem na wyjazd. Wierzę jej, Krispiło. Ona będzie w stanie obronić mnie i Ranę. Gniewasz się na mnie, Krispiło?

- Dlaczego tak myślisz, mój książę?

- Powiedziałem, że Kasta obroni nas. Nie moja gwardia, a Kasta. Chyba, brzmi to niezbyt przyjemnie dla ciebie.

- Mój książę, gwardia gotowa walczyć za ciebie i umrzeć. A ja, jestem gotowa nazwać swoim przyjacielem każdego, kto podniesie miecz w twojej obronie.

- Gwardii już nie ma - powiedział chłopiec, patrząc na samotnego jeźdźca, opuszczającego podwórze. - Mojego wuja, też już nie ma. Nie gniewaj się, Krispiło, ale, bardzo się boję.

- Wasza wysokość, nie pozwolimy wrogowi zdobyć pałacu. Twoja ochrona i ... najemnica - razem zatrzymamy Irmasa Udena.

- Odjechała - powiedział - odprowadź mnie do kaplicy, Krispiło. Chcę się pomodlić.

\*\*\*

Noc była ciepła i jasna. Księżyc wzniosł się wysoko, niebo oczyściło się z obłoków i nad głową Sakaszy przyjaźnie świeciły wszystkie gwiazdozbiory, jakie tylko można zobaczyć nad Chealadą. Spokojna, dobra noc, której ciszę zakłócają tylko westchnienia wiatru w wierzchołkach drzew i zgodny śpiew świerszczy w trawie.

Mag wydostał się z zarośli na trakt. Droga była miejscami zatarasowana padającymi podczas burzy drzewami, ale dla niego, nie stanowiło to problemu - zakłęcie Nocnego Podróżnika dawało dosyć światła, by dostrzec i obejść każdą przeszkodę. Znacznie bardziej niepokoiła jego własna przyszłość. Prawdopodobnie dlatego, że nie widział niczego dobrego dla siebie w najbliższym czasie.

Plan Rikiego zawałił się z hukiem. Pięciu elitarnych asasynów martwych, a przekłety Ajdża wykpił się kilkoma zranieniami i omal nie wykończył jego. Kiedy

Księgarz, z powodu utraty krwi, stracił świadomość, Sakaszy był tak szczęśliwy, że rzucił się do panicznej ucieczki i dopiero po pewnym czasie zrozumiał, że należało zaopiekować się rannym. Nie należy okazywać łaski niebezpiecznemu wrogowi, a jeszcze Riki obiecał za jego głowę aż dziesięć tysięcy sjenterów nagrody. Wróciwszy, z niezadowolaniem stwierdził, że nad ciałem już stoją jacyś ludzie - i postarał się szybko opuścić wieś.

Pół dnia przespał w porzuconej chacie przy drodze, a po nadejściu ciemności skierował się na południe, w stronę Karania. Zdecydował, że nie należy na razie powiadamiać Rikiego o złym obrocie sprawy, używając magicznej łączności. Lepiej to zrobić w czasie spotkania. W torbie leżą zwoje Tajeszy, które będą dobrym argumentem do załagodzenia gniewu gospodarza. Teraz najważniejsze, by uniknąć spotkania z przeklętymi najemnikami ...

- Zauroczyłem! - wycedził przez zęby i rzucił się na pobocze drogi, by schować się w krzakach.

- Stać! – rozległ się okrzyk.

Jeźdźców było około piętnastu - wszyscy w świetnych, czarnych, lakierowych zbrojach, na których lśniły refleksy światła księżyca. Pojawili się tak nagle, że poczuł przesądny strach. Nie wyglądali na najemników: mieli zbyt drogie uzbrojenie. Konie tak wyborną uprzęż, że książęta nie wstydziłiby się na nich jeździć. Pochylił się w służalczym ukłonie i podreptał do wojowników, z uprzejmym uśmiechem.

- Co tu robisz? – spytał jeździec, jedyny bez zbroi. Mag pojął, że to on właśnie jest dowódcą tego oddziału.

- Jestem biednym pielgrzymem, panie - przemówił, utkwivszy wzrok w ziemi. - Idę z Dremmerchewenu do Karania, pomodlić się w świątyni wszystkich bogów.

- Nocą, dobrzy ludzie powinni spać - powiedział dowódca oddziału, błyskając spod kaptura purpurowymi ognikami oczu. - Czy nie boisz się tego, co może ukrywać noc?

- Ja ... - zaczął i zamilkł, ponieważ strach chwycił go za serce i pozbawił oddechu. Zobaczył nogi konia, na którym siedział rozmawiający wojownik. Zamiast kopyt, miał trójpalczaste, pazurzaste łapy.

- No, czemu zamilkłeś, przeklęty Sandžo? - podniósł głos. - Odpowiadaj, kiedy pytają.

- Ja ... bardzo się boję, panie – odpowiedział drżącym głosem i upadł na kolana, prosto w błoto. Nie zrobił tego tylko z uprzejmości: ze strachu, nogi odmówiły posłuszeństwa. - Zlitujcie się, panie!

- Co z nim zrobimy, synu? - zwrócił się jeździec w kapturze do drugiego, stojącego po prawej ręce. - Puścimy, czy nacieszymy się smakiem jego ciała i krwi?

- Panie! - zawył Sakaszy, wyciągając ręce do Malchai. - Zlitujcie się, panie! Nie jestem prostym chłopem, jestem magiem i mogę być wam bardzo użyteczny. Wiem, kim jesteś. Powinienem był to zrozumieć od samego początku. Proszę, panie, nie zabijaj!

- Z czego wywnioskowałeś, robaku, że jest mi potrzebna twoja pomoc? - odpowiedział Famar. – Co możesz wiedzieć, czego ja nie wiem?

- Panie, jestem uczonym i długie lata studiowałem starodawne traktaty. Poznałem coś ważnego. Bardzo ważnego, panie. Ja ... otworzyłem naraiński portal! Za to, nawet chcieli mnie zabić.

- Naraiński portal? - Malchai z zainteresowaniem popatrzył na maga. - Po co go otworzyłeś?

- Chciałem dostać się do grobowca Smoka. Do grobowca Utaro, panie.

- Ty? - Malchai zaśmiał się i jeźdźcy podchwycili jego śmiech. Od tych dźwięków, włosy maga stanęły dęba. - Robaku, nigdy nie byłbyś w stanie otworzyć naraińskiego portalu!

- Jednak, panie, ośmielę się twierdzić, że otworzyłem go.

- Zgoda, przypuśćmy, że ci uwierzę. Po co otworzyłeś portal?

Sakaszy zaczął opowiadać. Opowiadanie było długie i ze szczegółami, ale straszni jeźdźcy ani razu mu nie przerwali. Wreszcie, zamilkł i zamarł, klęcząc i chowając głowę w ramionach. Milczenie przedłużało się i zakłócały go tylko westchnienia wiatru, ćwierkanie świerszczy, pobrzękiwanie zbroi i pochrapywanie demonicznych koni.

- Dziwne - powiedział Malchai, kiedy mag skończył mówić. - Bardzo dziwne, że żaloszny człowiek zrobił to, o czym marzyłem przez długie lata. Nie sądziłem, że śmiertelny sandżyjski pies zdobędzie wiadomości i odwagę, by otworzyć dawny portal. Zdziwiłeś mnie.

- Jestem tylko twoim sługą, panie - skłonił głowę prawie do samej ziemi.

- Teraz, nie ma sensu jechać do Ark - powiedział Malchai. - Tam nie ma wejścia do grobowca. Podejrzywałem to, ale nie wiedziałem na pewno. Przejdziemy przez portal w Naraino.

- Ojczy, a jeśli ten człowiek kłamie? - półgłosem zapytał Giłan. - Można ufać potomkowi naszych wrogów?

- Nie, mówi prawdę. Czuję to. Nieprawdopodobne, ale on zdołał otworzyć jedno z przejść do Abissaliumu. Jak tylko siódmy kamień będę miał w ręku, będziemy mogli natychmiast obudzić Odwiecznego ... Udaj się do Naraino i czekaj tam na nas

- zwrócił się Malchai do maga. - Pamiętaj, że twoje życie jest w moich rękach. Nie rozczaruj mnie. Będiesz mi służyć wiernie, otrzymasz nagrodę. Spróbujesz się ukryć, znajdę nawet pod ziemią i zjem twoje serce, na twoich oczach.

- Jestem pokornym sługą mojego pana - odpowiedział Sakaszy, czując wielką ulgę.

- Pamiętaj, masz mało czasu. Powinieneś być w Naraino za dwa dni, przed północą - powiedział Malchai i famarska kawalkada przejechała koło nisko pochylającego się Sakaszego. Tętent koni dawno już ucichł, a mag nie śmiał podnieść głowy i rozejrzeć się. Po twarzy spływał mu zimny pot, nogi drżały. Nie wiedział, jak długo stał na drodze. A potem, przyszła mu do głowy niezwykła myśl: zaprawdę Sakaszy, jesteś ulubieńcem bogów! Dwa razy jednej nocy uniknąłeś niechybnej śmierci. Czyż warto, po tak oczywistym znaku z góry, wątpić w sukces?

Zanim ruszył się w dalszą drogę, trzykrotnie odmówił tradycyjną, dziękczynną modlitwę do przodków. Przerazenie minęło i znów wróciły siły. Otuliwszy się płaszczem, pomaszerował drogą, tylko teraz, już nie w stronę Karania.

Famar kazał być w Naraino. Trzeba wykonywać wolę demona i tym razem, uda mu się otworzyć wejście do grobowca Smoka.

\*\*\*

Orselin czuła, że lada chwila się rozplacze. Księgarz sprawiał wrażenie, że wszystko jest w porządku, nawet uśmiechał się do niej, ale wiedziała, że z mnichem jest bardzo źle. Od samego początku podróży czuła, że jej towarzysz bardzo cierpi. Jego oczy błyszczały od gorączki, a na bladej twarzy często pojawiał się grymas bólu. Bała się, że spadnie z konia i cały czas starała się być obok, żeby podtrzymać go. Ale mnich trzymał się i nawet próbował żartować. Zmagał się z febrą, bólem i słabością prawie dwa dni. Dopiero, kiedy z przodu pojawiła się dwugłowa góra Reisi,

u podnóża której znajdował się cel podróży - pałac Górskiego Smoka, nagle zachwiał się w siodle i upadł na drogę. Dziewczyna rzuciła się do niego i zobaczyła, że mnich trzyma się za bok i krew sączy się między palcami.

- Wszystko w porządku - powiedział i uśmiechnął się, ale uśmiech był wymuszony. - Po prostu szew się rozszedł. Nie bój się, wytrzymam do pałacu.

- Wykrwawisz się - powiedziała, pomagając rannemu usiąść wygodniej. - Nie trzeba było wyjeżdżać z Itari, nie trzeba!

- Trzeba. W torbie mam szarpie i czyste płótno. Opatrz mnie.

Przytaknęła i natychmiast zajęła się opatrunkiem. Rana mocno krwawiła i wyglądała okropnie, opaska szybko nasiąkała krwią.

- Krwotok nie ustaje - powiedziała, czując, że jest bliska rozpacz.

- Poczekaj, pomogę ci. Spróbuję zacisnąć żyłę pod pachą, a ty połącz brzegi rany, tam gdzie szwy się rozeszły się i bandażuj ... Bardzo dobrze. Zuch jesteś, wszystko robisz doskonale. Pewnego dnia, staniesz się cudowną uzdrowicielką.

- Nie mów nic - powiedziała - musisz oszczędzać siły.

- Jesteśmy prawie u celu - westchnął. Oczy mu się rozszerzyły z bólu, włosy na czole zlepily się od potu, ale uśmiechał się. - Jeszcze parę lig i będziemy na miejscu. Nie bój się, wszystko będzie dobrze.

- Wiem - wyjęła z torby jeszcze jedno czyste, grube płótno, zaczęła rwać je na pasy. - Dobrze, że pomyśleliśmy się o zabraniu dużej ilości materiału ... Księgarzu, co z tobą?

Wydawało się, że mnich stracił świadomość. Twarz zszarzała, wargi zrobiły się sine, zaczął chwytać ustami powietrze. Z przerażeniem pojęła, że brat Stein umiera.

- Nie! - krzyknęła. - Nie próbuj! Nie możesz umrzeć! Słyszysz, nie odważysz się! Pomocy! Ludzie, pomóżcie!

- Co tu się dzieje?

Orselin krzyknęła, odwróciła się słysząc głos. Zobaczyła wojowniczkę Ajdzy na roslym, rudym ogierze i w niezwykłej zbroi. Nieznajoma zeskoczyła z siodła, podbiegła do dziewczyny i pochyliła się nad rannym.

- Przysięgam na Gawana, nieźle go urządzili! - powiedziała, obejrawszy Księgarza. - Kto go tak załatwił?

- Pomóż! - tylko tyle mogła powiedzieć, patrząc na amazonkę, jak na zstępujące z niebios bóstwo. - Przecież on umiera!

- Przestań skomleć. Tylko twego wycia brakuje!

- Możesz mu pomóc?

- Ma silny krwotok - kobieta zachmurzyła się, w jej zielonkawych oczach pojawił się chłód. - Ale nie wszystko stracone. Masz igłę z nitką?

- N-ie-e - powiedziała z trudem Orselin, trzęsąc się niczym w febrze.

- Trudno, spróbujemy coś zaradzić - podbiegła do swojego konia, zdjęła z łęku siodła wielką manierkę i wróciła. Zerwała przesiąkniętą krwią opaskę i chlusnęła z manierki na ranę. Ranny zajęczał. Orselin powstrzymała się, by jej nie uderzyć.

- Silny chłopak - powiedziała. - Inny, już umarłby od zakażenia. Rana już była szyta, jak widzę i szwy puściły. Kto z taką raną rusza w drogę?

- Bardzo się śpieszył - odpowiedziała. - Chciał pomóc księciu.

- Naczynie pękło - powiedziała kobieta i wsadziła palce w ranę. Mnich wygiął się, z gardła wyrwał mu się bulgoczący dźwięk. Z rany trysnęła krew. Kobieta zakłęła.

- Gdybym miała mój kamień! - powiedziała. - Kim on jest?

- Księgarz - tylko tyle zdołała powiedzieć Orselin.

- Księgarz? - wrzasnęła nieznajoma. - Powiedziałaś - Księgarz?

- Tak, dobrze rozumiałaś. On umrze?

- Przysięgam na Nekrian, byłaby to wielka strata! Przecież wyruszyłam, by go znaleźć. Nie martw się, chyba nie jest tak źle, jak się wydaje. Gdyby rana była śmiertelna, dawno byłby martwy. Po prostu, bardzo osłabł z upływu krwi.

- Poczekaj, czy ty się nie nazywasz Mirczel?

- Tak się nazywałam – popatrzyła pytająco na Orselin. - Jestem Kasta. Skąd znasz moje imię?

- On je wyjawiał. Szukał ciebie.

- Rzeczywiście. Świetny dowcip: wyjechałam go szukać, a on sam przyjechał do mnie! Ale to już nieważne. Znaleźliśmy się. To znaczy, że wypełniłam ostatnią wolę neni Bereniki.

- Ostatnią wolę? - Orselin zdrętwiała.

- Tak - twarz Kasty jeszcze bardziej zasępiła się. - Ludzie Irmasa spalili Gojton, neni umarła. Nie chciałabym opłakiwać jeszcze i tego chłopaka ... Zaraz, poczekaj! Neni mówiła o darach Zapomnianych. Czy on ma coś przy sobie? Hej, ty, słyszysz mnie?

- Tak - Orselin drgnęła, przypomniawszy, co jej mówił Księgarz w Itari. - On chciał ci coś oddać.

- Szybko! Znajdź te rzeczy!

Dziewczyna rzuciła się do konia Księgarza, chwyciła torbę i wyrzuciła jej zawartość na drogę. Znalazła ciężkie zawiniątko, zaczęła rozrywać mocne, grube płótno paznokciami – rwało się z trzaskiem. Na ziemię wypadły jakieś ozdoby. Zobaczyła, jak najemnica, radośnie krzyknawszy, chwyciła wypadający z zawiniątka bursztynowy amulet i natychmiast przyłożyła go do rany mnicha. To, co zdarzyło się potem, wydało się dziewczynie prawdziwym cudem.

Krwotok ustał. Brat Stein westchnął, otworzył oczy, jego spojrzenie ożywiło się, oprzytomniało. Zobaczył najpierw płaczącą Orselin i uśmiechnął się do niej. A potem, przeniósł spojrzenie na kobietę w zbroi, siedzącą obok.

- Kasta? - zapytał.

- Tak. A ty ...

- Mommek. Szukałem ciebie.

- Wiem. Ja także szukałam cię. Neni prosiła, bym spotkała się z tobą.

- Wiesz, co się zdarzyło?

- Zginęli.

- Neni zginęła - zaszlochała Orselin. - Zginęła!

- Orsi, nie płacz - miękko powiedział Księgarz. - Sama mi mówiłaś, że wszyscy, zawsze byliśmy śmiertelni.

- Żal mi neni - zapłakała po dziecinnemu, wycierając łzy pięściami. - Tak chciałam jeszcze chociaż raz ją zobaczyć!

- Czy będziesz mógł jechać wierzchem? - zapytała Kasta mnicha.

- Teraz, tak. Tylko pomóż mi wstać, proszę.

Podawała mu rękę. Zachwiał się, ale utrzymał się na nogach. Nadal się uśmiechał.

- Opowiesz, co się zdarzyło? - zapytała Seltonka.

- Później, Kasto. Dokąd teraz się udasz?

- Wracam z wami do pałacu. Znalazłam was. Można nazwać to cudem, ale rzeczywiście, zdążyłam w ostatniej chwili.

- Musisz jeszcze dokonać wiele cudów - powiedział, opierając się na Orselin. - Dziękuję, że mi pomogłaś. Wybacz, że nie mogłem oddać twoich darów osobiście. Orselin rozsypała je na drodze.

- Zbiorę sama, wszystkie. Jedźcie, dogonię was.

Obie pomogły Księgarzowi wsiąść na konia. Na pożegnanie, Orselin obdarzyła najemnicę długim spojrzeniem, pełnym nieskończonej wdzięczności. Potem, skierowali się w stronę góry Reisi i Kasta została sama.

W pyle drogi leżały rzeczy, które pewnego dnia utraciła i nawet nie pamiętała o nich. Pas Angusza, dla którego musiała przenieść się na drugą stronę życia i spotkać się z Ajlorem i córeczką. Brosza Anniki, którą wręczył jej Wisław. Kiedy podniosła ostatni przedmiot, rozplakała się, niespodziewanie dla samej siebie. Chwyciła małe, złote cacko, podniosła do warg, okryła pocałunkami nie wierząc swemu szczęściu i nie mając siły powstrzymać wspomnień o wielkim nieszczęściu.

Nacisnęła pokrywkę amuletu, która otworzyła się. Kosmyk włosów Elei mienił się szczerym złotem w promieniach zachodzącego słońca. Płakała, jak nigdy w życiu. A potem, uspokoiwszy się, pojęła, co powinna zrobić.

Dzisiaj, otrzymywała i dawała prezenty. Ale zapomniała o najważniejszym darze. Tym, o którym nie miała prawa zapomnieć. Był przepojony wielkim cierpieniem i okupiony najwyższą ceną - ceną życia.

Przy pożegnaniu, neni powiedziała: „Moja Tarcza - to moje błogosławieństwo. Jeśli chcesz, stanie się widoczne. Weź w ręce najdroższy ci przedmiot i pomyśl o mnie. Wspomnij moje imię”.

Oczywiście, nie ma nic droższego. Niech spełni się wola matki Najnawy. Niech pamięć o córeczce stanie się jej czarodziejską tarczą.

- Wybrałam, neni Bereniko! - szepnęła, trzymając amulet na dłoni.

Kwadratowy ametyst w pokrywce amuletu mrugnął porozumiewawczo jaskrawą, fioletową iskrą. Poczuła, że płynie od niego jakaś nieznaną energią, wypełniając duszę spokojem, ciepłem, szczęściem, zadziwiającym uczuciem, którego nie da się opisać. Może je poznać tylko matka, trzymająca w ramionach własne dziecko.

Wargi zadrżały, oczy znów zasnuły się łzami. Przez chwilę, wydawało się jej, że odtąd, w tym amulecie, uwięziona została nie tylko magiczna relikwia Zapomnianych. Niepojętym sposobem zrozumiała, że w małym, złotym puzderku, które uznała za najdroższe, w którym chowała jedyny klejnot, który wiązał ją z Lejdą z Cerunii- kosmyk dziecięcych włosów - ulokowała się cząsteczka duszyczki jej Elei, którą przez wszystkie lata potrafiła zachować w swym sercu, nie zważając na nic.

Odtąd będzie ochraniać ją samą.

\*\*\*

Księgarza odwiedziła wieczorem. Czuł się o wiele lepiej - czar magicznego kamienia i umiejętności osobistego lekarza Owaro przywróciły go do życia. Życzliwie pomachał ręką i zaproponował, by usiadła przy łóżku. Zauważył, że ma przy sobie sztylety Chabu.

- Prezent od księcia? - zapytał.

- Tak, a co?

- Dał je w odpowiednim momencie. Te sztylety i moje rękawiczki Pazur Tygrysa, wykonał ten sam zbrojmistrz. To niezwykła broń, wykuta ze szczególnej stali. Jej sekret został utracony, ale kiedyś, właśnie czarna stal, pozwoliła Sandżom pokonać famarskie zastępy. Bardzo ci się przydadzą.

- Jak się czujesz?

- Już lepiej. Jeszcze trochę i będę mógł walczyć.

- Widzę, że jesteś otoczony najczulszą opieką - powiedziała, rzucając szybkie spojrzenie na Orselin. - To dobrze. Nie zrozumieć tylko jednego: dlaczego sam nie użyłeś kamienia Ajwari, żeby się uzdrowić?

- Orselin, proszę cię, zostaw nas samych - niespodziewanie powiedział do dziewczyny. - Proszę.

Kasta pochwyciła zazdrosne spojrzenie. Prawdopodobnie, dziewczyna jest zakochana w mnichu. Niewinna dusza, ma tyle odwagi, by zakochać się w takim czasie!

- Wybacz mi - zaczął Mommek, patrząc na Kastę – z powodu ran nie mogę nic zrobić. Moja bojowa rękawiczka także jest zniszczona i chyba tu nie znajdzie się mistrz, by ją naprawić. Bardzo chciałbym ci pomóc. Walczyć obok ciebie.

- Nie odpowiedziałeś na pytanie związane z kamieniem.

- Amulet Ajwari posiada czarodziejską moc tylko w rękach Wojowniczk. Takie są właściwości kamienia, a także pozostałych relikwii. Czy Ajwara nic ci nie wyjaśniła?

- Nie. Po prostu przyszła do mnie, do więzienia i opowiedziała o Zapomnianych i mojej nowej drodze.

- Byłaś w więzieniu?

- Przytrafiło się. Ajwari dała mi też twój pierścień - pokazała miedziany pierścionek, który otrzymała od bogini w Darnacie. - Oddał mi dobrą przysługę.

- Siostra przechowywała mój prezent – zamilkł na chwilę - byliśmy młodzi i kochałem Ajwari bardziej, niż pozostałych braci i siostry. Ten pierścień, podarowałem jej w dniu rozstania - kiedy Ajwari została żoną Ebresza Ajcho. Wydawało mi się, że mój Pierścień Języków, pomoże jej lepiej rozumieć nowych krewnych, Orków.

- Walczyłam z jej synem na arenie. On właśnie dał mi kamień.

- Wiem. Matka opowiedziała o wszystkim.

- Neni Berenika?

- Tak - przestał się uśmiechać. - Jak zginęli?

- Lepiej, byś tego nie wiedział. Ale już pomściłam jej śmierć i będę mścić się nadal, dopóki żyję. Irmas otrzyma to, na co zasłużył.

- Teraz, nie powinnaś myśleć o nim. Obudziło się dawne zło. Tego dnia, kiedy skorzystałaś z Przejścia, otworzyła się otchłań Abissaliumu. Szukałem ciebie, bo tylko ty możesz powstrzymać budzącego się demona.

- Opowiedz mi wszystko, o czym wiesz.

Zebrał siły i zaczął mówić o wielkim królu Utaro i zczarowanej zbroi Ariczy. O grobowcu i o tym, jak próbował znaleźć do niego wejście mag Sakaszy. O Famarach, i ostatnim z nich - Malchai. O tym, co się stanie, jeśli siódme serce Odwiecznego dostanie się w ręce famarskiego czarodzieja.

- Nigdy nie słyszałam o Famarach - zauważyła, kiedy Mommek zamilkł, by odpocząć.

- Zaludniali wyspę, zanim przyszedł tu naród Sandzów. Plemię, zrodzone przez samego władcę Cieni, przybyło z Zacienionej Strony. Byli to wytrawni magowie, nienawidzący ludzi. Sandzowie długo walczyli z nimi i przelali morze ludzkiej krwi. Dopiero wojowniczy imperator Chimu, zdołał zadać Famaram decydujący cios i zniszczyć Wielką Łożę famarskich magów. Władcy Sandzów myśleli wówczas, że skończyli z Famarami raz na zawsze. Pomylili się.

- Dlaczego są tacy?

- Kiedyś byli podobni do zwierząt, ale potem, nauczyli się zmieniać postać i upodabniać do ludzi.

- Czyli, są wilkołakami?

- Coś w tym rodzaju. Najniższa kasta demonów-wilkołaków, zrodzona z Cienia posiada nieprawdopodobną moc i bystry umysł. Zacienieni magowie stworzyli ich w epoce Szu, wraz z Orkami, likantropami i wampirami. Famarzy uczestniczyli we wszystkich wojnach tej strasznej epoki. Po porażce Cienia, resztką ich zdobyła Chealadę i utworzyła wolne królestwo. A potem, na te ziemie przyszli Sandźowie i zniszczyli dawne zło, w wojnie, która trwała z przerwami setki lat. Sandźyjscy magowie z czasów imperatora Chimu, tropili i zabijali ocalałych Famarów. Wydawało się, że to demoniczne plemię zostało zlikwidowane. Jednakże, ostatniemu z magów Wielkiej Łoży udało się ująć z życiem. To Malchai, który jest bardzo niebezpieczny. Jeśli uda mu się otworzyć wrota Abissaliumu i wypuścić na wolność Odwiecznego, Chealada zginie.

- Kim jest Odwieczny?

- To bezwzględny demon, jeden z najdoskonalszych tworów Zacienionej Strony. Kiedyś, w epoce Szu, zacienieni magowie próbowali stworzyć istotę, niepoddającą się żadnej magii bojowej swoich wrogów - Sidów i ludzi. Udało to się famarskim czarownikom, którzy służyli Ojcu Cieni - stworzyli potwora z siedmioma sercami, ucieleśniającego cztery żywioły i trzy magiczne istoty. Żeby zabić Odwiecznego, trzeba zatrzymać równocześnie wszystkie siedem serc, a to, jest niemożliwe.

- Posłuchaj, nie znam się na magii i trudno mi zrozumieć twoje wywody. Wyjaśnij lepiej, w jaki sposób możemy ich zatrzymać.

- Już powiedziałem, że Malchai przez długie wieki ukrywał się w swoich tajnych schronieniach i mógł tylko marzyć o zemście na Chealadzie. Jednakże, twoje pojawienie się na tej ziemi, zmieniło wszystko. Pamiętasz, co się z tobą stało w Mennarachanie?

- Oczywiście. Chociaż nadal nie rozumiem, dlaczego mogłam zapomnieć o czymś takim.

- Nic w tym dziwnego. Łaeka kazała ci wejść do Przejścia, które prowadziło prosto do innej Kolebki Cienia - do świątyni ukrytej we wnętrzu Sabianumu, starożytnego, sabejskiego miasta umarłych. Gdyby udało ci się przejść bez przeszkód między światami, wszystko skończyłoby się dobrze. Ale zdarzyło się coś nieprzewidzianego: chealadzki mag Sakaszy, w tym samym czasie otworzył swój portal. Spodziewał się, że poprowadzi go do grobowca króla Utaro. I ty, zamiast trafić do Sabei, znalazłaś się tu. Skłonny jestem wierzyć nie tylko w rezultat błędu, ale i w wolę samego Gelesa, naszego ojca. Pojawiłaś się w odpowiednim momencie: Malchai znalazł sposób zdobycia serca Odwiecznego, przy pomocy dawnego rytuału nekromancji. Rzecz w tym, że sandźyjscy magowie, schowali zdobyte kiedyś kamienie alchemiczne w dawnych grobowcach i polecieli ich ochronę duchom śmierci - orchonom. Malchai przekupywał je krwawymi ofiarami. Jego poddani wycinali całe wsie i zostawiali na miejscu zbrodni magiczne czaszki, nazywane przez magów- nekromantów Oczyma Śmierci. Orselin, dziewczynka, która przyjechała tu ze mną, pochodzi z Kram-dinar, ostatniej spacyfikowanej wsi. Zadając pytania uczującym orchonom, Malchai dowiadywał się, gdzie są schowanego serca Odwiecznego. Przedostawał się do grobowców i odnajdywał kamienie. Do zdobycia, pozostał ostatni kamień, Kanwał, który jest ukryty w grobowcu króla Utaro. Jeśli do niego dotrze, otworzy Abissalium i ożywi Odwiecznego.

- Dlaczego straciłam pamięć?

- Taka jest cena wykorzystania portalu Kolebki. Takie przejście jest równoznaczne ze śmiercią, ale umiera dusza, nie ciało. Ochroniłby cię Pas Angusza, lecz skrzyżowanie się portali wyzwoliło taki strumień mocy, że twoja dusza mocno

ucierpiała. Utraciłaś swoją osobowość i odrodziłaś się znów, już jako Mirczel. Dopiero magia matki Bereniki była w stanie przywrócić ci pamięć.

- Teraz rozumiem - oblizła wyschnięte wargi. - Co powinnam robić?

- Wejść do grobowca Utaro, zabrać od martwego króla kamień Kanwał i go zniszczyć.

- A Łuska Smoka, o której mówiłaś?

- Jeśli zdobędziesz Łuskę i oddasz księciu Owaro, stanie się on jedynym spadkobiercą Tronu Smoka. Takie jest dawne prawo. Zbroja Ariczy jest najważniejszą relikwią imperatorów tej ziemi i ten, kto ją nosi, jest prawdziwym Synem Smoka, władcą Chealady.

- Jest coś jeszcze, co powinnam wiedzieć?

- Tak. Pojutrze będzie noc, kiedy w Głowie Lwa, planety ustawią się w jednej linii. To mistyczna noc. Wtedy właśnie, Malchai spróbuje przedostać się do grobowca i zawładnąć kamieniem. Teraz, po siódmym, ostatnim ofiarowaniu, zaklęcia, które chroniły grobowiec Utaro, już go nie zatrzymają.

- Siódme ofiarowanie?

- Przelano krew Smoka. Krew lorda Kadai, człowieka z imperatorskiego rodu. Teraz, Utaro nie będzie mógł przeciwstawić się famarskiemu czarownikowi i kamień znajdzie się w rękach Malchai.

- Przysięgam na Szante, jakie to wszystko skomplikowane! Ale zrozumiałam jedno: powinnam się dostać do grobowca, zabrać kamień i zniszczyć go. Jak to mam zrobić?

- Wejście do grobowca znajduje się tu, w pałacu. Pojutrze je otworzymy i wejdziemy do środka.

- Wejdziemy? Przecież jesteś ranny.

- Powinienem być przy tobie. Potrzebna ci będzie pomoc maga.

- A co z Irmasem Udenem? Powinniśmy zadbać o bezpieczeństwo księcia.

- Mam nadzieję, że horda dowódcy nie zjawi się tu wcześniej. Ale, gdyby tak się stało, spróbuję coś wymyślić. Nie zajmuj się teraz tym, pozostaw walkę z nimi innym. Twoim celem jest zniszczenie Cienia. Czeka cię taka bitwa, jakiej ta ziemia jeszcze nie widziała.

## **ROZDZIAŁ SIEDMNASTY**

### **PRZEDDZIEŃ PARADY PLANET**

Riki trzykrotnie przeczytał kolejny raport swojego agenta w Dremmerchewenie, przysłany rano gołębiem pocztowym. Poczuł, że za chwilę straci opanowanie albo szalona wściekłość doprowadzi go do zawału serca. Rzucił depezę na stół, zamknął oczy i spróbował opanować wzbierające uczucia. Trzeba się wyciszyć, wziąć się w garść. Musi być silny i spokojny. Jako potomek najznakomitszego rodu Imperium Smoka, nie może okazywać uczuć, niczym ludzie z najniższych kast.

Wszystko potoczyło się zupełnie inaczej, niż przypuszczał. Plan, przemyślany w szczegółach, nie powiódł się. Ludzie Todze zabili sobowtóra. Owaro zdołał umknąć najemnikom Ajoszy, a także ludziom Irmasa i teraz ukrywa się w swojej rezydencji, w pobliżu góry Reisi. Agent powiadamiał, że Irmas Uden zerwał ostatecznie z domem Edcho i przygotowuje marsz na pałac Górskiego Smoka, żeby rozprawić się z

księciem i ogłosić się władcą północy, zaludnionej przez Ajdżów. Półtora tysiąca zbójów, lada moment porzuci Dremmerchewen i ruszy do schronienia Owaro. Czytając to, Riki nie mógł pozbyć się myśli, że jego agent bredzi. Jednak była to prawda.

Kiedy emocje opadły, dyplomata wziął niefortunne doniesienie, dokładnie złożył na pół i schował do torebki na dokumenty przy pasie. Todze powinien przeczytać tę depezę. Wyobraził reakcję księcia i był przekonany, że rozmowa będzie bardzo trudna. Ale Todze powinien znać prawdę, tylko wtedy dom Ajoszy uzyska choćby nikłą szansę wpływu na toczące się zdarzenia. Trzeba natychmiast prosić księcia o audiencję.

Zadzwoił na służącego.

- Zawołaj cyrulika i lokaja - rozkazał wchodzącemu - i niech przygotują lektykę.

Jeszcze jest czas, by wszystko przemyśleć. Trzeba znaleźć rozwiązanie, które zadowoli księcia. Podjąć taką decyzję, która posłuży domowi Ajoszy i krajowi, szarpanemu wojną domową, i samemu Riki. Trzeba tylko opanować emocje i spokojnie pomyśleć, a rozwiązanie się znajdzie. Jak nigdy pragnął, by tak się stało.

- Więc, to wojna?

- Tak, mój panie – przytaknął zasmucony Riki. - Nie byliśmy w stanie uniknąć rozlewu krwi.

Książę odsapnął głośno. Była to zła oznaka i Riki zrozumiał, że teraz, oskarży go o wszystko.

- To był twój pomysł - powiedział, pogardliwie ścigając wargi.

- Nikt nie mógł przypuszczać, że ten kundel Irmas snuje plany odnośnie Tronu Smoka - sprzeciwił się. - Jego zdrada nie przyniosła nam pożytku. Także zmarły lord Kadai okazał się nie taki tępy, jak się wydawało. Sztuczka z sobowtórem, stała się dla nas niespodzianką. Tak, jestem winny, mój lordzie, nie przewidziałem wszystkich następstw. Nie wziąłem pod uwagę, że najemnicy Edcho okażą się tak... nieprzewidywalni. Wybacz mi, lordzie.

- Co, radzisz?

- Jeszcze wczoraj powiedziałbym: Niech zdechnie szczenię. Ale dzisiaj, sytuacja się zmieniła. Teraz, śmierć Owaro, ostatecznie zgubi Chealadę.

- Co? - książę zdziwił się - o czym ty mówisz?

- Mój panie, w drodze do twojego pałacu łamałem głowę, jak znaleźć wyjście z tej skomplikowanej sytuacji i nagle, przypomniałem dawną historię, opisaną w książce wielbnego Nikkai-sena „Opowieść o domu Wara”.

- Przypomnij, co to za historia.

- Chętnie - uklonił się, złączył koniuszki palców, zrobił znaczącą pauzę. - Na początku drugiej ery Niszy, za rządów cesarzowej Marimi, porywcy i nieposłuszni wasale podnieśli przeciwko niej bunt. Szczególnie bojowo nastawiony był dom Najra, którego przywódca, obrażany odmową władczyni wyjścia za niego za męża, ogłosił cesarżową swoim osobistym wrogiem. Wtedy wybuchła wielka wojna i pozbawiła życia setki przywódców i tysiące plebejuszy. W ostatniej bitwie z wojskiem cesarzowej, Najra i jego sojusznicy odnieśli zwycięstwo, i Marimi została otoczona w swoim zamku, w pobliżu Karania. Miała tylko garstkę ludzi, a Najra - tysiące wojowników, rozochoconych niedawnym zwycięstwem. I wtedy, lord Kaiczy, z domu Wara, zrobił to, czego nikt nie oczekiwał - zebrał swoich wasali, przyszedł z pomocą oblężonej w zamku cesarzowej, rozgromił oddziały Najra, czym uratował Marimi od hańby i niewoli. Riki znów zrobił pauzę. - Historia ta zakończyła się tym, że wdzięczna i wzruszona Marimi uznała siebie wasalem swojego wybawcy Kaiczy i

przekazała mu swój tron. W ten sposób, dom Wara, w krótkim czasie, zaczął rządzić Imperium Smoka.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, Riki, że dom Ajoszy powinien przyjść z pomocą biednemu chłopcu?

- Mój panie, czytasz moje myśli - uśmiechnął się lekko.

- A gdzie sens? - książę wypił łyk aromatycznej herbaty zaparzonej z kwiatów jaśminu. - Może lepiej pozwolić Irmasowi by wykończył gadzinę, a potem, załatwić Irmasa?

- Mój panie, też o tym myślałem. Serce mi mówi: „Niech przekłęci przybysze i nienawistni Edcho wytłuką się! Nie ma nic lepszego od wojny między naszymi wrogami!” Ale rozum sprzeciwia się, mówiąc: „Edcho to nasi wrogowie, ale są naszymi krewnymi. Lepsi Edcho, niż przekłęci Ajdżowie. Nigdy już nam się nie przydarzy lepsza okazja, by jednym uderzeniem skończyć z przybyszami.” To, że namiestnik Irmas pokona księcia, nie budzi wątpliwości, wobec nierównych sił. Ale wtedy, pod jego sztandary zaczną napływać włóczędzy i zbiry z całej Chealady. Mój pan wie, jak nienawidzę Ajdżów, ale nie wolno zapominać, że Irmas, to urodzony wódz. Pójdą za nim liczni, nie tylko Ajdżowie i wtedy, ostatecznego rozłamu kraju i nowej, długotrwałej wojny, nie unikniemy. Wielkie domy nie wybaczą nam, że nie wystąpiliśmy po stronie Owaro przeciwko barbarzyńcom. Uznają, że zdradziliśmy szlachetną krew Smoka. Inna sprawa, kiedy Sandżowie walczą między sobą i zupełnie inna - kiedy nad głową spadkobiercy wznoszą miecz wzdargzeni cudzoziemcy.

- A jeśli, niewdzięczne dziecko, nie uzna siebie naszym wasalem?

- Może tak być. Ale, w takim wypadku, Edcho ostatecznie utracą twarz i nawet najwierniejsi sojusznicy odwrócą się od nich. Na tym zyska tylko dom Ajoszy - Riki wieloznacznie podniósł palec do góry. - Cesarzowa Marimi, zrozumiała to, a już dwunastoletnie dziecko, tracące groźnego wuja i pozbawione armii, zrozumie tym bardziej. Został mu tylko jeden doradca - strach.

- Dlaczego Irmas zdecydował się podnieść bunt?

- Prawdopodobnie, przeklęty Ajdża poczuł się na tyle silny, by wziąć władzę w swoje ręce. Bunt najemników jest świetną okazją, by na zawsze uwolnić ziemię Smoka od tej zarazy.

- Zrozumiałem. Powiniennem zwołać Radę Książąt.

- Jeśli mój pan pozwoli, doradzę, by nie tracić na to czasu - zamilkł znacząco.

- Przecież, jeśli na ratunek Owaro przyjdzie koalicja książąt, będzie mu bardzo trudno zdecydować, komu złożyć przysięgę wasala - jednemu władcy, czy też całej Radzie.

- Widzę, że przewidziałeś wszystko.

- Jestem wiernym sługą mego pana. Wystarczy wojsk księcia, by przeciwstawić się Irmasowi. Nie trzeba tracić czasu.

- Dobrze. Osobiście stanę na czele.

- I to będzie mądry krok. Książę będzie musiał spotkać się ze swoim wybawcą i uznać, że Ajoszy nie są jego wrogami. Teraz, kiedy przekorny Kadai nie żyje, Edcho będą znacznie rozmowniejsi.

- Riki, zadziwiasz mnie swoją mądrością - westchnął Todze. - Udasz się ze mną. Chcę, żeby twoje słowa przekonały chłopaka, jeśli zechce sprzeciwiać się okolicznościom.

- Oczywiście, mój książę - odpowiedział Riki i ukłonił się. - Jadę z tobą.

\*\*\*

Poranek był mglisty i pochmurny, wiatr trzepotał białymi i czarnymi flagami wywieszonymi na murach pałacu Edcho. Na dziedzińcu słychać było stuk młotków i głośne rozmowy Seltończyków: ludzie Kasty wzmacniali główną bramę, obijając ją płatami blachy. Kasta stała na murach i patrzyła w dal, tam, gdzie wiodąca do cytadeli droga znikła wśród pochyłych pagórków. Minęły dwa dni, od kiedy wyznaczeni przez Krispiłę ludzie wyruszyli z pałacu Górskiego Smoka w poszukiwaniu pomocy. Czy dotarli na miejsce? Może ich przechwycili ludzie Irmasa? Czy przybędzie ktokolwiek, żeby stanąć w obronie księcia? Czy będzie musiała liczyć tylko na to, co może przeciwstawić swoim wczorajszym towarzyszom broni - żalosną garstkę ludzi, imperatorskich Ajdżów i swoich Seltończyków?

- Dowódco!

Odwróciła się. Przy wyjściu z wieży stał Lenjan.

- Dowódco, skończyliśmy - powiedział stary najemnik. - Chodź, popatrz, jak nam to wyszło.

Skinęła głową, lekko zbiegła po schodach na dziedziniec. Jej ludzie spisali się na medal: cała brama była obita metalowymi płatami (miedziane i żelazne arkusze, zostały bluźnierczo pozdierane z dachu pałacowej kaplicy), a cała powierzchnia naszpikowana wielkimi, ostrymi, żelaznymi gwoźdźmi, które przez noc wykuł tutejszy kowal. Dodatkowo, Seltończycy sklecieli dwie zapory, które w ojczyźnie Kasty nazywano „jeżozwierzami” - ustawione na kozłach długie, masywne bale, z pozostawionymi na całej długości zaostroszonymi konarami sążnistej długości. Taki „jeżozwierz” doskonale zatrzymuje kawalerię, wygodnie zza niego ostrzeliwać z proc i łuków nacierającego wroga. Rozmieszczono je z prawej i lewej strony bramy, by w razie konieczności można było szybko zamknąć przejście. Źle, że łuków jest tylko osiemnaście, i to nie najlepszej jakości, za to strzał i dziury w arsenałach okazało się pod dostatkiem. Ze skórzanych pasów, ludzie Kasty wykonali kilkadziesiąt zupełnie znośnych proc, rozebrali na pociski kamienną nawierzchnię drogi wiodącej do pałacowego zespołu.

Myśląc o broni, mimo woli dotknęła dłońmi rękojeści dwóch sztyletów podarowanych przez Owaro. Wczoraj, pałacowy zbrojmistrz wręczył jej doskonale, lakierowe pochwy, więc mogła zawiesić je przy pasie. Z Flamejonem za plecami i sztyletami Chabu, czuła się niezwykła. Szante będzie świadkiem, kiedy pokaże Irmasowi, kto jest mocniejszy.

- Dowódco? - Lenjan stał obok i pytająco patrzył na nią.

- Doskonale, mój przyjacielu. Fachowo zrobione.

- Szkoda, że nie mamy katapult. W pałacowym parku jest wiele ciężkich głazów. Urządzilibyśmy chłopakom Irmasa prawdziwy kamienny grad. Wody i jedzenia mamy pod dostatkiem, więc wytrzymamy nawet długie oblężenie.

- Oblężenia nie będzie, Lenjanie. Jeśli nie nadejdzie pomoc, zgniotą nas liczebnie. Wszystko, co będziemy mogli zrobić, to sprzedać drogo nasze życie.

- I ty to mówisz, Żelazna Dziewica? - pieszczotliwie pogładził policzek Kasty twardą dłoń. - Od kiedy zaczęłaś wątpić we własne możliwości?

- Jeszcze nigdy osiemdziesięciu ludzi nie próbowało zatrzymać półtora tysięcznej armii, Lenjanie.

- Pamiętam, że całkiem niedawno, dziesięć słabych kobiet powstrzymało w jaskiniach pod Gojłonom, półtora setki rozwścieczonych i uzbrojonych po zęby mężczyzn. Czyżby tego nie było?

- Lenjanie, przestań gadać i zajmij się czymkolwiek pożyteczniejszym. A, jeszcze chciałam ci powiedzieć... Jeśli mnie zabiją, przejmiesz dowództwo nad Seltończykami.

- Ciebie nie zabiją - oświadczył stanowczo stary wojownik. - Jeszcze nie urodził się człowiek zdolny pokonać cię.

- Pochlebca! – lekko się uśmiechnęła - idź już, zostaw mnie.

- Dobrze, córeczko. Niech ci Hawan błogostawi!

- Twoi ludzie cię uwielbiają – powiedział zbliżający się Księgarz. Orselin szła za nim, z twarzą smutną i bladą. - I to mnie wcale nie dziwi.

- Jak twoje rany?

- Rana w boku jeszcze boli, ale osłabienie stopniowo mija. Za to, lewa ręka... - spróbował poruszyć palcami i skrzywił się. - Wstyd o tym mówić, ale nie jestem wojownikiem. Musisz się bić za dwóch.

- Dzisiaj jest noc o której mówiłeś.

- Z nadejściem północy, wszystko się rozstrzygnie. Chodź, coś ci pokażę.

Opuścili plac przy bramie i zagłębili się w pałacowym parku. Mnich szedł powoli, było widać, że siły jeszcze mu nie wróciły. Orselin w milczeniu szła obok Kasty, ale Seltonka nie odzywała się do dziewczyny. Nie było o czym mówić.

Przyprowadził ją do starodawnej altany, w najdalszej części parku. Była to typowa sandżyjska budowla - półokrągłe sklepienie spoczywało na cienkich, rzeźbionych kolumnach, opartych na prostej, marmurowej posadzce.

- Przeczytałem wszystkie książki dotyczące powstania tego pałacu - zaczął - i dowiedziałem się, że ostatnią budowlą, ukończoną za życia Utaro, była ta altana. A teraz spójrz: na każdej kolumnie są wyryte hieroglify?

- Widzę. I co z tego?

- Czytając je zgodnie z ruchem wskazówek zegara, powstaje fraza: „Mag Tajeszy, władca żywiołów, z nakazu imperatora Utaro dynastii Lindze, odchodzącego, ale żyjącego nadal”.

- Nic mi to nie mówi.

- Teraz, spójrz tu - wskazał posadzkę altany, wyłożoną marmurowymi płytkami. Centralny, piękny hieroglif, przypominał zwijającego się w pierścień smoka.

- Widzisz? Sakaszy miał rację. Już nie wątpię, że wejście znajduje się właśnie tu.

- Z czego wywnioskowałeś?

- Taki znak ma trzy znaczenia - dwa pospolite i jedno mistyczne, znane tylko najwyższym magom. Hieroglif „łain” w języku sandżyjskim znaczy „smok” i symbolizuje jeden z tytułów imperatorów z domu Utaro. A trzecie znaczenie – „łain-go-sjente-chedaj” – „Smok, stróż ostatnich drzwi”. Taki hieroglif był rzeźbiony na kamiennych nagrobkach pierwszych władców.

- Ale tu nie ma żadnego nagrobka.

- Nagrobka nie ma. Ale jest wejście, które otwiera się przy pomocy magii. Poszczyliście nam się, nawet nie oczekiwałem, że znalezienie będzie takie proste.

- Trzeba je jeszcze otworzyć.

- Słusznie. Myślę, że będę mógł to zrobić dzisiaj o północy. Dlatego, musisz tu przyjść. Ja, przygotuję wszystko przed wejściem do środka.

- Może tam być coś, o czym powinnam wiedzieć?

- Szczerze mówiąc, nie wyobrażam sobie, żeby coś złego czekało na nas. Jedno wiem na pewno: po śmierci, Utaro został liczem. Chroni swój grobowiec i będziemy musieli albo dogadywać się, albo pokonać go w walce.

- I jeszcze walczyć z Famarami, prawda?

- Mam nadzieję, że zdążymy zabrać kamień, zanim ci się zjawią.

- W jaki sposób Famarowie mogą nam przeszkodzić, jeśli wejście do portalu znajduje się tu, w pałacu?

- Istnieje jeszcze przynajmniej jedno. To, przez które przesłaś tu z Mennarachanu. Punkt Mocy znajduje się w pobliżu Naraino. A może, istnieją jeszcze inne portale, o których po prostu nie wiem?

- Jedno pytanie, Księgarzu: dlaczego myślisz, że dam sobie radę?

- Ponieważ jesteś Wojowniczką Zapomnianych. Poza tym, Utaro przewidział, że przyjdiesz do jego grobowca i spełnisz proroctwo wykute na płycie nagrobnej w Arku.

- Jakie znów proroctwo?

- Brzmi tak - zamyślił się i zaczął śpiewnie recytować, tłumacząc słowa z języka sandżyjskiego na seltoński:

*Oblicze Bóstw - żeńskie i męskie,  
Lecz wspólne ciało ich jednoczy,  
Dłoń męska sprawnie mieczem włada,  
A żeńska tarczą je otoczy,  
Przybysz - wróg Zła odwieczny, sprawi,  
Że Zło pradawne nie odnowi,  
Pośród potomków Orła, Smoka,  
Wieczysty pokój ustanowi.*

- Niedługo zaczniesz mdlić mnie od tych proroctw – skrzywiła się. - Z czego wywnioskowałeś, że ten wiersz odnosi się do mnie?

- Tarcza, została ci darowana żeńską ręką – odpowiedział cicho.

- Powiesz mi może, że to tarcza neni?

- Ona daje ochronę przed magią, nawet najpotężniejszą. Ale nie uratuje przed bronią.

- No, dobrze. Co wobec tego proponujesz?

- Już powiedziałem. O północy otworzę portal. Będziemy mieli czas do świtu, żeby zabrać kamień i zbroję Ariczy.

- My? Pójdiesz ze mną?

- Nie wolno mu! – krzyknęła zaniepokojona Orselin. - Jeszcze nie wyzdrowiał. Nie będzie mógł ci pomóc.

- Nic nie mów – powiedział z czułością i dodał, zwracając się do Kasty: - Pójdę z tobą. Pomogę radą, magią ... Ale musisz mnie bronić. Wojownik ze mnie, niestety, żaden.

- Dobrze. Rozpocznij przygotowania do otwarcia portalu. A ja, idę do swoich ludzi.

- Nie możesz z nią iść - powiedziała Orselin, gdy tylko Kasta oddaliła się. - Twoje rany ledwo się zabiłszy! Jesteś zbyt słaby, by walczyć. Ta kobieta...

- Ta kobieta, Orsi, jest naszą jedyną nadzieją. Powinienem być obok niej, inaczej, ofiara matki Bereniki okaże się daremna i zło zdobędzie tę ziemię. Nie mogę do tego dopuścić - ujął rękę dziewczyny, podniósł do warg i pocałował jej palec. - Dziękuję ci za troskę. Przyjemnie czuć, że jest ktoś, komu nie jesteś obojętny.

- Księgarzu... bracie Stein, proszę, nie rób tego! Boję się. Wydaje mi się, że zdarzy się coś bardzo strasznego.

- Już nic gorszego nie może nas spotkać, Orsi. Ostatnia ostoja Gelesa na tej ziemi, nie istnieje. Przelano krew Smoka, zbliża się godzina, kiedy Zło stanie się wszechmocne. Tylko Kasta może zatrzymać inwazję Cienia. Muszę jej pomóc. Jeśli zwyciężymy, to razem i jeśli zginiemy, także razem. Innej drogi nie ma.

- A ja ... mogę pójść z wami?

- Nie. To nie twoja bitwa. Twoje przeznaczenie jest inne. Widzę twoją przyszłość i wiem, że rozpalisz ogień, który został zdeptany brudnymi butami.

- Bracie Stein - czuła, że za chwilę rozplące się. - Ja ... nienawidzę cię!

- Z pewnością, nie chciałaś tego powiedzieć, Orsi? - uśmiechnął się. - Wybacz mi i nie złość się na Kastę. Każdy z nas ma swoją drogę. Ja i Kasta pokonamy ją tej nocy, ty zrobisz to trochę później. Nie sprzeczasz się z losem, on ma zawsze rację. Pewnego dnia zrozumiesz, że nie mogłem postąpić inaczej.

- Księgarzu, nie chcę cię stracić!

- A ja, ciebie. Zawsze będziemy razem. Wierzysz mi?

Nie zdążyła odpowiedzieć. Z wieży strażniczej rozległ się ryk brązowego rogu, ogłaszającego trwogę. Na chwilę straciła świadomość, była jak sparaliżowana pod wpływem panicznego strachu. Uświadomiła sobie, że tu także zawitał koszmara, który kiedyś przeżyła w spacyfikowanej wiosce. Kiedy wróciła do rzeczywistości, poczuła, że Księgarz tuli ją i patrzy w oczy. W spojrzeniu odbijały się wszystkie uczucia i strach natychmiast minął. Jeszcze przez moment, w milczeniu, przyglądali się sobie, jakby widzieli się po raz pierwszy. Po chwili, brat Stein głęboko westchnął, jak człowiek, który zamierza skoczyć do lodowatej wody i pocałował dziewczynę w usta. Rogi jeszcze kilkakrotnie powtórzyły swój groźny i złowieszczy sygnał, ale oni, już nie słyszeli ostrzeżenia o nadciągającym nieszczęściu, bo byli szczęśliwi. Pragnęli tylko jednego - przedłużyć te chwile, póki nie nastąpi czas mieczów.

\*\*\*

Irmias Uden zdjął hełm i z rozkoszą wystawił twarz na zimny wiatr, wiejący z dwuszczytowej góry Rejsi. Niósł przyjemną świeżość, ale był też istotną przeszkodą – trzeba zapomnieć o celnym strzelaniu. Chociaż ...

- Nair, mój łuk! - krzyknął do giermka.

- Dowódca chce postrzelać do sarna? – zapytał Pardis, podjeżdżając bliżej.

- Dwunogich, Pardisie. Ponaglij dowódców, rozciągnęli się na drodze jak wypuszczone z brzucha jelito.

- Chcesz rozpocząć szturm cytadeli z marszu?

- Na początku, spróbuję z nimi porozmawiać. Wyślij ludzi do odwodu, niech zmuszą woźniców do pośpiechu.

Pardis przytaknął, uderzył piętami ogiera i pomknął drogą wzdłuż kolumny najemników zmierzającej w stronę góry. Irmias odprowadził go spojrzeniem. Oczywiście, powinien pozwolić ludziom na odpoczynek, przez ostatnie dwa dni przeszli nie jedną dziesiątkę lig. Z rozmysłem nie pozwolił kawalerii pójść daleko do przodu – nierozważnie byłoby rozdzielać swoje siły, bez piechoty jeźdźcy dużo nie nawojują, tym bardziej, że oblężniczy ekwipunek znajduje się w taborze. Po co się śpieszyć. Skośnookie szczenię nie ucieknie.

- Twój łuk, panie – Nair, z widocznym wysiłkiem, trzymał w wyciągniętych rękach ciężki futerał.

Irmias zsiadł z konia, wziął od młodzieńca futerał i otworzył zamek. Łuk, który przechowywał w pokrowcu, nazywał Czarnym Skorpionem i był jego dumą. W Dzikich Miastach, więcej takich nie było. Jak i kiedy wszedł w jego posiadanie dowódca „Jastrzębi Dremmerchewenu”, nikt nie wiedział. Łuk był rzeczywiście wspaniały - osiemdziesięciopuntowa kompozycja, łącząca niezwykle wytrzymałe drewno kwiri, wąż wieloryba i brązowe okucia. Szybko wybrał i założył cięciwę, która pod jego palcami wydała ostry prztyczek. Nair natychmiast podał dowódcy kołczan, ale ten pokręcił głową.

- Nie te, wyważone - powiedział.

Od pałacu Górskiego Smoka dzieliła ich mniej niż liga. Przygotowawszy łuk, lekko wskoczył na siodło i pomknął galopem do twierdzy. Mógł już dostrzec mury i wieże strażnicze, zbudowane z szarego, naturalnego kamienia. Wkrótce ujrzał także uzbrojonych ludzi na murach - obrońcy Owaro przygotowywali się do odparcia ataku.

Najemnicy tymczasem, na równinie, szybko przegrupowywali się z marszowych kolumn - w bojowe szeregi, nastroszone pikami, halabardami, naginatami, gizarmami, szpontonami. Mieszkańcy Północy - łucznicy, wprawnie przygotowywali do walki swój oręż. Kawaleria ulokowała się na flankach i jeźdźcy, korzystając z wytchnienia, sprawdzali uprząż albo zajmowali się bronią. Z przodu, tam gdzie znajdował się główny trzon wojowników Irmasa, już trzepotał na wietrze wielki sztandar „Jastrzębi Dremmerchewenu”: czarny bryt ze złotym ptakiem, rozpościerającym wygięte skrzydła. Obok widniały proporce Kaestańców Pardisa i mieszkańców Północy pod dowództwem Warga. Skupione twarze wskazywały, że czekają na rozkaz rozpoczęcia szturm. Wśród powitalnych okrzyków i stuku kling o tarcze, Irmas minął ostatnie szeregi i zatrzymał konia. Z tego miejsca do bram cytadeli było mniej więcej sześćset kroków. Sokole oczy dowódcy najemników dostrzegły zastygłe na murach sylwetki Ajdży, w czarnych, lakierowych zbrojach, ściskających w rękach naginaty z czarnymi i białymi proporcami.

Wybrał strzałę, wyprostował lotki, sprawdził grot, nałożył na cięciwę i uniósł łuk. Obserwowały go tysiące oczu. Łucznicy Warga wymieniali szeptem uwagi, że przy takim wietrze i z takiej odległości tylko Runda trafi do celu, a śmiertelnik nie dosięgnie nawet bram twierdzy. Długo wybierał cel, czekał, aż wiatr chociaż trochę przycichnie. A potem, szybkim szarpnięciem naciągnął i puścił cięciwę.

Nad wojskiem przetoczył się triumfalny ryk. Jedna z wojowniczek Ajdży, która stała na lewej, bramnej wieży, machnęła rękoma i upadła na kamienie ze strzałą w ramieniu. Wycelował znów i wypuścił drugą strzałę. Następna upadła, zalewając się krwią z rozerwanej arterii.

W odpowiedzi, z twierdzy wypuszczono kilka strzał, ale zostały zniesione wiatrem, wśród drwiącego śmiechu najemników. Irmas tymczasem, skierował konia do wrót zamku.

- Hej, wy, groźne Ajdży! - krzyknął - co tak kiepsko strzelacie? Może i mieczami nie potraficie władać?

- Potrafią - odpowiedziała jasnowłosa kobieta w pięknej elfijskiej zbroi, która zjawiała się na murach, tuż nad bramą. - Kłocz by to potwierdził, gdyby żył.

- Miri! - Irmasa ogarnął gniew, a do tego bolesne i słodkie ukłucie w sercu. - Dobrze, że tu jesteś. Nie muszę cię ścigać po całej Chealadzie.

- Miri umarła, Irmasie. Jestem Lejda Elea Kasta. Nie znajdziesz tu tej, której szukałeś.

- Zmieniłaś imię? To nie zmartwienie. Przyjmę cię z każdym. Porzuć sandżyjskiego szczeniaka i wracaj do mnie. Zastawimy stół, napijemy się świetnego kaestańskiego wina, zajmiemy się pieśczołami. Dobrze nam to szło.

- Tak, Irmasie, z Mirczel. Ale nie z Kastą.

- Nie obronicie pałacu! - wrzasnął.

- Obronimy. Jeśli nie wierzysz, spróbuj go zdobyć.

- Wiem, że jesteś upartym ścierwem. Wiem, że odwagi ci nie brakuje. W końcu, pamiętam, bo byliśmy razem, Miri. Dlatego będę łaskawy. Macie czas do jutrzejszego poranka by się poddać. Jeśli to zrobicie, zostawię was przy życiu. Jeśli jutro, o wschodzie słońca, bramy pałacu pozostaną zamknięte, rozpocznę szturm.

- Powodzenia Irmasie! - powiedziała i zniknęła za kamiennymi blankami.

- Ty istotnie zamierzasz okazać im łaskę? - zapytał Pardis.  
- Tylko Mirczel. Przekaż mój rozkaz, by wziąć dziewczuchę żywą. Nie powinna ucierpieć.  
- Myślisz, że ją odzyskasz?  
- To pragnienie zemsty, Pardisie. Sam, nożem obetnę jej włosy, założę obrożę i oddam na poharbienie najbardziej wzgardzonym mętom, jakich tylko znajdę w Dremmerchewenie. Będę obserwować, jak zaspokajają z nią swoje brudne, psie żądze. Niech ją posiadają jak tylko zechcą, moczą się na nią, wypróżniają, robią wszelkie obrzydliwości do których będą zdolni. Chcę to zobaczyć, Pardisie! Chcę złamać jej dumę. I zobaczę to, przysięgam na Rundę. Dopiero potem zdecyduję, co z nią zrobić, rzucić do jamy ze szczurami, czy rozerwać koźmi albo... znów wziąć do swego łóża.  
- Miłość! - Pardis wznosił ręce do nieba. - Jakiś ty jeszcze młody, dowódco!  
- Wojownicy mają czas do północy - powiedział Irmas, połykając ironię starego Kaestańca. - Rozbijajcie namioty i odpoczywajcie. O północy, oczekuję wszystkich dowódców w swoim namiocie. Omówimy plan bitwy.

\*\*\*

- Wierzysz mu? - zapytał Lenjan.  
- Nie. Tylko głupi wierzy Irmasowi.  
- Zapelnili całą równinę. Nie wytrzymamy.  
- Powinniśmy... Irmas jest chytry, gra na wspaniałomyślność. Jestem pewna, że nocą spróbują szturmować mury.  
- Dlaczego tak sądzisz?  
- Ponieważ on nie chce tracić ludzi. Postara się napaść zniecka, żeby zdobyć pałac i ponieść jak najmniejsze straty. Liczę na ciebie, Lenjanie. Jesteś starym bojowym psem, najbardziej doświadczonym z całej załogi.  
- Liczysz na mnie? A co z tobą?  
- Tej nocy muszę walczyć z nowym wrogiem, Lenjanie - uśmiechnęła się, pchnęła pięścią starego najemnika w pierś. - Ale to nie twoja wojna, tylko moja. I nie patrz na mnie tak, wiem, co mówię. Zwycięzymy. I otrzymacie tyle złota, ile uniesie każdy z was.  
- Kasta!  
- Krispiła? - zauważyła, że dziewczyna jest bardzo zdenerwowana. - Co się stało?  
- Proszę, chodź ze mną.  
- Coś się stało?  
- Książę postanowił stanąć na czele obrony. Próbowałam go odwieść od tego zamiaru, ale nie chce nikogo słuchać.  
Owaro był u siebie i coś mówił do otaczających go dworzan. Chłopiec był odziany w dziecinną, stalową zbroję i trzymał krótki, bojowy miecz.  
- Po co przyszłaś? - zapytał. - Nie zapraszałam cię.  
- Mój książę zamierza walczyć, czy się mylę? - odpowiedziała, wchodząc do sali.  
- Jestem księciem – powiedział dumnie - i nie będę siedzieć z kobietami, kiedy memu pałacowi grozi niebezpieczeństwo.  
- Chwalebna odwaga wasza wysokość. Ale proszę najpierw mnie wysłuchać, a potem podejmować decyzję - uchwyciła zdziwione i zaniepokojone spojrzenia dworzan, zrobiła pauzę. - Jestem gościem w tym pałacu i nie mam prawa pouczać

mego gospodarza. Ale muszę to powiedzieć. Bitwa zacznie się lada chwila. Wróg jest liczny. Zastępy zajęły całą równinę przed pałacem. Jesteśmy odcięci od reszty świata i musimy walczyć. Nie mogę przewidzieć wyniku bitwy. Wiem tylko, że mamy za mało wojowników. Ale zostanie ich jeszcze mniej, jeśli część obrońców będzie przydzielona do ochrony waszej wysokości. To osłabi obronę pałacu.

- Nie potrzebuję ochrony.

- Każdy wojownik w tych murach, poczytuje za swój obowiązek obronę księcia. Jeśli wasza wysokość weźmie udział w bitwie, nie będziemy mogli myśleć o zwycięstwie, ale o tym, jak obronić was. Nie jesteś panie wojownikiem. Jesteś przede wszystkim dzieckiem, chociaż bardzo odważnym. To, po pierwsze. Po drugie, najemnicy Irmasa mają świetnych łuczników, jedna-jedyna strzała może uczynić obronę pałacu bezsensowną.

- Napomykasz, że mogą mnie zabić? - księżę wydał wargi. - Ale jestem przyszłym imperatorem i jestem zobowiązany, w trudnych chwilach być przy moich poddanych.

- Takie zacne myśli, świadczą o twoim honorze, mój księżę. Jednakże, w czasie walki nie zawsze można postępować szlachetnie.

- Więc, jak mam postąpić?

- Tak, jak radzi kapitan Krispiła - zostać w pałacu. Tu wam nic nie grozi. Nam będzie łatwiej umierać, jeśli będziemy wiedzieć, że wasza wysokość jest bezpieczna.

- Powiedz mi, Kasto - księżę z jakiegoś powodu przeszedł na szept - mamy nadzieję na zwycięstwo?

- Nadzieja jest zawsze, mój księżę. Nawet chwilę przed śmiercią człowiek żyje nadzieją.

- Dobrze - odrzucił hełm, który trzymał w ręce. - Posłucham cię. Co jeszcze mogę zrobić?

- Dziękuję waszej wysokości i czekam na rozkazy.

- Rozkazy? - nagle podszedł i dotknął jej ręki. - Mam wydawać rozkazy? Teraz, jak nigdy przedtem, potrzebuję dobrych przyjaciół, lady Kasto. Przyjaciołom nie rozkazują. Przyjaciół proszą. I proszę cię ... Nie, my wszyscy prosimy cię - zatrzymaj ich. Proszę.

- Zatrzymam - odpowiedziała, patrząc w przestraszone oczy dziecka. - Zatrzymamy ich, mój księżę. Proszę być spokojnym.

\*\*\*

Sakaszy starał się nie popełnić żadnego błędu. Cena jest zbyt wysoka, trzeba skrupulatnie wypełnić wszystkie zalecenia z traktatów Tajeszy. Dokładnie, szepcząc zaklęcie, stylosem z ludzkiej kości zakreślił na ziemi krąg, naniósł na nim znaki żywiołów i ochronne symbole. Wziął z torby uświęcony węgielek i zaczął pisać magiczne hieroglify, które widział w brudnopisach Tajeszy, na omszałe kamienne słupy, oznaczające naraiński krąg. Cały czas czuł na sobie uważne spojrzenia Famarów i było to potworne odczucie. Wydawało się, że oczyma jeźdźców Malchai, Ciemna strona obserwuje go osobiście. Odpędzał strach, próbował skoncentrować się na hieroglifach, kreślił je z kaligraficzną doskonałością - i znów wpadał w panikę. Wreszcie, ostatni był napisany. Otarł pot z czoła, wyszedł z kręgu, skierował się do wodza Famarów i z niskim ukłonem powiedział:

- Gotowe, panie. Można zaczynać.

- Widzisz, Giłanie - powiedział Malchai zwracając się do syna - Sandżowie są biegli w magii. Tylko dlatego udało im się kiedyś nas zwyciężyć. Jednakże, ich wiedza jest niedoskonała. Pozwala kierować Mocą, ale nie daje władzy nad nią.

- Władzy? - ośmielił się zapytać Sakaszy.

- Zaznaczyłeś krąg portalu, magu. Teraz, kiedy zacznie się parada planet, nawet żaloszny nieuk będzie mógł go uaktywnić. Ale, otworzyć przejście między światami - to jedno, a przejść przez nie - to zupełnie co innego. Drog między światami jest wiele i kto zaręczy, że znajdziemy się na właściwej?

- Panie, znam sekrety Tajeszy - powiedział mag. - Hieroglify, które nakreśliłem na kamieniach, otworzą nam wejście, jestem tego pewien.

- Mało, bardzo mało wiesz o naturze Cienia - odpowiedział Malchai. - Ale jesteś pewny siebie i uważasz się za wielkiego czarodzieja. Udowodnij to. Kiedy otworzy się portal, wejdiesz do niego pierwszy.

- Słucham, panie.

Żeby uwolnić się od strachu i zebrać siły, kucnął przy granicy kręgu i zaczął medytować. Takie skupienie pomoże również uchwycić moment, kiedy portal zacznie się otwierać. Famarzy nie przeszkadzali mu, pozostawali w siodłach, milczący i nieruchomi, niczym posągi. Szybko zapadał zmierzch, w niebie zapaliły się gwiazdy. Malchai coraz częściej spoglądał na nie.

- Ojczy, a jeśli ten człowiek nie otworzy portalu? - zapytał Giłan.

- Wtedy ja go otworzę. Myślę, że poradzi sobie. Szczerze mówiąc, bardzo uprościł nam zadanie. Rzeczywiście jest dobrym magiem. Warto go zostawić przy życiu, może nam się przydać w przyszłości.

- Twoja wola, ojczy.

- Uzbrój się w cierpliwość, Giłanie. Już niedługo.

Sakaszy ich nie słyszał. Znajdował się w stanie przedwieczornego czuwania, którego nauczył się jeszcze w szkole mistrza Chade. Stan, w którym realny świat i iluzja zlewają się w jedno, splatają się fantazyjnie, a zmysły wyostrome są do granic możliwości. Przepływ Mocy poczuł na długo przedtem nim zaczął otwierać się portal. Najpierw, było to dotknięcie pojawiającego się znikąd wiatru, który owiał twarz Sakaszego i mag poczuł zapach śmierci. A potem - dookoła półmrok napełnił się delikatną, wibrującą muzyką, smutną i niespójną, jakby ktoś niedorzecznie naśladował kota. Świadomość zalało jaskrawe światło. By uchronić oczy przed elementarnym błyskiem, zamknął je. Kiedy muzyka ucichła, a światło przestało być tak intensywne, odważył się spojrzeć.

Nie było już kręgu kamieni, ani portalu. W niepojęty sposób znalazł się w chacie, w której spędził dzieciństwo. Poznał bliski mu dom. Było to osobliwe doznanie, ale się nie dziwił. W izbie, na macie leżał jego ojciec. Nagi, nieruchomy, chudy, z wystającymi żebrami, z zionącymi ranami na brzuchu i piersi, z otwartymi, szklistymi oczyma. Wszystko wyglądało tak, jak tego strasznego poranka dwadzieścia lat temu, kiedy ciało ojca, zabitego w polu przez najemników, przynieśli do domu. Zatrzymał spojrzenie na wykrzywionych skurczem ogromnych, guzowatych stopach ojca i odwrócił wzrok. Obok nieboszczyka siedziały w kucki: matka, płaczki i młodsze dzieci, wszyscy w żałobnych strojach. Podeszedł do nieboszczyka, padł na kolana i dotknął ręką jego czoła.

- Przyszedł - szepnęła jedna z płaczek, nachyliwszy się do ucha nieboszczyka. - On tu jest.

- Tak, przyszedłem - powiedział mag, nie zastanawiając się po co to mówi.

- Przyszedł - powtórzyła matka. Oczy jej były puste i nieruchome. - Teraz możemy odejść.

Białe postacie wstały i wyszły z chaty. Słyszał, jak na zewnątrz zerwał się silny wiatr. Wdzierał się do domu. Kruche ściany, oklejone ryżowym papierem, drżały. Światelka dwóch kaganków u wezłowania zmarłego, to rozpalały się, to prawie gasły i na ścianach tańczyły niezwykle cienie, podobne do fantastycznych potworów. Przyglądał się grze cieni i nagle poczuł na sobie uważne spojrzenie. Rzucił okiem na ojca i drgnął - oczy nieboszczyka patrzyły wprost na niego.

- Dlaczego opuściłeś szkołę mnichów? - zapytał.

- Chciałem zobaczyć świat - odpowiedział z drżeniem serca - czy to źle?

- Powinieneś odpowiadać, a nie zadawać pytania. Przyszedłeś tu z pustym sercem. Kiedy mistrz Chade wziął cię na naukę, cieszyłem się. Wydawało mi się, że mój syn nie podzieli mojego losu. Nie zazna ciężkiej pracy od świtu do zmierzchu i poniżenia, nędzy i bezprawia. Ale wybrałeś inną drogę. Widzisz, dokąd cię zaprowadziła?

- Nie rozumiem, ojcze.

- Przypomnij sobie, co czułeś, kiedy zobaczyłeś mnie martwego.

- Smutek. Wielki smutek, ojcze. Płakałem, siedząc obok twego ciała.

- Teraz nie płaczesz. Twoje serce stwardniało, Sakaszy. Nie zostało w nim ani miłości, ani współczucia. Zawładnęły nim zachłanność i duma.

- Nie, ojcze. Chciałem tylko udowodnić światu, że jestem lepszy. Że mogę osiągnąć wszystko, czego zapragnę.

- Osiągnąłeś?

- Nie wiem. Ale znalazłem wejście do grobowca Utaro. Byłem w stanie otworzyć portal.

- Pomyliłeś się, synku. Chciałeś znaleźć drogę do wielkich skarbów martwego imperatora, ale trafiłeś tu. Wróciłeś do swojej przeszłości. Jak myślisz, dlaczego tak się stało?

- Tego nie wiem, ojcze.

- A to takie proste, Sakaszy. Przez dwadzieścia lat nie znalazłeś nikogo, kto pokochałby cię tak szczerze i bezinteresownie jak ja, twój ojciec. Jak kochała cię twoja matka, twoi bracia i siostry. Nie zasłużyłeś na miłość innych ludzi. Nie skarbów pragnąłeś, nie sławy, nie czci. Marzyłeś o miłości i władzy nad ludźmi. Opuściłeś szkołę mnichów dlatego, że regulamin klasztoru zabraniał zbliżenia z kobietami, a pragnąłeś zmysłowych rozkoszy.

- Czy to źle pragnąć kobiety, ojcze?

- Wszystko zależy od tego, jak pragniesz. Przeżyłem wiele lat z twoją matką, kochałem ją całym sercem i byłem szczęśliwy. Ty, miałeś dziesiątki kobiet, ale nie kochałeś ani jednej z nich.

- Czy to takie ważne?

- Rozczarowany miłością, zechciałeś władzy nad ludźmi. Wyobraziłeś, że będą cię kochać i spełniać twoje zachcianki, jeśli staniesz się bogaty, dlatego wszystkimi sposobami goniłeś za bogactwem. Powiedz mi uczciwie, wzbogaciłeś się?

- No, mam pewne oszczędności... Po co ta cała rozmowa, ojcze?

- Widzisz, ty nadal nic nie zrozumiesz. Ludzie cię nie kochają, Sakaszy. Ciebie kochamy tylko my, twoja rodzina. A ty, zapomniałeś o nas. Czy wiesz, że twoja matka umarła siedem lat temu z głodu, twój brat Czyro został ścięty za to, że próbował łowić ryby bez pozwolenia naszego lorda? Drugi brat i obie siostry umarły od różowego pomoru, będąc jeszcze dziećmi? Twoja rodzina jest martwa Sakaszy, a ty nawet nie wiesz o tym. Od tego dnia, kiedy poszedłeś z mnichem do szkoły Chade, ani razu nie odwiedzałeś swoich bliskich. Przez dwadzieścia lat sprawiałeś

wrażenie, że nie masz nikogo. Dwadzieścia lat żyłeś tylko swoimi namiętnościami i pragnieniami. Teraz przyszedłeś tu, ale nie z myślą o mnie, ani o swoich bliskich. Czuję ból z twojego powodu, Sakaszy. Ale nie martw się, wszystko naprawimy. Nie chowamy do ciebie urazy. Kochamy cię. Zostaniesz tu, z nami. Znów będziemy razem - i będziemy szczęśliwi.

- Ojczy, nie chcę tu zostawać. Mam swoją drogę.

- Tak myślisz? - powiedział nieboszczyk i niespodziewanie mrugnął do niego porozumiewawczo.

Coś spadło z sufitu wprost na głowę. Mag drgnął z obrzydzenia, obejrzał się. Jego szata została obsypana świeżą ziemią. Poczł paniczny strach. Popatrzył na drzwi i z przerażeniem stwierdził, że wyjścia już nie ma. Gdy rozmawiał z ojcem, chata zapadła się po sam dach.

Zerwał się na równe nogi, rzucił do słupa, na którym wspierał się dach, wczepił się w niego i zaczął wdrapywać się na górę, raniąc palce o twarde, wystające sęki. Ściany chaty żałośnie trzeszczały pod naporem ściskającej je ziemi, słup kołysał się, zapachniało zgnilizną i śmiercią, z dołu dobiegało bezsensowne bełkotanie zasypywanego ziemią nieboszczyka. Sakaszy dotarł na sam czubek słupa, zaczął rozrywać słomianą strzechę. Z góry posypała się ziemia. Wrzasnął. Głośno, przesywająco i beznadziejnie, dając się ponieść, zaćmiewającemu rozsądek, przerażeniu. Ziemia sypała się ciągle, unieruchomiła nogi, dotarła do pasa, wciągała w siebie niby trzęsawisko. Jednak udało mu się przebić strzechę i wysunąć głowę i ręce. Zdażył jeszcze zobaczyć świecące na nocnym niebie gwiazdy i pełnące na niego, ze wszystkich stron, wały ziemne. W następnej chwili, nogi ostatecznie straciły oparcie. Chata, w oka mgnieniu, zapadła się pod ziemię, na zawsze grzebiąc, w bezdennym grobie, krzyżącego maga.

Malchai widział wszystko. To, jak Sakaszy wszedł do portalu i długo stał nieruchomy, otoczony purpurowym blaskiem. A potem, ziemia nagle zadrżała i zaczęła wciągać go z nieprawdopodobną szybkością. Krzyczał, wymachiwał rękoma, ale żywioł portalu okazał się mocniejszy. W kilka chwil, człowiek znikł pod ziemią, jakby w niej utonął.

- Pomyliłem się, co do niego - powiedział Malchai, kiedy z powierzchni ziemi znikła drżąca ręka Sakaszego. - Był złym magiem, ale ofiara została złożona. Teraz, wejście do portalu jest bezpieczne. Podążajcie za mną. Za chwilę spotkamy się z Utaro i zabierzemy mu kamień Kanwał.

## **ROZDZIAŁ OSIEMNASTY**

### **TARCZA FUSZIRO**

Wrażenie było podobne do tego, jakiego doznała kiedyś w podziemnej świątyni Angusa, na wyspie Cichej. Ale wtedy, czuła śmierć. Wydawało jej się, że umarła i dlatego znalazła się w tym dziwnym miejscu. Teraz, takiego odczucia nie miała.

Portal otworzył się jeszcze przed północą. Księgarz też się zdziwił, że poszło tak łatwo. Wszedł pierwszy, Kasta tuż za nim. Okazało się, że za portalem jest coś innego, od tego, co spodziewała się zobaczyć Seltonka. Znaleźli się na brukowanym placu, otoczonym wysokimi, kamiennymi murami. Każdy kamień pokryty był zawiłymi wstęgami sandżyjskiego pisma. Żelazne kraty, broniące wejścia do królestwa licza, groźnie szczyrzyły się wyszczerbionymi ostrzami. Kurz na bruku przywodził na myśl ludzkie prochy.

Chciała zapytać Mommeka gdzie się znajdują, ale Zapomniany tylko przyłożył palec do ust - słusznie, tu nie należy rozmawiać. Dał znak Kaście, by pozostała na miejscu, a sam podszedł do podwojów.

- Ktoś ty? - zabrzmiał władczy głos znikąd.

- Mommek, obdarzający mądrością - odpowiedział mag.

- Kto jest z tobą?

- Lejda Elea Kasta - dziewczyna podeszła do Mommeka, rozejrzała się dokoła, ale nikogo nie zobaczyła. - A ty, kim jesteś?

- Kasto! - z wyrzutem wyszeptał Ksiegarz.

- Nienawidzę zagadek - odpowiedziała dziewczyna.

- Śmiertelni przyszli do nieśmiertelnego? - zapytał głos. - To miejsce nie dla was. Tu jest królestwo wieczności, a wy, jesteście ciałami, które szybko rozwieje wiatr i przysłoni powracający Ciebień.

- Zapytałam, kim jesteś - krzyknęła Kasta - i dlaczego nie ma tu miejsca dla nas?

- Odpowiedź na twoje pytanie znajduje się przed tobą, dziewczyno - powiedział głos z jawną kpinią. - Ta brama. Spróbuj przejść przez nią i wtedy porozmawiamy jeszcze raz.

- Co zrobimy? - spytała maga.

- Podejdziemy do bramy.

Krata robiła wrażenie niezniszczalnej. Zbliżywszy się, poczuła zapach rozżarzonego metalu i zobaczyła, że pręty pąsowieją i wydzielają żar.

- No i jak to pokonać? - zapytała.

- Chwilowo nie wiem. Ale myślę, że to tylko iluzja. Odejdź dalej!

Podporządkowała się. Mommek, z grymasem bólu, wyciągnął ręce w kierunku bramy. Zobaczyła, że od ramion do dłoni maga pobiegły iskry, a po chwili, z palców wytrysnęła żmijowata, oślepiająca błyskawica i uderzyła w rozżarzoną kratę. Rozległ się ogłuszający trzask. Westchnął i opuścił ręce - kratka pozostała na miejscu.

- Nie udało się - powiedziała Kasta. - Błyskawica przeciwko ogniovi nie działa. Pozwól mi.

- Zamierzasz rąbać ją mieczem?

- Nie, po prostu chcę opalić ręce.

Kiedy podeszła do kraty, metal rozpalił się wewnętrznym, purpurowym płomieniem, a zaostrome pręty wygięły się w kierunku dziewczyny niczym żywe. Ale ona już podjęła decyzję, że się nie cofnie. Uchwyciła pręty obiema rękami. Metal zasyczał pod dotknięciem rękawiczek Dowłada, przez moment odczuła parzący ból - kratka zniknęła, otworzywszy wejście.

- Doskonale! - krzyknął Mommek. - Jak się domyśliłaś?

- Sam powinieneś zrozumieć, przemądry. To są rękawiczki boga-kowala. A już kowale najlepiej wiedzą, jak obchodzić się z rozżarzonym żelazem.

- Znakomicie. Jesteś godna swojej sławy.

- Nie trzeba mi schlebiać. Lepiej popatrzmy co jest dalej, póki nie zjawi się nowa kratka.

- Wchodźcie! - odezwał się głos. - Zlekceważyłem was. Zobaczmy, jak wam się spodoba moja... gościnność.

Za bramą była ciemność i Mommek wykorzystał zakłęcie Nocnego Podróżnika. Stali w wąskim przejściu między dwiema wysokimi ścianami z ogromnych kamiennych bloków. Nad głowami groźnie górowały balkony strażnicze i ciężkie belki ze zwisającymi żelaznymi łańcuchami. Z przodu, w gęstej białawej mgle, widniała jeszcze jedna brama, tym razem otwarta na oścież.

Kasta przeszła przez bramę pierwsza i zatrzymała się. Ogromny plac za wrotami był otoczony szeregiem kamiennych posągów, wyobrażających postacie obnażonych mężczyzn, kobiet, dzieci, w najróżniejszych pozach. Zrobiła krok do przodu i zatrzymała się wzruszona. Usłyszała głośnie, ciężkie westchnienie.

Najbliższy posąg był ogromnym, muskularnym, klęczącym mężczyzną - wyciągał do niej ręce. Zobaczyła, że z jego niewidzących oczu pociekły ciemne strużki. Podeszła bliżej i poczuła zapach świeżo przelanej krwi.

- Są żywi - powiedziała do Mommeka - Kim oni są?

- Nie wiem.

- Mamusiu! - zaszlochał dziecięcy głosik. - Mamusiu, nie mogę oddychać! Ten kamień mnie dusi! Pomóż mi!

- Elea? - Kasta gwałtownie odwróciła się na dźwięk głosu. - Elea, gdzie jesteś?

- Kasta, strzeż się! - krzyknął Mommek.

- Elea, jestem tu! - ruszyła biegiem wzdłuż posągów, które obserwowały ją. - Gdzie jesteś, dziewczynko moja?

- Mamusiu, jestem tu! Szybciej, bardzo boli!

Dostrzegła kamienny postument w najdalszym zakątku, a na nim małą, marmurową figurkę zastygłą w pozie rozpacz - ręce wzniesione do nieba, głowa odrzucona do tyłu. Figura, powstająca z nicości, zagroziła jej drogę. Między posągiem i Kastą, zjawił się oszpecony rozkładem trup jasnowłosej kobiety w przerdzewiałej i pokrytej ziemią zbroi elfijskiej walkirii, z długim mieczem w ręce.

- Przysięgam na Beris! - wykrzyknęła zdumiona Kasta, obnażając miecz. - To przecież ...

- Jestem Mirczel, Lodowata Krew! - zasyczał fantom, unosząc nad głową zardzewiałą klingę. - Nie dotykaj mego dziecka!

Kasta krzyknęła, chwyciła Flamejona obiema rękoma i ruszyła do przodu. Uderzeniem zmusiła potwora do cofnięcia się. Uczynił to ze złośliwym sykiem.

- Z drogi! - wrzasnęła Seltonka i znów zaatakowała.

Jej wypad osiągnął cel - zobaczyła, jak ostrze miecza weszło w gnijące ciało między naplecznikiem i szyją. Krzyknęła z bólu. Lewa ręka zwiła bezwładnie, krew chlusnęła na napierśnik. Zdjęta przerażeniem, zrozumiała w czym problem: niepojętym sposobem zraniła siebie, a nie demonicznego sobowtóra.

- Zdechniesz! - zasyczał stwór, potrząsając klejącymi się od posoki włosami i kierując w stronę Seltonki falę trupiego smrodu. - Nie przejdiesz!

Kasta zerwała z szyi kamień Ajwari, przycisnęła do rany. Przeszył ją taki ból, że omal nie straciła świadomości. Straszny sobowtór znów ruszył na nią, wymachując zardzewiałą klingą, uśmiechając się ustami bez warg i wykrzykując seltońskie przekleństwa. Spieszący na ratunek Mommek, zdzielił fantoma swoją klingą, trafiając w bok - i natychmiast odskoczył słysząc krzyk Kasty.

- Co ty robisz?! - upadła na kolano, przycisnęła zakrwawiony kamień do ciętej rany pod żebrami. - Ja ... Ja sama!

- Atakuj! - zachichotał stwór. - Bij!

- Zrobimy inaczej! - warknęła Kasta i sama rzuciła się na klingę upiora.

Nad placem przetoczył się rozdzierający duszę krzyk. Zjawa wypuściła klingę i runęła na kolana, trzęsąc głową i upychając w pękającym brzuchu zielone, cuchnące wnętrzności. A potem, fantom w jednej chwili rozsypywał się w szary proch, który natychmiast porwał wiejący nad placem wiatr. Jęczące posągi pochłonęła gęstniejąca mgła i zrobiło się bardzo cicho. Kasta ze zdumieniem patrzyła na swój

brzuch, w który przed chwilą wbił się do połowy zardzewiały miecz sobowtóra i dopiero po chwili spojrzęła na Mommeka.

- Jestem żywa - tylko tyle była w stanie powiedzieć – to jakiś obłąd.

- To fantazja Cienia - odpowiedział. - Wybacz, nie zrozumiałem od razu w czym rzecz i zraniłem cię.

- Bolało, ale wybaczam ci - obejrzała ranę - wydaje się, że już się zagoiła. Szczęście, że nie pozbawiłam jej głowy pierwszym uderzeniem!

- Tak, to rzeczywiście sukces - z ironią powiedział Księgarz. - Wszystko w porządku?

- Tak - wytarła dłonią spoconą twarz, włożyła miecz do pochwy i popatrzyła na Zapomnianego. - Na co jeszcze czekamy?

- Nie wiem. Myślę, że za chwilę wszystko się wyjaśni.

- A myślałam, że bogowie wiedzą wszystko - uśmiechnęła się. - Cóż, w takim razie idziemy. Wskazuj drogę.

\*\*\*

Widmowe miasto zniknęło w podobny, niewytłumaczalny sposób, jak się i ukazało. Jeszcze przed chwilą szli szeroką, brukowaną ulicą między ciasno przylegającymi do siebie drewnianymi domami - i nagle znaleźli się na zorany polu. Z czarnej ziemi przebijały się malutkie, zielone kielki. Mgła stała się rzadsza, więc Kasta mogła dostrzec w pobliżu pola domy - typowe dla Chealady, parterowe chaty z ramowymi ścianami obciążniętymi papierem i słomianymi strzechami. Włosy na głowie stanęły dęba, zrozumiała, co to za miejsce.

- Byłam tu. Przysięgam na Beris, to ...- wyszeptała prawie niedosłyszalnie, ale Księgarz miał dobry słuch.

- Utaro, prawdopodobnie zdecydował się pogrzebać w twojej pamięci - powiedział smutno. - Bądź przygotowana na spotkanie z przeszłością.

W nienaturalnej ciszy dało się słyszeć ciche jęki. Przyspieszyła kroku, Księgarz nie pozostawał w tyle i bardzo szybko podeszli do domów. Tu, na nich już czekali mieszkańcy wsi - mężczyźni, kobiety i dzieci. Stali przy drzwiach swoich domów, bojaźliwie przytuliwszy się do siebie, patrzyli na Kastę i milczeli.

Seltonka zatrzymała się, nie miała sił by iść dalej. Serce zamarło. Poznała ten plac w centrum miasteczka, obłożoną kamieniami studnię, a przy niej niskiego, biednie ubranego człowieka, otoczonego dziećmi. Starsze, obserwowały Kastę spokojnie, nawet z ciekawością, młodsze, chowały się za ojca. Obok mężczyzny stała kobieta o zmęczonej twarzy, trzymająca na rękach niemowlaka.

- Wróciłaś, Mirczel! – odezwał się. Twarz jego była nieruchoma i beznamiętna niczym maska, ciemne oczy patrzyły spokojnie i uważnie. - Wiedziałem, że wrócisz. Tylko teraz nie masz wojowników. Jesteś sama. Chcesz nam coś powiedzieć?

- Ja ... Nie mam nic do powiedzenia.

- Zupełnie nic? - Oneda, starosta Ajfodły pokiwał głową. - Wobec tego, po co przyszedłaś? Popatrz, zebrało się tu całe miasteczko, czterystu dwudziestu ośmiu mieszkańców. Mężczyźni, kobiety i dzieci. Wszyscy znaleźli się tu dzięki tobie i twoim ludziom. Dowiedzieli się, że przyszedłaś i zebrali się, żeby spotkać bezlitosną Mirczel. Czego teraz od nas chcesz?

- Niczego. I nie jestem Mirczel, tylko Kasta.

- Jesteś Mirczel - podszedł bliżej i Kasta poczuła bijący od zjawy potworny chłód. - Zapamiętałam twoje imię. I nasze spotkanie pamiętam tak, jakby to było

wczoraj. Wszystko rozegrało się tu, na tym placu. Siedziałaś na koniu, a ja klęczałem przed tobą i błagałem o litość dla dzieci. Ale nie widziałaś i nie słyszałaś mnie. Pamiętam twoją spokojną twarz. Twoi ludzie gwałcili kobiety, zabijali mężczyzn, rabowali domy, a ty patrzyłaś i nie odczuwałaś nic: ani litości, ani radości, ani współczucia, ani gniewu, ani przyjemności. Powiedz mi, co wtedy czułaś?

- Nic – odpowiedziała z wysiłkiem - nic.

- Wilk, pożerający zającą, usprawiedliwia się głodem, pragnieniem krwi i instynktem. Kat, ścinający przestępcy głowę myśli o tym, że jego ręka wymierza sprawiedliwość i prawo. Wódz, obserwujący krwawą bitwę, widzi płody przyszłego zwycięstwa i nie męczy go sumienie. Rabuś, zabijający w ciemnym zaułku swoją ofiarę, pragnie zdobyć jej portmonetkę. Wszyscy doznają uczuć. A ty, nie czułaś nic. Ani świętego gniewu, ani pragnienia zemsty, ani zachłanności, ani krwiożerczej radości - niczego. Po prostu wykonywałaś swoją pracę. Odpowiedz mi, Mirczel, w imię czego rozkazałaś zabić nas wszystkich? Co ci uczyniliśmy? Czym zagrażaliśmy domowi Edcho? Popatrz na moje dzieci - czym zawiniły? Nie zasłużyły na taki los. Twoi ludzie, rzucili nas do studni jeszcze żywych i umieraliśmy powoli. Marziliśmy, do krwi kalecząc ręce, próbując się wydostać, dusiliśmy się od dymu płonących domów, który napelniał nasze płuca razem z mułem i lodowatą wodą - Oneda wyciągnął poczerwiałe i zakrwawione ręce z pozbawionymi paznokci palcami. - Umarłem ostatni, opłakawszy moją matkę, żonę i siedmioro moich maluchów. Czym zawiniły przed Edcho? Przed tobą, Mirczel? Przecież jesteś kobietą - skąd w tobie tyle okrucieństwa?

- Nie mogę ci odpowiedzieć. Nie potrafię.

- Tak myślałem - wznosił okaleczone ręce do pochmurnego nieba. - Po co wobec tego przyszłaś?

- Czego oczekujesz ode mnie?

- Niczego. Po prostu przyszedłem spojrzeć ci w oczy i zapytać. Teraz widzę, że nie masz nic do powiedzenia. Wszyscy to widzimy. Nie mamy o czym rozmawiać - odwrócił się do Kasty plecami i poszedł do studni.

- Zaczekaj! - wyciągnęła do zjawy rękę. - Nie odchodź!

- Chcesz, bym został? - zatrzymał się, ale nadal stał odwrócony do Seltonki plecami. Jego dzieci zgromadziły się za studnią, ze strachem obserwując Kastę.

- Tak - uklękła - patrz, Oneda. Teraz przypomniałam, że w ten straszny dzień siedziałam na koniu, a ty klęczałeś i prosiłeś, by nie zabijać mieszkańców Ajfodły. Teraz, klęczę ja - Lejda Elea Kasta, którą w Chealadzie zapamiętali jako Mirczel, Krwawą Dziewicę z Dremmerchewenu, zbrodniarkę, rozkazującą zabić w Ajfodle nawet niemowlęta. Przyniosłam wam wszystkim śmierć. Zniszczyłam osadę. Dziedziczny książę okazał mi swoją łaskę i wybaczył przestępstwo. Ale jego przebaczenie – to nie to samo. Krew Ajfodły, łzy twoich dzieci, na zawsze przyłgnęły do mnie, Oneda. Wiem, że nie ma dla mnie przebaczenia. Ale, wszystko jedno, proszę cię - wybacz mi! Ja, Kasta, proszę w imieniu Mirczel. Proszę o wybaczenie was wszystkich, mieszkańców Ajfodły.

- Potrzebujesz mojego przebaczenia, kobieto?

- Bardzo. Inaczej do końca życia będę słyszeć płacz dzieci, żywcem rzuconych do studni.

Nie odpowiedział. Tylko odwrócił się i obdarzył Seltonkę długim i smutnym spojrzeniem. Szepnął coś, ale Kasta nie dosłyszała. Wszystkie zjawy, które obstały studnię na placu, opuściły oczy. A potem, nagle zaczęły topnieć w mglistym powietrzu i plac opustoszał. Potem, zniknęły także domy. Została tylko odkryta studnia, nad którą wył panoszący się nad równiną wiatr.

- Kasta! - Księgarz dotknął jej ramienia. - Kasta, co z tobą?  
 - Nie dotykaj mnie.  
 - Powinniśmy iść.  
 - Oni mi nie przebaczyli.  
 - Słyszałem, co powiedział Oneda. On ci wybaczył.  
 - Kłamiesz. Człowiek może wybaczyć temu, kto zadał mu śmierć. Ale nikt i nigdy nie wybaczy mordercy swoich dzieci.  
 - Po co więc prosiłaś o przebaczenie?  
 - Nie wiem. To było silniejsze ode mnie. Zrozumiałam, że powinnam to powiedzieć. I było mi wszystko jedno, wybaczy mi Oneda, czy nie.  
 - Broszka Diwini, Kasto. Ona daje moc uświadomienia popełnionego błędu i oczyszcza duszę.  
 - Błędu? Nazywasz zniszczenie całej wsi błędem?  
 - Twoja wina tylko w tym, że w ten dzień byłaś Mirczel, a nie Kastą.  
 - Jaka różnica? To byłam ja. Przybyłam do Ajfodły z ogniem i mieczem i mam śmierć tych ludzi na sumieniu.  
 - Pożałowałaś tego, co uczyniłaś. Skrucza oczyszcza. Dusza Onedy wszystko rozumiała. Cienie przeszłości nie będą cię nękać.  
 - Znow kłamstwo?  
 - To prawda, Kasto. To widzenie nastąpił na ciebie Utaro. Próbuje zajrzeć do twego umysłu, zagrać na twoich wspomnieniach, lękach i nieszczęściu. Chce zatrzymać nas. Proszę cię, idziemy.  
 - Przez trzy lata zabijałam, by żyć. Nie było to trudne. Wiedziałam, że jeśli ja nie zabiję, zabiją mnie. To było prawo areny, proste i zrozumiałe. Nie szukałam usprawiedliwień i nie potrzebowałam ich. Teraz, próbuję usprawiedliwić samą siebie i nie mogę. Co mam robić?  
 - Iść dalej. Nie cofniesz tego, co było. Trzeba się z tym pogodzić.  
 - I to wszystko, co możesz mi powiedzieć?  
 - Wszystko. Innych słów pocieszenia nie mam.  
 - Więc chodźmy - wstała z kolan - dokąd teraz?  
 - Widzę górę Fuszyro - powiedział mnich, pokazując ręką w stronę stożkowej, zaśnieżonej góry widocznej na horyzoncie. - Prawdopodobnie, właśnie tam znajdziemy to, czego szukamy.

Góra Fuszyro była już niedaleko i Malchai triumfował. Giłan bał się spojrzeć na ojca, bo ostatni Famar, tu, w Świecie Cieni, przybrał swój prawdziwy wygląd. Teraz, na łuskowatym, ziejącym ogniem smokokoniu – gszysi zasiadał ogromny, kosmaty stwór z ostrą mordą i ognistymi oczyma. Spodziewał się, że magia Cienia zmieni jego i pozostałych jeźdźców-braci, ale wszyscy jednak zachowali ludzkie oblicze.

- Kiedy kamień znajdzie się w moich rękach i Odwieczny zostanie obudzony - ryknął Famar, zwracając się do Giłana - ty i twoi bracia oswobodzicie się od bezczeszczonej was ludzkiej krwi i staniecie się prawdziwymi Famarami. Uzbrój się w cierpliwość synu, nasz cel jest bliski.

- Coś cię niepokoi, ojcze?

- Wyczuwam obecność naszych wrogów. Bądźcie gotowi do bitwy.

Długie podejście skończyło się. Przed nimi rozciągał się płaski, idelanie okrągły szczyt góry, zasypany śniegiem i lodowymi bryłami. Było bardzo zimno i Kasta pomyślała, że ten chłód zwiastuje śmierć. W centrum placu do którego doszli,

wznosił się grobowiec Utaro - trzystopniowa piramida o podstawie sześćdziesięciu stóp i wysoka na dwadzieścia. Na szczycie płonął oślepiająco-biały płomień.

- Święty ogień Fuszyro - szepnął Księgarz - doszliśmy.

- Co teraz?

- Jesteście - zabrzmiał znajomy głos. - Nie powiem, żebym był zadowolony, ale z losem nie wolno się sprzeczać.

- Utaro, potrzebna nam twoja pomoc - powiedział mnich. - Znaleźliśmy drogę do twego grobowca i wiesz kim jesteście, i po co przyszliśmy.

- Wiem. Przyszliście, by pozbawić mnie życia.

- Jesteś martwy, wielki imperatorze. Wydaje ci się, że żyjesz, ale to nie tak.

- Czyżby? - w powietrzu pojawiła się postać, jakby utkana z czarnego dymu, a potem licz przybrał kontury i cielesność. Był w łuskowatej zbroi, która w świetle świętego ognia mieniła się różnokolorowymi ognikami i w pradawnej koronie Chealady.

- Jaką drogę wybierasz, Mommeku – bitwy, czy ofiary? - zapytał, patrząc pustymi oczodołami na Zapomnianego. - Widzę, że przyprowadziłeś ze sobą Wojowniczkę. Myślisz, że boję się jej sztuki zabijania?

- Przyszliśmy, żeby uratować twój kraj imperatorze - odpowiedział Księgarz, dając Kaście znak, by nie chwyciła za broń. - Pomóż nam i sobie.

- Za późno, Mommeku. Famarzy już tu są. Słyszę rzenie ich smokokoni i brzęk zbroi. Malchai i jego wojownicy idą, by zdobyć kamień. Zatrzymacie ich?

- Będziemy się bić.

- Bić się z Jeźdźcami Wielkiej Łoży? - wydał dźwięk, podobny do śmiechu. - Takie to proste dla boga i jego wybranki?

- Mamy jakiś wybór?

- Wybór jest zawsze. Ten kraj jest obcy dla ciebie, Mommeku. Także obcy dla ciebie, Krwawa Dziewico. To mój kraj, nie wasz. Możecie odejść, nie będę zatrzymywał.

- Masz zamiar sam stawić czoła Famarom?

- Nie. Nie zdołam ich pokonać. Ale mogę zniszczyć kamień-serce i za cenę swojej nieśmiertelności zatrzymać Malchai. Chociaż, taki wynik zupełnie mi nie odpowiada.

- Rozumiem. Cenisz nieśmiertelność?

- Tak - licz westchnął, jego oczodoły napełniły się ciemnością. - Nawet takie życie jest lepsze od niebytu. A ty, Mommeku – stałeś się śmiertelny. Współczuję ci.

- Przyjąłem swój los, imperatorze. Za to ty... Wielki Utaro, przestraszyłeś się śmierci, zmieniłeś się w cień, który boi się ostatecznego zniknięcia - uśmiechnął się Księgarz. - Porozmawiajmy o cenie twojej nieśmiertelności. Niech będzie nią zbroja Ariczy. Przyjmujesz mój warunek?

- Dobrze. Wybrałeś drogę bitwy i przekonałeś mnie, Obdarowujący Mądrością. A co na to Wojowniczka?

- Powiem tylko tyle, że mam dość gadaniny. Mów, co trzeba robić.

- Wiesz, dlaczego nie odbieram ci twojego żalosego życia? - zaszleścił licz - uratowałaś człowieka mojej krwi. Książę Owaro powinien żyć. Ale moje postanowienie nie oznacza, że jestem gotowy umrzeć drugi raz w imię waszych interesów. Udowodnij mi, że jesteś coś warta, Wojowniczko. I ty także, Mommeku.

- Utaro, co będzie, jeśli twoje serce trafi do Malchai?

- Znasz odpowiedź. Stracę nieśmiertelność, a Chealadą zawładnie Cień. Chcę żyć, Mommeku. Jeśli zatrzymacie Malchai i jego jeźdźców, wtedy będziemy decydować o waszym losie ...

- Zniknął - powiedziała, chuchając na skostniałe palce. - Powiedz, co robić dalej?

- Na szczyt Fuszyro prowadzi tylko jedna ścieżka, ta, którą przyszliśmy. Famarzy też nią pójdą.

- Czy wiesz, ilu ich jest?

- Sam Demon Wielkiej Łoży, Malchai i piętnastu jeźdźców - jego synowie z ludzkich kobiet.

- Gdyby ode mnie zależało, powyrzynałabym głupie gąski oddające się pierwszemu lepszemu - warknęła Kasta. – Naprawdę myślisz, że we dwoje damy radę?

- Zabijemy Malchai, a jego jeźdźcy stracą część swojej siły. Zapamiętaj, Famera nie weźmiesz zwykłą broń. Używaj sztyletów Chabu.

- Nie będziesz mógł walczyć. Jesteś jeszcze zbyt słaby.

- Spróbuję. Ale większą część zadania musisz wykonać sama. Jesteś gotowa?

- Tak. Chodźmy stąd, póki nie zamarzałam na kość.

- Poczekaj! Czy obmyślałeś już plan bitwy?

- Przysięgam na Szante, jaki tu może być plan? Spotkamy ich na ścieżce i będziemy walczyć. Albo oni nas, albo my ich, oto i cały plan.

- Mówię o twoim uzbrojeniu, Kasto. Jesteśmy teraz po Zacienionej Stronie i możesz w pełni wykorzystywać ich magiczne właściwości.

- O czym mówisz?

- O tym - pogładził dłonią naplecznik i płytki kirysa osłaniającego talię Seltonki, które zaczęły rosnać, przekształcając się w prawdziwe skrzydła. Zdumiona nie wierzyła własnym oczom.

- Jesteś teraz prawdziwą falkarią - powiedział. - Spróbuj wznieść się do góry. Po prostu, chciej tego.

Kasta podporządkowała się, a zadziwiające skrzydła natychmiast otworzyły się i uniosły ją w powietrze. Śmiała się zachwycona. Obleciała szczyt góry i opuściła się obok Mommeka.

- Przysięgam na Gawana! - wykrzyknęła, głaszcząc zbroję Łaeki – czegoś takiego nawet we śnie nie doznawałam! Cud, prawdziwy cud! Jak ptak. Jak to jest możliwe?

- Przecież to magiczna zbroja. Sidowie są mistrzami Magii Żywiołów i Walki. Nie wiedziałaś o tym?

- Wiedziałam, ale nie przypuszczałam, że takie cuda zdarzają się. Czuję się, jak bogini!

- A czyż nie do bogini należała ta zbroja? Atakuj wroga jak prawdziwa sokolica, bij ich z góry, niczym błyskawica. Ja, odetnę im odwrót. Jak ci się podoba taki plan?

Do szczytu góry było bardzo blisko. Giłan obejrzał się - jeźdźcy rozciągnęli się w kolumnę, ale smokokonie pokonywały wzniesienie łatwo i szybko. Z przodu, piętrzyły się wysokie, pokryte lodem skały. Dostrzegł, że na jednej ze skał stoi człowiek.

- To oni! - warknął Malchai, wskazując człowieka szponiastą łapą. - Naprzód!

- Miecze! – podał komendę Giłan i sam wyszarpnął tanga.

Człowiek na skale machnął rękoma, jakby chciał dosięgnąć ogromnego, bladego księżyca, wiszącego wysoko, nad górą Fuszyro. W wąskim przejściu między

skalami zapłonął bladozielony ogień. Łód rozświetlił się od wewnątrz oślepiającym blaskiem i powietrze w przejściu zadrgało jak nad gorącym paleniskiem.

- Zer, tam, u góry! - krzyknął jeden z jeźdźców, wskazując na ciemne niebo.

Ogromny ptak ostro pikował w dół. W świetle księżyca niewyraźnie zamigotała stal, jeden z jeźdźców spadł z konia niczym rażony piorunem, a jego rumak, rzucając się w bok, runął w przepaść. Zaskoczony Giłan zdążył dostrzec atakującego wroga, którym była kobieta, z sokolimi skrzydłami na plecach.

- Do mnie! - krzyknął wymachując mieczem.

Malchai zaryczał i rzucił się galopem do świecącego przejścia. Sierść Famara okryła się zielonymi błyskawicami, rozległ się trzask, jakby w górę Fuszyro uderzył piorun. Podążający za nim jeździec nie mógł pokonać przejścia – on i jego koń zostali rozerwani na kawałki.

Giłan natychmiast pojął, że droga na szczyt jest zamknięta potężną magią, której przeciwstawić się może tylko Malchai. Ale teraz, nie to było najważniejsze. Zer obserwował kobietę-ptaka, która wracała, opisawszy na niebie szeroki okrąg. Wojownicy Giłana czujnie ją obserwowali, oczekując na nowy atak.

Kobieta podleciała bliżej, wydała przenikliwy krzyk - i natarła. Brzęk metalu zmieszał się z wściekłym rykiem, okrzykiem bólu i przerażenia. Kolejny jeździec chwycił się za szyję, czarna krew chlusnęła na jego kirys. Famar zakołysał się w siodle i upadł w śnieg. Giłan zawył z wściekłości.

- Zsiąść z koni! - krzyknął i sam zeskoczył na ziemię. – Uformować krąg, wszyscy do kręgu!

W tym momencie, magiczny portal między skałami nagle zniknął. Nad szczytem Fuszyro zabrzmiało triumfalne wycie. Giłan domyślił się, że Malchai zdołał otworzyć przejście do grobowca Utaro. Skrzydłata kobieta, tymczasem zaatakowała ponownie i jeszcze jeden jeździec runął w zakrwawiony śnieg. Ale Giłan już nie myślał o stratach. Wskoczywszy na swego wierzchowca, rzucił się w kierunku skał, pragnąc jak najszybciej dogonić ojca. Tylko on obroni go przed strasznym, skrzydlatym demonem. Los pozostałych współbraci już go nie interesował.

Euforia i poczucie nieprawdopodobnej siły minęły. Teraz, Kasta już całkowicie kontrolowała się. Rozkoszując się przewagą, jeszcze raz spikowała na czarne postacie na drodze, wydała bojowy okrzyk i zadała cios. Sztylety łatwo rozcięły utwardzoną, lakierowaną zbroję, cuchnąca krew bryzgnęła Seltonce w twarz. Ścigały ją wycie i przekleństwa, ale Kasta już wzbiła się w niebo, do gwiazd i znów przygotowywała się do ataku.

Uczucie nieszczęścia pojawiło się nagle – nie wiadomo dlaczego pomyślała o Księgarzu. Spoglądając w dół, na ścieżkę, zobaczyła, że potwór na łuskowatym smoku pędzi na szczyt, a za nim służba. Na miejscu bitwy pozostały tylko czerniejące na śniegu trupy. Opadła niżej i zobaczyła to, czego najbardziej się bała.

Mommek siedział na śniegu oparłszy się plecami o bryłę lodu. Twarz Zapomnianego posiniała, z ust strużką płynęła krew. Widząc Kastę, słabo się uśmiechnął i pokręcił głową.

- Dobij ich - powiedział - zacznij od Malchai. Zabij drani.

- Co z tobą, Księgarzu?

- Umieram. Wiesz, to wcale nie jest takie straszne.

- Nie, nie możesz umrzeć! - zerwała z szyi kamień Ajwari - zaraz postawię cię na nogi.

- Poczekaj - przytrzymał rękę z kamieniem - wysłuchaj mnie. Zrobiłem, co do mnie należało. Wszystko już przesądzone, Lejdo Kasto i nie możesz nic zmienić. Nie

próbuj walczyć z losem. Powiniennem przejść... Muszę ... - zakasłał, wypluwając skrzep krwi. - Już nie decydujemy o losie świata. Jest to teraz w rękach ludzi. W twoich rękach Kasto, i Leodana. Dasz sobie radę. Na mnie już czas. Idź, powstrzymaj Famarów.

- Księgarzu, nie mogę pozwolić byś umarł!

- Śmierć – to zaledwie mgnienie niebytu. Co o niej wiesz? Matka Najnawa, jako pierwsza przeszła linię życia i śmierci, i teraz, jest to pisane nam wszystkim. Nasza zagłada będzie ostateczna, jeśli nie powstrzymasz Cienia ... Nie mamy czasu, Kasto. Śpiesz się, zdobądź zbroję. Uratuj Owaro, uratuj Chealadę ...

- Nie umieraj! - krzyknęła - jesteś mi potrzebny! Przecież jesteś bogiem. Bogowie nie umierają.

- Umierają - odpowiedział Mommek i jego oczy, zgasty.

- Co teraz powiem tej dziewczynie? - wyszeptła, zamknawszy Księgarzowi oczy. - Na tym świecie i tak było niewiele mądrości, a teraz, zostało jeszcze mniej. Dziękuję ci, Mommeku. Szczęśliwej podróży.

Wiatr wiejący ze szczytu okrył ją lodowatą falą i zadrżała - jakby sama Nekrian dotknęła swoimi zimnymi palcami. Po chwili, dotarło do niej, że traci czas. Famarzy wdzierają się do grobowca. Malchai zabił Mommeka. Cóż, niech teraz spróbuje zabić ją!

Kolejny poryw wiatru doścignął ją przy wznoszeniu się, pomógł wzbic się wysoko nad śniegami Fuszyro. Z tej perspektywy doskonale widziała sznur jeźdźców zdążających do szczytu. Zostało ich tylko dwunastu. Najwyższy czas pomścić Mommeka.

Malchai był wściekły. Szczyt jest tak blisko, że widać płomień na grobowcu Utaro, ale jego jeźdźcy ginęli jeden po drugim. Wraz z nimi, ich gszyri, połączone magicznymi więzami ze swoimi jeźdźcami. Przeklęta Falkaria nie poddawała się mieczom, ani magii.

Dziwne, ale moc serc Odwiecznego, wcale mu nie pomogła. A najdziwniejsze, że natychmiast wyeliminował na drodze maga, zniszczywszy go Wiatrem Cur. Przeciwnik był bardzo potężny, ale został zgnieciony, jak karaluch podeszwą buta - powietrzny cios połamał mu żebra i Malchai mógł zamknąć portal, który był nie do pokonania przez Giłana i jego wojowników. Na skrzydlatą kobietę nie oddziaływały: magia powietrza, elektryczne strzały Tonir wysyłane przez kamień Księżyca, niszczycielskie uderzenia głazu Ruchna i energia wyzwolona przez kamień Nimit. To nie żadne bóstwo, ani duch-stróż - tylko śmiertelna dziewczucha, obleczone w czarodziejską zbroję, wykonaną niegdyś w Glennsid, która z jakiegoś powodu nie poddaje się magii. Pancerze elijskie, a nawet te, Falkarii, nie chronią przed mocą Odwiecznego. Wobec tego, w czym tkwi tajemnica tej zbroi? Z wściekłości wyszczerzył kły. Co by to nie było, walka nie jest jeszcze skończona. Cóż, może jego magia jest nieskuteczna, ale Falkaria, wcześniej czy później zbliży się na odległość uderzenia sztyletem i wtedy przekona się, że przed kłami i pazurami Famara nie ma ochrony! Najważniejsze, żeby szybko zdobyć siódmy kamień. Będzie zabawne widowisko, kiedy ta kobieta zmierzy się z samym Odwiecznym ...

Zatrzymał wierzchowca i obserwował, jak morderczyni jego synów przygotowuje kolejny atak. Zza zakrętu wypadł Giłan, z trzema ocalałymi jeźdźcami. W tym momencie, czarny cień, z krzykiem zwałił się na nich. Pod sandżyjskim sztyletem chrzęstnęła zbroja i kręgi szyjne. Jeszcze jeden z synów stracił życie.

- Szybko! - zaryczał demon - jesteśmy prawie u celu.

W oczach Giłana, zobaczył przerażenie. Starszy syn, jego ulubieniec, dowódca oddziału jeźdźców, którym się tak szczylił, wpadł w panikę. Zaprawdę, ludzka osobowość pozbawia mocy! Giłan przemknął obok ojca i Malchai przeniósł spojrzenie na niebo. Falkaria zaczynała się zniżać, przygotowując kolejny atak.

- Zmierz się ze mną! - zawył - ze mną!

Słyszała jego wezwanie, ale miała inny cel. Najbliższy jeździec zdążył się obejrzeć i próbował osłonić się mieczem. W locie, cięła go sztyletem po gardle. Piszcząc z krwiożerczej radości, dogoniła następnego, jak jastrzęb prześladowujący zającą, wbiła zaczarowaną klingę w jego potylicę. Czternastu wrogów zostało pokonanych. Pozostali dwaj, ale prawdziwa walka dopiero się zaczynała.

Giłan zatrzymał się. Rozpacz i przerażenie, które gnały go na szczyt, zamieniły się w srogi gniew i wstyd - wszyscy jego bracia zginęli, został tylko on i teraz już nie bał się niczego. Nawet śmierci. Zeskoczywszy z konia, odwrócił się do lecącej wprost na niego skrzydlatej kobiety, która przyniosła zagładę jego współbraciom. Uchwycił wygodniej miecz, przygotowując się do walki. Pragnął włożyć w uderzenie całą nienawiść, niepohamowaną chęć zemsty za zagładę współbraci. Nikt, nigdy nie powie, że zer Giłan przestraszył się śmierci. Nikt, nigdy nie oskarży go o ...

Zobaczył twarz Falkarii, płonące wściekłością oczy – i, o ułamek sekundy spóźnił się z zablokowaniem uderzenia. Sandżyjska klinga z ciemnej stali, wbiła się w jego gardło. Zer upuścił miecz, padł na kolana. Z otwierającej się przed spojrzeniem ciemności, patrzyła na niego uśmiechająca się, wymalowywana czaszka, podobna do tych, które zostawili w sześciu wsiach wyciętych w pień z rozkazu ojca. Teraz, on sam spojrzał w Oczy Śmierci, w których nie ma nic prócz pustki i obojętności. Nawet, jeśli przychodzi ona po tego, który powinien być zostać królem Chealady ...

Malchai zobaczył, jak ostatni syn padł martwy w zbrzyzgany krwią śnieg i zazgrzytał zębami. Nie ze złości i utrapienia, ale z rozczarowania. Jego synowie, okazali się słabeuszami. Ludzka natura pozbawiła ich mocy ...

Falkaria tymczasem opuściła się na ziemię i stała około półsetki łokci od Famara, ściskając w rękach sztylety czerwone od krwi jego synów.

- Teraz, stoczmy walkę sam na sam - powiedziała kobieta - tak będzie uczciwie.

Malchai nie mógł już mówić. Jego ludzki pierwiastek zniknął ostatecznie wraz ze śmiercią synów-półkrewek. Przed Kastą stało straszne zwierzę - dawne stworzenie magii Cienia, istota z mrocznej przeszłości Chealady. Wilkołak tchnął ogniem i ruszył na Falkarię, głucho rycząc i szczerząc kły.

- Dobry niedźwiadek! – powiedziała z drwiną. - Naprzód!

Ogromny zwierzodemon rzucił się do przodu z niezwykłą zwinnością, wznosząc do uderzenia łapę z pazurami-sztyletami. Wzbiła się w powietrze, zmuszając go do stania na tylnych łapach. Spróbował chwycić Seltonkę za nogę, ale pazury tylko zgrzytnęły na elektronowym ponożu. Wściekle zaryczał, rzucił się do przodu, dążąc do ściągnięcia Falkarii na ziemię uderzeniami łap. Udało jej się uniknąć tych uderzeń. Wzbiła się w niebo i zatoczyła krąg nad szczytem Fuszyro. Malchai obserwował ją, strzygąc spiczastymi uszami i szczerząc kły.

Nie musiał długo czekać. Wojowniczką opuściła się na śnieg niedaleko wilkołaka, rozłożyła ręce ze sztyletami, jakby zapraszając do ataku. Nie potrzebował żadnych zaproszeń. Rzucił się do przodu z niezwykłą zwinnością, znów stając dęba. Zawisnął nad Seltonką całym swoim ogromem. Ale Kasta nie przestraszyła się. Przysiadła, unikając miażdżącego uderzenia ogromnej łapy i natychmiast wsadziła sztylet w brzuch stwora. Malchai odskoczył do tyłu, ale otrzymał drugie uderzenie -

tym razem w biodro. Zostawiwszy sztylety w ranach, wyrwała Flamejona i stał kuta przez Wasina z sykiem wpiła się w lewą łapę wilkołaka. Ten wściekle zawył, próbując jeszcze dosięgnąć wroga prawą, ale nie zdążył. Wzbiła się w powietrze, uniosła miecz nad głowę i ze zwycięskim krzykiem uderzyła wilkołaka w głowę, rozcinając ją do nasady nosa.

\*\*\*

Wszystko skończyło się, jak sen.

Na szczycie Fuszyro zapadła cisza. Lekki wiatr smagnął skórę, ale i uniósł ze sobą ciężki smród famarskiej krwi, powoli nasączającej śnieg przy nogach dziewczyny. Drgnęła, spazmatycznie wciągnęła nozdrzami mroźne powietrze. Gwałtowne bicie serca zwolniło swój gorączkowy rytm.

- Cieszysz się zwycięstwem? - czarny obłok zgęstniał obok trupa zwierzodemona, przybrał kształty i twarz, popatrzył na dziewczynę martwymi oczyma. – Masz się czym cieszyć i czym się szczyścić. Dzisiaj zabiłaś ostatniego Famara.

- Mommek zginął.

- Nic dziwnego. Stał się śmiertelny. Zginęłabyś także, gdyby nie tarcza Matki.

- Wiesz o Tarczy?

- Widziałem przyszłe zdarzenia jeszcze w tym życiu, kiedy byłem człowiekiem.

- Dlaczego więc poddałeś nas próbie?

- Nie musiałem. wypróbować Zapomnianego. Chodziło tylko o ciebie, kobieto. Chciałem przekonać się, że jesteś godna swej sławy.

- Mommek ... Mówił o zbroi. Pamiętasz?

- Oczywiście. Otrzymałem to, czego chciałem. Zbroja leży w moim sarkofagu. Weź ją i oddaj Owaro. Chłopiec powinien zostać imperatorem. I pośpiesz się. Zbliża się świt. Powinnaś porzucić mój świat i ... Dziękuję ci.

- Nie zrobiłam tego dla ciebie, liczu - powiedziała, wskazując na tężejącą na śniegu kosmatą tuszę martwego Malchai. - I nie dla Owaro. Dlatego nie dziękuj mi. Za swoją ohydłą Nieśmiertelność, możesz być wdzięczny tylko Księgarzowi. Gdyby nie on ...

- Wiem. Dlatego nic nie proponuję ci w nagrodę. Wszystko, co mogę dla ciebie uczynić - to pozwolić ci odejść. Poza tym, Owaro czeka na ciebie.

- Odchodzę.

- Nie zapomnij o zbroi.

Najpierw, wyrwała z trupa wilkołaka swoje sztylety. Stromymi schodami podeszła do ognia oświetlającego szczyt. Był dziwny – nie dawał ciepła. To świat śmierci, więc nawet ogień jest tu martwy, jak wszystko. Na szczycie sarkofagu leżała smocza zbroja Ariczy. Licz dotrzymał słowa.

- Weź ją, na co czekasz? - powiedział Utaro.

- Możesz mi odpowiedzieć na jedno pytanie?

- Pytaj.

- Co mi powiedział Oneda?

- To samo, co teraz powiem ci ja: Idź w pokoju!

- Naprawdę, tak powiedział?

- Właśnie tak.

- Rozumiem. Odchodzę.

Płomień na grobowcu zgasł. Wszystko znikło - zaśnieżony szczyt Fuszyro, grobowiec, famarskie trupy na śniegu. Nagle, ciszę przerwały krzyki, trzask, dzwonięcie kling.

W pałacu Górskiego Smoka, trwała walka.

## **ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY**

### **NIECH ŻYJE IMPERATOR!**

Brukowaną drogę do pałacowej bramy, przesłaniał dym z palących się beczek z żywicą i mnóstwa pochodni, rozrzuconych między ciałami poległych w walce wojowników. La Ber zakasłał, rękawem otarł z twarzy pot, sadzę i ślady krwi.

- Niedobrze, dowódco - powiedział Ewen Laster, jeden z dziesięciu wojowników, którzy pozostali w oddziale. - Następnego ataku, nie powstrzymamy.

- Wówczas umrzemy z honorem - odpowiedział.

- Gdyby była tu Kasta! – odezwał się młody wojownik, z zakłopotaniem patrząc na dowódcę. – Pokazalibyśmy im ...

- Kasta wie, co robi - przerwał chłopakowi Laster, gniewnie błyskając oczyma. – Wojowniczkaj Ajdży też liczą na nas, więc zamknij się i rób, co do ciebie należy. Musimy trzymać się na śmierć i życie, zapomnieć o wszystkim innym. Pamiętajcie, dzieci prostytutki, że Irmasa nikogo z nas nie oszczędzi. Kto się podda, pozazdrości poległym. Podciągnijcie portki, wytrzyjcie smarki i trzymajcie mocniej swoje szpontony. Za chwilę, te psy znowu ruszą do ataku.

La Ber pokiwał głową, obserwując, jak jego Seltończycy zajmują pozycje wzdłuż „jezozwierza”. Po śmierci Lenjana, wybrali go na dowódcę, ale lepiej byłoby, gdyby Laster przejął tę funkcję. Sprawy wyglądają nieciekawie. Trzy ataki odparli, ale czwartego chyba nie dadzą rady.

Szturm rozpoczął się nocą, krótko przed świtem. Chociaż wartownicy na wieżach bramnych na czas zauważyli przeciwnika i zdążyli podnieść alarm, najemnicy Irmasa, mimo wszystko, po krótkiej walce, zdobyli bramę i do cytadeli runął potok rozwścieczonych, upojonych eliksirem jawchi Kaestańczyków. Na placu, przed wrotami, zawrzała bitwa - Seltończycy i spieszące im na ratunek wojowniczkaj Krispiły, zajęli pozycje obronne i bohatersko bronili się przed wdzierającymi się najemnikami, nie dopuszczając ich do wewnętrznych bram. Walka trwała około pół godziny. W końcu, Lenjan, z dziesiątkiem Seltończyków, pozostał przy bramie. Poległ w walce ugodzony w gardło strzałą z kuszy. Przed świtem, zewnętrzny mur i wielkie podwórze cytadeli zostały zdobyte przez wroga: załoga wycofała się w stronę pałacu, ukrywając się za drugą barykadą. Najemników, który ruszyli na rezydencję księcia, spotkał grad dzirynt, strzał i kamieni z proc, płonące beczki ze smołą. Drugi atak odparto szybko, ale najemnicy otrzymali wsparcie i ludzie Irmasa znów ruszyli do ataku. Wirn, Jon-Bastard, dwunastu Seltończyków i pięć wojowniczek Ajdży poległo. Gdy Kaestańczycy wycofali się do bramy, by przegrupować się i przygotować nowy atak, Krispiła oznajmiła La Berowi: - Będziesz dowódcą. My, wycofamy się do pałacu by bronić księcia. Rozkazuję ci walczyć do upadłego.

- Gdzie Kasta? - nie wytrzymał – gdyby tu była ...

- Przyjdzie – odpowiedziała z niespodziewaną miękkością w głosie. - Zrobi wszystko, żebyśmy zwyciężyli.

- Krispiła! - zawołał, kiedy dowodząca oddaliła się na kilka kroków. - Możesz mi coś obiecać?

- Czego chcesz?

- Jeśli pozostaniemy przy życiu, pozwolisz się poczęstować dobrym winem?  
- Coś podobnego? - popatrzyła na młodego człowieka taksującym wzrokiem - jeśli ocalejemy, pozwolę ci nie tylko na to.

- Bądź pewna, zapamiętam! I tylko nie mów potem, że ...

Przerwał mu dźwięk rogu sygnałowego. Krispiła zobaczyła, że na balkonie pałacu ukazały się dwie wartowniczkę księcia i lady Rany. Przez chwilę obserwowały sytuację na równinie, a potem przekazały Krispile jakiś znak. Kapitan natychmiast go zrozumiała.

- Szkoda, że nie będziemy mogli razem się napić, Seltończyku – powiedziała z gorzkim uśmiechem. - Wszyscy dzisiaj umrzemy.

- Z czego to wywnioskowałaś?

- Słyszałeś dźwięk rogu? Do pałacu zmierza jeszcze jedno wojsko - podeszła do La Bera i szepnęła na ucho: - To wojsko Ajoszy ...

Irmias Uden nie wierzył oczom. Zbliżająca się od strony lasu kawaleria, była w pomarańczowych i granatowych opończach, na kopiach powiewały granatowe i pomarańczowe proporce. Nie było już żadnych wątpliwości: do pałacu Górskiego Smoka zbliżały się wojska Ajoszy.

- Nair - powiedział - natychmiast przekaz Pardisowi, by opuścił twierdzę i przybył do mnie. Czego stoisz? Migiem!

Giermek rzucił się wykonać rozkaz. Irmias obserwował manewry kawalerii. Wojsko Ajoszy znajdowało się mniej więcej o jedną ligę od nich i było bardzo liczne. Co to - uprzejma propozycja pomocy ze strony księcia? Nie prosił o pomoc. Wobec tego, może Ajoszy zdecydował wykorzystać dogodny moment i policzyć się z Owaro?

Jeśli tak, to przyszedł odebrać mu zwycięstwo.

- Sygnalizuj trwogę! - kazał trębaczowi, a sam ruszył do namiotu. Włożył kolczugę, drżącymi palcami zaciągnął pasy. Zaczął szukać porzucony gdzieś hełm i z wściekłości rozbił dzban z winem. Hełm odnalazł się w kącie namiotu. Po chwili, zjawił się zdyszany i przestraszony Nair.

- Co z Pardisem? – zainteresował się namiestnik.

- Bardzo się zdziwił, ale zaczął natychmiast wyprowadzać ludzi z twierdzy.

- Powiedziałeś mu, żeby przyszedł do mnie?

- Tak, panie.

- Pomóż mi zapiąć pasy hełmu.

Prawie uporali się z ekwipunkiem, gdy do namiotu wpadł Pardis. Pachniało od niego spalenizną i potem, na zbroi były krwawe zacieki.

- Ajoszy? – zdziwił się. - Przysięgam na warkocz Moroli, czego tu szukają?

Odpowiedzią na jego pytanie był daleki sygnał bojowych rogów. Na wargach Irmiasa pojawił się grymas uśmiechu.

- Masz odpowiedź - powiedział poprawiając mocowanie miecza. - Południowcy przyszli zabrać nasze zwycięstwo.

- Mówisz poważnie?

- Nie, żartuję, niech mnie cholera. Natychmiast przygotuj swoich Kaestańczyków. To nasze zwycięstwo, Ajoszy nic nie dostaną. Niech spróbują wziąć nas siłą.

- Rozumiem, dowódco - Pardis wybiegł z namiotu, chociaż szczerze mówiąc, nie zrozumiał do końca, co się dzieje. Irmias chwycił łuk, kołczan ze strzałami i wyszedł w ślad za najemnikiem.

Riki, odziany w lekką paradną zbroję, trzymał się lorda Todze i jego dowódców. Obserwował, jak kawaleria księcia rozwija bojowy szyk.

- Jesteś pewny zwycięstwa, mój lordzie? - zapytał księcia.

- Przyszedłem po nie - odpowiedział. - Mam tysiąc piechurów i tysiąc kawalerzystów. Nie obawiaj się. Brudne wojowniczkę Ajdży otrzymają to, co im się należy.

- Błagam o to bogów i przodków.

- Módl się, łaska mieszkańców nieba przyda nam się ... Chaneda!

- Tak, panie - prefekt ciężkiej kawalerii wyjechał z szeregu i pochylił się przed księciem.

- Jesteście gotowi do ataku?

- Czekamy tylko na rozkaz, panie.

- Wobec tego, czterema setkami uderzcie na ich falangę. Odetnijcie od rezydencji księcia. Dajcie czas naszej piechocie na przygotowanie się do ataku.

- Słucham, panie.

Chorążowie natychmiast dali konnicy sygnał do ataku. Riki z satysfakcją obserwował, jak ciężka kawaleria, przygotowując się do walki, ustawia się klinem.

- Dzisiaj, zacznie się uwalnianie naszej ziemi od cudzoziemskich śmieci - powiedział dyplomata - i dziękować za to trzeba tobie, mój lordzie.

- Porozmawiamy o tym później, mój przyjacielu. Chaneda, zaczynaj w imię wszystkich bogów!

Pardis zajął miejsce w pierwszym szeregu i mógł obserwować, jak w odległości pół ligi, niebiesko-pomarańczowi rozwijają szyk bojowy. Nie było żadnych wątpliwości, że Ajoszy zamierzają nacierać.

- Do ataku! - krzyknął, machnąwszy mieczem.

W szeregach Kaestańczyków odezwały się bambusowe piszczałki, załomotały bębny. Wojownicy pierwszego i drugiego szeregu pochylili piki, naginaty, halabardy, szpontony, nastroszywszy się śmiercionośnym żelazem. Za nimi ustawili się łucznicy Warga, a na flankach pojawiła się kawaleria. Pardis zobaczył sztandar z jastrzębiem - Irmas był na prawej flance.

Klin Ajoszy zaczął powoli zbliżać się do bojowych szeregów najemników. Szła ciężka elitarna kawaleria, najgroźniejsi w walce wojownicy. Nad nimi powiewały granatowe flagi ze splecionymi smokami - rodowy herb domu Todze.

- Książę dowodzi osobiście - powiedział Irmas, obserwując, jak wroga kawaleria zbliża się do ich falangi. - Teraz wiem kogo postrzelić, żeby wygrać bitwę.

Nad konnym klinem Ajoszy zabrzmiał róg. Jeźdźcy natychmiast przeszli z powolnego, uroczego kroku, do kłusa. Dystans skrócił się do dwóch odległości strzałowych. Mieszkańcy północy Warga, nałożyli strzały na cięciwy, podnieśli łuki. Pardis patrzył na zbliżającą się kawalerię i czuł, jak gorący pot spływa po jego twarzy.

Znów zagrał róg. Atakujący przeszli w galop. Zadrżała ziemia, nad równiną podniósł się tuman kurzu. Piszczałki i bębny w szeregach Kaestańczyków ucichły. Było słyhać tylko ciężki huk, podobny do zejścia lawiny w górach.

- Stać! - krzyknął Pardis. - Łucznicy!

Mieszkańcy północy Warga, oddali salwę, potem drugą. Kilkadziesiąt koni, w pełnym galopie runęło na ziemię, zrzucając jeźdźców. Ale kawaleria, niczym lawa, rozlała się po równinie i nic nie mogło już jej zatrzymać.

- Ratujcie się! - rozległ się krzyk w szeregach Kaestańczyków, przechodząc w histeryczny pisk. - Biegniemy!

- Stać! Stać, tchórze!

Pardisa już nikt nie słuchał. Najpierw jeden człowiek wybiegł z szeregu, rzucił kopię i pomknął równiną nie wybierając drogi. Dosięła go strzała łuczniczka. Kilkudziesięciu, oszalałych z przerażenia najemników, uciekało z miejsca bitwy, klucząc jak zające. Pardis nie dostrzegł, co się z nimi stało - kawaleria była już w odległości pół strzału od nich i dowódca nie mógł oderwać wzroku od zbliżających się jeźdźców. Zrozumiał, że widzi własną śmierć. I nie pomylił się.

Klin ciężkiej kawalerii, z trzaskiem wbijał się w kaestańską falangę. Krzyk z setek gardeł, zlał się w jeden wściekły ryk i wszystko zagłuszyło potężne dudnienie walki.

- Za mną! - krzyknął Irmas, wznosząc miecz - Jastrzębie Dremmerchewenu!

Odpowiedział mu zgodny ryk jego wojowników - i sygnał bojowych rogów Ajoszy.

- Robią wszystko tak, jak się spodziewałem - powiedział Todze, obserwując bitwę. - Przecenileś wojskowy talent Irmasa, Riki. On nie ma żadnej strategii walki. Zwykły zbój.

- Mój lordzie, cieszę się, że myliłem się .

- Dzisiaj mój dzień - powiedział książę, uśmiechając się z zadowoleniem. - Chaneda, cztery setki na przełaj. Zróbcie tak, żeby te psy na długo zapamiętały waszą sztukę wyrębu mieczami.

- Tak, panie.

- Napiszę o tym dniu poemat – odezwał się Riki - to naprawdę wielki dzień!

- Dla nas - powiedział książę - nie dla Owaro.

Riki nie odpowiedział. Wiatr przyniósł duszący zapach kurzu, końskiego potu i krwi, i dyplomata pośpiesznie przycisnął do twarzy wyperfumowaną, jedwabną chustkę. Chciał, by wszystko skończyło się jak najprędzej - nie lubił rozlewu krwi.

Irmas, po raz pierwszy od wielu lat poczuł przerażenie. Przeciwnik odgadł jego zamiar i oczekiwał ataku. Niebiesko pomarańczowa lawina pędziła wprost na jego oddział. Ale cofnąć się nie wolno, skazałoby się tym samym na zasłużoną, niesławną śmierć. Nie ma już nic do stracenia, co było, utracono. Trzeba tylko sprzedać swoje życie jak najdrożej.

Dwa konne potoki spotkały się na środku pola. Zakręciły się z dzikim rżeniem ranione konie, zadzwoniły miecze, jeźdźcy krztusili się kurzem, walczyli ze zwierzęcą wściekłością, umierali z przekleństwem na ustach. Krew zalewała oczy, więc bili się na oślep, nie rozróżniając, kto swój, kto obcy. Kilku lordowskich wojowników zaatakowało chorążego najemników i porąbali go mieczami. Sztandar Irmasa upadł w krwawe błoto, ale to już nikogo nie obchodziło. Namiestnik, z pół setką wojowników, wyrąbał przejście w szykach Ajoszy, próbując przebić się tam, gdzie drżał na wietrze największy sztandar ze splecionymi smokami – chorągiew księcia.

Zdumiał się, kiedy zobaczył, że wyrwał się ze śmiertelnego śmietnika. W odległości pięciuset kroków, zwartymi szeregami stali jeźdźcy i piechota Ajoszy - rezerwa księcia. Namiestnik widział ich twarze: skupione, zdecydowane - i spokojne. Nie wątpili w swoje zwycięstwo. A potem, zobaczył księcia w otoczeniu dowódców i doradców. Owładnęła nim dzika radość. Odrzuciwszy miecz, chwycił łuk, nałożył strzałę, naciągnął cięciwę.

Jeździec Ajoszy uderzył go naginatą w momencie, gdy uniósł łuk dla strzału. Krzyknawszy z bólu, dowódca Jastrzębi jeszcze raz spróbował wystrzelić i zmienić wynik bitwy. Ale kilku wrogich wojowników, poznawszy przywódcę najemników, rzuciło się na niego.

Irmas jeszcze zdążył pomyśleć, że zrobiło się bardzo cicho. Dookoła miały się cienie, coś gorącego ciekło po twarzy, a w oczy, oślepiająco świeciło słońce. A potem, oblał go nieziemski chłód i poczuł strach.

- Mirczel! - zachrypiął, krztusząc się krwią. - To ty?  
Odpowiedzi nie otrzymał.

Todze i Riki jechali polem wprost do wrót pałacu Górskiego Smoka. Riki starał się nie patrzeć na boki. Widok był niesamowity - cała równina zastana trupami. Najwięcej ciał było tam, gdzie walczyli najemnicy z Dzikich miast. Kawaleria Ajoszy wycięła ich do ostatniego człowieka. Zabici leżeli pokotem - pokryci skorupą kurzu i krwi, porąbani, rozdeptani kopytami, przemieszani z połamaną bronią i zniszczoną zbroją. Todze, widząc stan Rikiego, chciał zażartować z wrażliwego dyplomaty, ale się powstrzymał.

- Zapach i obraz zwycięstwa, zawsze są przyjemne – powiedział tylko tyle - czas przyjmować wdzięczność naszego drogiego księcia.

Przy wejściu do pałacu już ustawiła się ochrona Ajoszy - piechurzy w pomarańczowych haori na zbrojach. Orszak księcia ukazał się na drodze do pałacu, ale wojowników Owaro nie było widać. Obrońcy pałacu nie zamierzali stawiać oporu wojskom Iprda. Na placu, poniewierało się mnóstwo ciał zabitych w czasie nocnej bitwy, kopząc, dopalały się beczki smoły. Riki znów przycisnął chustkę do twarzy.

W pałacu, lorda i jego świtę spotykały wojowniczkі Ajdzy. Wyglądały nieszczęśliwie – eleganckie, lakierowane zbroje pocięte i poprzebijane, odzież pokryta kurzem i pomazana krwią swoją i obcą, jednakże w oczach strażniczek księcia, dostrzegł nieukrywany triumf. Z czego tak się cieszą? Obok nich stało kilku uzbrojonych najemników, czujnie obserwując gości. Dowodząca przyklęła.

- Witaj w pałacu Górskiego Smoka, milordzie. Mój władca oczekuje was - powiedziała w języku Sandżyjskim. – Proszę, podążajcie za mną.

- Dziwne, że księżę osobiście nie wyszedł na spotkanie, mój lordzie - szepnęła Riki - wasal powinien osobiście witać pana.

- Chłopak próbuje jeszcze pokazać swoje pretensje do tronu - szeptem odpowiedział księżę. - Jeszcze nie zrozumiał, co się dzieje.

Goście, przeszli do sali tronowej obok pochylających się dworzan. Księżę Owaro, od stóp do głów otulony w długi jedwabny płaszcz, siedział na rzeźbionym taborecie. Za jego plecami, znieruchomiały dwie wojowniczki w srebrnych zbrojach. Po prawej stronie księcia siedziała na poduszczyku księżna Rana, a po lewej ... - stała jasnowłosa, opalona kobieta w dziwnej, ale bardzo kosztownej zbroi, z długim mieczem i dwoma sztyletami, wyraźnie sandżyjskiego dzieła. Gdy spojrzenia ich spotkały się, zobaczył w zielonkawych oczach nieskrywaną wrogość.

- Księżę Todze - powiedział Owaro, skłoniwszy głowę w powitalnym ukłonie. - Przybyliście w samą porę. Dziękuję za pomoc w rozgromieniu nieprzyjaciela, który napadł na mój pałac.

- Pomoc? - lord wystawił do przodu prawą nogę, podparł się ręką pod bok. - Księżę Owaro, prawdopodobnie żartuje. Moja armia uratowała was, a nie pomogła wam rozbić wroga. Uratowałem twoje życie, drogi krewniaku. Nie wydaje mi się, by wasza ochrona sama poradziła z najemnikami Irmasa.

- Moja ochrona odważnie broniła pałacu przez większą część nocy i cały poranek. Jadąc tu, widzieliście ślady bitwy.

- No, dobrze - uśmiechnął się. - Jednak, jak księżę sam zauważył, moje oddziały przybyły w samą porę. Odniosłem błyskotliwe zwycięstwo, wróg został rozбит.

- A Irmias Uden? - nagle zapytała jasnowłosa kobieta.

- Teraz, powinniśmy porozmawiać z wami o przyszłości - kontynuował Todze, ignorując pytanie nieznanym - o przyszłości kraju i Tronu Smoka. Jak widzisz, książę, dzisiejsza bitwa pokazała, kto w Imperium Smoka włada realną siłą. Kto ma siłę, ten ma władzę, czyż nie tak?

- Rozumiem - powiedział Owaro. Napomykacie, że powinienem uznać waszą siłę i na znak wdzięczności, za uratowanie mojego życia, ogłosić się waszym wasalem. Mówiąc szczerze, to byłoby najlepsze wyjście. Tak postępowali imperatorzy w starożytności i my powinniśmy podążać tropem dawnych tradycji - przecież na nich opiera się imperium. W innych okolicznościach tak bym postąpił, lordzie.

- W innych okolicznościach?

- Tak. Pytanie o władzę będziemy musieli rozstrzygnąć wspólnie, ale zrobimy to nie teraz, a trochę później. Przed Radą Książąt.

- Nie rozumiem, książę - pogardliwie się uśmiechnął - uratowałem wasze życie, a wy, odmawiacie mi wdzięczności?

- Zapytałam, co z Irmiasem Udenem? - włączyła się kobieta w dziwnej zbroi.

- Kim jest ta dama? - nie wytrzymał Riki. - Czy dwór Edcho już nie przestrzega etykiety? Czy ktoś uświadomił tej Ajdzy, że powinna zachować milczenie i nie wtrącać się do rozmowy wysokich osób?

- Jestem Lejda Elea Kasta - powiedziała kobieta. - Więc, co się stało z Irmiasem?

- Namiestnik Irmias został zabity - wyniośle odpowiedział Todze. - Chyba, wcześniej nie spotkałem ... pani Kasty. Czy mogłem cię widzieć wcześniej?

- Chyba nie. Kiedyś, nazywałam się Mirczel Lodowata Krew.

- Mirczel Upiorzyca? - Riki złożył wargi w wyrozumiałym uśmiechu. - Najemnica, która urządziła krwawą rzeź w Ajfodle. Nie wiedziałem wasza wysokość, że służą wam podobni ... ludzie.

- Pani Kasta otrzymała moje przebaczenie - powiedział Owaro. - Okazała mi, i imperium, wielkie zasługi.

- Przebaczenie? - lord rozłożył ręce. - Wybaczyliście najemnicy, winnej śmierci spokojnych ludzi? Barbarzyńskiej likwidacji setek Sandzów? Nie macie takich pełnomocnictw, książę. Zgodnie z obowiązującym prawem, amnestię może zastosować tylko Rada Książąt albo sam imperator.

- Pięknie. Wobec tego już czas, by rozstrzygnąć spór o imperatora.

- Na razie, rozmawiamy o dyktatorze - powiedział Todze. - O imperatorze, decydować trochę przedwcześnie.

- Dlaczego?

- Ponieważ, tylko Rada Książąt może zatwierdzić prawa do Smoczego Tronu - lord zaczął się niecierpliwić. - Nie widzę sensu dalszej dyskusji. Przybyłem tu, by okazać ci pomoc, Owaro. Zamiast się odwdziżyć i uznać się moim wasalem, prowadzisz dziwne rozmowy i napomykasz, że masz jakieś prawa, których ci nikt nie dawał. W czym sprawa?

- Dobrze, spróbuję wyjaśnić lordowi, co miałem na myśli - książę zwrócił się do niskiego staruszka w jedwabnej szacie, siedzącego przy odległej ścianie sali tronowej: - Panie Chamai, proszę podejść!

Staruszek wstał, zbliżył się do tronowego podwyższenia, uklonił się wszystkim, wyjął z tubusa zwój, rozwinął, odkaszał się i zaczął czytać bezbarwnym, słabym głosem:

- „Jeśli w Imperium Smoka zdarzy się coś, co zburzy odwieczny porządek dziedziczenia tronu albo nie będzie jednoznacznej decyzji komu przekazać dawny tron Burzowego Smoka, niech wszystkie zainteresowane strony podporządkują się nienaruszalnemu prawu, pozostawionemu przez najjaśniejszego imperatora Chimu - jedynie ten jest godzien zająć tron Imperium Smoka, kto nosi Łuskę Smoka, zbroję Boga Ariczy, strój prawdziwego imperatora, podarowany przez najwyższe moce. Nakreślone ręką imperatora Utaro, w 1113 roku Drugiej Epoki Lindze”.

- I co z tego? - zapytał lord, kiedy staruszek skończył czytać. - Wszyscy wiemy, że w czasie rządów Utaro, zbroja Ariczy została utracona. Czy, książę chce powiedzieć, że udało mu się odzyskać zbroję?

- Pani Kasto, słowo należy do pani - powiedział książę, zwracając się do Seltonki.

- Nie będę dużo mówić, bo nie lubię długich mów - powiedziała Kasta. Riki ze zdziwieniem zauważył, że wzgardzona najemnica posługuje się nienagannym, sandżyjskim językiem, bez obcego akcentu. - O zbroi Smoka dowiedziałam się od człowieka nazywanego Księgarzem.

- Księgarzem? - nie wytrzymał Riki. - Pani Kasta znała Księgarza?

- Tak, znałam - obdarzyła Rikiego lodowatym spojrzeniem. - Księgarz mnie szukał. Poza tym, szukał wejścia do grobowca Utaro. Wiedział, że tam przechowuje się nie tylko bezcenną zbroję, ale także serce potwora, którym próbują zawładnąć Famarzy.

- Pani Kasta naczytała się strasznych bajek - uśmiechnął się Riki. - Famarowie nie istnieją. Zostali zniszczeni przez naszych przodków, na długo przed urodzeniem się pani Kasty.

- W sąsiedniej sali przebywa dziewczyna o imieniu Orselin - odpowiedziała - jeśli trzeba, mogę ją poprosić, by opowiedziała, co zdarzyło się we wsi Kram-dinar.

- Tam się zdarzyło to samo, co i w Ajfodle - odpowiedział Riki.

- Niezupełnie, miły panie. Rzeź w Kram-dinar i w pięciu innych wsiach na północy, urządzili Famarowie. Nie wiem, do czego było im to potrzebne - Księgarz mógłby to opowiedzieć, ale nie żyje. Z jego słów wywnioskowałam, że szukali jakichś serc Odwiecznego.

Riki drgnął. Na wargach Kasty ukazał się triumfujący uśmiech - osiągnęła cel.

- Orselin była jedyną, która uniknęła śmierci - kontynuowała - i zdołała dotrzeć do Gojłonu. Neni Berenika, przeorysza klasztoru, wysłała ją do Księgarza. Potem, spotkałam się z nimi.

- Zajmująca bajka - odezwał się Riki - i co było dalej?

- Irmas Uden postanowił zabić księcia Owaro. Jego ludzie udali się, niby do ochrony księcia w jego podróży do Gojłonu, ale w rzeczywistości, mieli rozkaz, by nie przeszkadzać najemnikom Ajoszy w zamordowaniu księcia i lorda Kadai, a jeśli zajdzie potrzeba, pomóc także w rozprawieniu się z wojowniczkami ochraniającymi księcia.

- To poważne oskarżenie, kobieto - powiedział lord z posępną miną. - Możesz udowodnić swoje słowa?

- To ja otrzymałam od Irmasa rozkaz zabicia księcia. Na szczęście, udało mi się zbiec i zdążyć do klasztoru przed najemnikami. Ale lord Kadai zginął.

- Dlaczego więc książę pozostał przy życiu? - uśmiechnął się Riki.

- Ponieważ w orszaku, był mój sobowtór - odpowiedział Owaro. - Wuj nie ufał Irmasowi. Poświęcił swoje życie dla mnie. Szukano mnie w Gojłonie, ale neni pokazała tajne przejście przez jaskinię, a pani Kasta i moje Ajdzy, obroniły mnie.

- Historia, godna powieści - Riki złączył koniuszki palców – komuż to potrzebne były te straszne morderstwa?

- Irmasowi - odpowiedziała Kasta. - Chciał ogłosić się dyktatorem Północy i zacząć wojnę z Ajoszy. Nie wiem, kto z waszych mu pomagał, ale plan był przemyślany w szczegółach. Książę cudem zdołał ująć mordercom.

- Mówiliśmy o zbroi Ariczy - przypomniał lord, ostatecznie tracąc cierpliwość.

- Kiedy uciekliśmy z Gojłonu, książę został w pałacu, a ja pojechałam do Ark. W drodze spotkałam Księgarza i Orselin. Księgarz był ranny. Opowiedział mi o zbroi, weszliśmy do grobowca i zabraliśmy ją. I to wszystko.

- Zabraliście zbroję? - Riki zakrył usta dłonią. - Nigdy nie słyszałem nic bardziej dziwnego. W takim razie, gdzie ta zbroja?

- Tu - Owaro wstał z taboretu i rozwiązał tasiemki płaszcza.

Todze zachnął się i cofnął się od tronu. Riki pobladł niczym śmierć. Owaro uśmiechnął się i spojrzał na Kastę.

- To niemożliwe! - wrzasnął oszołomiony Riki. - Nie mogliście dostać do grobowca. Jest zapieczętowany najsilniejszymi zaklęciami. Nikt nie wie, gdzie znajduje się do niego wejście!

- Księgarz wiedział - powiedziała Kasta. - Nie mogę wam opowiedzieć całej prawdy, także nie miejsce i czas, by mówić o tym. Najważniejsze, że Owaro ma zbroję.

- To podróbka! – krzyknął niepokieszony dyplomata. - Kto udowodni, że zbroja na chłopcu jest oryginalną Łuską Ariczy?

- Rada Książąt - powiedział Owaro. - Dzisiaj jeszcze udaję się do Karania i stanę przed Radą. Już wysłałem wiadomość gołębiem pocztowym. Niech magowie Rady obejrzą zbroję i przekonają się, że to oryginalna Łuska Smoka. Myślę, że ich zapewnienie przekona was, najczcigodniejszy Riki.

- To niemożliwe! – zmieszany lord popatrzył na księcia - i co teraz?

- Uratowaliście życie imperatora, lordzie - powiedział książę. - Dziękuję wam z całego serca. Dekretem wyznaczę prawą rękę imperatora i dowódcę wojsk Chealady. Odtąd, lordzie, będziesz podporządkowany tylko mi. Przekazuję ci w zarząd prowincję Ark, z prawem ściągania podatków i ustanawiania prawa. Otrzymasz także honorowy tytuł Wybawcy Dynastii. Proszę cię i twoich wojowników o towarzyszenie mi i najjaśniejszej księżnej Ranie do Karania, bym mógł stanąć przed Radą i ostatecznie rozstrzygnąć problem następstwa tronu. Chcę, by wszystko odbyło się w zgodzie z naszą świętą tradycją. Proszę pozwolić mi, lordzie Todze, nazywać cię swoim osobistym przyjacielem.

- Ja ... Nie wiem – lord natychmiast dziwnie zmiękł. - Oczywiście, bardzo mi to pochlebia ... Prawdopodobnie, powinienem podziękować ... Monarcho.

- Zrobiłeś bardzo dużo dla Chealady, dyktatorze Todze - Owaro łaskawie skinął księciu. - A teraz, chciałbym odpocząć i przygotować się do podróży do Karania. Audiencja skończona.

Riki wyszedł z pałacu na uginających się nogach. W#iele kosztowało go, by nie okazywać swoich uczuć. Pomogły w tym doświadczenie i nienaganne wychowanie. Nikt niczego nie zauważył.

- Tyle pozostało z twojej rady, Riki - cicho powiedział lord, ledwie tylko wyszli na plac. - Co teraz?

- Mamy prawowitego imperatora - Riki na chwilę zamilkł. - Pomogliśmy Edcho odzyskać tron.

- I co możemy teraz zrobić?

- Gdybym był na waszym miejscu, dałbym wojsku rozkaz zdobycia pałacu i zabicia szczeniaka. Niczego to nie zmieniłoby, ale ja, przynajmniej, zaspokoiłbym swoje pragnienie zemsty. Ale tak się nie stanie, jak rozumiem?

- Nie, Riki. Nie pójdę na konfrontację z Radą Książąt. Inna rzecz, skończyć z pretendentem do tronu i zupełnie inna - podnieść rękę na imperatora. Rada mi tego nie wybaczy, a walczyć ze wszystkimi w Chealadzie, to ponad moje możliwości.

- Kto się o tym dowie?

- Owaro już zawiadomił wszystkich. Spóźniliśmy się.

- Straciłem twarz, mój lordzie. Sprawa, której poświęciłem całe życie, zmarnowała się. Proszę o dymisję.

- Żadnych dymisji! Jesteś mi potrzebny. Jedziemy do Karania.

- Wobec tego, proszę mego lorda o kilka minut, chcę się pomodlić. Tu jest wspaniały park. Powinienem chwilę pobyć w samotności.

- Dobrze, Riki. Czekam na ciebie w moim namiocie.

Wojownicy podsadzili lorda w siodło i kawalkada wyjechała z podwórza. Riki odprowadzał ich spojrzeniem, pogardliwie krzywiąc wargi. Przeklęty tchórz, stracił ostatnią szansę, by uwolnić kraj od wyrodka i samemu zostać imperatorem. Pokusił się na zaszczyty i wielkie tytuły. Przestraszył się następstw. A może uznał, że mała rybka na rożnie jest lepsza od wielkiego wieloryba w morze?

Wolnym krokiem chodził po parku. Było cicho, pachniało magnolią i jaśminem. Pod sandałami chrzęścił biały, rzeczny piasek. Lepszego miejsca na pożegnanie z tym światem, nie znajdziesz.

Wszyscy go zdradzili. Fałszywy pies Sakazy nie zdołał się dostać do grobowca. Szare Klingi nie potrafiły rozprawić się z Księgarzem. Todze stchórzył. Wszystko, do czego dążył przez długie lata, przekształciło się w proch. Ścianki dzbana zadusiły gęś.

Zatrzymał się nad brzegiem małego stawu, w którym leniwie pływały złote karpie. Miejsce wydało mu się bardzo malownicze. Płaczące wierzby na brzegu dawały przyjemny cień, piasek był czysty, woda przeźroczysta. Nic w tym cudownym kąciku parku nie obrażało spojrzenia prawdziwego estety, jakim był zawsze.

Zrobiło mu się smutno, ale był to przelotny nastrój. Padł na kolana przy wodzie, podniósł wzrok do nieba. Było czyste, bezdenne i błękitne. Cudowny poranek. Pomimo wszystko.

- Zmęczony wędrowca, po latach tułaczki, do domu rodzinnego powrócił - wyrecytował wiersz dawnego poety, wyciągnął zza pasa mały sztylet i wbił w tętnicę szyjną.

## EPILOG

Książę przybył do Karania i tego samego dnia stanął przed Radą Książąt. Werdykt wydano niezwłocznie - książę Owaro, sto trzydziesty trzeci potomek domu Edcho, został jednogłośnie uznany za nowego imperatora Chealady, a pierwszy dzień jego rządów, dał początek nowej ery Tajdo - ery Pojednania. Krwawa wojna między domami Edcho i Ajoszy, która trwała ponad osiemdziesiąt lat, wreszcie przeszła do historii.

Dzień był wietrzny, niebo zasnuwały deszczowe chmury, ale w tym kąciku klasztorного ogrodu, jak zawsze, było cicho i ciepło. Orselin starannie wplewiła trawę, która ukazała się na mogiłach, troskliwie obłożonych białymi kamykami, potem wzięła koszyk i zaczęła wykładać na groby ofiarny poczęstunek. Na siedmiu

pagórkach, położyła zwykłe, wypominkowe dary - pszenne chlebki i cukierki z lukrecji. Potem, wytrząsnęła z koszyka kruszynki, żeby je mogły wydziobać ptaki. Podeszła do ósmego grobu. Był pusty. Sama usypała ten pagórek, kiedy pierwszy raz przyjechała do Gojłonu. Zawsze, stojąc nad tym grobem, wspominała imiona tych, którzy byli jej najbliżsi.

- Neni Berenika, brat Owri, Linni, Wiara, Kichou, Kennig, Taire - wypowiedziała jednym tchem, patrząc na pagórek. - I ty, bracie Stein. Kocham cię. Kocham was wszystkich. I zawsze będę o was pamiętać.

Na pusty grób położyła bukiet zebranych na łące kwiatów i po chwili, opuściła ogród. Zbliżał się czas wieczornej modlitwy. Weszła do świątyni, zapaliła świece w lichtarzach, zmieniła wodę w czaszy przed posągami Gelesa i zamyśliła się nad przyszłością.

Przed miesiącem, pożegnała się z Kastą. Wojownicza Seltonka odplynęła na handlowym statku z Dremmerchewenu tego samego dnia, kiedy nowy imperator Owaro ostatecznie opuścił pałac Górskiego Smoka, przenosząc się do Karania. Pożegnanie nie było wylewne: bała się Kasty i nie okazywała jej swoich uczuć. Po prostu, życzyły sobie powodzenia.

- Co zamierzasz robić? - zapytała Kasta.

- Nie wiem - odpowiedziała, nie podnosząc oczu - nie mam domu, będę szukać miejsca, gdzie można zacząć nowe życie.

- Niech bogowie ci pomogą - powiedziała, pocałowała dziewczynę w policzek i poszła. Orselin, patrząc na odchodzącą zrozumiała, że nigdy więcej nie spotkają się. Ale to, nie bardzo ją martwiło.

Do Gojłonu wróciła dlatego, że chciała odwiedzić grób neni Bereniki - i została tu. Nie potrafiła powiedzieć, dlaczego to zrobiła. Być może, dlatego, że po prostu nie miała dokąd pójść. Wrócić do Kram-dinar, nie była w stanie z wiadomych powodów. Ulokowała się w ocalałej chacie ogrodnika Kichou i każdy dzień spędzała albo w świątyni albo w ogrodzie, przy grobach. Raz w tygodniu, udawała się do najbliższej wioski z wielkim koszem jabłek, sprzedawała je na targu i uzyskane pieniądze odkładała do skrzynki na datki. Być może, pewnego dnia, te pieniądze pomogą odbudować spalony klasztor. Być może, poprosi też imperatora o pieniądze. Na pewno, nie odmówi ...

Wyczuła za plecami jakiś ruch i odwróciła się. W drzwiach świątyni stały dwie kobiety. Starsza - jasnowłosa Ajdzy, rosła i dorodna, druga, ładniutka Sandzy, jeszcze podlotek. Starsza weszła do środka i ukloniła się.

- Jestem Dżemi - powiedziała - Dżemi z Ark. Dowiedziałam się, że w Gojłonie pojawiła się nowa neni. Chciałabym służyć Gelesowi.

- Neni? - pokręciła głową. - Mylisz się, ja tylko tu mieszkam.

- Ludzie mówią, że jesteś neni - przestała się uśmiechać - mówią, że przysłaś odbudować klasztor. Chcę ci pomagać. Nie mam pieniędzy, ale mogę pracować. Także, trochę się znam na ziołach uzdrawiających i opatrunkach.

- Jesteś uzdrowicielką?

- Nie, byłam żoną ... najemnika. Nauczyłam się różnych rzeczy, włóczęc się z chłopakami Leorsa po Chealadzie. A potem, mojego męża zabili i osiadłam w Ark. Tam usłyszałam o tym, że w Gojłonie ktoś jest.

- A druga dziewczyna?

- To Juma, moja przybrana córeczka - powiedziała, objawszy dziewczynkę. - Znalazłam ją w spalonej przez najemników wsi i zabrałam ze sobą. Od tamtej pory, jesteśmy razem. Jest niemową, ale bardzo dobra i pracowita. Będziemy ci posłuszne. Bardzo chcemy służyć Gelesowi.

- Jeszcze raz powtarzam, nie jestem neni.  
- Czy to takie ważne? - uśmiechnęła się - przyszedł tu pierwsza i dałaś przykład. Czyż nie chcesz odbudować klasztoru? Sama nie dasz sobie rady. Potrzebna ci pomoc. Co powiesz?

- Nie mogę zabronić, byście tu zostali - odpowiedziała - róbcie, jak uważacie.

- Doskonale - poweselała kobieta - udam się do wsi, tam zostały moje rzeczy i pewne instrumenty, a Juma, pobędzie z tobą, dobrze?

Orselin skinęła na znak zgody. Kobieta jeszcze raz się uśmiechnęła i wyszła ze świątyni. Odprowadziła ją wzrokiem, a potem odwróciła się do Jумы. Dziewczyna klęczała przy ołtarzu Gelesa i modliła się.

Patrzyła na nią i nagle przypomniała, co kiedyś powiedziała jej neni Berenika. Ludzie nie wiedzą, kim są w rzeczywistości i w jakim celu przyszli na ten świat. Kiedyś, opuściła to miejsce i uniknęła strasznej śmierci. Teraz, wróciła i wieści o tym rozchodzą się po kraju.

Orselin - nenią Gojłonu? Po męczennicy Berenice, po przerażających wydarzeniach, które widziało to miejsce? Śmieszne!

Nie jest godna, by kontynuować dzieło matki Bereniki. Chce tylko, by trwała pamięć o męczennikach i żeby odrodził się ten klasztor. Więcej niczego nie pragnie.

Cicho, żeby nie przeszkodzić modlącej się dziewczynie, wyszła ze świątyni. Chmury rozstały się, odkrywając czerwone, zachodzące słońce. Westchnąwszy, poszła do chaty, żeby przygotować wieczorny posiłek dla siebie i swoich nowych sióstr.

## **Załączniki**

### **SELTOŃSCY BOGOWIE**

Gawan – seltoński bóg wojny. Miał postać wojownika w hełmie z rogami i toporem w rękach. Główna świątynia Gawana znajdowała się w Ergalocie, dawnej stolicy Seltonii. Święte zwierzę Gawana - czarny kozioł.

Beris - bogini miłości, piękna, księżycy i macierzyństwa. Uchodziła za żonę Mannara. Miała postać obnażonej kobiety z kołowrotkiem albo kwiatem magnolii w rękach. Święte zwierzęce Beris - sarna. Główna świątynia Beris znajdowała się w Cerunii.

Orius - bóg słońca i światła. Początkowo miał postać orła, potem - młodzieńca z pochodnią w ręce. Święte zwierzę Oriusa - kogut. Główna świątynia znajdowała się w Eponarze.

Jowannon - bóg ognia i kowalskiego rzemiosła, patron zbrojmistrzów i ogólnie rzemieślników. Pomocnikami Jowannona były demony metali - salwy. Miał postać mężczyzny z młotem w rękach. Święte zwierzę - dzięcioł. Główna świątynia znajdowała się w Ergalocie.

Szante - bogini sztuki, muzyki, tańca, żeńskiego uroku, miłosnych gier i magii. Czczona przede wszystkim przez kobiety. Miała postać młodej kobiety, jadącej wierzchem na byku. Święte zwierzęce Szante - ryś. Główna świątynia Szante znajdowała się w Agrianumie.

Kannas - bóg-patron handlarzy, złodziei i podróżników. Miał wygląd skrzydlatego młodzieńca. Święte zwierzęce Kannasa - wiewiórka. Główna świątynia znajdowała się w Iłładanie.

Mannar - personifikacja księżyca, bóg nocy, brat Oriusa. Miał postać sowy, następnie młodzieńca z tarczą i krzywym mieczem. Święte zwierzę Mannara - nietoperz. Główna świątynia znajdowała się w Eponarze.

Boz - bóg-patron bydła i dzieci. Miał postać pasterza, albo mężczyzny, trzymającego za rękę dziecko. Święte zwierzę Boza - pies. Świątynia znajdowała się w Cerunii.

Kaja - bogini zemsty i sądownictwa. Miała postać nagiej dziewczyny z mieczem i ludzką głową w rękach. Uważano ją także za boginię chorób i uzdrowienia. Święte zwierzęta Kai - kotka i kozodoj. Główna świątynia znajdowała się w Legałocie.

Nekrian - bóstwo podziemnego świata, personifikacja śmierci i przyszłego zmartwychwstania, opiekunka spokoju zmarłych. Miała postać kobiety z krzywym nożem i czaszką w rękach. Święte zwierzęta Nekrian - wilk i kruk. Świątynia Nekrian znajdowała się w Gatułonie.

Maranis – gospodarz demonicznego świata Gułchanda, władca potworów i istot wrogich człowiekowi. Uważano, że nie powinno się nawet wymawiać imienia Maranisa. Miał postać istoty bez oblicza; uważano, że twarz Maranisa jest tak okropna, że nie wolno jej przedstawiać. Święte zwierzę Maranisa - gigantyczna stonoga. Świątynia Maranisa znajdowała się w Gatułonie.

Nataja - bogini myśliwych, opiekunka dzikich zwierząt. Miała postać dziewczyny z jastrzębiem na ramieniu. Święte zwierzęta Natai - skowronek, jastrząb i niedźwiedź. Świątynia Natai znajdowała się w Agrianumie.

## **BOGOWIE DARNACKIEGO I SZURRECKIEGO PANTEONU**

Igierabał ( Igieraboał, Weł-Chus) - naczelne bóstwo w Darnacie, uosobienie bezkresnego oceanu, światowego porządku, królewskiej władzy i państwowości. Miał postać byka ze skrzydłami gryfa. W Giełamie, Igierabał był znany jako Niebłu (Igierabał-Niebłu) i był bratem-bliźniakiem boga wojny Gieszta. Króla nazywano "synem Igierabała". Egzekucja przestępców była uważana za ofiarę składaną Igierabałowi. Największą świątynią Igierabała, była świątynia w Darnacie.

Jonubas (In-Nubas) - bóstwo księżyca w Szurrecie i Giełamie. Uważany był za brata boga słońca Imiesza. Miał postać chłopca z sierpem we włosach. Centrum kultu Jonubasa, była świątynia w Eriwonie.

Imiesz (Szesz) - Bóg słońca w Szurrecie i Giełamie. Czasami identyfikowano go z Igierabałem lub z Bagiem. W epoce Południowego Imperium, kult Imiesza był praktycznie zakazany.

Kzu - bóg magii i okultystyzmu, mądrości, pisma i rachunku. Miał postać ogromnego oka. Kzu patronował astrologom, wróżbitom, czarownikom i uczonym a także aktorom i tancerkom. Główna świątynia Kzu znajdowała się w mieście Szedar.

Kua - w Gielamie i Szurrecie, bogini miłości. W późniejszej epoce, identyfikowała się z Chefteriesz-Szemmier i uważana była za żonę boga Kzu. Opiekunka małżeństwa, domu, obrończyni dzieci i nowożeńców, równocześnie była opiekunką rozpusty, prostytucji i zbrodni płciowej. Były jej poświęcane szczególnie domy publiczne. Miała postać kobiety z fallusem albo nożem położnej w rękach. Personifikacją Kua była gwiazda Wenus.

Giesztan - bóg wojny w Szurrecie i Darnacie. Miał postać smoka. Główna świątynia znajdowała się w Darnacie.

Szat-Cebu był bóstwem żywołów, handlu, krasomówstwa i rzemiosł, patron marynarzy, handlarzy, dyplomatów, kapłanów i podróżników. Był jednym z głównych Bogów Darnatu. Miał postać człowieka-ryby lub węża. Świątynia Szat-Cebu znajdowała się w Darnacie.

Mammu-Asztenet - bogini macierzyństwa, karmienia piersią, opiekunka dzieci i biedaków. Kult tej bogini, był popularny zwłaszcza wśród biednej ludności. Miała postać kobiety, karmiącej niemowlę piersią.

## **ZAPOMNIANI BOGOWIE**

Bag (Bagus, Baga, Mechra-Bagim) - bóg porządku, harmonii, słońca i państwa, naczelną bóg szurow w epoce Nin. Pseudonim Baga - "Obdarowujący życiem". Baga uważano także bogiem sprawiedliwej wojny. Święte zwierzę Baga - gur (gryfon).

Ninawa (Najnawa) - bogini świata i światła, opiekunka małżeństwa i rodziny, z pseudonimem „Obdarowująca płodnością”, żona Baga. Często nazywała się po prostu "Matką" ( Aszszai ). Była także bóstwem uzdrowienia i białej magii. Święte zwierzę Ninawy - biały baran.

Diwini - bogini zmian pór roku, opiekunka zwierząt, niezamężnych dziewczyn i dzieci. Była także czczona przez myśliwych i hodowców bydła. Pseudonim – „Obdarowująca pięknem”. Święte zwierzę - wilczyca.

Dowlad - bóg ognia, kowalstwa, rzemiosła i budownictwa, patron wszystkich warsztatów i rolników. Pseudonim – „Obdarowujący sztuką”. Święte zwierzę Dowlada - orzeł.

Ajwari - bogini leczenia i uzdrawiania, opiekunka lekarzy i chorych. Jej pseudonim „Obdarowująca zdrowiem”. Święte zwierzę Ajwari - pszczoła.

Angusz - bóstwo księżyca i gwiazd o pseudonimie „Obdarowujący światłem w ciemności”. Był także patronem białej magii, przeciwnikiem Ciemnego świata. Święte zwierzę Angusza - małpa.

Łaeka - bogini sądownictwa i prawa, sprawiedliwej wojny, uczciwej umowy i handlu. Jej pseudonim: „Obdarowująca sprawiedliwością”. Była opiekunką pobożnych sędziów, wojowników, urzędników, kupców i podróżników. Święte zwierzę Łaeki - jastrząb.

Mommek – bóg mądrości, sztuki i pisma, patron uczonych, studentów i kapłanów. Jego pseudonim „Obdarowujący mądrością”. Święte zwierzę Mommeka - lampart.

Pantar – bóg radości, sztuk pięknych, oszustwa, patron aktorów, muzyków i poetów. Był uważany za jednego z głównych bogów. Jego pseudonim „Obdarowujący radością”. Święte zwierzę Pantara - jaskółka.

## **RESZYJSCY BOGOWIE**

Atał - bóg-twórca, władca wszechświata, patron żywiołów i bóstw pór roku. Dni przesilenia i równonocy liczyły się świętymi datami, poświęconymi Atałowi, w ten dzień składano mu ofiary i wznosiło się szczególne modlitwy o protekcję Atała.

Cwir - bóg ognia, podziemnego świata, magii i ochrony przed nią. Był patronem guślarzy i czarodziejów, wynalazcą pisma i rzemiosł, zwłaszcza kowalstwa.

Bieląg - bóg losu, władca czasu i życia, bóstwo, karzące grzeszników. Jemu w szczególności składano przebłagalne ofiary, każdego pierwszego dnia miesiąca. Jego sługami byli sudnicy - demoniczne istoty, główni rejestratorzy dobrych i złych czynów każdego człowieka i wymierzający karę, jeśli złych czynów było znacznie więcej.

Swach - bóg słońca, światła, letniego ciepła, patron roślin i zwierząt. Był uważany za jednego z głównych Bogów.

Inika - bogini nocy, żeńskiej magii, poczęcia i macierzyństwa. Istniał obyczaj, że pierwsza dziewczynka, przychodząca na świat w rodzinie, była poświęcana bogini i stawała się jej kapłanką do momentu zamążpójścia. Narzeczony, musiał zapłacić wykup kapłanom bogini albo wypełnić, zgodnie z ich wolą, jakiegokolwiek polecenie.

Agana - bogini-matka, opiekunka wszystkich żyjących, bóstwo miłości, rodzinnego szczęścia i domowego ciepła. Żona Atała.

Łurus - bóg wojny. Uważało się, że bogu towarzyszy świta demonicznych istot, które po bitwie pożerają ciała niepogrzebanych wojowników. Święto ku czci Łurusa, obchodzono w trzecią noc po dniu zimowego przesilenia: w ten dzień, było przyjęte, obdarowywanie mężczyzn bronią albo rytualnymi amuletami, chroniącymi właściciela w bitwie.

Chwart - bóg morza, morskich żywiołów, patron żeglarzy i rybaków.